

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

Mrozący krew w żyłach, wciągający thriller. Akcja rozgrywa się na klaustrofobicznej, zimnej i przerażającej wysepce, napięcie nieustannie narasta, aż do przyprawiającego o dreszcze zakończenia.

„The Sunday Mirror”

BLIŹNIĘTA Z LODU



S. K. TREMAYNE

BLIŹNIĘTA Z LODU

S. K. TREMAYNE



Przeład Robert Kędziński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Tytuł oryginału:
ICE TWINS

Redakcja:
Grażyna Mastalerz

Cover lay out design © HarperCollins *Publishers*
Photographs © S. K. Tremayne

Adaptacja okładki:
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:
© Alan Clarke / Archangel Images (dziewczynki)
© Shutterstock (pozostałe zdjęcia)

Korekta:
Maciej Korbaśiński
Piotr Królak

Copyright © S. K. Tremayne 2015
First published by HarperCollins *Publishers* 2015
S. K. Tremayne asserts the moral right to be identified as the author of this work
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca,

ISBN 978-83-7554-941-6

Wydawnictwo

CZARNA
OWCA
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Moim córkom

Nasze krzesła stoją dokładnie dwa metry od siebie. Oba przodem do wielkiego biurka, jakbyśmy byli parą na terapii małżeńskiej; uczucie, które znam aż za dobrze. W pokoju dominują dwa wysokie, osiemnastowieczne przesuwne okna bez zasłon: bliźniacze portrety ciemnego, zamglonego nieba nad Londynem.

– Moglibyśmy włączyć światło? – pyta mój mąż, a młody adwokat, Andy Walker, podnosi wzrok znad papierów, może lekko zirytowany.

– Oczywiście – mówi. – Przepraszam. – Sięga do przełącznika, który ma za plecami, i dwie wysokie stojące lampy zalewają pokój żółtym światłem, a imponujące okna czernieją.

Widzę teraz swoje odbicie w szybie: opanowana, bierna, kolana razem. Kim jest ta kobieta?

Nie jest taka, jak była kiedyś. Jej oczy są niebieskie jak zawsze, ale smutniejsze. Twarz lekko zaokrąglona i blada, szczuplejsza niż dawniej. Wciąż jest dość ładną blondynką – ale spłowiałą i jakby skurczoną; trzy dziesiętrotyletnia kobieta, w której nie pozostało nic z dziewczyny.

A jej ubranie?

Dziny, które były modne rok temu. Buty, które były modne rok temu. Fioletowy sweterek z kaszmiru, całkiem ładny, ale znoszony: widać, że przeszedł o jedno pranie za dużo. Krzywię się na widok swojego odbicia. Powinam się była ubrać bardziej elegancko. Ale po co miałybyśmy to robić? Spotykamy się tylko z prawnikiem. I całkowicie zmieniamy swoje życie.

Na zewnątrz szmer ulicznego ruchu, jak głęboki, ale niespokojny oddech śpiącego partnera. Zastanawiam się, czy będę tęsknić za londyńskim ruchem, za tym nieustannym, podnoszącym na duchu szmerem: jak te aplikacje na telefon, które pomagają zasnąć, naśladowując nieprzerwany szum krwi w łonie matki, odległe bicie jej serca.

Moje bliźnięta na pewno słyszały ten odgłos, gdy pocierały się we mnie noskami. Pamiętam, jak widziałam je na USG. Wyglądały jak dwa heraldyczne symbole w herbie, identyczne i przeciwstawne. Jednoróżec i jednoróżec.

Testator. Wykonawca testamentu. Zgodne z prawem. Uwierzytelniony odpis...

Andrew Walker zwraca się do nas, jakbyśmy byli na sali wykładowej i jakby był trochę rozczarowanym swoimi studentami profesorem.

Zapis w testamentie. Zmarła. Spadkobierca. Żyjące dzieci.

Mój mąż Angus wzdycha, tumi zniecierpliwienie; znam to westchnienie. Jest zdruzony, pewnie rozdrażniony. I rozumiem to, ale żal mi też adwokata. Dla Walkera to nie może być łatwe. Musi stawić czoło wojowniczeemu ojcu i wciąż pogrążonej w żałobie matce i poradzić sobie z problematycznym testamentem: musimy być dla niego trudnymi klientami. A więc jego staranna, powolna, precyzyjna wymowa może być sposobem, by się od tego wszystkiego

zdystansować. Poradzić sobie z trudną materią. Może to prawny odpowiednik terminologii medycznej. *Krwinki dwunastnicy i uszkodzenie błony surowiczej prowadzące do zapalenia otrzewnej u dziecka i do jego zgonu.*

Ostry głos przecina powietrze.

– Już to wszystko przerabialiśmy.

Czy Angus coś pił? W jego tonie słyhać niemal złość. Jest zły, odkąd to się stało. I dużo pije. Ale dziś wydaje się dość przytomny i prawdopodobnie jest trzeźwy.

– Chcielibyśmy to załatwić, zanim na Ziemi zmieni się klimat, wie pan?

– Panie Moorcroft, jak już mówiłem, Peter Kenwood wyjechał na urlop. Możemy poczekać na jego powrót, jeśli wolałby pan...

Angus kręci głową.

– Nie, chcemy to załatwić teraz.

– W takim razie muszę jeszcze raz przejrzeć dokumenty i wszystko, co ma związek z tą sprawą. Dla mojego spokoju. Poza tym Peter uważa... no cóż...

Obserwuję ich. Adwokat się waha, w jego kolejnych słowach słyhać napięcie. Są jeszcze staranniej wyważone:

– Jak zapewne zdaje pan sobie sprawę, panie Moorcroft, Peter uważa się za starego przyjaciela rodziny. Nie tylko za doradcę prawnego. Zna okoliczności. Bardzo dobrze znał zmarłą panią Carnan, pańską babkę. Dlatego prosił mnie, bym się jeszcze raz upewnił, czy oboje państwo wiecie, w co się pakujecie.

– Wiemy, co robimy.

– Musicie sobie państwo zdawać sprawę, że wyspa ledwie się nadaje do zamieszkania. – Walker wrusza ramionami. Widać, że czuje się nieswojo, jakby ten upadek był w jakiś sposób winą jego kancelarii. Ale on zrobi wszystko, by uniknąć pozwu. – Obawiam się, że chatę latarnika zostawiono na pastwę żywiołów. Nikt tam nie był od lat. Ale jest zabytkiem, więc nie możecie państwo jej całkowicie zburzyć i zacząć od nowa.

– Tak. Wiem to wszystko. Często tam jeździłem jako dzieciak. Bawiłem się w basenach pływowych.

– Ale czy na pewno zdaje pan sobie sprawę, jakie to wyzwanie, panie Moorcroft? To naprawdę ogromne przedsięwzięcie. Są problemy z dostępnością, przy pły wy, błoto, i oczywiście poważne problemy z instalacją wodno-kanalizacyjną, ogrzewaniem i instalacją elektryczną. Poza tym w testamencie nie ma żadnego zapisu o pieniądzech, o niczym, co mogłoby...

– Świetnie zdajemy sobie sprawę z tego wszystkiego.

Chwila milczenia. Walker zerka na mnie, potem znów na Angusa.

– Rozumiem, że sprzedajecie państwo dom w Londynie?

Angus wpatruje się w niego. Uniesiony podbródek. Wyzywające spojrzenie.

– Słucham? A co to ma do rzeczy?

Adwokat kręci głową.

– Peter się martwi. Bo... no cóż... Biorąc pod uwagę państwa tragiczną stratę w ostatnim czasie... chciałby mieć całkowitą pewność.

Angus zerka na mnie. Wrzuszam ramionami, nie jestem pewna. Angus pochyła się do przodu.

– Dobra. Mniejsza z tym. Tak. Sprzedajemy dom w Camden.

– I ta sprzedaż oznacza, że będą państwo mieli wystarczający kapitał, by przeprowadzić

remont na Ell... – Walker marszczy czoło. Wpatruje się w to, co ma przeczytać. – Nie jestem w stanie tego wyśmiał. Ell...?

– Eilean Torran. To po gaelicku. To znaczy Wyspa Pioruna. Wyspa Torran.

– Tak Oczywiście. Na wyspie Torran. A więc macie państwo nadzieję uzyskać dostateczne fundusze ze sprzedaży swojego obecnego domu, żeby odnowić chatę latarnika na wyspie Torran?

Czuję, że powinnam coś powiedzieć. Na pewno muszę coś powiedzieć. Angus odwała całą robotę. A jednak moje milczenie jest pocieszające, jest jak kokon. Otula mnie moja cisza. Jak zawsze. Taka jestem. Zawsze byłam cicha, o ile nie pełna rezerwy. Angusa drażni to od lat. *O czym myślisz? Powiedz mi. Czemu zawsze to ja muszę mówić?* I kiedy to mówi, zwykle wzruszam ramionami i się odwracam, bo czasem milczenie mówi wszystko.

I oto znów milczę. Słucham swojego męża.

– Mamy już dwie hipoteki obciążające dom w Camden. Straciłem pracę, nie jest nam lekko. Ale tak mam nadzieję, że zarobimy na tym parę funtów.

– Macie państwo nabywcę?

– Aż się pali, żeby wypisać czek – Angus w oczywisty sposób tłumii złość, ale ciągnie dalej: – Niech pan posłucha: moja babka zapisała w testamencie tę wyspę mnie i mojemu bratu, zgadza się?

– Oczywiście.

– I mój brat bardzo wspaniałomyślnie twierdzi, że jej nie chce. Zgadza się? Moja matka jest w domu opieki. Tak? A więc wyspa należy do mnie, do mojej żony i mojej córki. Zgadza się?

Córki. Liczba pojedyncza.

– W rzeczy samej...

– I to by było na tyle. Prawda? Chcemy się wprowadzić. Naprawdę chcemy. Tak, dom jest w ruinie. Tak, wali się. Ale sobie poradzimy. Bądź co bądź – odchyła się do tyłu – przeżyliśmy gorsze rzeczy.

Patrzę w skupieniu na swojego męża.

Gdybym go teraz poznała, wciąż wydawałby mi się bardzo atrakcyjny. Wysoki, bystry facet po trzydziestce, z miłym dla oka trzydniowym zarostem. Ciemnooki, męski, zaradny.

Miał leciutki zarost, kiedy się poznaliśmy, i spodobało mi się to. Podkreślało to linię jego szczęki. Gdy siedział w tym dużym, głośnym barze tapas w Covent Garden, wydawał mi się jednym z tych niewielu mężczyzn, o których powiedzieć, że są przystojni, to za mało.

Siedział z grupką przyjaciół przy wielkim stole i śmiał się głośno: wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat. Ja i moje przyjaciółki siedziałyśmy przy sąsiednim stoliku. Trochę młodsze, ale równie wesołe. Wszyscy pili dużo wina rioja.

I tak to się stało. Któryś z nich rzucił do nas jakiś żart. Któraś mu dowcipnie odpowiedziała. A potem zestawiliśmy stoły: siedzieliśmy ciasno, śmialiśmy się i żartowaliśmy, i zaczęliśmy się sobie przedstawiać: to jest Zoe, to jest Sacha, Alex, Imogen, Meredith...

A to jest Angus Moorcroft, a to jest Sarah Milverton. Angus jest ze Szkocji i ma dwadzieścia sześć lat. Ona jest pół Angielką, pół Amerykanką i ma dwadzieścia trzy lata. A teraz spędzicie razem resztę życia.

Na zewnątrz godziny szczytu. Ruch staje się coraz głośniejszy. Wyrwa mnie z zadumy. Andrew Walker podsuwa Angusowi do podpisania kolejne dokumenty. Świetnie znam tę procedurę: w tym roku podpisaliśmy tak wiele dokumentów. Papiery, które zawsze towarzyszą

katastrofie.

Angus pochyla się nad biurkiem, składa podpis. Pióro wydaje się w jego ręce zbyt małe. Odwracam się, wpatruję się w obraz Old London Bridge na pomalowanej na żółto ścianie. Chcę jeszcze trochę powspominać, zająć czymś myśli. Chcę myśleć o Angusie i o sobie: o tym pierwszym wieczorze.

Pamiętam wszystko bardzo wyraźnie. Od muzyki – meksykańska salsa – aż po bardzo przeciętne tapas. Jaskrawo czerwone *patatas bravas*, cierpkie białe szparagi. Pamiętam, jak pozostali zaczęli się rozchodzić – zdążyć na ostatnie metro, trochę się przespać – jakby wszyscy wyczuli, że do siebie pasujemy, że to coś ważniejszego niż zwykły piątkowy flirt.

Jak wszystko się łatwo zmienia. Jak by teraz wyglądało moje życie, gdybyśmy wybrały inny stolik, poszły do innego baru. Ale wybrałyśmy tamten bar, tamten wieczór i tamten stolik i przed północą siedziałam sama z tym wysokim facetem: Angusem Moorcroftem. Powiedział mi, że jest architektem. Powiedział mi, że jest Szkotem i singlem. A później opowiedział mi inteligentny dowcip i zdałam sobie sprawę, że to dowcip, dopiero minutę później. Gdy się śmiałam, zauważyłam, że na mnie patrzy: w skupieniu, z pytaniem w oczach.

Więc ja też na niego popatrzyłam. Jego oczy były brązowe, ciemne i poważne; włosy kręcone, gęste i bardzo czarne; zęby lśniły bielą na tle czerwieni ust i ciemnego zarostu, i znałam już odpowiedź. *Tak*.

Dwie godziny później skradliśmy sobie pierwszy pijany pocałunek pod patrzącym na nas z aprobatą księżycem na placu w Covent Garden. Pamiętam lśniący od deszczu bruk, gdy się obejmowaliśmy: chłodna słodycz wieczornego powietrza. Spaliśmy ze sobą jeszcze tej samej nocy.

Niecały rok później byliśmy małżeństwem. Po niespełna dwóch latach urodziły się dziewczynki: bliźniaczki jednojajowe. A teraz została tylko jedna.

Wzbiera we mnie ból: muszę przycisnąć rękę do ust, by stłumić dreszcz. Kiedy przeminie? Może nigdy? Jest jak wojenna rana, jak szrapnel tkwiący w ciele, przez lata wychodzący na powierzchnię.

Więc może muszę coś powiedzieć. By stłumić ból, by uciszyć myśli. Siedzę tu od pół godziny, potulna i cicha jak jakaś purytańska żona. Zbyt często zdaję się na to, że Angus wszystko powie za nas oboje; że uzupełni mnie w tym, czego mi brakuje. Ale na razie mam dosyć swojego milczenia.

– Jeśli doprowadzimy wyspę do dobrego stanu, może być warta nawet milion.

Obaj odwracają się do mnie. Gwałtownie. Ona mówi!

– Sam widok na cieśninę Sound of Sleat – mówię – jest wart z milion. W stronę Knoydart.

Bardzo się staram wymówić to poprawnie. Odrobiłam lekcje. Bez końca szukałam materiałów, wyszukiwałam w Google zdjęcia i historie.

Andrew uśmiecha się uprzejmie.

– I była tam pani, pani Moorcroft?

Rumienię się, ale się tym nie przejmuję.

– Nie. Ale widziałam zdjęcia, czytałam książki. To jeden z najszlachetniejszych widoków w Szkocji, a my będziemy mieli swoją własną wyspę.

– Zgadza się. Tak Ale...

– Był taki dom we wsi Ornsay na stałym lądzie, kilometr od Torran... – Zerkam na notatkę

w telefonie, choć świetnie wszystko pamiętam. – Sprzedał się za siedemset pięćdziesiąt tysięcy, piętnastego stycznia tego roku. Dom z czterema pokojami, ładnym ogródkiem i tarasem. Bardzo ładny, choć trudno byłoby to nazwać rezydencją. Ale miał spektakularny widok na cieśninę, i za to właśnie ludzie płacą. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Angus patrzy na mnie i kiwa głową, by mi dodać odwagi. Potem do mnie dołącza:

– Zgadza się. I jeśli zrobimy remont, możemy mieć pięć pokoi i ogródek. Chata jest na to dość duża. Bez problemu może być warta milion.

– No cóż, tak, panie Moorcroft. W tej chwili jest warta ledwie pięćdziesiąt tysięcy, ale potwierdzam, ma taki potencjał.

Uśmiecha się. To fałszywy uśmiech. Narasta we mnie ciekawość: dlaczego tak bardzo nie chce, żebyśmy się przeprowadzili na Torran? Co takiego wie? Dlaczego naprawdę zaangażował się w to Peter Kenwood? Może sami zamierzali złożyć ofertę? To by miało sens: Kenwood od lat znał Torran, znał babkę Angusa i mógł w pełni zdawać sobie sprawę z potencjalnej wartości wyspy.

Tak to sobie zaplanowali? Jeśli tak, to byłoby to urzekająco proste. Wystarczyło odczekać, aż umrze babka Angusa. Potem przycisnąć wnuki, a zwłaszcza pogrążoną w żalobie, wciąż oszołomioną parę. Wstrząśniętą śmiercią dziecka, w niepewnej sytuacji finansowej po tym, co się stało. Zaproponować im sto tysięcy, dwukrotnie więcej, niż potrzebują, być wspianiałomyślnym i pełnym współczucia, ciepło i smutno się uśmiechać. *To na pewno bardzo trudne, ale możemy pomóc, możemy zdjąć z państwa barków ten ciężar. Proszę tylko podpisać tutaj...*

A potem: spacerek. Wystarczy wysłać na Skye autobus pełen polskich robotników budowlanych. Zainwestować dwieście tysięcy, poczekać rok, aż robota będzie skończona.

Ta przepiękna posiadłość, położona na wyspie nad słynną cieśniną Sound of Sleat, jest na sprzedaż za milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów; cena do negocjacji...

Taki mieli plan? Walker wpatruje się we mnie i zaczynam się czuć winna. Pewnie jestem strasznie niesprawiedliwa dla Kenwood & Partners. Ale bez względu na to, jaką mają motywację, nie ma mowy, żebym zrezygnowała z tej wyspy: to moje wyjście awaryjne, ucieczka przed żalobą i wspomnieniami... i przed długami i wątpliwościami.

Zbyt długo była moim marzeniem. Wpatrywałam się w zdjęcia lśniące na ekranie mojego laptopa, w kuchni o trzeciej nad ranem. Kiedy Kirstie śpi w swoim pokoju, a Angus leży w łóżku, zamroczony szklką, wpatruję się w krystaliczne piękno. Eilean Torran. Nad Sound of Sleat. Otoczona pięknem Hebrydów Wewnętrznych. Urocza posiadłość położona na osobnej wyspie.

– A więc dobrze. Potrzebuję jeszcze tylko kilku podpisów – mówi Walker.

– I sprawa będzie załatwiona?

Znacząca chwila milczenia.

– Tak

Piętnaście minut później Angus i ja opuszczamy pomalowany na żółto gabinet, idziemy pomalowanym na czerwono korytarzem i wychodzimy na zewnątrz. Jest wilgotny październikowy wieczór. Na Bedford Square, w Bloomsbury.

Angus ma w plecaku dokumenty. Wszystko skończono. Stało się. Patrzę na inny świat i mój nastrój się poprawia.

Wielkie czerwone autobusy toczą się Gower Street, z obu pięter spoglądają puste twarze.

Angus kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dobra robota.

– Co takiego?

– To, że się wtrąciłaś. Niezłe wybrałaś moment. Już się martwiłem, że będę musiał mu przyłożyć.

– Ja też – Spoglądamy na siebie. Porozumiewawczo i ze smutkiem. – Ale udało nam się. Prawda?

Angus się uśmiecha.

– Udało nam się, kochanie. Wszystko nam się udało. – Stawia kołnierz płaszcz, by się osłonić przed deszczem. – Ale, Saro... muszę cię zapytać jeszcze raz: jesteś absolutnie pewna?

Krzywię się. Angus dodaje szybko:

– Wiem, wiem. Tak Ale wciąż myślisz, że to słuszna decyzja? Naprawdę chcesz... – Szerokim gestem wskazuje na żółte światła londyńskich taksówek lśniące w mżawce. – ...naprawdę chcesz to wszystko zostawić? Zrezygnować z tego? Skye to takie odludzie.

– Kiedy człowiek jest zmęczony Londynem – mówię – to znaczy, że ma dosyć deszczu.

Angus się śmieje. Pochyla się nade mną. Jego brązowe oczy wpatrują się w moje, może jego usta szukają moich ust. Delikatnie głaszczę go po podbródku i całuję w szorstki policzek, wdycham jego zapach – nie pachnie whisky. Pachnie Angusem. Mydłem i męskością. Czysty i zaradny, mężczyzna, którego kochałam. Kocham. Zawsze będę kochać.

Może dziś prześpimy się ze sobą, po raz pierwszy od wielu tygodni. Może przez to przebrniemy. Ale czy w ogóle można kiedyś przez to przebrnąć?

Idziemy obok siebie ulicą. Angus ścisną mocniej moją dłoń. W tym roku często trzymał mnie za rękę: gdy leżałam w łóżku i płakałam, bezgłośnie i bez końca, noc za nocą. Trzymał mnie za rękę od początku do końca potwornego pogrzebu Lydii, od *Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem* aż po *Z nami wszystkimi na wieki wieków*.

Amen.

– Metro czy autobus?

– Metro – odpowiadam. – Będzie szybciej. Chcę przekazać Kirstie dobrą wiadomość.

– Mam nadzieję, że tak to odbierze.

Patrzę na niego. Nie.

Nie mogę sobie pozwolić na wątpliwości. Jeśli zacznę się zastanawiać, ogarną mnie złe przecucia i utkniemy na zawsze.

Zapewniam go szybko:

– Oczywiście, że tak, Angus. Przecież musi tak to odebrać. Będziemy mieli własną latarnię, całe to świeże powietrze, jelenie, delfiny...

– Tak ale pamiętaj, że widziałaś głównie zdjęcia robione latem. W słońcu. Nie zawsze tak jest. Zimą jest ciemno.

– No to zimą... jak to się mówi? Przyczaimy się i będziemy się bronić. To będzie przygoda.

Jesteśmy już prawie przy metrze. Czarny strumień ludzi wracających z pracy znikną na schodach: rzeka polykana przez londyńskie metro. Odwracam się na chwilę i patrzę na zamgloną New Oxford Street. Jesienne mgły w Bloomsbury są jakby duchem – albo widocznym wspomnieniem – średniowiecznych bagien Bloomsbury. Czytałam gdzieś o tym.

Dużo czytam.

– No chodź.

Tym razem łapię go za rękę i ze splecionymi palcami schodzimy do metra. Wytrzymujemy trzy przystanki w tłoku godzin szczytu, przyciśnięci do siebie. Potem wypychamy się do stukającej windy na Mornington Crescent i kiedy wynurzamy się na powierzchnię, właściwie biegniemy.

– Hej! – Angus się śmieje. – To jakaś olimpiada czy co?

– Chcę powiedzieć naszej córce!

I chcę, bardzo chcę. Chcę przekazać mojej żyjącej córce jakąś dobrą wiadomość, choć raz powiedziec jej coś miłego. Coś, w czym jest szczęście i nadzieja. Dziś mija trzy naście miesięcy od śmierci jej siostry Lydii – nienawidzę tego, że wciąż tak dokładnie pamiętam datę, że z taką łatwością odmierzam czas – i ma za sobą ponad rok udręki, której nie potrafię pojąć. Straciła siostrę bliźniaczkę, swoją drugą duszę. Odizolowała się we własnej otchłani, zamknęła się w niej na trzynaście miesięcy. Ale teraz mogę ją uwolnić.

Świeże powietrze, góry, nadmorskie fiordy. I widok przez cieśninę na Knoydart.

Biegnę do drzwi wielkiego białego domu, którego nigdy nie powinniśmy byli kupować. Domu, na który już nas nie stać.

W drzwiach stoi Imogen. Dom pachnie jedzeniem dla dziecka, praniem i świeżą kawą. Jest jasny. Będzie mi go brakowało. Może.

– Immy, dziękuję, że się nią zajęłaś.

– Och, proszę cię! Daj spokój. Ale powiedz, wszystko się udało?

– Tak mamy ją. Przeprowadzamy się!

Imogen z zachwytem klaszcze w dłonie. Moja bystra, ciemnowłosa, elegancka przyjaciółka, która trwa przy mnie od czasów college’u. Pochyla się i obejmuje mnie, ale z uśmiechem odsuwam ją od siebie.

– Muszę jej powiedzieć. Ona nic nie wie.

Imogen uśmiecha się szeroko.

– Jest w swoim pokoju z Cwaniaczką.

– Co?

– Czyta tę książkę!

Przemierzam przedpokój, wchodzę na górę i przystaję przy drzwiach, na których jest napisane: „Tu mieszka Kirstie” i „Najpierw zapukaj”.

Niezdarnie wycięte noży czkami z błyszczącego papieru litery. Zgodnie z instrukcją pukam.

Słyszę ciche: mmm-mmm. „Proszę” w wykonaniu mojej córki.

Otwieram drzwi i widzę moją siedmioletnią dziewczynkę. Siedzi po turecku na podłodze, w szkolnym mundurku: czarne spodnie, biała koszulka polo. Jej piegowaty nosek pochyła się nad książką: obraz niewinności, ale też samotności. Pulsuje we mnie miłość i smutek. Tak bardzo chcę, by jej życie stało się lepsze, by znów cała mogła być sobą.

– Kirstie...

Nie odpowiada. Nie przestaje czytać. Czasem tak robi. Gra w tę grę: „mmmNIE chcę rozmawiać”. Od roku robi to coraz częściej.

– Kirstie. Muminku. Kirstusiu.

Teraz patrzy na mnie tymi niebieskimi oczami, które ma po mnie. Tyle że są bardziej niebieskie niż moje. Błękit Hebrydów. Jej blond włosy wydają się niemal białe.

– Mamusiu.

– Mam dobrą wiadomość, Kirstie. Dobrą wiadomość. Wspaniałą wiadomość.

Siadam obok niej na podłodze, między zabawkami – jej pingwinkami, pluszowym lamparcikiem, Jednoręką Lalką – i mówię jej o wszystkim. Szybko, prawie jednym tchem. O tym, że przeprowadzamy się w szczególne miejsce, w nowe miejsce, gdzie zaczniemy od początku, pięknie, wspaniale i świeże, na naszą własną wyspę.

Kirstie cały czas na mnie patrzy. Prawie nie mruga oczami. Chłonie to wszystko. Nic nie mówi, nic nie robi, jakby była w transie, oddaje mi moje własne chwile milczenia. Kiwa głową i uśmiecha się blade. Może jest zaintrygowana. W pokoju zapada cisza. Skończyły mi się słowa.

– No więc – mówię – co o tym sądzisz? Wyprowadzimy się na naszą własną wyspę. Nie uważasz, że będzie fajnie?

Powoli kiwa głową. Spogląda na książkę, zamyka ją, potem znów na mnie patrzy i mówi:

– Mamusiu, dlaczego ciągle mówisz do mnie Kirstie?

Nie odzywam się. Cisza dzwoni mi w uszach.

– Przepraszam, kochanie – mówię. – Co takiego?

– Dlaczego ciągle nazywasz mnie Kirstie, mamusiu? Kirstie nie żyje. To K i r s t i e umarła. Ja jestem Lydia.

Wpatruję się w Kirstie. Próbuję się uśmiechnąć. Próbuję nie okazać, że jestem głęboko zaniepokojona.

Pewnie w rozwijającym się umyśle Kirstie znów wynurza się na powierzchnię ten drzemiący w niej smutek, jakieś poczucie zagubienia, typowe dla bliźniąt, które tracą brata lub siostrę, i jestem przyzwyczajona do tego, że moje córki... że moja córka jest inna.

Od czasu gdy moja matka w samym środku zimy po raz pierwszy przyjechała z Devon do naszego mieszkania, do Holloway, od chwili gdy spojrzała na bliźniaczki ułożone obok siebie w łóżeczku, dwoje identycznych maleńkich maluchów ssących sobie nawzajem kciuki, od chwili gdy moja matka, oczarowana i oszołomiona, wybuchnęła śmiechem, a jej oczy rozszerzyły się w szczerym zachwycie, wiedziałam, że urodzenie bliźniąt to coś jeszcze bardziej imponującego niż zwykły cud zostania rodzicem. Rodząc bliźnięta – zwłaszcza jednojajowe – daje się życie genetycznym celebrytom. Ludziom, którzy są niezwykli tylko dlatego, że istnieją.

Niezwykli i bardzo inni.

Mój tata wymyślił im nawet ksywkę – bliźnięta z lodu. Bo urodziły się w najzimniejszy, najmroźniejszy dzień roku i miały lodowobłękite oczy i włosy jasne jak śnieg. Wydawała mi się trochę melancholijna, więc nigdy się tak naprawdę nie przyjęła. A jednak nie mogłam zaprzeczyć, że w jakiś sposób to do nich pasowało. Tacie udało się uchwycić ich niesamowitość.

I właśnie tak szczególnie potrafią być bliźnięta: miały nawet specjalne imię, które ze sobą dzieliły.

A teraz przesywając spokojne stwierdzenie Kirstie: Mamusiu, ja jestem Lydia, to K i r s t i e umarła, mogło być po prostu kolejnym przykładem tej bliźnięcości, kolejnym objawem ich unikalności. A mimo to usiłuję nie panikować, nie wybuchnąć płaczem. Bo Kirstie przypomina mi Lydię. I martwię się o nią.

Jakie potworne złudzenie ją dręczy, że mówi coś tak strasznego? Mamusiu, ja jestem Lydia, to Kirstie umarła. *Dlaczego ciągle nazywasz mnie Kirstie?*

– Kochanie – mówię do niej z umyślnie fałszywym spokojem. – Niedługo powinnaś iść do łóżka.

Spogląda na mnie tymi łagodnymi niebieskimi oczami, identycznymi jak oczy jej siostry. Wypadł jej mleczak u góry. Kolejny na dole się kiwa. To coś nowego. Do śmierci Lydii obie miały idealne uśmiechy. Obie tak samo późno traciły mleczne zęby.

Kirstie unosi trochę książkę i mówi:

– Ale ten rozdział ma jeszcze tylko trzy strony. Wiedziałaś o tym?

– Naprawdę?

– Tak popatrz, mamusiu, kończy się tutaj.

– No dobrze, to możemy przeczytać jeszcze te trzy strony, do końca rozdziału. Przeczytasz mi je?

Kirstie kiwa głową i pochyła się nad książką. Zaczyna czytać na głos.

– Musiałem się owinąć papierem toaletowym, żeby nie dostać hipo... hi... po...

Pochyliam się nad nią, wskazując palcem słowo i próbuję pomóc.

– Hipot...

– Nie, mamusiu. – Kirstie śmieje się cicho. – Nie. Znam to. Umiem to powiedzieć!

– Dobrze.

Przymyka oczy. Robi to zawsze, kiedy intensywnie myśli, a potem znów je otwiera i czyta:

– Żeby nie dostać hi-po-termii.

Udało jej się. Dosyć trudne słowo. Ale nie dziwi mnie to. Od całkiem niedawna czyta znacznie lepiej. Co oznacza...

Odsuwam od siebie tę myśl.

Słychać tylko głos czytającej Kirstie, poza tym w pokoju jest cicho. Zakładam, że Angus jest na dole z Imogen, gdzieś daleko w kuchni. Może otwierają butelkę wina, żeby uczcić dobre wieści. Czemu nie? Od trzy nastu miesięcy przeżyliśmy zbyt wiele złych dni, zbyt wiele złych wieści.

– Tak spędziłem spory kawałek wa-kacji...

Kirstie czyta, a ja wtulam się w jej ramionka i całuję jej miękkie jasne włoski. I czuję, że coś małego i ostrego wbija mi się w udo. Próbuję nie przeszkadzać Kirstie, nie myśleć o tym, co powiedziała, i sięgam po to.

To mała zabawka: miniaturowy plastikowy smok, którego kupiliśmy w londyńskim zoo. Ale kupiliśmy go dla Lydii. Uwielbiała smoki i aligatory, wszystkie straszne gady i potworki. Kirstie wołała – woli – lwy i lamparty, puszyste, zwinne, ładne stworzenia. To była jedna z rzeczy, które jedną od drugiej odróżniały.

– Gdy przyszedłem dziś do szkoły... wszyscy zachowywali się dziwnie.

Oglądam plastikowego smoka, obracam go w dłoni. Dlaczego jest tutaj, dlaczego leży na podłodze? Kilka miesięcy po tym, co się stało, Angus i ja starannie pochowaliśmy wszystkie zabawki Lydii do pudełek. Nie byliśmy w stanie ich wyrzucić. To by było zbyt ostateczne, zbyt prymitywne. Więc wynieśliśmy wszystko – zabawki i ubranka, wszystko, co miało związek wyłącznie z Lydią – na strych. Psychologicznie pochowaliśmy to w przestrzeni nad nami.

– Problem z Serowym Dotykem polega na tym, że go masz... do-póki nie przekażesz go komuś innemu...

Lydia uwielbiała tego plastikowego smoka. Pamiętam to popołudnie, kiedy go kupiliśmy. Pamiętam, jak skakała na Regent's Park Road, wymachiwała nim w powietrzu. Marzyła o prawdziwym własnym smoczku. I wszyscy się uśmiechaliśmy. To wspomnienie przepelnia mnie smutkiem, więc dyskretnie wsuwam smoka do kieszeni džinsów i uspokajam się. Jeszcze przez kilka minut słucham Kirstie, póki nie skończy rozdziału. Niechętnie zamyka książkę i spogląda na mnie: niewinnie, z oczekiwaniem.

– No dobrze, kochanie. Najwyższa pora iść do łóżka.

– Ale mamusiu!

– Żadnych „ale mamusiu”. No chodź, Kirstie.

Chwila milczenia. Po raz pierwszy, odkąd powiedziała to, co powiedziała, użyłam jej imienia.

Spogląda na mnie zdziwiona i marszczy brwi. Znów wypowie te straszne słowa?

Mamusiu, ja jestem Lydia, to Kirstie umarła. Dlaczego ciągle nazywasz mnie Kirstie?

Moja córka kręci głową, jakbym popełniała jakiś bardzo podstawowy błąd. A potem mówi:

– Dobrze, idziemy do łóżka.

Idziemy? I d z z ie my? Co chce przez to powiedzieć? W ciszy czuję przerażający niepokój, ale nie chcę się martwić. Martwię się. Ale martwię się o nic.

Idziemy?

– Dobrze. Dobranoc, kochanie.

Do jutra to wszystko zniknie. Na pewno. Musi tylko położyć się spać i obudzić się rano, i wtedy to przykre poczucie zagubienia zniknie, odejdzie razem z jej snami.

– W porządku, mamusiu. Możemy same włożyć piżamy.

Uśmiecham się. Staram się, by moje słowa brzmiały neutralnie. Jeśli zauważę, że jest zagubiona, mogę wszystko tylko pogorszyć.

– Niech będzie, ale musimy się pośpieszyć. Jest już bardzo późno, a ty masz jutro szkołę.

Z powagą kiwa głową. Patrzy na mnie.

Szkoła.

Szkoła.

Kolejny powód do smutku.

Wiem – i to boli, i czuję się przez to winna – że Kirstie nie lubi swojej szkoły. Już nie. Uwielbiała ją, gdy chodziła do niej z siostrą. Wtedy bliźnięta z lodu były Psołnymi Siostrami. Codziennie rano przypinałam je pasami na tylnym siedzeniu, ubrane w jednokolorowe mundurki, i jadąc Kentish Town Road pod bramę St. Luke's, obserwowałam je w lusterku: szeptały i dawały sobie znaki, wskazywały na ludzi za oknem i nagle wybuchaly śmiechem z jakichś własnych dowcipów, bliźnięcych dowcipów, których nigdy nie potrafiłam pojąć.

Za każdym razem, kiedy to robiłyśmy – co rano – byłam dumna, czułam, że je kocham, i czasem byłam skonsternowana, bo były tak kompletnie sobą pochłonięte. Rozmawiały we własnym bliźnięcym języku.

Trudno było nie czuć się trochę wykluczoną, mniej ważną w ich życiu niż ten ktoś identyczny i przeciwstawny, z kim codziennie spędzały każdą minutę. Uwielbiałam je. Ubóstwiałam.

A teraz wszystko się skończyło: teraz Kirstie chodzi do szkoły sama, i robi to w milczeniu. Siedzi na tylnym siedzeniu. Nie odzywa się. Wpatruje się jak w transie w smutniejszy świat. Wciąż ma w tej szkole przyjaciół, ale nie zastąpili jej Lydii. Nic nigdy nawet się do tego nie zbliży, nie zastąpi jej Lydii. Może to kolejny dobry powód, by opuścić Londyn: nowa szkoła, nowi przyjaciele, plac zabaw nienawiedzany przez ducha jej siostry bliźniaczki, który chichocze i ją przedrzeźnia.

– Myłaś zęby?

– Immyjen mi myła po podwieczorku.

– W takim razie wskakuj do łóżka. Chcesz, żeby m cię przytuliła?

– Nie. Mmm... Tak...

Przestała mówić m y. Czyżby to niemądre, ale niepokojące poczucie zagubienia minęło? Wpełza do łóżka, kładzie głowę na poduszce i wydaje się bardzo malutka. Jakby znów była o kilka lat młodsza.

Opadają jej powieki, przyciska do piersi Lamparcika – i pochylam się, by sprawdzić światło

przy łóżku.

Robię to niemal co wieczór od sześciu lat.

Od samego początku strasznie się bały całkowitej ciemności: przerażała je i wydawały dziwne okrzyki. Mniej więcej po roku zdaliśmy sobie sprawę dlaczego: bo w ciemności się nie widziały. I dlatego Angus i ja zawsze z nabożną starannością zostawialiśmy im jakieś światło. Zawsze miały pod ręką jakieś lampki. Nawet gdy dostały osobne pokoje, wciąż chciały, by w nocy paliło się światło, jakby się widziały przez ściany. Dopóki nie miały dość światła.

Oczywiście zastanawiam się, czy z czasem ta fobia zaniknie – teraz jedna z bliźniaczek odeszła na zawsze i Kirstie już nigdy jej nie zobaczy. Ale na razie trwa to dalej. Jak choroba, która powinna się już skończyć.

Światło w nocy jest w porządku.

Stawiam lampkę na stoliku przy łóżku i odwracam się, żeby wyjść. Ale Kirstie nagle otwiera oczy i wpatruje się we mnie. Oskarżycielsko. Ze złością? Nie. Nie ze złością. Ale z niepokojem.

– O co chodzi? – pytam. – Co się stało? Kochanie, musisz już spać.

– Ale mamusiu.

– Co się stało?

– Beany!

Pies. Sawney Bean. Nasz wielki spaniel. Uwielbia go.

– Czy Beany pojedzie z nami do Szkocji?

– Kochanie, nie bądź głuptaskiem. Oczywiście! – zapewniam. – Przecież byśmy go nie zostawili! Oczywiście, że jedzie z nami!

Kirstie, udobruchana, kiwa głową. Potem jej oczy się zamykają i mocniej przytula Lamparcika. Całuję ją jeszcze raz, nie mogę się powstrzymać. Teraz robię to bez przerwy: o wiele częściej niż kiedyś. Przedtem to Angus je przytulał i całował, a ja byłam organizatorką, praktyczną matką. Wyrażałam miłość, karmiąc je i ubierając. A teraz całuję swoją żyjącą córkę, jakby to było jakieś żarliwe, zabobonne zaklęcie: sposób na odwrócenie przyszych nieszczęść.

Piegi na bladej skórze Kirstie są jak odrobina cynamonu wysypanego na mleko. Gdy ją całuję, chłonę jej zapach: woń pasty do zębów, może cukrowej lukurydy, którą jadła na kolację. Pachnie Kirstie. Ale to oznacza również, że pachnie Lydią. Zawsze pachniały identycznie. Bez względu na to, co robiły, zawsze pachniały identycznie.

Trzeci pocałunek zapewnia, że jest bezpieczna. Szepczę cicho dobranoc. Ostrożnie wychodzę z pokoju, w którym mruga lampka. Ale gdy cicho zamykam za sobą drzwi, zaczyna mnie dręczyć inna myśl. Pies.

Beany.

O co mi chodzi? Coś w tym psie nie daje mi spokoju. Ale nie jestem pewna co. Ani dlaczego.

Stoję sama na półpiętrze i zastanawiam się nad tym. Próbuję się skupić.

Kupiliśmy Beany'ego trzy lata temu: pełnego życia springer spaniela. Wtedy mogliśmy sobie pozwolić na rodowodowego szczeniaka.

To był pomysł Angusa: pies w naszym pierwszym porządnym ogrodzie. Pies pasujący do tego, że mieszkamy w pobliżu Regent's Park. Nazwaliśmy go Sawney Bean, po tym szkockim kanibalu, bo zjadał wszystko, zwłaszcza krzesła. Angus uwielbiał Beany'ego, bliźniaczki uwielbiały Beany'ego – a ja uwielbiałam to, że tak wspólnie się razem bawią. Kochałam też – wiem, że to płytkie – to, jak wyglądali: dwie identyczne małe blondyneczki uganiające się po Queen Mary's

Rose Garden ze szczęśliwym, zdyszonym, brązowym jak małoń spanielem.

Turyści pokazywali ich sobie palcami i robili zdjęcia. Byłam matką małych gwiazd. *Och, to ona ma te śliczne bliźniaczki. I tego pięknego psa. No wiesz.*

Opieram się o ścianę, przysmykam oczy i próbuję myśleć jasno. Słyszę odgłosy dobiegające z dołu, z kuchni: brzęk sztućców na stole, a może ktoś właśnie chowa korkociąg do szuflady.

Co takiego w Beany m mi nie pasuje? Zdecydowanie kołaczę mi się po głowie jakaś udręczona myśl, i zdecydowanie chodzi o psa – a jednak nie potrafię jej namierzyć, wysledzić na manowcach wspomnień i żaloby.

Na dole zatraskają się frontowe drzwi. Ten odgłos przełamuje zakłęcie.

– Saro Moorcroft – mówię do siebie, otwierając oczy. – Weź się w garść.

Muszę zejść na dół, porozmawiać z Immy, wypić kieliszek wina, a potem pójść spać. A jutro Kirstie – K i r s t i e – pójdzie do szkoły ze swoim czerwonym tornistrem, ubrana w czarny wełniany sweter. Ten z napisem na metce: Kirstie Moorcroft.

Wchodzę do kuchni. Imogen siedzi przy blacie. Uśmiecha się, jest trochę podchmielona. Tanina z czerwonego wina zabarwiła lekko jej ładne białe zęby.

– Gus wyskoczył do sklepu.

– Tak?

– Tak. Dostał małego ataku paniki, że skończy się alkohol. Macie tylko... – odwraca się i patrzy na stojak z winami przy lodówce – ...sześć butelek. Poszedł do Sainsbury's coś dokupić. Zabrał Beany 'ego.

Uśmiecham się uprzejmie i wysuwam sobie stołek.

– Tak. To do niego podobne.

Nalewam sobie pół kieliszka czerwonego wina z otwartej butelki stojącej na blacie i zerkam na etykietkę. Tani chilijski merlot. Kiedyś pijaliśmy wytworne Barossa Shiraz. Nie dbam o to.

Imogen obserwuje mnie. Pyta:

– Wciąż pije trochę... no wiesz, za dużo?

– Ładnie to ujęłaś, Immy: trochę za dużo. Stracił pracę, bo upił się tak, że przyłożył szefowi. Znokautował go.

Imogen kiwa głową.

– Tak. Przepraszam. Nic nie poradzę na to, że ciągle używam eufemizmów. Skrzywienie zawodowe. – Przechyliła głowę i uśmiecha się. – Ale jego szef był dupkiem, prawda?

– Tak. Był absolutnie obrzydliwy, ale to i tak niefajnie, prawda? Złamać nos najbogatszemu architektowi w Londynie.

– Mhm... Jasne... – Imogen uśmiecha się przebiegle. – Ale wiesz, nie jest tak źle. To znaczy... przynajmniej potrafi przywalić. Jak prawdziwy facet. Pamiętasz tego Irlandczyka, z którym byłam w zeszyły roku? Chodził w spodniach do jogi.

Uśmiecha się do mnie krzywo. Zmuszam się do półuśmiechu.

Jest dziennikarką, tak jak ja, ale odnosi o wiele więcej sukcesów. Jest zastępcą redaktora w czasopiśmie plotkarskim dla kobiet, któremu jakimś cudem rośnie nakład. Ja ledwie coś dorabiam jako freelancerka. Mogłabym być o to zazdrośna, ale naszą przyjaźń równoważy, albo raczej równoważyło, to, że ja wyszłam za mąż i urodziłam dzieci. Ona jest singielką i nie ma dzieci. Kiedyś porównywałyśmy swoje notatki: *jakie mogłoby być moje życie.*

Opieram się wygodniej, trzy mam nonszalancko kieliszek z winem: próbuję się odprężyć.

– Właściwie to nie pije już ty le co kiedyś.

– To dobrze.

– Ale i tak jest za późno. Żeby zrobić karierę w Kimberley.

Imogen ze współzuciem kiwa głową i wypija łyk Sącze wino. Wzdycham, jakbym chciała powiedzieć: i co można na to poradzić? I rozglądam się po naszej wielkiej jasnej kuchni, patrzę na te wszystkie granitowe blaty i lśniącą stal, na ekspres do kawy, czarny z pozłacanymi elementami. Wszystko to aż krzyczy: to kuchnia zamożnej pary z klasy średniej!

I wszystko to jest kłamstwem.

Byliśmy przez jakiś czas zamożną parą z klasy średniej; Angus trzy razy awansował – w ciągu trzech lat. Długo wszystko wyglądało nieskazitelnie optymistycznie: Angus miał coraz większe szanse, by zostać współnikiem i naprawdę dobrze zarabiać, ja zaś byłam szczęśliwa ze świadomością, że to on utrzymuje rodzinę, bo to pozwalało mi łączyć dziennikarstwo z porządną opieką nad dziećmi. Mogłam odwozić je do szkoły, robić im zdrowe śniadania i ekologiczne pesto z bazylii, kiedy bawily się jednym z naszych iPadów. Przez pięć lat niemal nieustannie byliśmy idealną rodziną z Camden.

A potem zginęła Lydia. Spadła z balkonu w domu moich rodziców w Devon, i to było tak, jakby ktoś zrzucił Angusa z dużej wysokości. Sto tysięcy kawałków Angusa poniewierało się teraz wszędzie. Jego żałoba była psychotyczna. Dzikie płomienie bólu, których nie mógł ugasić, bez względu na to, jak bardzo próbował, nawet z butelką whisky co wieczór. W każdy wieczór.

Firma dała mu czas, całe tygodnie wolnego, ale to nie wystarczyło. Nie dało się nad nim zapanować. Za wcześniej wrócił do pracy i wdawał się w kłótnie, a potem w bójki. Odszedł sam, inaczej zwolniono by go godzinę później. Dziesięć godzin po tym, jak przyłożył szefowi. I od tego czasu nie pracował, zrobił tylko kilka drobnych zleceń, które mu podsunęli współczujący przyjaciele.

– Pieprzyć to, Imogen – mówię. – Przynajmniej się przeprowadzamy. Wreszcie.

– Tak! – Uśmiecha się promiennie. – Do jaskini, tak? Na Szetlandach?

Droczy się ze mną. Nie mam nic przeciwko temu. Kiedyś, przed wypadkiem, nieustannie się droczyłyśmy.

Teraz jest jakoś sztywniej, ale staramy się. Inne przyjaźnie całkiem się po śmierci Lydii urwały: zbyt wiele osób nie wiedziało, co powiedzieć, więc nie powiedziały nic. A Imogen ciągle próbuje: podtrzymuje gasnący płomień naszej przyjaźni.

Patrzę na nią i mówię:

– Wyspa Torran, pamiętasz? Pokazywałam ci zdjęcia za każdym razem, jak tu przychodziłaś, przez cały ostatni miesiąc.

– A tak Torran! Słynna ojczyzna. Ale opowiedz mi jeszcze raz, lubię to.

– Będzie wspaniale, Immy. Jeśli nie zamarzniemy. Podobno są tam króliki, wydry i foki...

– Fantastycznie. Uwielbiam foki.

– Naprawdę?

– O tak Złazcza małe foczki. Możesz mi załatwić futro?

Śmieję się – szczerze, ale z poczuciem winy. Imogen i ja mamy podobne poczucie humoru, ale ona jest trochę wredniejsza. Ciągnie dalej:

– Więc to to miejsce, Torran. Przypomnij mi. Wciąż tam nie byłaś?

– Nie.

– Saro. Jak możesz się przeprowadzać gdzieś, gdzie nigdy nie byłaś?

Milczenie.

Dopijam merlota i dolewam sobie jeszcze.

– Mówiłam ci. N i e c h c ę go oglądać.

Znowu cisza.

– Uhu?

– Immy, nie chcę go oglądać na własne oczy, bo co będzie, jeśli mi się nie spodoba? – Wpatruję się w jej rozszerzone zielone oczy. – Hm? Co wtedy? Wtedy utknę tutaj, Imogen. Utknę tu ze wszystkimi, ze wszystkimi wspomnieniami, z problemami z kasą, ze wszystkim. I tak jesteśmy splukani, więc musielibyśmy się przeprowadzić do jakiegoś głupiego maleńkiego mieszkanka, tak jak wtedy, kiedy zaczęliśmy, i... co dalej? Będę musiała pójść do jakiejś pracy, Angusowi kompletnie odbije i po prostu... po prostu, no wiesz... muszę się wy dostać, musimy się stąd wy dostać, i to jest właśnie to: droga ucieczki. A na zdjęciach wygląda tak pięknie. Naprawdę: tak cholernie pięknie. To jak marzenie, ale kogo to obchodzi? Chcę mieć marzenia. W tej chwili właśnie tego chcę. Bo rzeczywistość j u ż o d j a k i e g o ś c z a s u j e s t n a p r a w d ę p o j e b a n a.

W kuchni zapada cisza. Imogen unosi kieliszek, delikatnie stuka nim w mój i mówi:

– Kochanie. Będzie wspaniale. Tyle że będę za tobą tęsknić.

Przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy, a zaraz potem do kuchni wchodzi Angus. Na płaszczu ma ślady zimnego jesiennego deszczu. Niesie wino w podwójnej pomarańczowej reklamówce i prowadzi na smyczy mokrego psa. Ostrożnie odstawia torby na podłogę, a potem odpina Beany'ego.

– No idź, piesku.

Spaniel otrząsa się, macha ogonem i idzie prosto do swojego wilkinowego koszyka. Ja w tym czasie wyjmuję butelki i ustawiam je na blacie, jak małych, ale ważnych uczestników parady.

– Cóż, to nam powinno wystarczyć na jakąś godzinę – mówi Imogen, wpatrując się w cały szereg butelek.

Angus sięga po jedną z nich i wyjmuje korek.

– Ach! Sainsbury's to pobjawisko. Nie będę tęsknił za ćpunami z Camden, którzy przychodzą kupować swój cytrynowy soczek.

Imogen cmoka.

– Poczekaj, aż się znajdziesz trzy sta mil od najbliższego sklepu z olejem truflowym.

Angus wybucha śmiechem – to dobry, naturalny śmiech. Jak z czasów przed wypadkiem. I wreszcie się odprężam. Choć pamiętam też, że chcę go zapytać o tę zabawkę. O plastikowego smoka. Jak trafił do pokoju Kirstie? Należał do Lydii. Został zapakowany do pudła i schowany, jestem tego pewna.

Ale po co psuć ten niespodziewanie miły wieczór jakimś przesłuchaniem? To pytanie może zacząć do jutra. Albo na zawsze.

Dolewamy sobie wina, siedzimy i rozmawiamy. Improvizujemy, robimy w kuchni coś w rodzaju pikniku: kawałki ciabatty maczane w oliwie, grube kawałki tanich suszonych kiełbasek. I godzinę albo dłużej rozmawiamy, serdecznie, zadowoleni, jak trójka starych przyjaciół, którymi przecież jesteśmy. Angus wyjaśnia, że jego mieszkający w Kalifornii brat wspaniałomyślnie zrezygnował ze swojej części spadku.

– David zarabia kupę kasy w Dolinie Krzemowej. Nie potrzebuje pieniędzy ani tych wszystkich kłopotów. I wie, że my tego potrzebujemy. – Przeżyła kawalek kielbaski.

Imogen mu przerywa:

– Ale dalej nie rozumiem, Gus, jak to się stało, że twoja babcia miała całą tę wyspę. To znaczy – wkłada do ust oliwkę – nie obraż się, ale myślałam, że twój tata był chłopem pańszczyźnianym, a mama mieszkała w wychodku. A tu nagle jakaś babcia z własną wyspą.

Angus śmieje się cicho.

– To była babunia ze strony matki, ze Skye. Byli zwykłymi rolnikami, o oczko wyżej od tych, którzy musieli dzierżawić ziemię. Ale mieli małe gospodarstwo i tak się składa, że na wyspie.

– No dobra...

– To się często zdarza. Hebrydy to tysiące maleńkich wysepek. Pięćdziesiąt lat temu porośnięta wodorostami wysepka niedaleko Ornsay była warta jakieś trzy funty, więc jej nie sprzedali. Potem mama przeprowadziła się do Glasgow, babcia też tam wyjechała, i Torran stała się czymś w rodzaju miejsca na wakacyjne wypady. Dla mnie i mojego brata.

Dokańczam historię męża za niego, bo odchodzi od stołu, by przynieść więcej oliwy:

– Mama Angusa poznała jego ojca w Glasgow. Była nauczycielką w szkole podstawowej, on pracował w dokach...

– On... utonął, prawda?

– Tak. Wypadek w dokach. Naprawdę tragiczny.

Angus wraca do stołu i dodaje:

– Stary był moczymordą. I bił mamę. Nie jestem pewien, czy t r a g i c z n y to właściwe słowo.

Wpatrujemy się w ostatnie trzy butelki wina na blacie. Imogen pyta:

– Ale mimo wszystko... jak się do tego ma latarnia morska i domek? Jak tam trafili? Skoro twoja rodzina była biedna?

– Zarząd Północny Latarni Morskich zarządza wszystkimi latarniami morskimi w Szkocji – odpowiada Angus. – W zeszłym stuleciu, kiedy musieli wybudować nową, oferowali właścicielowi gruntu trochę pieniędzy za dzierżawę. Tak było z Torran. Ale potem latarnia została zautomatyzowana. W latach sześćdziesiątych. Domek się zwolnił i wrócił do mojej rodziny.

– Łut szczęścia? – pyta Imogen.

– Jeśli spojrzeć wstecz, tak – odpowiada Angus. – Dostaliśmy duży, solidnie zbudowany domek. Za darmo.

Przerywa nam głos z góry:

– Mamusiu?

To Kirstie. Obudziła się. I woła mnie z półpiętra. To się zdarza dość często. Ale jej głos, zwłaszcza gdy slysze go niespodziewanie, zawsze sprawia, że na krótką chwilę ogarnia mnie smutek i zawsze staram się go odpędzić. Bo mówi jak Lydia.

Chciałabym, żeby te uczucia przestały mnie zalewać.

– M a m u s i u u u...

Angus i ja spoglądamy po sobie z rezygnacją: oboje liczymy po cichu, kiedy ostatni raz coś takiego się stało. Jak dwoje młodych rodziców sprzeczących się, czy ja kolej nakarmić dziecko o trzeciej nad ranem.

– Ja pójde – mówię. – Moja kolej.

I to się zgadza: ostatnim razem, kiedy się obudziła po jakimś koszmarze, zaledwie kilka dni temu, to Angus lojalnie powłókł się na górę, by ją pocieszyć.

Odstawiam kieliszek i idę na piętro. Beany z zapalem rusza za mną, jakbyśmy się wybierali zapolować na króliki. Uderza ogonem o nogi stołu.

Kirstie stoi boso u szczytu schodów. Z tymi wielkimi niebieskimi oczami i Lamparcikiem przy ciśniętym do piżamy wygląda jak obraz udreżzonej niewinności.

– On znów to zrobił, mamusiu. Ten sen.

– Chodź, muminku. To tylko zły sen.

Biorę ją na ręce – ostatnio wydaje się prawie za ciężka – i niosę z powrotem do pokoju. Wygląda na to, że nie jest jakoś strasznie zdenerwowana, ale chciałabym, żeby ten koszmar przestał wracać. Gdy kładę ją do łóżka i przykrywam, ma już na wpół przymknięte oczy, ale mówi dalej:

– Wszystko było białe, mamusiu, wszystko dookoła, nie mogłam wyjść z pokoju, wszędzie białe i wszystkie twarze gapily się na mnie.

– Szizz...

– Było białe, bałam się, nie mogłam się ruszyć, i wtedy... wtedy...

– Szizz...

Głaszczę jej lekko rozpalone, nieskazitelnie gładkie czoło. Powieki jej opadają. Ale skowyt za moimi plecami ją budzi.

Pies wszedł za mną do pokoju.

Kirstie wpatruje się we mnie, jakby chciała poprosić o jakąś przysługę.

– Czy Beany może ze mną zostać, mamusiu? Może dziś spać u mnie w pokoju?

Zwykle na to nie pozwalam. Ale dzisiaj chcę po prostu zejść na dół i wypić jeszcze kieliszek wina z Immy i z Angusem.

– W porządku, Sawney Bean może zostać, ale tylko ten jeden raz.

– Beany! – Kirstie zsuwa się z poduszki, wyciąga rękę i głaszczę psa po uszach.

Patrzę na moją córkę znacząco.

– No i?

– Dziękuję, mamusiu.

– Dobrze. A teraz musisz zasnąć. Jutro masz szkołę.

Nie powiedziała o sobie m y, nie powiedziała, że jest Lydią. To wielka ulga. Gdy opiera głowę na chłodnej poduszce, podchodzę do drzwi.

Wycofuję się i moje spojrzenie pada na psa.

Leży przy jej łóżku, ma potulnie przekrzywioną głowę, wygląda, jakby zasypiał.

I znów jestem przerażona. Bo rozpracowałam to. Już wiem, co nie dawało mi spokoju. Pies. Pies zachowuje się inaczej.

Od dnia, gdy przynieśliśmy Beany 'ego do domu i przedstawiliśmy naszym uszczęśliwionym dziewczynom, łączyło ich coś wyjątkowego – a jednak nie takiego samego. Może moje bliźnięta były identyczne, ale Sawney nie kochał ich identycznie.

Przy Kirstie, pierwszej, pełnej życia i pogodnej, tej, która przeżyła, chętniej do psot, dziewczynce śpiącej w tym łóżku, w tym pokoju, Beany jest ekstrawertyczny: skacze na nią, gdy wraca ze szkoły, goni ją po przedpokoju, a ona krzyczy z zachwytem, udając, że jest przerażona.

Przy Lydii, tej cichszej, smutniejszej, tej, która potrafiła siedzieć ze mną i czytać godzinami,

kóra w zeszłym roku spadła i się zabiła, nasz spaniel zawsze był łagodny, jakby wyczuwał, że jest bardziej bezbronna. Trącał ją nosem i kładł jej łapy na kolanach: był pogodny i pełen ciepła.

Lubił spać w pokoju Lydii, jeśli tylko miał taką możliwość, choć zwykle go stamtąd przeganiałyśmy. A kiedy już wchodził do jej pokoju, leżał w nocy przy jej łóżku i potulnie przekrzywił głowę.

Tak jak teraz robi przy Kirstie.

Wpatruję się w swoje ręce. Trochę się trzęsą. Niepokój jest jak mrowienie.

Bo Beany nie jest już przy Kirstie ekstrawertykiem. Zachowuje się przy niej dokładnie tak jak kiedyś przy Lydii.

Jest łagodny. Delikatny. Trąca ją nosem.

Znów zaczynam zadawać sobie pytania. Kiedy zaczął się zachowywać inaczej? Zaraz po śmierci Lydii? Później?

Staram się, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Ostatni rok zamazuje mi się, jest jak jedno pasmo smutku. Tyle się zmieniło, że nie zwracałam uwagi na psa. Więc co się stało? Czy to możliwe, by pies w jakiś sposób ją oplakiwał? Czy zwierzę może oplakiwać stratę? A może to coś innego, coś gorszego?

Muszę to zbadać. Nie mogę tego tak zostawić. Wychodzę z pokoju Kirstie, zostawiam jej uspokajające światelko. Szybkim krokiem przemierzam pięć metrów do innych drzwi. Do dawnego pokoju Lydii.

Zmieniliśmy jej pokój na biuro: bez powodzenia próbowaliśmy zatrzeć wspomnienia pracą. Pod ścianami stoją regały z książkami, głównie moimi. I wiele z nich – przynajmniej pół półki – dotoczy bliźniąt.

Gdy byłam w ciąży, czytałam każdą książkę na ten temat, jaką tylko mogłam zdobyć. Tak nabywam wiedzę: czytam. Czytałam więc książki o problemach związanych z wcześniactwem u bliźniąt, książki o indywidualizacji bliźniąt, książki, z których się dowiedziałam, jak to się dzieje, że moje córki są bliżej spokrewnione genetycznie ze sobą niż z nami, rodzicami, a nawet bliżej, niż będą ze swoimi dziećmi.

Czytałam też coś o bliźniętach i psach. Jestem tego pewna.

Gorączkowo przeszukuję regały. To ta? Nie. Ta? Tak. Zdejmuję z półki książkę: *Wielorazcki: praktyczny poradnik* – i szybko przerzucam strony, by znaleźć indeks.

Psy, strona 187.

Jest tutaj. Ustęp, który zapamiętałam.

Bliźnięta jednojajowe fizycznie bywają trudne do odróżnienia aż do ukończenia kilkunastu lat – zdarza się, że nawet dla rodziców. Ale, co ciekawe, psy nie mają takich problemów. Dzięki zmysłowi węchu pies – na przykład domowy ulubieniec – może już po kilku tygodniach odróżnić jedno bliźnię od drugiego wyłącznie po zapachu.

Książka spoczywa w moich rękach, ale oczy wpatrują się w absolutną czerń za niezasłoniętym oknem. Próbuję poskładać dowody.

Kirstie s ta ł a s i ę w ostatnim roku cichsza, bardziej nieśmiała, podchodzi do wszystkiego z większą rezerwą. Bardziej jak Lydia. Do tej pory uważałam, że to żaloba. Bądź co bądź przez ostatni rok wszyscy się zmieniliśmy.

A co, jeśli popełniliśmy potworny błąd? Najstraszniejszy błąd, jaki można sobie wyobrazić?

Jak mogło do tego dojść? Co mogliśmy zrobić? Co by to uczyniło z nami wszystkimi? Jednej rzeczy jestem pewna: nie mogę o tym powiedzieć mojemu załamanemu mężowi, nie mogę powiedzieć nikomu. Nie ma sensu zrzucić tej bomby. Przynajmniej dopóki nie będę pewna. Ale jak mam udowodnić, że jest tak albo inaczej?

Z zaschniętymi ustami, pełna niepokoju, schodzę na półpiętro. Wpatruję się w drzwi. I w te słowa z błyszczących, wyciętych z papieru liter.

Tu mieszka Kirstie.

Czytałam kiedyś o badaniach, które dowiodły, że przeprowadzka do nowego domu jest równie traumatyczna jak rozwód albo śmierć rodzica. Odczuwam to zupełnie odwrotnie: przez te dwa tygodnie, które upłynęły od naszego spotkania z Walkerem – dwa tygodnie, odkąd Kirstie powiedziała to, co powiedziała – jestem wściekła z a d o w o l o n a, że się przeprowadzamy, bo to znaczy, że się pracuję i przy najmniej czasami myślę o czymś innym.

Lubię to wywołujące pragnienie uczucie zmęczenia, gdy wyjmuję pudła z wysokich szafek. Lubię cierpki posmak starego kurzu w ustach, gdy opróżniam i szoruję niekończące się regały.

Ale nie mogę całkowicie uciszyć wątpliwości. Przynajmniej raz dziennie analizuję historię rozwoju bliźniąt i szczegóły związane ze śmiercią Lydii. Czy to możliwe, że błędnie zidentyfikowaliśmy córkę, którą utraciliśmy?

Nie wiem. Więc gram na zwłokę. Przez ostatnie dwa tygodnie, gdy odwoziłam Kirstie do szkoły, mówiłam do niej kochanie albo muminku, cokolwiek, byle nie zwracać się do niej po imieniu, bo bałam się, że się odwróci, spojrzy na mnie tymi zamyślonymi, obojętnymi, niebieskimi oczami i powie: *Jestem Lydia. Nie Kirstie. Kirstie nie żyje. Jedna z nas nie żyje. Jesteśmy martwe. Ja żyję. Jestem Lydia. Jak mogłaś się tak pomylić, mamusiu? Jak to zrobiłaś? Jak?*

A potem zabieram się do pracy, żeby przestać myśleć.

Dziś zabieram się do tego, co najtrudniejsze. Angus wyjechał. Poleciał do Szkocji, żeby wszystko przygotować. Kirstie – Kirstie Jane Kerrera Moorcroft – jest w szkole, a ja zamierzam zrobić porządek na strychu. Tam, gdzie trzymamy to, co nam zostało po Lydii. Lydii May Tanerze Moorcroft.

Stoję pod drewnianą kłapą na zawiasach, przysuwam sobie nieporęcznie lekką aluminiową drabinkę i zastygam bez ruchu. Jestem bezradna. Znowu myślę.

Zaczynij od początku, Saro Moorcroft. Rozgrzyź to.

Kirstie i Lydia.

Daliśmy bliźniaczkom różne, ale związane ze sobą imiona, bo chcieliśmy podkreślić ich indywidualność, a równocześnie zaakcentować ich unikalną bliźniaczość: tak jak radzono we wszystkich książkach i na stronach internetowych. Imię dla Kirstie wybrał tata, i było to imię jego ukochanej babci. Szkockie, piękne i liryczne.

Więc ja mogłam wybrać imię dla Lydii. Zdecydowałam się na klasyczne, pochodzące ze starożytnej Grecji. Lydia. Wybrałam je trochę dlatego, że kocham historię, trochę dlatego, że bardzo mi się podobało, a trochę dlatego, że w ogóle nie przypominało imienia Kirstie.

Drugie imiona, May i Jane, dostały po moich babciach. Angus wybrał trzecie – nazwy dwóch

małych szkockich wysepek Kerrera i Tanera.

Tydzień po tym, jak się urodziły – na długo przed ambitną przeprowadzką do Camden – w zamarającym deszczu wieźliśmy na tylnym siedzeniu samochodu swoje bezcenne, identyczne niemowlęta do naszego skromnego mieszkańka. I byliśmy tacy zadowoleni z imion, które wybraliśmy. Śmiało się i całowaliśmy w radosnym uniesieniu, gdy parkowaliśmy samochód – i wciąż od nowa powtarzaliśmy sobie ich imiona.

Kirstie Jane Kerrera Moorcroft.

Lydia May Tanera Moorcroft.

Uważaliśmy, że te imiona są w subtelny sposób powiązane. I bardzo odpowiednie dla bliźniąt. Znaleziliśmy imiona, które były poetyckie, ładne i dobrze do siebie pasowały, choć nawet się nie zbliżyliśmy do Tweedleduma i Tweedledee.

I co się stało później?

Pora posprzątać strych.

Wspinam się na drabinkę, mocno naciskam kłapę – i otwiera się z bolesnym skrzypieniem, nagle, mocno uderzając w belki. Huk jest tak głośny i natrętny, że się waham, czuję nerwowe mrowienie. Jakby tu, na górze, coś spało i jakbym mogła to przed chwilą obudzić.

Wyciągam z tylnej kieszeni dżinsów latarkę i włączam ją. Celuję w górę.

Wpatruje się we mnie kwadrat czerni, pochłaniająca wszystko pustka. Znow się waham. Staram się zaprzeczyć, że czuję ten dreszcz strachu, ale to prawda. Jestem w domu sama – jeśli nie liczyć Beany’ego, który śpi w swoim koszu w kuchni. Słyszę, jak listopadowy deszcz bębni o dach nade mną, tam wysoko, w czerni. Jakby stuknęło w niego z irytacją mnóstwo paznokci.

Puk, puk, puk.

W moim umyśle kotłuje się niepokój. Wspinam się na kolejny szczebel, myślę o Kirstie i o Lydii.

Puk, puk, puk. Kirstie i Lydia.

Gdy je przywieźliśmy ze szpitala, zdaliśmy sobie sprawę, że owszem, całkiem nieźle poradziły sobie z imionami, ale wciąż mamy inny dylemat: odróżnienie ich od siebie okazało się znacznie trudniejsze.

Bo nasze bliźnięta pasowały do siebie. Znakomicie. Należały do jednojajowych bliźniąt identycznych tak bardzo, jak tylko się da, były niesamowicie identyczne. Pielęgniarki z innych oddziałów przemierzały długie korytarze tylko po to, by popatrzeć na nasze cudowne bliźniaczki.

Niektóre bliźnięta jednojajowe wcale nie są tak identyczne. Mają skórę w różnych odcieniach, różne znamiona, bardzo różne głosy. Inne są podobne jak lustrzane odbicia, są identyczne, ale to identyczność odbicia w lustrze: prawa i lewa strona są poprzestawiane. Jednemu włosy kręcą się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, drugiemu w przeciwnym kierunku.

Ale Kirstie i Lydia Moorcroft były naprawdę identyczne: miały identyczne śnieżnoblond włosy, identyczne lodowoniebieskie oczy, dokładnie takie same zadarte noski, takie same bystre i wesołe uśmiechy, takie same idealne różowe usteczka, gdy ziewały, tak samo się marszczyły, chichotały, miały identyczne piegi i pieprzyki. Były lustrzanymi odbiciami, ale bez odwrócenia.

Puk, puk, puk...

Powoli i ostrożnie, może trochę nieśmiało, wspinam się na ostatnie szczeble i zaglądam w mrok strychu. Podążam za promieniem latarki. Wciąż myślę. Przypominam sobie. Światło pada na brązową metalową ramę składanego wózka dla niemowląt, marki Maclaren. Kosztował nas wtedy

fortunę, ale nie dbaliśmy o to. Chcieliśmy, by nasze bliźniaczki siedziały obok siebie i patrzyły do przodu, gdy je zabieraliśmy na spacer. Bo od urodzenia były drużyną. Gaworzyły w swoim bliźnięcym języku, bez reszty sobą pochłonięte: od chwili poczęcia.

Gdy byłam w ciąży i chodziliśmy na USG, jedno za drugim, obserwowałam, jak moje bliźniaczki przysuwają się do siebie w moim brzuchu – od dotyku w dwunastym tygodniu do „skomplikowanych objęć” w czternastym. W szesnastym, jak zauważyła moja ginekolog, od czasu do czasu się całowały.

Szum deszczu jest teraz bardziej natrętny, jak rozdrażniony syk *Pośpiesz się. Czekamy. Pośpiesz się.*

Nie trzeba mnie ponaglać. Chcę to już mieć za sobą. Żwawo skanuję ciemności – i moja latarka oświetla stary, podniszczony kojec z parowozem Tomkiem. Parowóz Tomek patrzy na mnie złośliwie, obłąkańczo radosny. Czerwono-żółty i klaunowaty. Zdecydowanie może tutaj zostać. Razem z drugim kojcem, który też gdzieś tu musi być. Tym niebieskim, który kupiliśmy dla Kirstie.

Córka numer jeden. Córka numer dwa. Żółty i niebieski.

Z początku, żeby je odróżnić, malowaliśmy im paznokcie u nóg albo rączek. Jednej na żółto, drugiej na niebiesko. Żółty był kolorem Lydii. Rymował się z jej zdrobniałym imieniem: Lyde-
lo. Yell-ow. Niebieski był dla Kirstie. Blue, Kirstie-koo.

To malowanie paznokci było kompromisem. Pielęgniarka w szpitalu poradziła nam, żebyśmy jedną w jakimś dyskretnym miejscu wytatuowali: może na łopacie, może na kostce u nogi – tylko maleńki, nieścialny znak, żeby nie mogło dojść do pomyłki. Ale wzbraniał się przed tym. Wydawało nam się to o wiele zbyt drastyczne, nawet barbarzyńskie. Zrobić tatuaż jednemu z naszych idealnych, niewinnych, nieskazitelnych dzieci? Co to, to nie!

Ale nie mogliśmy nie zrobić nic. Zdaliśmy się więc na lakier do paznokci. Pilnie i starannie używaliśmy go co tydzień, przez cały rok. Potem – do czasu, kiedy zaczęliśmy być w stanie rozróżniać je po charakterach i dzięki temu, że reagowały na imiona – zdaliśmy się na różne ubranka. Niektóre leżą teraz w workach na tym zakurzoneym strychu.

Było podobnie jak z lakierem: żółte ubranko dla Lydie-lo, niebieskie dla Kirstie-koo. Nie ubieraliśmy ich w całości w jednym kolorze – żółta dziewczynka i niebieska dziewczynka – ale dbaliśmy o to, żeby Kirstie zawsze miała niebieski sweterek, niebieskie skarpetki albo niebieską czapkę i żeby Lydia nie miała nic niebieskiego. A Lydia miała żółty T-shirt albo ciemnożółtą wstążkę w jasnych, złocistych włosach.

Teraz się pośpiesz. Szybciej.

Chcę się śpieszyć, ale z drugiej strony wydaje mi się to niewłaściwe. Jak mogę być tutaj taka zorganizowana i rzeczowa, tu, w tym miejscu? Wszędzie stoją kartony oznaczone literą L. Rzeczy Lydii. Oskarżycielskie, milczące, pełne. Pudła zawierające jej życie.

Pragnę wykrzykiwać jej imię. Lydia. Lydia. Wróc. Lydia May Tanera Moorcroft. Chcę krzyczeć jej imię tak jak wtedy, gdy umarła, gdy patrzyłam w dół z balkonu i widziałam jej małe ciało, rozciągnięte, a jednak skurczone. Wciąż odychała, ale umierała.

Krzuszę się kurzem. A może to wspomnienia?

Mała Lydia wpadająca mi w ramiona, gdy próbowałyśmy puszczać latawcę na Hampstead Heath. Przestraszyła się furkotania. Mała Lydia siedzi mi na kolanach i z powagą po raz pierwszy pisze swoje imię pachnącą woskową kredką. Mała Lydia w wielkim fotelu tatusia, chowająca się

za atlasem, wielkim jak ona sama. Lydia milcząca, pochłonięta książkami, smutna, trochę zagubiona i niekompletna – Lydia, bliźniaczka taka jak ja. Lydia, która powiedziała kiedyś, gdy siedziała z siostrą na ławce w parku: *Mamusiu, chodź i usiądź między mną, żebyś mogła nam poczytać.*

Usiądź między mną? Nawet wtedy była trochę zdezorientowana, tożsamość trochę się jej zacierała. To było nieco niepokojące. A teraz kochanej Lydii już nie ma. A może jednak? Może żyje i jest tam, na dole, choć jej rzeczy są spakowane w pudła i schowane tutaj? Gdyby tak było, jak mielibyśmy to odkręcić, nie niszcząc rodziny?

Zawołości nie do zniśnienia. Mówię sama do siebie.

Pracuj, Saro, pracuj. Przejrzyj ten strych. Skończ tę robotę. Nie myśl o żalobie, pozbądź się rzeczy, których nie potrzebujesz, a potem przeprowadź się do Szkocji, na Skye, pod otwarte niebo. Tam, gdzie Kirstie – Kirstie, Kirstie, Kirstie – będzie mogła biegać dzika i wolna. Gdzie wszyscy będziemy mogli poszybować, uciec od przeszłości jak edredony lecące nad górami Cuillin.

Jeden z kartonów jest rozdarty.

Wpatruję się w niego, oszołomiona i zszokowana. Ktoś rozciął największe pudło z zabawkami Lydii. Brutalnie. Kto mógł coś takiego zrobić? To musiał być Angus. Ale dlaczego? Z taką barbarzyńską wściekłością. Dlaczego mi nie powiedział? Rozmawialiśmy o wszystkim, co miało związek z rzeczami Lydii. A teraz wyjmuję jej zabawki z kartonu i nic mi o tym nie mówi?

Deszcz znowu syczy. Bardzo blisko, metr bądź dwa nad moją głową.

Pochyliłam się nad otwartym pudłem, odchyliłam wieko, by zajrzeć do środka, i kiedy to robię, słyszę inny odgłos – charakterystyczny szcęk metalu. Ktoś wchodzi po drabince.

Tak

Tego odgłosu nie można pomylić z żadnym innym. Ktoś jest w domu. Jak wszedł, że nie usłyszałam? Kto wchodzi na strych? Dlaczego Beany nie zaczął szczekać w kuchni?

Cofam się. Absurdalnie przerażona.

– Halo? Halo? Kto to? Halo?

– W porządku, piękna?

– Angus!

Uśmiecha się w przyćmionym świetle padającym, ze szczytu schodów. Zdecydowanie dziwnie wygląda: jak czarny charakter z tanich horrorów, jak ktoś oświetlony od dołu upiorną poświatą.

– Jezu, Angus! Ale mnie wystraszyłeś!

– Przepraszam, kochanie.

– Myślałam, że lecisz do Szkocji.

Angus wchodzi na strych i staje przede mną. Jest taki wysoki – ma metr dziewięćdziesiąt – że musi się trochę zgarbić. Inaczej uderzyłby głową o belki.

– Zapomniałem paszportu. Teraz trzeba je mieć przy sobie nawet podczas lotów krajowych. – Zerka za mnie, na rozdarty karton z zabawkami. Drobinki kurzu wiszą w powietrzu między naszymi twarzami, podświetlone latarką. Mam ochotę zaświecić mu nią prosto w oczy. Marszczy brwi? Uśmiecha się? Jest zły? Nie widzę. Jest za wysoki i mam za mało światła. Ale sytuacja jest niezręczna. W powietrzu czuć napięcie.

– Co robisz, Saro? – mówi.

Odwracam latarkę, by światło padło prosto na kartonowe pudło. Brutalnie rozcięte nożem.

– A na co to wygląda?

– W porządku.

Jego podświetlona światłem ze schodów sylwetka wygląda dziwnie, jakby był spięty albo zły.

Groźny. Dlaczego? Mówię szybko:

– Sortuję to wszystko. Gus, wiesz, że musimy coś z tym zrobić, prawda? Z... z... – Przełykam ból i wpatruję się w cienie na jego twarzy. – Musimy posortować zabawki i ubranka Lydii. Wiem, że nie chcesz, ale musimy podjąć decyzję. Jadą z nami czy robimy z nimi coś innego?

– Pożwyamy się?

– Tak... może.

– W porządku. W porządku. Ach! Nie wiem.

Milczenie. I cały czas deszcz.

Utknęliśmy tu. W tym miejscu, w tej rutynie, na tym strychu. Chcę, żebyśmy poszli dalej, zostawili to za sobą, ale muszę się dowiedzieć, jak było z tym kartonem.

– Angus?

– Słuchaj, muszę lecieć. – Wycofuje się, rusza w stronę drabinki. – Porozmawiamy o tym później. Odezwę się do ciebie na Skypie z Ornsay.

– Angus!

– Mam zarezerwowany następny lot, ale on też mi ucieknie, jeśli się nie pośpieszę. Teraz pewnie będę musiał nocować w Inverness. – Jego głos cichnie, kiedy schodzi po drabince. Zamierza wyjść i jest w tym jakaś skrytość, jakieś poczucie winy.

– Zaczekaj!

Biegnę za nim, o mało się nie przewracam. Zsuwam się po drabince. Idzie w stronę schodów.

– Angus, c z ekaj.

Odwraca się, zerka na zegarek

– Tak?

– Czy ty... – Nie chcę go o to pytać. Muszę. – Gus. Otwierałeś pudełko z zabawkami Lydii?

Przez chwilę milczy. Przerazająco.

– Jasne – odpowiada.

– Dlaczego, Angus? Czemu zrobiłeś coś takiego?

– Bo Kirstie znudziły się j e j zabawki.

Stara się, by na jego twarzy nie było widać napięcia, i mam okropne wrażenie, że kłamie. *Mój mąż mnie okłamuje.*

Czuję się zagubiona. Muszę coś powiedzieć.

– Angus, poszedłeś na strych i wyjąłeś zabawkę? Zabawkę Lydii? Tak po prostu?

Wpatruje się we mnie, nawet nie mrugnie. Stoi na półpiętrze trzy metry niżej, tam, gdzie ogołociliśmy już ściany i zostawiliśmy jasne plamy po obrazach i meblach. Stał tam mój ulubiony mebel, ukochana komoda Angusa – spadek po jego babci.

– Tak No i... hmm... W czym problem, Saro? Wkroczyłem na teren wroga? – Jego twarz już nie jest spokojna. Marszczy brwi. To mroczny, złowrogi grymas, w którym kryje się złość. Myślę o tym, że uderzył swojego szefa. Myślę o jego ojcu, który bił jego matkę: nie raz. Nie. To mój mąż. Nigdy by nie podniósł na mnie ręki. Ale jest wyraźnie zły. Mówi dalej: – Kirstie się nudziła i była nieszczęśliwa. Mówiła, że tęskni za Lydią. Nie było cię wtedy, Saro. Poszłaś na kawę z Imogen. Więc pomyślałem, że czemu nie miałbym jej przynieść kilku zabawek Lydii. Mmm?

Uznałem, że to ją pocieszy. Że przestanie się nudzić. I zrobiłem tak W porządku? Czy to według ciebie w porządku?

W jego głosie slychać ciężki, gorzki sarkazm.

– Ale...

– A ty co byś zrobiła? Odmówiłabyś jej? Kazałabyś jej siedzieć cicho i bawić się własnymi zabawkami? Zapomnieć o siostrze?

Odwraca się, przechodzi przez półpiętro i zaczyna schodzić na dół. Teraz to ja czuję się winna. Wyjaśnienie jest sensowne. Tak, właśnie to bym zrobiła w takiej sytuacji. Tak mi się wy daje.

– Angus...

– Tak? – Przy staje pięć stopni niżej.

– Przepraszam. Przepraszam za to przesłuchanie. Byłam trochę wstrząśnięta, to wszystko.

– Szzz... – Spogląda w górę, a na jego twarz wraca uśmiech. Albo przynajmniej ślad uśmiechu. – Nie przejmuj się tym, kochanie. Zobaczmy się na Ornsay, dobrze? Ja górą, ty doliną.

– I będziesz w Szkocji przede mną?

– Tak!

Teraz się śmieje, ale to smutny śmiech, a potem żegna się ze mną i odwraca do wyjścia: żeby zabrać paszport i bagaże i polecieć do Szkocji.

Słyszę go, jest w kuchni. Jego szeroki uśmiech nie daje mi spokoju.

Drzwi na dole zamykają się. Wyszedł. I nagle czuję, że fizycznie za nim tęsknię.

Pragnę go. Nadal. Jeszcze bardziej. Może bardziej niż kiedykolwiek, bo upłynęło już tyle czasu.

Chcę go skusić, by wrócił, rozpiąć mu koszulę, chcę, żebyśmy uprawiali seks, jakbyśmy tego nie robili od wielu miesięcy. A jeszcze bardziej pragnę, żeby on to zrobił mnie. Chcę, by wpadł do domu, chcę zrzucić ubranie, tak jak kiedyś, na początku, w pierwszych latach, gdy wracał z pracy i bez słowa zaczynaliśmy się rozbierać w przedpokoju, i kochaliśmy się w pierwszym lepszym miejscu. Na stole w kuchni, na podłodze w łazience, w mokrym od deszczu ogrodzie, upojeni cudownym pragnieniem.

Potem leżeliśmy razem, spoceni, i śmialiśmy się z porzrzuconych ubrań, które zostawiliśmy za sobą jak okruszki chleba w bajce. Ślad prowadził od drzwi do miejsca, w którym się kochaliśmy. Potem wracaliśmy szlakiem ubrań, zbieraliśmy majtki, potem dzinsy, moją koszulę, jego koszulę, jego kurtkę i mój sweter. A później jedliśmy zimną pizzę. Z uśmiechem. Bez poczucia winy. Z radością.

Wtedy byliśmy szczęśliwi. Szczęśliwsi niż jakkolwiek para, którą znalazłam. Czasem zazdroścę nam z tamtych czasów. Jakbym była zawistną sąsiadką dawnej siebie. Ci cholerni Moorcroftowie z tym swoim idealnym życiem i ślicznymi bliźniaczkami, i z tym swoim pięknym psem.

A jednak – choć jestem coraz bardziej zazdrośna – wiem, że ten ideał był czymś w rodzaju złudzenia. Bo nasze życie nie zawsze było doskonałe. Nie z a w s z e. W tych długich ciemnych miesiącach poprzedzających narodziny dzieci o mało się nie rozstaliśmy.

Kto był winny? Może ja. Może Angus. Może seks. Oczywiście spodziewałam się, że nasze życie erotyczne ucierpi, kiedy przyjdą na świat bliźniaczki – ale nie przypuszczałam, że ustanie całkowicie. A tak się stało. Gdy się urodziły, Angus stał się kimś w rodzaju seksualnego wygnańca. Nie chciał mnie dotykać, a kiedy to robił, zachowywał się tak, jakby moje ciało było czymś nowym, trudniejszym i nie tak przyjemnym, czymś, do czego należy podchodzić z naukową

starannością. Kiedyś stałam przed lustrem i przyłapałam go na tym, że mi się przygląda: oceniał moją zmienioną macierzyńską nagość. Moje rozstępy i nabrzmiałe piersi. Po jego twarzy przemknął grymas.

O wiele za długo – prawie przez rok – w ogóle się nie kochaliśmy.

Kiedy bliźniaczki zaczęły przesypiać noce, a ja trochę doszłam do siebie, spróbowałam to obudzić. Ale odmawiał mi. Znajdował kiepskie wymówki: był za bardzo zmęczony, zbyt pijany, miał za dużo pracy. Nigdy nie było go w domu.

Więc znalazłam seks gdzie indziej, na kilka krótkich wieczorów wykradzionych z samotności. Angus pogrążył się w nowym projekcie w Kimberley. Otwarcie mnie ignorował, ciągle pracował do późna. Czułam się rozpaczliwie samotna, wciąż zagubiona w czarnej dziurze początków macierzyństwa, znudzona podgrzewaniem w mikrofalówce butelek z mlekiem. Znudzona zajmowaniem się w pojedynkę dwoma wrzeszczącymi dziećmi. Zadzwoił do mnie mój dawny chłopak, by pogratulować świeżo upieczonej mamie. Łapczywie chwyciłam się tej drobnej rozrywki, dreszczyku tego, co było kiedyś. Czemu nie wpadniesz na drinka, żeby zobaczyć bliźniaczki? Może się spotkamy?

Angus nigdy by się o tym nie dowiedział: sama zakończyłam ten powierzchowny związek i po prostu mu powiedziałam. Za bardzo dokuczało mi poczucie winy i pewnie chciałam go ukarać. *Zobacz, jaka byłam samotna.* Ironia losu polegała na tym, że moje bolesne wyznanie nas ocaliło, znów rozbudziło nasze życie erotyczne.

Bo po tym wyznaniu zaczął mnie postrzegać inaczej: nie byłam już tylko nudną, potwornie zmęczoną, rzadko otwierającą usta młodą matką. Znów stałam się nagrodą, obiektem pożądania, ciałem, którego pragnął jego rywal. Angus mnie odzyskał. Znów mnie uwiódł i zdobył. Przebaczył mi, pieprząc mnie. Potem poszliśmy na terapię dla par i wszystko jakoś wróciło do normy. Bo wciąż się kochaliśmy.

Ale nigdy nie przestanę się zastanawiać, czy nie zniszczyłam czegoś na zawsze. Może przez wszystkie te lata po prostu to ukry waliśmy. Jako para jesteśmy dobrzy w ukrywaniu.

I znów tu jestem: z powrotem na strychu, wpatrzona we wszystkie te ukryte pudła z rzeczami naszej zmarłej córki. Ale przynajmniej podjęłam jakąś decyzję: przechowamy to. To właśnie zrobimy ze wszystkimi tymi rzeczami.

To tchórzliwe rozwiązanie, właściwie żadne, ale nie mogę znieść myśli, że miałabym ciągnąć ze sobą zabawki Lydii aż do północnej Szkocji. Po co miałabym to robić? Żeby ulec chwilowemu dziwnemu kapryswi Kirstie? A jednak skazanie tego wszystkiego na zapomnienie jest okrutne i niemożliwe.

Pewnego dnia to zrobię, ale jeszcze nie teraz.

A więc zostaną przechowane.

Ożywiona tą decyzją, zabieram się do pracy. Przez trzy godziny wkładam wszystko do pudeł, zaklejam taśmą, rozpakowuję i znów chowam do pudeł, potem szybko jem zupę z wczorajszym pieczywem i sięgam po komórke. Jestem zadowolona, że jestem taka skuteczna. Zostaje jeszcze tylko jeden obowiązek, jedna wątpliwość, którą muszę wyjaśnić. A potem koniec z tymi głupotami.

– Pani Emerson?

– Halo?

– Dzień dobry, tu Sarah. Sarah Moorcroft.

– Przepraszam. Saro. Tak, oczywiście. Proszę, mów mi Nuala.

– Okej... – Waham się. Pani Emerson jest nauczycielką Kirstie: bystrą, pilną, inteligentną dwudziestokilkulatką. Źródłem pociechy przez ten ostatni potworny rok. Ale dla dzieci, a teraz dla Kirstie, zawsze była panią Emerson, więc zwracanie się do niej po imieniu wydaje mi się jakoś nie na miejscu. Ciągłe czuję się z tym nieswojo. Ale muszę spróbować. – Nualo?

– Tak?

W jej głosie słychać ożywienie: jest siedemnasta. Kirstie jest na jakichś zajęciach po szkole, ale jej nauczycielka na pewno jeszcze pracuje.

– Mmm... Masz wolną minutę? Mam po prostu kilka pytań. Chodzi o Kirstie.

– Nawet pięć. Żaden problem. O co chodzi?

– Wiesz, że bardzo niedługo się przeprowadzamy.

– Na Skye? Tak i masz nową szkołę?

– Tak, nazywa się Kyledale. Sprawdzalam wszystkie raporty o nich. Jest dwujęzyczna, uczą po angielsku i po gaelicku. Oczywiście daleko im do St. Luke's, ale...

– Saro. Miałaś jakieś pytania?

W jej tonie nie słychać zniecierpliwienia. Słyszę jednak, że jest zajęta. Pewnie robi coś innego.

– Uch! Tak.. Przepraszam. – Patrzę za okno w dużym pokoju. Jest uchylone. Deszcz przestał padać. Nadchodzi wietrzny, jesienny wieczór. Drzewa po drugiej stronie ulicy są odzierane z liści, jedno po drugim. Trochę mocniej ściskam telefon i mówię dalej: – Nuala, chciałam cię zapytać... – Spinam się, jakbym miała zanurkować w bardzo zimnej wodzie. – Zauważyłaś ostatnio w zachowaniu Kirstie coś dziwnego?

Mija chwila.

– Dziwnego?

– No wiesz, eee... dziwnego...

To żalosne. Ale co innego mogę powiedzieć? Halo, pani Emerson, czy Kirstie ostatnio nie twierdziła, że jest swoją zmarłą siostrą?

– Nie, nie zauważyłam nic dziwnego. – Pani Emerson odpowiada delikatnie. *Postępowanie z rodzicami pogrążonymi w żalobie.* – Oczywiście wciąż tęskni za siostrą, każdy to widzi, ale powiedziałabym, że w tych bardzo trudnych okolicznościach radzi sobie całkiem nieźle. Tak dobrze, jak tylko można by oczekiwać.

– Dziękuję – mówię. – Mam jeszcze jedno pytanie. Ostatnie.

– Dobrze.

Znów biorę się w garść. Muszę zapytać o to, jak Kirstie czyta. O tę szybką poprawę. To też nie daje mi spokoju.

– No więc Nualo... chodzi o umiejętności Kirstie, o jej rozwój. Zauważyłaś ostatnio coś nowego? Jakieś zmiany? Zmiany w jej zdolnościach? Podczas lekcji?

Tym razem następuje chwila milczenia. Długa chwila.

Nuala mruczy:

– No cóż...

– Tak?

– To nic niezwykłego. Ale wydaje mi się... wydaje mi się, że mogłabym wspomnieć o jednej rzeczy.

Drzewa uginają się i cierpią na wietrze.

– O czym?

– Ostatnio zauważyłam, że dużo lepiej czyta. Zrobiła przeskok w krótkim czasie. Dość zaskakujący. Z drugiej strony była świetna z matematyki, a teraz... teraz już nie jest taka dobra. – Potrafię sobie wyobrazić, jak niezręcznie wrzusza ramionami. I dodaje: – Chyba można by powiedzieć, że to nieoczekiwane.

Mówię na głos to, o czym może obie myślimy:

– Jej siostra była dobra w czytaniu, a nie za dobra z matematyki.

– Tak, tak. To chyba prawda. – Odpowiada cicho.

– Dobrze. Dobrze. Coś jeszcze? Coś podobnego?

Kolejna bolesna chwila milczenia. Potem Nuala mówi:

– Tak, chyba tak. W ostatnich tygodniach zauważyłam, że mocniej się zaprzyjaźniła z Rory i Adelie.

Opadające liście wirują w powietrzu. Powtarzam imiona:

– Rory. I Adelie.

– Zgadza się. A one były... – Waha się, ale mówi dalej: – Cóż, tak naprawdę były przyjaciółkami Lydii, na pewno o tym wiesz. Kirstie jakby porzuciła swoich dawnych przyjaciół.

– Zołą? Theo?

– Zołą i Theo. I stało się to dość nagle. Ale takie rzeczy naprawdę ciągle się zdarzają. Twoja córka ma dopiero siedem lat, a to przecież niewiele.

– Rozumiem.

Ścisła mnie w gardle.

– Rozumiem – powtarzam. – No tak.

– Więc proszę, nie martw się. Nie wspominałabym o tym, gdybyś nie spytała, jak Kirstie się rozwija.

– No tak.

– Gdybyś mnie spytała o zdanie, Saro, to powiedziałabym, że Kirstie w jakiś sposób próbuje sobie zrekompensować nieobecność siostry. Niemal usiłuje być swoją siostrą, zastąpić ją, użyć sobie po stracie. Dlatego pracowała na przykład nad tym, żeby lepiej czytać, żeby wypełnić tę lukę. Nie jestem psychologiem dziecięcym... ale z tego, co wiem, to może wcale nie być takie niezwykłe.

– Nie. Nie. Tak.

– Wszystkie dzieci oplakują stratę na swój sposób, to pewnie tylko etap procesu dochodzenia do siebie. No więc kiedy wyjeżdżacie? Bardzo niedługo, prawda?

– Tak – potwierdzam. – W ten weekend.

Telefon ciąży mi w ręce.

Spoglądam na eleganckie domy po drugiej stronie ulicy. Na błyszczące, zaparkowane pod latarniami samochody. Zapadł zmrok. Niebo jest czyste. Widzę mnóstwo światełek samolotów krążących nad Londynem. Są jak maleńkie czerwone iskielki. Strzelające z wielkich niewidzialnych płomieni.

Angus Moorcroft zaparkował przed hotelem Selkie, wysiadł z taniego, tandetnego samochodu z wypożyczalni – wynajętego poprzedniego wieczoru na lotnisku Inverness – i spojrzął ponad błotnymi równinami i spokojnymi wodami na Torran. Niebo było bezchmurne i, co rzadko się zdarza, widać było północne słońce: w zimny listopadowy dzień. Chociaż powietrze było przejrzyste, domek ledwie było widać. Sterczał nad skałami porośniętymi wodorostami. Za nim wznosiła się biała latarnia morska.

Oslonił zmrużone oczy i spojrzął na dom, w którym wkrótce miał zamieszkać z rodziną. Z zamyślenia wyrwał go inny samochód. Zwolnił z piskiem opon i zaparkował. Stary niebieski renault.

Wysiadł z niego jego przyjaciel Josh Freedland, ubrany w sweter typowy dla wyspy Arran i džinsy lekko przybrudzone granitowym pyłem, a może łupkowym albo marmurowym. Angus pomachał do niego i zerknął na własne džinsy. Wiedział, że będzie mu brakowało dobrych garniturów i jedwabnych krawatów.

Josh podszedł do niego.

– Przyjechali biali osadnicy!

Uścisnęli się i pokleпали po plecach. Angus przeprosił za spóźnienie, za to, że nie zdążył na pierwszy lot – Josh zapewnił go, że nie powinien się tym przejmować.

Angus wyczuł w tym ślad ironii. Były takie czasy, kiedy to Josh ciągle się spóźniał. Gdy był najbardziej niesolidnym człowiekiem w całej Wielkiej Brytanii. Wszystko się zmienia.

Odwrócili się równocześnie i spojrzeli na drugą stronę cieśniny.

– Wiesz, zapomniałem już, jaka jest piękna – mruknął Angus.

– No to kiedy byłeś tu ostatni raz?

– Z tobą. I z naszą paczką. W tamte ostatnie wakacje.

– Naprawdę? – Josh uśmiechnął się, szczerze zaskoczony. – Ćpun za burtą! Ćpun za burtą!

To było ich ulubione powiedzonko z tamtych pamiętnych wakacji, kiedy jako dzieciaki z college’u przyjechali na wyspę babci Angusa. To był niezapomniany weekend. Za dużo pili, za dużo się śmiali, zachowywali się hałaśliwie i okropnie, działali miejscowym na nerwy – i wyśmianie się bawili. Niemal zatopili wiosłową łódź, wracając z Selkie o uroczym fioletowym zmierzchu: zmierzchu, po którym nigdy nie zapadały całkowite ciemności. Pojawiły się foki: obserwowały ich. Okrzyk „ćpun za burtą” narodził się podczas jednej z tych pijackich wycieczek, kiedy Josh kompletnie odleciał po ecstasy, próbował przytulić jedną z fok i wpadł do zimnej, ciemnej wody. Około jedenastej w nocy.

Ten wypadek mógł się skończyć śmiercią, ale mieli wtedy po dwadzieścia jeden lat i byli

przekonani, że są nieśmiertelni. Więc Josh po prostu dopłynął do wyspy, w ubraniu, a potem upili się raz jeszcze w przepięknym zrujnowanym domku latarnika.

– Jak dawno to było? Piętnaście lat temu? Jezu! – Josh gadał z rękami w kieszeniach. Chłodny wiatr rozwiewał jego rudawe włosy. – Ale się bawiliśmy, co? I cały ten cydr, który wypiliśmy w Coruisk. Spotkałeś kogoś z naszej paczki?

– Nie bardzo.

Mógł dodać: z oczywistych powodów. Ale nie musiał. Josh wiedział o wszystkim.

Po śmierci Lydii Angus zwrócił się przede wszystkim do niego. Wielokrotnie długo pocieszał go przez telefon, a kiedy przyjechał do Londynu, odbyli tę dziwną jednostronną sesję w pubie. Josh spełnił swój obowiązek, wysłuchując tego, co mówił o Lydii. Mówił, póki słowa nie zmieniły się w ślinę, w pianę na jego ustach. Mówił, póki whisky i senność wszystkiego nie zamazały.

Josh był jedynym człowiekiem, który widział, jak naprawdę płacze nad zmarłą córką: pewnego ciemnego, przerażającego wieczoru, kiedy się otworzył i rozkwitł nocny kwiat bólu. Tamtej nocy zostało przełamane tabu, może to dobrze. Mężczyzna płaczący przed innym mężczyzną, łyzy, zasmarkany nos.

A teraz?

Josh sprawdzał coś w telefonie. Angus jeszcze raz poszukiwał wzrokiem odległej wyspy Torran. Droga przez słone mokradła była długa: o wiele dłuższa, niż zapamiętał. Musiałby zejść na obszar zalewany podczas przyływu, potem obejść całą dużą wyspę pływową Salmadair i przedostać się groblą na mniejszą Torran. Trwałoby to co najmniej trzydzieści-czterdzieści minut.

To, że droga, którą mieli do przebycia pieszo, wyglądała właśnie tak, miało znaczenie, bo stara łódź wiosłowa dawnogniła i się rozpadła. A to znaczyło, że nie mieli łodzi. I dopóki nie kupią nowej, on, Sarah i Kirstie będą musieli przemierzać pieszo te wilgotne, śliskie, zdradliwe mokradła, by się dostać na wyspę. A będzie to możliwe tylko podczas odpływu.

– Znasz kogoś, kto ma tanią jolkę? Na sprzedaż.

Josh podniósł wzrok.

– Stary, nie załatwiłeś sobie łódki?

– Nie.

– Gus, daj spokój. Naprawdę? Jak możecie mieszkać na Torran bez łodzi?

– Nie możemy. Ale będziemy musieli, dopóki jakiejś nie kupię. A pieniądze to dla nas problem.

– Chcesz, żeby cię podrzucił swoją? Teraz?

– Nie, chcę przejść przez mokradła. Sprawdzić je.

Josh przechylił głowę, skrzywił się.

– Pamiętasz, że te bagna są niebezpieczne, prawda?

– Eee... tak.

– Poważnie, Gus. W nocy, po zmierzchu, nie chciałbyś chodzić tamtędy pieszo. Nawet z latarką możesz sobie skrócić kostkę na kamieniach, utknąć w błocie. A wtedy masz przejebane.

– Josh...

– Na Skye nikt nie usłyszy twoich krzyków: połowa domów przy brzegu jest pusta. To domki wakacyjne. Zimą przyjdzie przyływ, lodowaty i śmiertelny. Utopisz się.

– Josh! Wiem to wszystko. To moja wyspa! Praktycznie tu mieszkałem w dzieciństwie.

– Ale prawie zawsze przyjeżdżałeś latem, co? Zimą dni mają po pięć godzin, albo nawet mniej. Stary, zastanów się. Nawet kiedy masz łódź, Torran potrafi być zimą bardzo zdradliwa.

Możecie być odcięci od świata całym dniami.

– W porządku, tak. Wiem, że zimą jest ciężko. Wiem, że nie będzie nam łatwo. Ale mam to gdzieś.

Josh się roześmiał.

– Jasne. Rozumiem. Chyba.

– Przez telefon wspominałeś o przyływach i odpływach – brnął Angus. – Dziś po południu?

Josh zerknął na cofające się morze, a potem znów na niego.

– Wysłałem ci link mailem. Oficjalne tabele pływów dla rejonu Mallaig, ze wszystkimi szczegółami.

– Nie miałem okazji zajrzeć. Od śniadania ciągle jestem w ruchu.

Josh kiwnął głową. W zamyśleniu omiatał wzrokiem słone bagniska i wodorosty schnące w słabych promieniach słońca.

– Dobra. No cóż, odpływ jest dzisiaj o czwartej po południu. Masz najwyżej trzy godziny, od trzeciej do piątej. Co znaczy, że mamy pół godziny czasu do zabicia. Gdzieś do trzeciej.

W powietrzu znów zawisło milczenie. Angus wiedział, jakie pytanie za chwilę padnie. Jego przyjaciel spytał ostrożnie:

– ...a jak tam Kirstie?

Oczywiście. O to właśnie powinieneś zapytać. Jak tam Kirstie? J a k t a m K i r s t i e ?

Co powinien powiedzieć?

Chciał powiedzieć prawdę. Jakieś sześć miesięcy temu zaczęła się bardzo dziwnie zachowywać. Coś naprawdę dziwnego i niepokojącego stało się z jego żyjącą córką, z jej osobowością. Było źle do tego stopnia, że o mało nie poszedł do lekarza. A potem, niemal w ostatniej chwili, znalazł lekarstwo. Tak jakby.

Ale nie był w stanie powiedzieć nikomu, nawet Joshowi. Zwłaszcza Joshowi. Bo Josh powiedziałby Molly, swojej żonie, a Molly i Sarah dość blisko się przyjaźniły. Nie mógł dopuścić, żeby Sarah się o tym dowiedziała. Nie może się dowiedzieć, nigdy. Po prostu nie mógł jej o tym powiedzieć. Nie mówił jej od tak wielu miesięcy, na tak wiele różnych sposobów.

Więc musiał kłamać. Nawet kiedy rozmawiał z Joshem.

– Całkiem nieźle. Jak na te okoliczności.

– Rozumiem. A Sarah? U niej też... no wiesz... wszystko dobrze? Lepiej się już czuje?

Kolejne nieuniknione pytanie.

– Tak. W porządku. Radzimy sobie. Naprawdę chcemy się już przeprowadzić. – Starał się mówić spokojnie. – Kirstie chce zobaczyć syrenę. Albo fokę. Foka pewnie wystarczy.

– Ha!

– Ale mniejsza z tym. Musimy zabić trochę czasu. Chcesz się napić kawy?

– Mhm... zauważył tu kilka zmian – odparł Josh, otwierając skrzypiące drzwi pubu.

Nie pomylił się. Kiedy weszli do The Selkie, Angus rozczłapał się. Był zaskoczony.

Stary, przytulny pub, w którym spotykali się łowiący śledzie rybacy, bardzo się zmienił. Popową muzykę z głośników zastąpił nowoczesny folk – bodhrán i skrzypce. Zamiast zablokowanej wykładziny na podłodze leżały drogie, szare, łupkowe płytki.

W drugim końcu baru na tablicy zapisanej kredą reklamowano pieczone homary. Między pudłami z ulotkami miejscowych teatrów i stertami broszurek o miejscach, w których można obserwować bieliki, za barem stała pulchna nastolatka. Z nadąsaną miną bawiła się kolczykiem,

kóry miała w nosie. Wyraźnie nie podobało jej się, że musi przyjąć od Josha zamówienie.

Metamorfoza była imponująca, nie była jednak niczym wyjątkowym. Kolejny hotelik ze sklepikiem i lokalem gastronomicznym dla bogatych turystów pragnących autentycznych przeżyć z Highlands i wysp szkockiego wybrzeża. Nie była to już obskurna, śmierdząca octem knajpa sprzed dwudziestu lat.

Ale była połowa listopada, popołudnie, dzień roboczy, i jedynymi klientami byli miejscowi.

– Tak, obie z mlekiem. Dziękuję, Jenny.

Angus zerknął w róg sali. Przy okrągłym drewnianym stole siedziało pięciu mężczyzn w różnym wieku, w niemal identycznych swetrach z wycięciem pod szyją. Poza tym było pusto. Mężczyźni milczeli, zerkali na niego znad piwa.

Potem się odwrócili i jak spiskowcy znów zaczęli rozmawiać. W języku, który brzmiał bardzo obco.

Angus starał się na nich nie gapić. Zapytał Josha:

– Gaelicki?

– Tak. Dzisiaj na półwyspie Sleat często go można usłyszeć. Otworzyli nowy gaelicki college. I oczywiście uczą tego w szkołach. – Josh dyskretnie wyszczerzył zęby. – Ale założyłbym się, że zanim weszliśmy, gadali po angielsku. To taki ich dowcip. Chcą namieszać w głowach turystom.

Podniósł rękę i pomachał do jednego z mężczyzn, przystojnego, krępego, z kilkadziesiątletnim zarostem. Po czterdziestce.

– Gordon. Co sły chać?

Gordon odwrócił się i uśmiechnął znacząco.

– Witaj, Joshua. Dzień dobry. *Ciamar a tha thu fhein?*

– Jak najbardziej. W moją ciotkę uderzył piorun – odparł zyczliwie Josh. – Gordon, przecież wiesz, że nigdy się tego nie nauczę.

– No tak. Ale może kiedyś, jeśli teraz spróbujesz, Josh.

– Dobra, spróbuję. Obiecuję. Na razie!

Podano im kawę. Przyniosła ją zmużniona dziewczyna. Angus wpatrywał się w pretensjonalne filizanki w szorstkich, zaczerwienionych dłoniach Josha. W rękach kamieniarza.

Miał ochotę napić się szkockiej. W Szkocji powinieneś pić szkocką. Tego od ciebie oczekują. Czułby się jednak niezręcznie, pijąc alkohol po południu przy trzeźwym Joshu.

W tym uczuciu krył się pewien mały paradoks: bo Josh Freedland nie zawsze był trzeźwy. Były takie czasy, kiedy Josh był całkowitym zaprzeczeniem trzeźwości. Pozostali z paczki z uniwersytetu – w tym Angus – próbowali jakichś narkotyków, a potem im się zmużdziło i wrócili do picia, a Josh najpierw zaczął łykać pigułki na imprezach, a potem poważnie uzależnił się od heroiny. Osunął się w mrok i ruinę. Przez całe lata wydawało się, że czeka go całkowita życiowa porażka, albo nawet gorzej, i nikt nie potrafił mu pomóc, choć bardzo się starali, zwłaszcza Angus.

I potem, nagle, w wieku trzydziestu lat, sam sobie pomógł. Dzięki Anonimowym Narkomanom.

Wszedł w trzeźwość tak samo, jak wszedł w narkotyki: z całkowitym zaangażowaniem. Był na sześćdziesięciu spotkaniach, w ciągu sześćdziesięciu dni. Ukończył program dwunastu kroków i uwierzył w siebie. Potem na jednym ze spotkań Anonimowych Narkomanów w Notting Hill poznał miłą, wpływową kobietę, Molly Margettson. Była uzależniona od kokainy, ale robiła porządek ze swoim życiem, tak jak on.

Wkrótce zakochali się w sobie, a niedługo potem się pobrali. To była mała, wzruszająca ceremonia. Potem wyjechali z Londynu na północ. Sprzedali jej mieszkanie w Holland Park i kupili za te pieniądze bardzo ładny domek tu, na półwyspie Sleat, tuż nad wodą – kilometr od The Sellkie. W miejscu, które wszyscy kochali: niedaleko wyspy babci Angusa.

Nad piękną cieśniną Sound of Sleat, w najpiękniejszym miejscu na świecie.

Teraz Josh był kamieniarzem, a Molly prowadziła dom i była bizneswoman: całkiem przyzwoicie zarabiała na sprzedaży owoców i dżemów, miodów i chutneyów. Od czasu do czasu malowała.

Angus rozejrzał się po pubie. Z zadumą. Całe lata współczuł Joshowi. A teraz mu zazdrościł. Taka była prawda. Cieszyło go ich szczęście, ale zazdrościł im, że wybrali takie proste życie. Nic prócz powietrza, kamienia, nieba, szkła, soli, skał i morza. I miodu z hebrydzkich wrzosów. On też pragnął takiej prostoty, chciał zmyć z siebie zawilgości miasta i zanurkować w tę czystość. Świeże powietrze, prawdziwy chleb, ostry wiatr na twarzy.

Obaj podeszli do pustego stolika, a dala od Gordona i jego rozmawiających po gaelicku kolegów. Josh usiadł, wypił łyk kawy i odezwał się z uśmiechem spiskowca:

– To był Gordon Fraser. Zajmuje się wszystkim. Naprawia zepsute szajs od Kylerhea do Ardvasar. Tostery, łodzie i samotne żony. Jeśli potrzebujesz łodzi, pewnie mógłby ci pomóc.

– Tak pamiętam go. Tak mi się wydaje. – Angus wrzucił ramionami. Naprawdę pamiętała? Ile mógł sobie przyzwoicie z tak dawnych lat? Musiał przyznać, że wciąż jest zszokowany, że tak źle zapamiętała odległość Torran od stałego lądu. Co jeszcze zapamiętał nie tak, jak trzeba? O czym jeszcze zapomniał?

A co ważniejsze, skoro na jego pamięci nie można było polegać, to w jakim stopniu mógł polegać na swojej ocenie sytuacji? Czy naprawdę wierzył, że będzie spokojnie żył z Sarą na tej wyspie? Pomyślał, że to się może okazać bardzo trudne, zwłaszcza jeśli jego żona będzie otwierała pudła i próbowała oświetlić ciemności. A co, jeśli go okłamywała? Znowu?

Chciał myśleć o czymś innym.

– No więc, Josh, jak dużo się tam zmieniło? Podupało? Na Torran?

– Chodzi ci o domek? – Josh wrzucił ramionami. – No cóż, naprawdę powinieneś się przygotować, stary. Tak jak ci mówiłem przez telefon, starałem się, jak mogłem, mieć go na oku. Gordon też. Uwielbiał twoją babcie. Zaglądają tam też miejscowi rybacy. Ale domek jest w okropnym stanie, nie da się zaprzeczyć.

– Ale... latarnicy?

Josh pokręcił głową.

– Gdzie tam. Zjawiają się raz na dwa tygodnie i zaraz się zwijają. Wyczyścić soczewkę, sprawdzić akumulatory i już po robocie. I wracają do The Sellkie na piwo.

– No tak

– Wszyscy staraliśmy się, jak mogliśmy, ale... no wiesz, życie. Jest co robić, stary. Molly nie lubi sama pływać łodzią. A twoja babcia przestała tam bywać cztery lata temu, więc od tej pory domek był w ogóle niezamieszany.

– To szmat czasu.

– Zgadza się. Cztery długie hebrydzkie zimy? Wilgoć, grzyb i wiatr, to wszystko odcisnęło swoje piętno. – Josh westchnął, ale natychmiast się rozpogodził. – Ale przez jakiś czas, w zeszłym roku, latem, miałeś kilku dzikich lokatorów.

– Naprawdę?

– Tak. W sumie to byli w porządku. Dwóch chłopaków, dwie laski, naprawdę ładne. Jakieś dzieciaki, studenci. Któregoś wieczoru przyszedli nawet do The Selkie, trochę napuszeni. Gordon i chłopacy opowiadali im wszystkie możliwe historie. O tym, że na Torran straszy. I wymiękli. Zwinęła się następnego dnia rano. Nie narobili ci jakichś wielkich szkód. Ale spalili większość drzewa na opał, które zostawiła twoja babcia. Pieprzeni londyńczycy.

Angus dostrzegł w tym ironię. Pamiętał czasy, kiedy on i jego paczka z Londynu byli tacy sami: siedzieli w tym pubie, i w zamian za coś mocniejszego słuchali, jak miejscowi opowiadają legendy ze Skye. Miały im umilić długie zimowe wieczory. Jego babcia też opowiadała historie ze Skye. Wdowa z Portree, duch wędrujący w ciemności. I... no tak, Gruagach – o włosach białych jak śnieg, oplakująca swoje własne odbicie...

– Dlaczego tak długo tam nie zagłądałeś?

– Że co?

– Minęło piętnaście cholernych lat, odkąd ostatnio tam byłeś – cisnął Josh. – Dlaczego?

Angus zmarszczył brwi. Westchnął. To było dobre pytanie, sam je sobie zadawał. Szukał jakiejś odpowiedzi.

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Może Torran stała się dla mnie czymś w rodzaju symbolu. Miejscem, gdzie kiedyś wrócę. Utraconym rajem. Poza tym to było jakieś pięć milionów mil ode mnie. Wciąż chciałem tam zajrzeć, zwłaszcza odkąd wy się tutaj przeprowadziście, ale oczywiście... – I znowu ta niezręczna pauza. – Ale potem urodziły się dziewczynki. Bliźniaczki. Wszystko się zmieniło. Zimna szkocka wyspa z płaczącymi niemowlętami? Trochę zniechęcająca perspektywa. Zrozumiesz to, Josh, jak będziecie mieć dzieci.

– J e ś l i będziemy mieli dzieci. – Josh pokręcił głową. Zapatrzył się na fusy po kawie z mlekiem w swojej filiżance. – Jeśli.

Nastąpiła przykra chwila milczenia. Jeden mężczyzna oplakujący utracone dziecko, drugi oplakujący dzieci, których jeszcze nie miał.

Angus wypił ostatni łyk letniej lawy. Odwrócił się na niewygodnej drewnianej ławie i wyjrzał przez przypominające bulaj okno z grubą porysowaną szybą.

Szyba wypaczała piękno Torran, sprawiała, że wyspa wydawała się brzydka. Krajobraz wydawał się złowroźny, brudny, jakiś niewłaściwy. Przypominał sobie twarz Sary w półmroku strychu, zniekształconą cieniami. Kiedy zagłądała do pudeł.

To się musiało skończyć.

– Teraz musi być odpływ, więc masz maksymalnie dwie godziny – powiedział Josh. – Na pewno nie chcesz, żebym się wybrał z tobą albo cię podrzucił RIB-em?

– Nie. Chcę się przejść po bloku.

Wyszli na zimne powietrze. Morze się cofnęło, wiatr był ostrzejszy. Angus pomachał Joshowi na pożegnanie – *jutro do ciebie zajrzę* – a Josh odjechał, rozchlapując błoto.

Angus otworzył bagażnik i wyciągnął plecak. Rano w niedrogim hoteliku w Inverness spakował go bardzo starannie, więc miał wszystko, czego potrzebował, by spędzić noc na wyspie. Jutro dokupi różne rzeczy. Dziś musi się tam tylko dostać.

Przez słone bagna.

Nagle poczuł się dziwnie: jakby go ktoś obserwował, jakby z niego kpił, kiedy poprawiał paski

plecaka, rozkładał ciężar na plecach. Zezjrzał się odruchowo, szukając twarzy w oknach, dzieciaków śmiejących się i pokazujących go sobie palcami. W odpowiedzi spojrzęły na niego bezlistne drzewa i milczące domy. Jak okiem sięgnąć był jedynym człowiekiem. I musiał się już spieszyć.

Ścieżka prowadziła z parkingu przy The Selkie po omszałych i bardzo zwietrzałych kamiennych schodach. Ruszył. Na dole ścieżka omijała szereg drewnianych łodzi z kilami opartymi o skalne płyty. Miały bezpiecznie przetrwać zimowe sztormy. Dalej ścieżka kompletnie zniknęła, wtapiała się w labirynt niskich, pokrytych wodorostami skał i szare śmierdzące błoto. Zabierze mu to pół godziny. Co najmniej.

Zaczął dzwonić telefon.

Zdumiony, że ma zasięg – i z nikłą, próżną nadzieją, że może będą też mieli zasięg na Torran – rzucił plecak na kamienie i wydobyl komórkę z kieszeni džinsów.

Na wyświetlaczu widniało imię: Sarah.

Odebrał. Czwarty telefon od żony tego dnia.

– Halo?

– Jesteś tam już?

– Próbuję. Właśnie tam idę. Jestem na Ornsay. Dopiero co widziałem się z Joshem.

– No dobra, i jak tam jest?

– Nie wiem, kochanie. – Westchnął. – Mówiłem ci, jeszcze nie jestem na miejscu. Może pozwól mi tam najpierw dotrzeć. Oddzwonię, jak tylko będę mógł.

– Okej, dobrze. Przepraszam. Ha, ha. – Jej śmiech zabrzmiał fałszywie. Wyczuwał to nawet przez komórkę, z odległości sześćuset mil.

– Saro, wszystko w porządku?

– Wahanie. Wyraźna przerwa.

– Tak, Gus. Trochę się denerwuję. Wiesz? To wszystko...

Urwała. Zmarszczył brwi. Dokąd to zmierzało? Musiał odwrócić jej uwagę, sprawić, by się skupiła na przy słońcu. Bardzo starannie dobierał słowa:

– Wyspa wygląda pięknie, Saro. Jest tak piękna, jak zapamiętałem. Nawet jeszcze piękniejsza.

Nie popełniliśmy błędu. Mieliśmy rację, że postanowiliśmy się tu przeprowadzić.

– Okej. W porządku. Przepraszam. Mam tylko zszargane nerwy. Całe to pakowanie!

Wciąż słyszał w jej głosie niepokój. Wyczuwał to. A to oznaczało, że musiał zapytać, choć nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Ale nie miał wyjścia.

– Jak tam Kirstie?

– W porządku. Ona...

– Co?

– Och. To nic takiego.

– To znaczy?

– To nic. Nic.

– Nie, Saro. Przecież słyszysz, że nie. Co się dzieje? – Spróbował się pozbierać. Kolejny podstęp jego milczącej żony: najpierw rzuca małą, niepokojącą aluzję, a potem mówi: to nic. Zmusza go, żeby wszystko z niej wyciągał. Miał wyrzuty sumienia i czuł się źle, chociaż wcale n i e c h c i a ł usłyszeć tego, co z niej wyciągał. Tak jak teraz.

W ostatnim czasie doprowadzało go to do szaleństwa. Przez nią czuł prawdziwą, niemal

fizyczną złość.

– Saro. Co się dzieje? Powiesz mi?

– No cóż, ona... – Kolejna długa, irytująca cisza. Oparł się pokusie, by wrzasnąć: *Co się, kurwa, dzieje?!*

W końcu Sarah wyduła to z siebie:

– Wczoraj w nocy. Znow śnił jej się ten koszmar.

O ile można tak powiedzieć, Angus poczuł ulgę. Ty lko koszmar? Jedyne o to chodzi?

– Dobra. Kolejny zły sen.

– Tak

– Ten sam?

– Tak – Znow milczenie. – Ten z tym pokojem. Nie może wyjść z białego pokoju, wszystkie twarze się w nią wpatrują. To prawie zawsze ten sam koszmar. Wciąż jej się to śni. Dlaczego?

– Nie wiem, Saro. Ale wiem, że jej przejdzie. I to niedługo. Pamiętasz, co nam mówili w Anna Freud Centre? Między innymi dlatego się przeprowadzamy. Nowe miejsce, nowe sny. Nowy początek. Bez wspomnień.

– W porządku, tak Oczywiście. Porozmawiamy jutro?

– Tak Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Zmarszczył brwi, kiedy usłyszał własne słowa, i rozłączył się. Wsunął telefon do kieszeni i zarzucił na ramiona ciężki plecak. Czuł się jak alpinista zdobywający szczyt. Usłyszał brzęk ciężkiej butelki z winem. Uderzyła o coś twardego w plecaku. Może o jego szwajcarski szczyroryk?

Przedzierał się dalej. Szedł po skałach i piasku, próbował znaleźć najbezpieczniejszą trasę. W powietrzu unosił się odurzający zapach gnijących wodorostów. Krążyły nad nim mewy, krzyczały, nawoływały. Prawiły mu kazania z powodu czegoś, czego nie zrobił.

Morze cofało się, odsłaniając stare metalowe łańcuchy, obklejone błotem, przymocowane do plastikowych boi. Białone domki obserwowały go obojętnie z porośniętego lasem wybrzeża Skye po prawej. Po lewej Salmadair wznosiła się niczym kopuła skał i traw, otoczona ponurymi sosnami. Widział stąd zarys wielkiego niezamieszkanego domu na Salmadair. Właścicielem był jakiś miliarder ze Szwecji.

Josh dużo mu powiedział o Karlssenie: przyjeżdżał tylko na kilka tygodni, latem, by polować, żeglować i podziwiać słynny widok na cieśninę. Na wody Loch Hourne i Loch Nevis, a między nimi rozległy masy w Knoydart ze szczytami pokrytymi śniegiem i lodem.

Brań przed siebie, przygarbiony pod ciężarem plecaka, i co jakiś czas podnosił głowę, by spojrzeć na te posępne wzgórza. Wielkie szczyty Knoydart, ostatnie prawdziwie dzikie tereny w zachodniej Europie. Kiedy napawał się tym widokiem, zdał sobie sprawę, że wciąż dobrze pamięta nazwy tych tajemniczych szczytów. Babcia powtarzała mu to tak wiele razy: Sgurr an Fhuarain, Sgurr Mor, Fraoch Bheinn.

To był wiersz. Nie przepadał za poezją, a jednak to miejsce było wierszem.

Sgurr an Fhuarain, Sgurr Mor, Fraoch Bheinn.

Szedł dalej.

Cisza była rozdzierająca. Królestwo ciszy. Żadnych łodzi wypływających na połów, spacerujących ludzi, odgłosów silnika.

Szedł, był spocony, o mało się nie pośliznął. Dziwił go ten bezwietrzny, popołudniowy spokój.

Dzień był tak pogodny i cichy, że w oddali, na horyzoncie, widział ostatni prom płynący z Armadale do Mallaig.

Wiele domów ukrytych za jodłami i jarzębinami kompletnie zabito deskami na zimę. To po części tłumaczyło ten spokój, to poczucie osamotnienia. W jakiś sposób ten osłonięty od wiatru, olśniewający południowy półwysp Skye stawał się coraz bardziej taki jak najbogatsze dzielnice Londynu: opuszczony za sprawą własnej atrakcyjności, używany przez bogatych przez kilka dni w roku. Szansa na dobrą inwestycję. Miejsce, w którym można ulokować pieniądze. Inne, mniej urocze części Hebrydów paradoksalnie miały w sobie więcej życia, bo tam domy były tańsze.

Klątwą tego miejsca było jego piękno.

Ale wciąż było piękne. A poza tym zapadał zmrok

Szedł pięćdziesiąt męczących minut, bo ciemnoszare błoto kleiło mu się do butów i spowalniało go. W dodatku w jednym miejscu wybrał złą drogę: wspiął się na wyspę Salmadair i nieświadomie nadział się na dom miliardera. Nagle w zapadającym zmroku ukazał mu się wielki przeszkony salon, otoczony zardzewiałym płotem z drutu kolczastego.

Wybrał niewłaściwą ścieżkę, tę prowadzącą w lewo. Zamiast obejść Salmadair kamienistą plażą.

Pamiętał ostrzeżenia Josha. W nocy bagna były niebezpieczne i można tam było zginąć. Ale ilu tak naprawdę to spotyka? Jednego na rok? Jednego na dziesięć lat? Wciąż było to o wiele bezpieczniejsze niż przejście przez ulicę w Londynie. Tutaj przestępczość nie istniała. Powietrze było czyste i dobre. Było o wiele bezpieczniej dla dzieci. Bezpieczniej dla Kirstie.

Przeciskając się między krzewami kolcolistu i powoli szukając wydeptanej ścieżki, wspiął się na bardzo śliskie, najeżone starymi pąkami skały i pokaleczył sobie palce. Trochę krwawiły. Był podrapany i zmęczony. Północny wiatr pachniał mewim gównem i morszczykiem, i może trochę świeżo ściętą sosną. Zapach niósł się aż od Scoraig i Assynt.

Był już prawie na miejscu. W ostatnich promieniach popołudniowego światła widział odsłoniętą podczas odpływu groblę ze skał i szarych kamieni, zaśmieconą roztrzaskanymi skorupami krabów. Prowadziła na Torran. Wila się po niej cienka zielona rura wodociągowa. Gdzieś tam wyrzucała się z piasku. Rozpoznał i rurę, i tę część trasy. Przypomniał sobie, jak chodził tędy jako chłopak, a potem młody mężczyzna. I znów tu był.

Latarnia i domek stały dalej, w ostatnich zimnych ukośnych promieniach słońca. Za dwie minuty popchnie drzwi i wejdzie do swojego nowego domu. Tutaj będzie żyć jego rodzina: najlepiej, jak będą potrafili.

Odruchowo spojrzął na komórkę. Nie było zasięgu. Oczywiście. A czego się spodziewał? Wyspa była jak odrębny świat: samotna i odizolowana, tak odległa, jak to tylko możliwe w Wielkiej Brytanii.

Wspiął się na ostatnie wzniesienie. Szedł w stronę domku latarnika. Odwrócił się i spojrzął na słone bagniska.

Tak samotna i odległa. To dobrze. Cieszył się, że przekonał Sarę, by się tam przeprowadzili. I cieszył się, że ją namówił, by uwierzyła, że to ona tak wybrała. Chciał całym miesiącami być z dala od wszystkiego. I dokonali tego. Na Torran wreszcie będą bezpieczni. Nikt nie będzie zadawał pytań. Nie będzie wścibskich sąsiadów. Nie będzie przyjaciół ani krewnych. Ani policji.

Kirstie.

Podnoszę wzrok i widzę w tylnym lusterku twarz Kirstie – obojętną, bez uśmiechu.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, kochanie.

Powtarzam to, odkąd wyjechałyśmy z Glasgow, i szczerze mówiąc, kiedy dotarłam do Glasgow, wydawało mi się, że jesteśmy p r a w i e n a m i e j s c u. W Google Maps to się wydawało tak blisko. Przejechałyśmy przecież pół Szkocji, prawda? To już nie potrwa długo. Jeszcze tylko pięć centymetrów.

Ale zamiast tego, jak jakaś okropna historia bez końca – opowiadana przez marudnego nudziarza – droga wiodła coraz dalej i dalej. A teraz zgubiłyśmy się w upiornych górach Rannoch Moor.

Muszę sobie przypominać, dlaczego tu jesteśmy.

Dwa dni temu Angus proponował, że za pieniądze, których nie mamy, wykupi nam przelot do Inverness. Tam by nas odebrał, a całą przeprowadzkę zostawił wynajętym ludziom.

Ale robienie tego w ten sposób wydawało się jakimś oszustwem. Coś we mnie pragnęło przejechać całą drogę, razem z Kirstie i Beany. Poza tym ktoś wcześniej czy później musiał doprowadzić samochód. Upierałam się więc, że Kirstie i ja odbędziemy całą podróż z dolnego krańca aż na sam szczyt Wielkiej Brytanii i spotkamy się z Angusem na parkingu przy The Selkie na Ornsay, z osławionym widokiem na Torran.

Teraz tego żałowałam.

Wszystko było takie przytłaczająco ogromne i ponure. Rannoch Moor wygląda jak misa wypełniona zielenią i posępną szarością, zapewne pochodzenia lodowcowego. Brudne, brązowe od torfu strumienie przecinają kwaśną ziemię. W niektórych miejscach wygląda to tak, jakby pokrywę torfu rozszarpano, a potem pozszywano na nowo.

Zerkam na Kirstie w lusterku, potem przyglądam się sobie.

Naprawdę nie chcę, ale muszę to zrobić: jeszcze raz się nad tym wszystkim zastanowić. M u s z ę się dowiedzieć, co się dzieje z Kirstie i czy przyczyną jest sam wypadek. Ta okropna, otwarta rana w naszym życiu.

No więc?

Był letni wieczór, byliśmy w Instow.

Niecałe dziesięć lat temu moi rodzice przeprowadzili się do małego miasteczka Instow na północnym wybrzeżu Devon. Mieli na to akurat dość pieniędzy ocalonych z niezbyt udanej kariery mojego taty. Kupili całkiem spory dom z widokiem na płynącą leniwie szeroką rzekę u początków jej ujścia.

Dom był wysoki, dwupiętrowy, z balkonami, by móc podziwiać widoki. Duży ogród, a dalej usiany króliczymi norami i porośnięty trawą stok. Z najwyższego piętra między zielonymi przyładkami można było dostrzec morze. Siedząc w kiblu, można było obserwować łodzie pod czerwonymi żaglami płynące w stronę Kanału Bristolskiego.

Instow od początku mi się podobało. Cieszyłam się, że je wybrali. To był ładny dom, w ładnym miasteczku. W pubach było mnóstwo marynarzy i żeglarzy, ale byli bezpretensjonalni. Klimat jak na Anglię był łaskawy: łagodziła go delikatna bryza z południowego zachodu. Można było iść na nabrzeże i łowić kraby na przyrętej z bekonu.

Natychmiast i w nieunikniony sposób Instow stało się naszym stałym wakacyjnym domem. Ładna, tania, wygodna meta dla Angusa i dla mnie. A potem miejsce, gdzie mogliśmy zabrać dziewczynki i mieć pewność, że dziadkowie zaopiekują się nimi czule.

I moi rodzice naprawdę je rozpieszczali. Trochę dlatego, że były takie śliczne i kochane – kiedy akurat się nie kłóciły – a trochę dlatego, że ten utracysz, mój młodszy brat, wędrował po świecie i nigdy nie zamierzał się ustatkować. Więc bliźniaczki były ich oczkiem w głowie i pewnie miały pozostać jedynymi wnuczkami.

W efekcie mój ojciec zawsze chciał, żebyśmy przyjechali i zrobili sobie u nich kolejne wakacje. Moja pochodząca ze Stanów matka, Amy – cichsza, bardziej nieśmiała i powściągliwa, taka jak ja – wykazywała niemal równie wielki zapał.

Więc kiedy zadzwonił tata i spytał beztrasko, co porabiamy latem, chętnie się zgodziłam spędzić kolejne wakacje w Instow. To miały być siódme albo ósme. Było ich tyle, że straciliśmy rachubę. Ta darmowa opieka nad dziećmi była po prostu taka kusząca. Mogliśmy długo, cudownie się wysypiać, jak dorośli na wakacjach, a babcia i dziadek zajmowali się bliźniaczkami.

To się stało pierwszego wieczoru ostatnich wakacji.

Pojechałam rano z dziewczynkami. Angus został jeszcze w Londynie, ale miał dojechać wieczorem. Mama i tata wyszli na drinka. Siedziałam w kuchni.

Wielka, przestronna kuchnia w domu rodziców była miejscem, wokół którego wszystko się kręciło, bo był tam wspaniały, wielki stół, a z okna rozciągał się jeden z najlepszych widoków. Było spokojnie. Czytałam książkę i popijałam herbatę. Wieczór był długi i piękny: łuk różowobłękitnego nieba nad przyładkami i zatoką. Bliźniaczki, już opalone po popołudniu spędzonym na plaży, bawiły się – jak sądziłam – w ogrodzie. Było absolutnie BEZPIECZNIĘ.

A potem usłyszałam krzyk jednej z moich córek.

Ten krzyk, którego nigdy nie zapomnę. Który nigdy nie zamilknie.

Nigdy.

Tu, na Rannoch Moor, mocniej ściskam kierownicę, przyśpieszam. Jakbym mogła wyprzedzić te potworne wspomnienia, zostawić je za sobą, malejące w lusterku.

Co się działo potem? Czy przeoczyłam jakąś wskazówkę, która by mi pomogła rozwiązać tę okropną zagadkę?

Siedziałam wtedy w kuchni i przez ułamek sekundy nie mogłam się połapać, co się dzieje. Dziewczynki miały się bawić na trawniku, w ospałym, letnim cieple, ale ten straszny krzyk dobiegał z góry. Zaślepiona panią rzuciłam się na schody, minęłam półpiętro, rozglądałam się za nimi – tu nie, tu nie, tu nie – ale wiedziałam, w jakiś sposób wiedziałam, i wpadłam do sypialni dla gości, kolejnej sypialni z balkonem. Sześć metrów nad ziemią.

Te pierdolone balkony. Jeśli istniało coś, czego w Instow nienawidziłam, to właśnie one. Były

przy wszystkich oknach. Angus też ich nienawidził.

Zawsze powtarzaliśmy dziewczynom, by się do nich nie zbliżały. Żelazne balustrady były za niskie, zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Ale to było takie kuszące. Bo z każdego balkonu rozciągał się ten błogi widok na rzekę. Mama lubiła siadać na swoim, czytać szwedzkie thrillery i popijać chardonnay.

Więc kiedy pędziłam po tych schodach, to przez balkony miałam to potworne, złe przecucie, i kiedy wbiegłam do pokoju, zobaczyłam jedną z moich córeczek Ubrana na białą stała na balkonie i krzyczała.

Ironia losu polegała na tym, że w tamtej chwili wyglądała tak ślicznie. Jej włosy podświetlało zachodzące słońce: miała na głowie płomienną koronę, aureolę, wyglądała jak Dzieciątko Jezus z wiktoriańskich ksiązek z obrazkami, choć jej krzyk mroził mi krew w żyłach.

– Mamo, mamo, mamo, Ly die-lo, to Ly die-lo, ona spada, mamo, pomóż jej, MAMO!

Przez sekundę byłam jak sparaliżowana. Patrzyłam na nią.

Potem z gardłem ściśniętym paniką wyrzalam za barierkę.

Tak była tam moja córka – połamana, leżąca na deskach, krew sączyła jej się z ust, tworząc lśniąca czerwoną kałużę. Wyglądała jak ikona upadłego człowieka, rozrzucone ręce i nogi utworzyły swastykę. Symbol.

Wiedziałam, że Lydia nie przeżyje już w chwili, kiedy zobaczyłam jej ciało ułożone w taki sposób, ale pobiegłam na dół, uniosłam jej wciąż ciepłe ramiona i wyczułam słaby puls. Dokładnie w tej chwili moi rodzice wrócili z pubu. Szli ścieżką przez ogród. Ich oczom ukazała się ta potworna scena. Zatrzymali się i patrzyli jak porażeni, a potem moja mama zaczęła krzyczeć. Tata gorączkowo dzwonił na pogotowie. Zaczęliśmy się kłócić, czy ją przenieść, czy nie, i mama znów krzyczała.

Potem, wszyscy zapłakani, pojechaliśmy do szpitala i rozmawialiśmy z absurdalnie młodymi lekarzami, z młodymi mężczyznami i kobietami w białych fartuchach, którzy w oczach mieli zmęczenie i wstyd. Mruczeli pod nosem swoje zakłęcia.

Ostry krwiak podtwardówkowy, poważne uszkodzenia wątroby, krwotok z siatkówki...

W pewnej chwili Lydia odzyskała przytomność. To było straszne. Zdążył już przyjechać Angus i pochłonął go ten sam horror, wszyscy byliśmy w pokoju – ja i Angus, mój ojciec, wszyscy ci lekarze i pielęgniarki – i wtedy moja córka poruszyła się słabo, uniosła powieki, w ustach miała rurki, spojrzała na nas smutno, melancholijnie, jakby chciała się pożegnać, a potem znów straciła świadomość. I już nigdy jej nie odzyskała.

Nienawidzę tych wspomnień. Pamiętam, jak jedna z lekarek otwarcie stłumiła ziewnięcie, kiedy z nami rozmawiała, po tym jak już stwierdzili zgon. Pewnie miała za sobą długi dyżur. Inny lekarz powiedział, że mieliśmy pecha.

I choć brzmiało to strasznie, technicznie rzecz biorąc, miał rację. Odkryłam to wiele tygodni później, kiedy znów byłam w stanie wpisywać słowa do wyszukiwarki. Większość małych dzieci przeżywa upadek z niecałych dziewięciu metrów, nawet z dwunastu. Lydia miała pecha. My mieliśmy pecha. Upadła nieszczęśliwie. I to odkrycie jeszcze wszystko pogorszyło. Jeszcze trudniej było znieść poczucie winy. Lydia umarła, bo mieliśmy pecha, i dlatego, że nie zajmowałam się nią tak, jak trzeba.

Teraz chcę zamknąć oczy, odciąć się od świata. Ale nie mogę, bo prowadzę. Więc jadę dalej. Kwestionuję rzeczywistość. Kwestionuję swoje wspomnienia.

Która dziewczynka spadła? Czy to możliwe, że wszystko źle zrozumiałam?

Pierwszym i najważniejszym powodem, by pomyśleć, że to Lydia leży tam martwa, było to, że moja druga córeczka tak mi p o w i e d z i a ła.

Mamo, mamo, chodź szybko. Lydie-lo spadła.

I oczywiście kiedy to powiedziała, uznałam, że to prawda. Bo w tamtej chwili nie było innego sposobu, by je od siebie odróżnić. Bo tamtego dnia były ubrane tak ślicznie, ale tak samo. W białe sukienki. Bez niebieskiego, bez żółtego.

To nie był mój pomysł. Same na to nalegały. Już kilka miesięcy przed wakacjami prosiły – domagały się – żebyśmy je ubierali tak samo, tak samo czesali, upodabniali do siebie.

Mamusiu, usiądź między mną i nam poczytaj. Jakby znów chciały się ze sobą połączyć. Jakby na jakiś czas miały dość bycia dwiema różnymi osobami. W tych ostatnich miesiącach czasem budziły się i mówiły, że śniło im się dokładnie to samo. Nie wiedziałam, czy im wierzyć. Wciąż nie wiem. *Czy to możliwe? Żeby bliźnięta miały ten sam sen?*

Możliwe?

Dociskam pedał gazu, jadę dalej, jakbym mogła znaleźć odpowiedź na wybrzeżu. Ale jeśli odpowiedź gdzieś się kryje, to w moim umyśle.

Angus i ja ulegliśmy ich impulsywnym życzeniom – by ubierać je dokładnie tak samo – bo myśleliśmy, że to tylko taka faza, jak napady złości albo ząbkowanie. A poza tym wtedy już dość łatwo można je było rozpoznać po osobowości. Po sposobie, w jaki się ze sobą sprzeczały.

Ale kiedy wbiegłam na górę i zobaczyłam jedną z moich córeczek w białej sukience, bosą i kompletnie oszalałą z rozpacz, nie było żadnej osobowości. Nie w tamtej chwili. Była tylko jedna bliźniaczka, która krzyczała. I krzyczała: *Lydie-lo spadła.* Stąd wiedziałam która. **K i r s t i e.**

Czy mogliśmy się pomylić?

Nie wiem. Zgubiłam się w sali lustrzanych dusz. I znów przesywa mnie to okropne zdanie:

Mamo, mamo, chodź szybko, Lydie-lo spadła.

To wtedy moje życie pękło. Wtedy straciłam córkę. Wtedy wszystko pokryła czerń.

Tak jak teraz. Wstrząsa mną rozpacz. Wspomnienia są tak żywe, że mnie paraliżują. Jestem bliska lez. Ręce drżą mi na kierownicy.

Dość tego. Muszę się zatrzymać, muszę wysiąść, odetchnąć. Gdzie jestem? Gdzie jesteśmy? Na peryferiach Fort William?

O Boże. O Boże. Po prostu się **ZATRZYMAĆ.**

Szarpię kierownicą i gwałtownie skręcam, prosto na parking przy stacji BP. Opony wzbijają żwir, o mało nie wjeżdżam w dystrybutor paliwa.

Silnik powoli stygnie. Cisza jest jak szok

– Mamusiu?

Spoglądam we wsteczne lusterko. Grzbietem dłoni ocieram łzy. Kirstie wpatruje się we mnie. Patrzę na jej odbicie, tak jak ona tak wiele razy musiała patrzeć w lustro, widzieć drugą siebie. A równocześnie swoją zmarłą siostrę.

A teraz Kirstie u ś m i e c h a s i ę do mnie.

Dlaczego? Czemu się uśmiecha? Milczy i nawet nie mruga oczami: a jednak ten uśmiech? Jakby chciała mnie nastraszyć.

Nagle ogarnia mnie lęk. To niedorzeczne i absurdalne, a jednak nie mogę temu zaprzeczyć.

Muszę wysiąść. Natychmiast.

– Mamusia tylko kupi sobie kawę, dobrze? Po prostu... po prostu muszę się napić kawy. Chcesz coś?

Kirstie milczy. Kurczowo przytula Lamparcika, zaciska pięści. Jej uśmiech jest zimny i pusty, a jednak w jakiś sposób znaczący. Lydia czasem uśmiechała się w ten sposób. Cicha, smutna Lydia, ta bardziej ekscentryczna. Moja ulubiona.

– Nie tanowią, dzięki. Poproszę tylko kawę.

Jest za gorąca, by ją pić. Chwiejnym krokiem wychodzę na ostre, pachnące morzem powietrze. Próbuję zapanować nad sobą. Uspokój się, Saro, uspokój się.

Z kubkiem gorącej americano w ręce wsiadam do samochodu. Oddycham głęboko, jakby to miała być terapia. Spowalням bicie serca. A potem zerkam w lusterko. Kirstie nadal milczy. Przeszła się uśmiechać, odwróciła się. Drapie za uchem Beany'ego i patrzy przez okno na podmiejskie domki rozrzucone przy drodze. Na tle majestatycznych Highlands wyglądają jakoś głupio i dziwnie, po angielsku, z grzeczny mi oknami i pretensjonalnymi ganceczkami.

Dalej, dalej, dalej.

Przekręcam kluczyk i odjeżdżamy. Mamy przed sobą długą drogę do Fort Augustus. Do Loch Lochy, Loch Garry, Loch Cluanie. To tak daleko, tak daleko już zajechałyśmy. Myślę o życiu przed wypadkiem, o szczęściu, które tak łatwo legło w gruzach. Nasze życie było jak z kruchego lodu.

– A t e r a z już prawie jesteśmy?

Wyrwa mnie z zamyślenia. Znow zerkam w lusterko.

Kirstie spogląda na szczyty gór zasnuwane szarą mgłą, spowite deszczem. Uśmiecham się, żeby jej dodać otuchy, mówię „tak” i wiozę moją córkę, Beany'ego i nasze nadzieje wąską, jednopasmową drogą przecinającą bezkresne pustkowia.

Ale naprawdę już prawie jesteśmy na miejscu. I odległość, która dzieli mnie od mojego dawnego ja, od dawnego życia, mojej martwej córki, jej prochów rozsypanych na plaży w Instow, wydaje się słuszną, dobrą i konieczną. Jeśli czeokolwiek pragnę, to oddalić się jeszcze bardziej. Ta dwudniowa podróż z Camden do Szkocji, nocleg w Scottish Borders, to wszystko jest wspaniałe i odpowiednio podkreśla życiową zmianę, której dokonujemy. Ta odległość jest tak wielka, że nie ma już powrotu.

Czuję się tak, jakby to była dziewiętnastowieczna migracja. Jakbyśmy byli dziewiętnastowiecznymi pionierami zmierzającymi do Oregonu. Więc ścisam kierownicę i próbuję zostawić przeszłość za sobą, nie myśleć o tym, kto siedzi na tylnym siedzeniu, który tańczący, heraldyczny jednorożec, który duch samej siebie. To Kirstie. To musi być Kirstie. To Kirstie.

– To tutaj, Kirstie, patrz.

Zbliżamy się do Skye. Zardzewiały rodzinny ford focus klekocze przez turystyczny, smagany deszczem port Kyle of Lochalsh, a potem główna droga prowadzi nas ku wielkiemu mostowi. Nagle deszcz przestaje padać.

Pod strzelistym mostem toczą się szare, spienione wody Loch Alsh – przepaść pod nami przyprawia o zawrót głowy. Nurkujemy w dół i wyjeżdżamy na rondzie.

Dotarliśmy na Skye. Mała grupka podmiejskich domków szybko ustępuje pustce.

To udręczony, a jednak piękny krajobraz. Na lewo wyspy i góry odbijają się w ciemnych

wodach koloru indygo. Faliste wrzosowiska opadają ku szumiącemu wybrzeżu. Płynie samotna łódź. Plantacja jodeł – przedzielona drogą, która wydaje się wieść donikąd – znika wśród tych mrocznych ponurych zastępów, a potem przechodzi w czerń.

Jest surowo, onieśmiałąco i bardzo pięknie. Na wzgórzach w oddali lśnią romby jesiennego światła, jak zgrane ze sobą płomienie, poruszają się cicho i bardzo szybko. I kiedy zwalniamy przy bramach oddzielających od siebie pastwiska, widzę szczegóły: rośną na trawie oświetla słońce i zmienia ją w małe rozedrgane klejnoty.

Jesteśmy zaledwie kilka mil od Ornsay. Droga robi się szersza i zaczyna rozpoznawać zielone wzgórza i stalowoszare fiordy z tych wszystkich zdjęć, które widziałam w Google.

– Widzę tatusia!

Kirstie z zapalem pokazuje palcem. Beany powarkuje.

Zwalniam i podążam wzrokiem w stronę, w którą wskazuje. Tak ma rację. Na kamiennej przystani przed dużym, białym wiktoriańskim budynkiem z dwuspadowym dachem, skąd rozciąga się widok na rozległą cieśninę, stoi dwóch mężczyzn. Poznają ich, to Angus i Josh Freedland. Josh ma bardzo charakterystyczne rude włosy.

To jest to. To musi być to. Selkie i parking przy pubie, nad samym morzem. A wieś Ornsay to z pewnością te porozrzucane zadbane ogródki, dawne zagrody i przeszkłone nowe budynki otaczające maleńką przystań.

A to z kolei oznacza najważniejsze – podnoszę wzrok, jak w kościele – że ta maleńka wysepka z maleńką latarnią morską w dali, na wodach cieśniny, wysepka, która wydaje się przytłoczona pięknem i ogromem oceanu i gór, to cel naszej podróży.

To mój nowy dom. Jej nazwa jest jak bicie dzwonu.

Torran.

Pięć minut jazdy wąskimi uliczkami i docieramy do parkingu i The Selkie, i nerwowego stukania przy cumowanych łodzi poruszających się na wietrze. Talrepy, spinakery, bukszpryty – nie wiem, co oznaczają te słowa, ale nauczę się. Będę musiała poznać ten nowy morski język, stosowny dla kogoś, kto mieszka na wyspie. I mimo wszelkich obaw podoba mi się ten pomysł. Chcę, by wszystko było nowe.

– Witaj, kochanie – mówi Angus do Kirstie, która nieśmiało, z wahaniem wysiada z samochodu. Mruga na wietrze. Jak zawsze kurczowo przy ciska Lamparcika do piersi.

Pies warczy i rusza za moją córką, wyskakując na asfalt.

– Cześć, Beano! – wita go Angus i uśmiecha się jeszcze szerzej. Kocha tego psa.

Mimo całego tego smutku jestem zadowolona. Wbrew wszystkiemu udało mi się szczęśliwie dowieźć psa i córkę na miejsce.

– Przywitaj się z wujkiem Joshem, kochanie – prosi Angus moją rozglądającą się z otwartymi ustami siedmioletnią dziewczynkę. Mnie dziękuje kolejnym uśmiechem, kiedy Kirstie grzecznie i nieśmiało mówi do niego cześć.

– Podróż cię nie wykończyła? – pyta Josh, przyglądając mi się bacznie.

– To były ty lko dwa dni – odpowiadam. – Mogłabym jechać jeszcze dalej.

– Ha!

– Angus, może następnym razem przeprowadzimy się do Władystoku?

Angus śmieje się uprzejmie. Tu, w Szkocji, już wydaje mi się bardziej Szkotem. Ma bardziej zarumienione policzki, ciemniejszy zarost i zdecydowanie jest trochę bardziej brudny: bardziej

obszarpany, przesiąknięty morską solą i męski. Zamiast fioletowych jedwabnych krawatów, które nosił jako architekt, teraz ma podrapane ręce i ślady farby we włosach. Jest tutaj od trzech dni i przygoto wuje dom, by się nadawał do zamieszkania dla mnie i Kirstie.

– Josh podrzuci nas swoją łodzią.

– Słuchajcie – mówi Josh, całując mnie serdecznie w oba policzki. – Na pr aw d ę m u s i c i e sprawi sobie łódź. Torran bez łodzi to jakiś koszmar. Przyptywy i odpływy doprowadzą was do oblędu.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Dzięki, Josh. Dokładnie to chcieliśmy usłyszeć pierwszego dnia.

Szczerzy zęby w ten swój chłopięcy sposób i przy pominam sobie, że go lubię. To mój ulubiony przyjaciel Angusa. Pomaga też to, że nie pije – jest absolutnym abstynentem. Bo to przyhamuje Angusa.

Jak grupa odkrywców wyruszająca w świat schodzimy po schodach na łódź Josha. Beany idzie za Joshem, poganiany przez Angusa, i z nieoczekiwanym wdziękiem wskazuje na pokład. Za nim Kirstie. Jest podekscytowana, w ten dziwny, spokojny sposób, w jaki bywała podekscytowana Lydia. Jej głowa jest zupełnie nieruchoma, jakby wpadła w katatonię, ale w jej oczach widać błysk. Jest oczarowana.

– Wszyscy na pokładzie, do diaska! Ahoj, Torran! – woła Josh, chcąc rozweselić Kirstie, a ona chichocze. Josh odpycha łódź od przystani, Angus bardzo szybko wybiera linę i tak rozpoczynamy naszą miniaturową, a jednak najważniejszą podróż. Mijamy większą wyspę pływową Salmadair, leżącą między Torran i Ornsay.

– To tutaj mieszka ten miliarder od opakowań.

Połowę uwagi poświęcam Salmadair, a połowę szczęśliwej twarzyczce Kirstie. Jej jasnoniebieskie oczy wpatrują się w zachwycie w wodę, wyspy i bezgraniczne hebrydzkie niebo.

Przy pominam sobie jej rozpaczliwy krzyk.

Mamo, mamo, chodź szybko. Lydie-lo spadła.

I znów z bolesną siłą uderza mnie, że w rzeczywistości te słowa są jedynym dowodem, że to Lydia zginęła, nie Kirstie. Ale czemu w nie uwierzyłam?

Bo nie istniał żaden oczywisty powód, żeby kłamać. Akurat w tamtej chwili. Może jednak była jakoś dziwnie zdezorientowana. I rozumiem, dlaczego mogło tak być, bo tamtego feralnego lata nieustannie zamieniały się imionami, a nawet całym tożsamościami. Ubieraliśmy je wtedy tak samo, czesaliśmy identycznie. Tamtego lata lubiły grać ze mną i z Angusem w tę grę. Kto ja jestem, mamusiu? Kto ja jestem?

Więc może grały w tę grę również tamtego wieczoru? A potem nadeszła katastrofa. I to fatalne zamazanie tożsamości zamarzło, utrwaliło się, jak ryśa na lodzie.

Może Kirstie wciąż bawi się w tę grę. Ale bawi się w nią w najbardziej przerażający sposób. Może to dlatego się uśmiecha. Może robi to, żeby mnie zranić i żeby mnie ukarać.

Ale ukarać za co?

– No dobra – mówi Angus. – To jest Torran.

6

Przez następnych pięć dni jest tylko praca. Nie mam czasu, by się zatrzymać, odetchnąć ani nad niczym głęboko zastanowić. Domek jest w koszmarnym stanie. Bóg wie jak wyglądał, zanim Angus p r z y g o t o w a ł g o na nasze przybycie.

Nasz nowy dom wygląda całkiem sensownie: dwie białe chatki z dwuspadowym dachem, zaprojektowane przez ojca Roberta Louisa Stevensona w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku i około 1950 roku połączone w jeden budynek. Ale już pierwsza godzina oględzin udowadnia ponad wszelką wątpliwość, że nikt nic tam od tego czasu nie zmieniał.

Kuchni nie da się opisać. Lodówka jest zbutwiała, w środku jest coś czarnego. Trzeba będzie wszystko wyrzucić. Kuchenka nadaje się do użytku, ale jest potwornie brudna. Po południu pierwszego dnia czyszczyć ją godzinami, aż kolana bolą mnie od kłęczenia, ale kiedy zapada wieczór – tak wcześnie, tak wcześnie – jestem dopiero w połowie. I nie tknęłam jeszcze nawet głębokiego ceramicznego zlewu, który śmierdzi tak okropnie, jakby w nim zarzynano morskie ptactwo.

Reszta jest w trochę lepszym stanie. Z kranu nad zlewem cieknie brudna woda: Angus zapomniał mi powiedzieć, że naszym jedynym źródłem bieżącej wody będzie cienka plastikowa rura biegnąca ze stałego lądu – i że ta rura jest odsłonięta na grobli podczas odpływu. Musi być strasznie nieszczelna i wpuszczać morską wodę. Podczas odpływu nawet w i d zę nieszczelne miejsca, kiedy wyglądam przez okno w kuchni – radosne fontanny tryskają z rury i witają się z niebem.

Z powodu tego skażenia słoną wodą musimy wszystko gotować. A i tak wciąż wszystko smakuje rybą. To oznacza, że naprawa źródła wody jest absolutnie konieczna – nie możemy ciągle przywozić wody w butelkach z supermarketu Co-op z Broadford. Nie mamy na to ani pieniędzy, ani czasu. Filtrowanie albo oczyszczanie wody tabletkami jest zbyt skomplikowane i czasochłonne, żeby mogło być dobrym rozwiązaniem na dłuższą metę. Ale jak skusimy wodociągi, żeby nam pomogły? Jesteśmy przecież tylko trojgiem ludzi, którzy z własnej woli postanowili zamieszkać na tej absurdalnie odizolowanej wyspie.

Może kiedy wodociągi wreszcie przyjdą nam z pomocą, z litości pomogą nam również pozbyć się szczurów.

Szczury są wszędzie. Słyszę je w nocy, budzą mnie skrobaniem w ściany, zabawami i wyścigami, tańcami i piskami. To oznacza, że całe jedzenie musimy trzymać w drucianych koszach podwieszanych w kuchni na metalowej linie do suszenia ubrań.

Chciałabym powkladać jedzenie do kuchennych szafek, ale wszystkie są wilgotne i zbutwiałe. Kiedy pierwszy raz otworzyłam największy kredens, nie znalazłam w nim nic prócz pleśni, brudu,

pustki – i małego zbiałego szkieletu ryjówki na środku półki.

Był jak piękny muzealny eksponat: coś dziwnego i pięknego zarazem, makabrycznego, ale wspaniałego. Angus musiał go wyrzucić do morza.

Teraz mija piąty dzień, i siedzę tu upaprana i wykończona, sama w rozprasanych jedynie pojedynczą lampą ciemnościach. Patrzę na pachnące, trzaskające w płomieniach polano rozsypujące się w nicość, bo lubię się przyglądać, jak ogień gaśnie. Angus chrapie w naszej sypialni na wielkim, starym drewnianym łóżku, które nazywa łóżem admiralskim. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta nazwa. Moja córka też śpi w swoim pokoju, przy zapalanej nocnej lampce, na drugim końcu domu.

Z płomienia wyskakuje wielka iskra i pada na turecki dywanik. Nie ruszam się z miejsca, bo wiem, że jest za mocno przesycony wilgocią, by się zająć ogniem. Spoglądam na listę rzeczy do zrobienia, które wypisałam sobie w notesie. Jest okropnie długa, a jednak – mimo półmroku – wciąż dopisuję nowe pozycje.

Musimy zdobyć łódź. Angus codziennie negocjuje z tymi, którzy chcą jakąś sprzedać, ale łodzie są irytująco drogie. Nie możemy jednak kupić niczego tańszego, bo to wiązałoby się z ryzykiem, że łódź zatoni.

Musimy też naprawić telefon: prastary czarny bakelitowy aparat z lat sześćdziesiątych, który stoi na stoliku w chłodnej jadalni, jest upstrzony kroplami starej farby i zagadkowo przypalony od dołu. Kiedyś ktoś musiał go postawić na rozgrzanej kuchence. Tak mi się wydaje. Może kompletnie upili się whisky, próbowali się ogrzać i nie myśleć o szczurach.

Bez względu na to, jak było, w telefonie strasznie trzeszczy i ledwie da się rozpoznać głos tego, kto jest po drugiej stronie. Obawiam się, że to dlatego, że linia jest skorodowana, przeżarta morską wodą, a to oznacza, że samo kupienie nowego aparatu niczego nie naprawi. Oczywiście nie mamy dostępu do internetu ani zasięgu sieci komórkowej. Poczucie izolacji jest przytłaczające.

Ala co mogę zrobić?

Dokończyć listę.

Wsluchuję się w skrzypienie starego domu. Trzeszczy na słabym wietrze nad cieśniną. Wsluchuję się w trzask drewna, które pali się niechętnie, przesiąknięte słoną wilgocią. Wszystkie moje ubrania pachną dymem.

Co jeszcze? Musimy rozpakować wszystkie naczynia i szło: wciąż są w pudłach, które skrzętnie przewieźli Josh, Angus i ludzie z firmy zajmującej się przeprowadzkami. Na razie pijemy czerwone wino ze słoików po dżemie.

Podkreśliłam słowo pudła i rozglądam się.

Na niektórych ścianach są dziwne, niepokojące malowidła: tancerze, syreny i szkoccy wojownicy. To pewnie dzieło wracających tu przez wiele lat dzikich lokatorów. Będą musiały zniknąć. Są trochę upiorne. Graciarnia na tyłach kuchni jest jeszcze gorsza – bałagan z setek lat. Zostawię to Gusowi. Poza tym duża szopa się rozpada i jest zabrudzona przez ptactwo. Otoczony płotem ogródek jest zachwaszczony i kamienisty i miną lata, zanim uda się go doprowadzić do przyzwoitego stanu.

Jest jeszcze toaleta obok łazienki. Na zbiorniku na wodę wciąż jeszcze leży kartonik, na którym babcia Angusa własnoręcznie napisała: *Proszę, zostaw kamień na muszli, leży tu po to, żeby nie przychodziła norka.*

Dopisuję do listy: *Naprawić toaletę*. A potem jeszcze: *Zabić norkę*.

Wpatruję się w to i uśmiecham się pod nosem.

Mimo wszystko wciąż czuję satysfakcję, przeżyłsk przyszłego zadowolenia. To przedsięwzięcie jest słuszne, gigantyczne, niesie mnóstwo wyzwania, a jednak podoba mi się, pochłania całą moją uwagę. Wiem na pewno, co będę robić przez następnych trzydzieści miesięcy: zmieniać ten piękny, choć straszny budynek w cudowny dom. Przywracać do życia to, co martwe.

O to chodzi. Nie mam wyboru. Muszę się z tym pogodzić. I robię to chętnie.

Są też poważne plusy. Dwie większe sypialnie i ten salon nadają się do zamieszkania. Ściany są otylnowane, kaloryfery działają. Potencjał pozostałych sypialni, jadalni i komórki przy kuchni jest oczywisty. Dom jest wielki.

Lubię też latarnię, zwłaszcza nocą. Wydaje mi się, że błyska co dziewięć sekund. Nie tak jasno, żeby mi nie dawała spać. Właściwie to pomaga mi spać, jak metronom, jak bardzo powolne bicie serca matki.

I wreszcie, co chyba najważniejsze, widok zapiera mi dech w piersi. Choć spodziewałam się takiej scenerii, wciąż przepelnia mnie podziwem. Codziennie.

Czasem przyłapuję się na tym, że stoję z pędzlem w ręce i wiadrem benzyny lakowej u stóp i patrzę z otwartymi ustami. A potem się otrząsam i zdaję sobie sprawę, że przez dwadzieścia minut wpatrywałam się w promienie słońca wbijające się jak włócznie w płowe góry, zalewające złotem ciemne skały, w leniwie przepływające białe chmury nad ośnieżonymi szczytami Knoydart: Sgurr nan Eugallt, Sgurr a'Choire-bheithe, Fraoch Bheinn.

Z długopisem w ręce i notatnikiem na kolanach zapisuję te słowa.

Sgurr nan Eugallt, Sgurr a'Choire-bheithe, Fraoch Bheinn.

Angus mnie ich uczy. Tych pięknych, płynnych, przesiąkniętych solą gaelickich nazw, które stapiają się z kulturą jak potoki z Cuillin wpadające do Loch Coruisk. Wieczorami razem pijemy whisky. Angus pokazuje mi te gaelickie nazwy na mapie, a ja powtarzam za nim tajemnicze spółgłoski i samogłoski. Śmieję się cicho, jestem zadowolona. Przytulamy się pod kocem, czule, jesteśmy razem. Z moim mężem.

Angus śpi teraz w naszym łóżku i chciałabym już do niego dołączyć. Ostatni raz dzisiaj zapisuję nazwy wzgórz, jakby były zaklęciem mającym ochronić małą rodzinę. Moorcroftów. Samotnych na własnej wyspie z maleńkimi srebrzystymi plażami i ciekawskimi fokami.

Długopis niemal wysuwa mi się z ręki. Czuję, że opada mi głowa. Czuję się głęboko, przyjemnie zmęczona. Takie zmęczenie rodzi się z ciężkiej fizycznej pracy.

Coś mnie jednak budzi.

– Mamusiu, mamusiu...

Wola mnie jakiś głos. Stłumiony drzwiami i odległością.

– Mamusiu?! Mamo?!

To pewnie kolejny koszmar. Upuszczam notes, sięgam po latarkę, włączam ją i idę ciemnym zimnym korytarzem do jej pokoju. Drzwi są zamknięte. Mówi przez sen?

– Mamusiu...

Jej głos brzmi dziwnie. Przez chwilę stoję absurdalnie sparaliżowana pod drzwiami. Nie chcę tam wchodzić.

Boję się.

To niedorzeczne, ale serce bije mi jak szalone, w panice. Nie mogę wejść do pokoju własnej

córki? Powstrzymuje mnie coś niespodziewanego, jakby za tymi drzwiami kryło się jakieś zło, lęk jak z naiwnego dzieciennego horroru, strach przed duchami. Potwory pod łóżkiem, potwory w mrocznych kątach. Może kiedy otworzę, moja córka uśmiechnie się do mnie w ten dziwny sposób. Tak jak wtedy, w samochodzie. Jakby chciała mi namącić w głowie, ukarać mnie. Pozwoliłaś umrzeć mojej siostrze. Nie było cię tam.

Ale to jakieś brednie. To tylko wspomnienia tego, jak ojciec na mnie krzyczał. Zawsze tyle wrzeszczał, kiedy nie układało mu się w pracy. Krzyczał na kulącą się ze strachu matkę. Słyszałam krzyki za drzwiami, jak potwory, albo jak odgłos grzmotu, i zamknięte drzwi wytrącają mnie z równowagi.

Więc nie. Jestem lepszą matką.

Próbuję się uspokoić i przekręcam gałkę. Przechodzę przez próg i wpatruję się w półmrok.

Niepokój natychmiast znika i patrzę na nią z troską: siedzi na łóżku i zdecydowanie się nie uśmiecha. Po jej policzkach płyną łzy. Co się stało? Nocna lampka wciąż jest włączona, choć rzuca tylko słabe światło. Co jest nie tak?

– Kochanie, kochanie, co się stało? O co chodzi?

Opadam na łóżko obok niej, przytulam ją, a ona płacze cicho kilka minut. Kołyszę ją, ściskam mocno. Milczy, w jej oczach widzę udrękę.

To na pewno był kolejny koszmar. Kirstie szłocha, szłocha. Morze towarzyszy jej w smutku, słyszę fale na zewnątrz, niespokojne, pełne tęsknoty. Wdech i wydech. Zastanawiam się, kto zostawił otwarte okno. Może Angus. Lubi świeże powietrze.

Moja dziewczynka powoli milknie. Ujmuję jej twarz w dłonie, czuję na palcach ciepłe, wilgotne łzy.

– No powiedz, kochanie. O co chodzi? Znowu miałaś zły sen?

Moja córeczka kręci głową. Wydaje z siebie zduszony szloch. Potem znów potrząsa głową, podnosi palec i wskazuje na coś.

Na jej łóżku leży duża wydrukowana fotografia. Biorę ją do ręki i natychmiast przesywa mnie ból. Zdjęcie jest kiepskiej jakości, wydrukowane z komputera, ale wyraźnie widać, co przedstawia. To radosne zdjęcie Lydii i Kirstie podczas wakacji w Devon, mniej więcej rok przed wypadkiem. Są na plaży w Instow, uśmiechają się, ubrane w różowe bluzeczki z kapturkami, trzymają wiaderka i łopatkę, mrużą oczy w słońcu. Ale uśmiechają się szczęśliwie do mnie i do obiektu w moim telefonie.

Ból przetacza się przeze mnie jak bezustanny wodospad z wodą zabarwioną torfem.

– Kirstie, skąd to masz?

Milczy. Jestem oszołomiona. Razem z Angusem już dawno postanowiliśmy, że większość zdjęć – w miarę możliwości wszystkie – ukryjemy przed naszą córką, by nie wracały wspomnienia. Może znalazła je w którymś z nieprzejrzanych kartonów?

Znów wpatruję się w fotografię, próbuję nie zwracać uwagi na zbierający we mnie smutek. Ale to takie trudne. Wydają się takie bez troskie i szczęśliwe. Tak siostrzane w słońcu, tak sobie bliskie. Nagle zdaję sobie sprawę, że w jakiś sposób moja córka została osierocona.

Kirstie odsuwa się ode mnie, ubrana w różową piżamkę, wyjmuje mi z ręki zdjęcie, odwraca je i pokazuje mi w słabym świetle.

– Która jestem ja, mamusiu?

– Kochanie?

– Która jestem ja? Mamusiu? Która?

Pomocy. O Boże. To nie do zniesienia: bo nie znam odpowiedzi. Prawda jest taka, że nie wiem. Dosłownie nie jestem w stanie ich rozróżnić. Na tym zdjęciu nie ma żadnych wskazówek. Powinnam skłamać? Co będzie, jeśli odpowiem źle?

Kirstie czeka. Nie odzywam się: mruczę pod nosem coś bez sensu, wydaję pocieszające pomruki, zastanawiam się, jak skłamać. Ale nie znam odpowiedzi, i to tylko wszystko pogarsza.

Przez krótką, pełną napięcia chwilę Kirstie wpatruje się we mnie, a potem zanosi się głośnym płaczem: rzuca się na łóżko, bije w nie rękami, dostaje napadu złości jak dwuletnie dziecko. Krzyczy strasznie, rozdzierająco, płacze rozpaczliwie, ale wyraźnie rozróżniam słowa.

– Mamusiu? Mamusiu? Mamusiu? Kim ja jestem?

Mija godzina, zanim udaje mi się ją uspokoić, pocieszyć na tyle, by wreszcie zasnęła. Kurczowo ściska Lamparcika, jakby próbowała go udusić. Potem ja nie mogę zasnąć. Przez sześć męczących godzin leżę obok chrapiącego Angusa, wzburzona, z płonącymi gniewem oczami – i rozpamiętuję to, co powiedziała.

Kim ja jestem?

Jakie to musi być uczucie nie wiedzieć, kim się jest? Nie być pewnym, które j a nie żyje?

O siódmej rano wstaję, zdesperowana, sięgam po trzeszczący telefon i dzwonię do Josha. Ziewając, zgadza się podwieźć mnie łodzią o świcie do naszego samochodu, zaparkowanego przy The Sellkie. Akurat jest przy płycie. Oczywiście Angus wchodzi zaspany do jadalni i patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Odkładam telefon. Dlaczego dzwoniisz do Josha? Gdzie się wybierasz tak wcześnie rano? Co się dzieje? Ziewa.

Próbuję odpowiedzieć i słowa więzną mi w gardle. Nie chcę mu powiedzieć prawdy, jeszcze nie teraz. Zrobię to dopiero, kiedy będę musiała. To wszystko jest zbyt dziwne i przerażające – wolałabym skłamać. Może kiedyś powinnam była to robić częściej. Może nie powinnam była powiedzieć o tym romansie wiele lat temu. Może zniszczyłam coś w naszym małżeństwie i nigdy nie doszliśmy do siebie? Ale nie mam czasu na poczucie winy. Więc wyjaśniam, że muszę wcześniej wyjechać, dotrzeć do Glasgow i zebrać materiały do artykułu, bo mam zlecenie od Imogen, a potrzebuję pracy, bo przydadzą się nam pieniądze. Mówię mu, że Kirstie znów śnił się koszmar i żeby ją pocieszał, kiedy mnie nie będzie.

Koszmar. Po prostu koszmar.

Kłamstwo brzmi mało przekonująco, ale wygląda na to, że Angus je kupił.

Josh przyłączył się do łodzi, wciąż zaspany. W drodze do Ornsay mijamy Salmadair. Wbiegam po schodach na przystań, wskakuję do samochodu i jadę jak szalona do Glasgow – z Kyle do Fort William, i dalej, do centrum. Po drodze dzwonię do Imogen i proszę ją o przyśługę. Zna jednego z najlepszych w Szkocji psychiatrów dziecięcych. Malcolm Kellowaya. Wiem o tym, bo kilka miesięcy temu czytałam jej artykuły, w których wychwalała go za prace na temat współczesnego macierzyństwa. Teraz domagam się, by mi pomogła.

– Możesz mi załatwić spotkanie? Od razu?

– Co?

– Immy. Proszę. – Wpatruję się w udręczone, posępne Rannoch Moor, równocześnie prowadzę i rozmawiam przez telefon. Nie sądzę, żeby w okolicy była policja, żeby ktoś mnie aresztował za nieostrożną jazdę. Kiedy od czasu do czasu zza chmur wygląda słońce, małe jeziora lśnią brudnym srebrem. – Proszę, Immy. Naprawdę tego potrzebuję.

– No cóż... dobrze. Mogę spróbować. Oddzwoni do ciebie, jeśli się zgodzi. Ale... Saro?
Wszystko w porządku?

– Tak?

– Saro... po prostu... no wiesz...

– Imogen!

Jak przyjaciółka – przyjaciółka, która była przy mnie od zawsze – pojmuję i przestaje zadawać pytania. Rozłącza się, by spróbować spełnić moją prośbę. I faktycznie, jadę dalej, i oddzwaniają do mnie z jego gabinetu. Zgodził się mnie przyjąć za cztery godziny.

Dziękuję, Imogen.

A teraz siedzę tu, w jego gabinecie przy George Street. Psychiatra, doktor Malcom Kellaway, siedzi na skórzanym obrotowym krześle przy skromnym metalowym biurku. Dłonie ma złożone jak do nabożnej modlitwy. Podbródek opiera na stykających się palcach.

Pyta mnie po raz drugi:

– Naprawdę pani wierzy, że tamtego wieczoru w Devon mogła pani popełnić błąd?

– Nie wiem. Nie. Tak. Nie. W i e m.

Znów milczenie.

Za oknem niebo nad Glasgow już ciemnieje, a jest dopiero wpół do trzeciej.

– W porządku. Przyjrzyjmy się jeszcze raz faktom.

I jeszcze raz wypytuje mnie o fakty. O fakty, szczegóły, śmierć mojej córki, ewentualne załamanie dziecka, które przeżyło.

Slucham słów, które recytuje, ale tak naprawdę wpatruję się w ciemne chmury kłębiące się za kwadratowymi oknami, z parapetami z czarnego granitu. Glasgow. Zimą to takie szatańskie miasto – wiktoriańskie i ponure, radośnie złowrogie. Dlaczego tutaj przyjechałam.

Kellaway ma kolejne pytanie:

– Ile z tego omówiła pani z mężem, pani Moorcroft?

– Niewiele.

– Dlaczego?

– Po prostu... nie chciałybyśmy wszystkiego pogorszyć... To znaczy... zanim nie będę p e w na.

Znów dopadają mnie wątpliwości: co ja tutaj robię? Jaki to ma sens? Malcolm Kellaway jest mężczyzną w średnim wieku, ale nosi dżinsy i wydaje się w nich jakiś nieprzekonujący. Ma irytująco zniewieściałe gesty, śmieszny sweter z golfem i okulary bez oprawek, o dwóch idealnie okrągłych szklach, które mówią: o oo. Co ten człowiek może wiedzieć o mojej córce, czego ja nie wiem? Co takiego może mi powiedzieć?

Wpatruje się we mnie zza tych okularów i stwierdza:

– Pani Moorcroft, może pora przejść od tego, co wiemy, do tego, czego nie wiemy albo nie możemy wiedzieć.

– W porządku.

– Zacznijmy od najważniejszego. – Pochyliła się do przodu. – Po pani telefonie dziś rano sam spróbowałem się dowiedzieć kilku rzeczy i skonsultowałem się z kolegami po fachu z Royal Infirmary. Tak jak podejrzewałem, obawiam się, że nie ma skutecznego sposobu na rozróżnienie bliźniąt jednojajowych, zwłaszcza w tych dość unikalnych okolicznościach, w jakich się pani znalazła.

Spoglądam na niego.

– DNA?

– Nie. Niestety. Nawet gdybyśmy mieli – krzywi się, wypowiadając kolejne słowa – wystarczająco dużą próbkę od pani zmarłej córki, standardowe testy DNA niemal na pewno nie wykryłyby żadnej różnicy. Bliźnięta jednojajowe są identyczne. Nie dotyczy to tylko ich twarzy czy ciała, ale również genów. To problem nawet dla policji. Były przypadki, kiedy bliźnięta nie zostały skazane za przestępstwa, które popełniły, ponieważ policja nie była w stanie stwierdzić, które z nich je popełniło, choć miała do dyspozycji i próbki DNA z miejsca zbrodni.

– A co z odciskami palców? Nie różnią się?

– Tak, czasem są niewielkie różnice w odciskach palców i odciskach stóp, nawet u bliźniąt jednojajowych. Ale oczywiście pani córka, ach... została skremowana, prawda?

– Tak

– I od żadnej z dziewczynek nie pobierano wcześniej odcisków palców?

– Nie.

– Sama pani widzi, na czym polega problem.

Wzdycha, niespodziewanie energicznie. Potem wstaje, podchodzi do okna i spogląda na latarnie, które właśnie się zapalają. O trzeciej po południu.

– Problem jest dość trudny do rozwiązania, pani Moorcroft. Gdyby obie pani córki żyły, znaleźlibyśmy inne sposoby, żeby je móc rozróżnić w przyszłości. Może dałoby się użyć wzorów rozgałęziających się naczyń krwionośnych twarzy, termografii twarzy, ale ponieważ jedna z nich nie żyje, a pani chce to zrobić retrospektywnie... To jest oczywiście niemożliwe. Anatomia nam w tym nie pomoże.

Odwraca się i spogląda na mnie. Siedzę w żenująco głębokim skórzanym fotelu. Czuję się jak małe dziecko, ledwie dotykam nogami podłogi.

– Ale może to wszystko nie jest potrzebne.

– Słucham?

– Myślmy pozytywnie, pani Moorcroft. Spójrzmy na to inaczej i zobaczymy, co może nam powiedzieć psychologia. Wiemy, że utrata brata albo siostry jest dla bliźniąt szczególnie bolesna.

Kirstie. Moja biedna Kirstie.

– Bliźnięta jednojajowe, które straciły brata albo siostrę, mają znacznie wyższe wyniki w czterech z ośmiu skal kwestionariusza do badania osób przeżywających głęboki smutek po utracie kogoś bliskiego. W większym stopniu doświadczają rozpacz, poczucia winy, pogrążają się w ponurych rozmyślaniach i depersonalizacji. – Wzdycha, ale za chwilę mówi dalej: – Biorąc pod uwagę ten przytłaczający smutek, a zwłaszcza depersonalizację, istnieje możliwość, że pani córka Kirstie ma po prostu halucynacje albo urojenia. Lekarze z Uniwersytetu Edynburskiego przeprowadzili badania. Badali bliźnięta, które utraciły brata albo siostrę. Odkryli, że u bliźniąt, które utraciły brata albo siostrę, częściej występują zaburzenia psychiczne.

– Kirstie traci rozum?

Kellaway stoi na tle ciemnego okna.

– Nie, jest raczej niezrównoważona. Może nawet bardzo. Proszę wziąć pod uwagę, co przeżywa w samotności: sama jest żywym wspomnieniem swojej zmarłej siostry. Widzi ją za każdym razem, kiedy spogląda w lustro. Pośrednio doświadczają również tego samego zagubienia, którego pani doświadczają. I którego doświadczają pani mąż. Proszę też pomyśleć o tym, jak bardzo musi się bać zbliżających się samotnych urodzin, życia we względnej izolacji. Przecież od

urodzenia miała siostrę bliźniaczkę. Z całą pewnością czuje się samotna w stopniu, którego żadne z nas nie jest w stanie do końca pojąć.

Próbuję się nie rozplakać. Kellaway ciągnie:

– Musi być głęboko zdezorientowana. Poza tym bliźniaczka, która przeżyła, może doświadczać poczucia winy i wyrzutów sumienia po śmierci siostry. Czuję się winna, że to ona została wybrana, by dalej żyć. To poczucie winy pogłębia się jeszcze bardziej, kiedy widzi smutek rodziców, zwłaszcza jeśli ci rodzice są skłóceni. Więc po czymś takim często dochodzi do rozwodu. Niestety to uniwersalna zasada.

Spogląda na mnie. Widać, że czeka na odpowiedź.

– Nie kłócimy się. – To wszystko, co mogę z siebie wydusić. Dość słabym głosem. – To znaczy... może się kłóciliśmy, nasze małżeństwo przeszło... no wie pan... ciężki okres, ale mamy to już za sobą. Nie kłócimy się przy córce. Nie wydaje mi się. Nie.

Kellaway przechodzi do drugiego okna i spogląda na uliczne latarnie.

– Poczucie winy, żaloba i nagła, przytłaczająca samotność... wszystko to razem może wytrącić z równowagi psychikę bliźniaczki, która przeżyła, w dość wyjątkowy sposób. Jeśli przestudiuje pani, jak ja, literaturę poświęconą bliźniętom, które utraciły brata albo siostrę, znajdzie pani wiele przykładów. Kiedy jedno z bliźniąt umiera, drugie przejmuje jego charakterystyczne cechy, u p o d a b n i a się do tego, które zmarło. W ramach pewnych amerykańskich badań zajmowano się bliźniakiem, którego brat zmarł w wieku dwunastu lat. Ten, który przeżył, tak bardzo upodobił się do zmarłego brata, że rodzice byli przekonani, że ich żyjący syn, jak to wyrazili, nosi w sobie ducha zmarłego brata. Kolejny przykład: nastoletnia bliźniaczka, która straciła siostrę, z własnej woli przejęła jej imię, żeby – odwraca się trochę, patrzy na mnie – przestać być sobą. Dokładnie tak się wyraziła, chciała p r z e s t a ć b y ć s o b ą. Chciała być swoją zmarłą siostrą.

Chwila milczenia. Muszę coś powiedzieć.

– Czyli wnioskuję pan, że Kirstie to Kirstie, ale – usiłuję panować nad głosem – ale udaje, że jest Lydią, albo wydaje jej się, że jest Lydią, bo chce sobie poradzić z poczuciem winy i straty?

– Według mnie to bardzo prawdopodobne. I dalej nie będę w stanie się posunąć bez odpowiednich konsultacji.

– A co z psem? Co z Beany m?

Kellaway podchodzi do obrotowego krzesła, siada.

– Sprawa z psem jest rzeczywiście dziwna. Tak do pewnego stopnia. I oczywiście ma pani rację: psy potrafią rozróżniać bliźnięta jednojajowe po zapachu, choć nie są w stanie dokonać nawet najlepsze testy DNA. Wiadomo jednak również, że bliźnięta, które straciły brata albo siostrę, często wytworzą bardzo bliskie więzi ze zwierzętami. Zwierzę zastępuje im zmarłego brata albo siostrę. Więc stawiałbym na to, że Kirstie i Beany nawiązali taką właśnie głębszą więź i w reakcji na to Beany zaczął się zachowywać inaczej.

Po szybie spływają ciężkie krople deszczu. Jestem zdezorientowana. Już prawie uwierzyłam, że moja ukochana Lydia wróciła, a jednak wygląda na to, że to Kirstie żyje. Wszystko sobie wyobraziłam. Wszystko. I Kirstie też? Przeżyłam ten ból na próżno.

– Co mam teraz robić, doktorze Kellaway? Jak mam sobie radzić z jej zagubieniem? Z jej żalobą?

– Proszę próbować zachowywać się normalnie. Robić dalej to co teraz.

– Powinłam powiedzieć o tym mężowi?

– To zależy od pani. Może lepiej byłoby to zostawić, ale oczywiście to do pani należy decyzja.

– A potem? Co będzie potem?

– Trudno powiedzieć o tym pewno. Powiedziałbym jednak, że te zaburzenia miną, kiedy Kirstie się przekała, że wciąż uważa ją pani za Kirstie, wciąż kocha ją pani jako Kirstie i nie wini jej pani za to, że jest Kirstie. Wtedy znów stanie się Kirstie.

Wygłasza to jak jakieś podsumowanie. Z jakąś stanowczością. Najwyraźniej konsultacja dobiegła końca. Odprowadza mnie do drzwi i podaje mi płaszcz przeciwdeszczowy, jak portier w eleganckim hotelu. A potem dodaje znacznie swobodniejszym tonem:

– Zapisała pani Kirstie do nowej szkoły?

– Tak. Zaczyna w przyszłym tygodniu. Chcieliśmy mieć trochę czasu, żeby się przystosować. No wie pan...

– To dobrze. To dobrze. Szkoła jest istotnym elementem powrotu do normalności. Mam nadzieję... i jestem przekonany, że po kilku tygodniach zacznie nawiązywać nowe przyjaźnie i ten stan dezorientacji minie. – Uśmiecha się do mnie blade, ale chyba szczerze. – Wiem, że to musi być dla pani okrutne. Niemal nie do zniesienia. – Przerywa na chwilę, jego spojrzenie spotyka się z moim. – Jak sobie pani radzi? Nie mówiła pani nic o sobie. Ma pani za sobą niewiarygodnie traumatyczny rok

– Ja?

– Tak Pani.

To pytanie zbija mnie z tropu. Wpatruję się w jego twarz, w jego łagodny, profesjonalny uśmiech.

– Chyba całkiem w porządku. Przeprowadzka pozwoliła mi się od tego oderwać, ale podoba mi się to. Myślę, że to chyba zadziała. Chcę tylko, żeby to wszystko się już skończyło.

Znów kiwa głową. Patrzy na mnie w zamyśleniu zza okularów.

– Proszę się do mnie odzywać. Miłego wieczoru, pani Moorcroft.

I to by było na tyle. Drzwi jego gabinetu zamykają się za mną i nowymi schodami ze stali i jasnego drewna schodzę do głównego wyjścia. Wychodzę na zalane deszczem ulice Glasgow.

Marzący deszcz tworzy wokół latarni zamglone aureole, zimne chodniki są prawie puste. Tylko jedna kobieta, ubrana na czarno, walczy na silnym wietrze z parasolką. To ja jestem tą kobietą.

Mój hotel, Holiday Inn Express, jest tuż za rogiem. Spędzam w nim cały wieczór. Zamawiam sobie curry na wynos, zjadam je na twardym hotelowym łóżku plastikową łyżką, prosto z plastikowej tacki, i apatycznie wpatruję się w telewizor. Próbuje nie myśleć o Kirstie. Oglądam programy przyrodnicze i kulinarne, aż mój umysł staje się odrętwiały od całego tego bezsensu. Nic nie czuję. Żadnego smutku, żadnego niepokoju. Może burza minęła. Może to już koniec. Życie może się toczyć dalej.

Wcześniej rano jem śniadanie, równie plastikowe jak kolacja. Cieszę się, że mogę wsiąść do samochodu i pojechać na północ, ku szkockim pustkowiom. I kiedy szare osiedla domów komunalnych ustępują coraz zieleniejszym polom, rozleglejszym lasom, a potem prawdziwym górą przyprószonym wczesnym śniegiem, nastrój mi się poprawia.

Kellaway na pewno ma rację: jest znanym w całym kraju psychiatrą dziecięcym. Kim jestem, żeby się z nim spierać? Kirstie Moorcroft to Kirstie Moorcroft, nie mogę myśleć inaczej. To by było niedorzeczne. Moja biedna córeczka czuje się zagubiona i męczy ją poczucie winy.

Kiedy dotrę do domu, będę ją przytulać całą godzinę. A potem zaczniemy żyć od początku. W słodkim, chłodnym powietrzu Hebrydów.

Po lewej ciągnie się niebiesko-szare Loch Linnhe, za nim widzę pasma murów i żywoplotów – to Road to the Isle, wijąca się przez lasy i pustkowia do portu rybackiego i terminalu promowego Mallaig.

Jadę i spoglądam na zegar na desce rozdzielczej. Słyszałam, że jeśli złapię dobry prom z Mallaig do Armadale, Road to the Isle zaoszczędzi mi dwie godziny drogi do Ornsay, bo nie będę musiała nadkładać drogi na północ, do Kyle.

Zjeżdżam w stronę zatoki i dzwonię do wesołej kobiety z Calmac, do firmy obsługującej promy. Ma dla mnie dobre wieści: następny prom wypływa o pierwszej. Zdążę bez problemu. Więc dzwonię do domku na Torran, by powiedzieć o tym Angusowi, i przez trzaski słyszę: dobrze, dobrze, i: przy płynę po ciebie łodzią.

– Łodzią? Wreszcie mamy łódź?

Zakłócenia.

– Tak Ponton...

Zakłócenia.

– To wspaniale...

Syk Trzaski. Ttttrzaski.

– Odbiorę cię na przystani w Ornsay, kiedy... – Jego głos zanika w burzy szumów. Telefon stacjonarny niedługo całkiem przestanie działać.

– Czternasta trzydzieści. Czternasta trzydzieści!!! Angus. Bądź po mnie w Ornsay o czternastej trzydzieści.

Ledwie słyszę odpowiedź. Wydaje mi się, że powiedział okej.

Ale mamy łódź.

Mamy łódź!

Kiedy docieram do Mallaig, ze strażą przybrzeżną, gawędzącymi rybakami, wesołymi poławiaczami krabów i stojącymi wzdłuż przystani łodziami do połowu krewetek, krzątającym poprawia mi nastrój. Dziarsko wjeżdżam na prom i siedzę na wół uśmiechnięta, na wół pograżona w marzeniach. Podaję przez okno drobne przystojnemu Polakowi w anoraku. Wydaje bilety z jakiejś zmyślnej maszyny.

A potem zjeżdżam z promu i podekscytowana jadę do Ornsay, główną drogą nad cieśniną Sleat. Mamy łódź! Prawdziwą, własną łódź. Przyśpieszam i ożywiona wjeżdżam na ostatnie duże wzgórze na południe od Ornsay.

To ponure wzniesienie na wrzosowisku, a jednak często panuje tu spory ruch – bo to właśnie tutaj miejscowi o wszelkich możliwych porach parkują, by złapać zasięg na komórkach: by wejść do sieci na swoich smartfonach. To też ostatnia rzecz, która zasłania Ornsay. I kiedy zjeżdżam po drugiej stronie, widzę go. Mój nowy dom.

I moje serce aż się do niego wyrzywa.

Torran. Piękna Eilean Torran.

Po raz pierwszy, odkąd się tu sprowadziłyśmy, czuję się naprawdę przywiązana do tego miejsca. Mimo surowego klimatu, nędzy i brudu zakochałam się w urodzie naszego nowego domu: zakochałam się w ogromie wód ciągnących się na południe od Salmadair. Zauroczyło mnie samotne dostojęństwo Knoydart wznoszącego się wśród fiordów. To piękno aż boli: to ból

czegoś, co zaczyna się goić.

Nie chcę już nigdy wracać do Londynu. Chcę zostać tutaj.

Eilean Torran. Nasza wyspa.

Pogrążona w rozmyśleniach przejeżdżam przez wieś i parkuję przy nabrzeżu, przed The Selkie. I faktycznie czeka na mnie Angus. Opiekuńczym gestem obejmuje ubraną w różowy płaszczyk Kirstie. Kirstie uśmiecha się nieśmiało, on nie uśmiecha się wcale. Przygląda mi się dziwnie i wiem, że coś jest nie tak.

– I jak? – mówię, ukrywając obawy, bo co teraz może być nie tak – Ile zapłaciłeś?

– Pięćset funciaków. Dostałem ją w przystani Gael Force, w Inverness. Josh pomógł mi ją tu przywieźć. Dwa i pół metra, pontonowa. Całkiem niezły interes. – Uśmiecha się do mnie sztywno, nieprzekonująco, i prowadzi na przystań, i wskazuje na jaskrawopomarańczowy ponton unoszący się na spokojnych wodach Ornsay. – Josh się martwi, że coś takiego nie wystarczy po ostrej popijawie w barze, ale to bzdura.

– No dobrze.

Kirstie jedną ręką ściska Lamparcika, drugą wielką dłoń ojca. Czeka, chce wsiąść do łodzi z mamusią i tatusiem i wrócić do domu. Jej tata mówi dalej:

– Widziałem wielu żeglarzy, którzy wracali na swoje jachty takimi pontonami. Są na tyle lekkie, by jeden człowiek mógł je wyciągnąć na plażę. A my nie mamy bezpiecznego miejsca do cumowania, więc to chyba ważne. Zgadza się?

– Hmm... – Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Zupełnie się nie znam na łodziach. Wciąż jestem zadowolona, że ją mamy, ale coś wisi w powietrzu. Coś jest nie tak.

– Ja wsiądę pierwszy – mówi Angus. – I pomogę wam. – Zeskakuje po kamiennych stopniach i wskazuje do pontonu, który kołysze się pod jego ciężarem. Odwraca się i wyciąga ręce do córki.

– No dobrze, Kirstie, ty wsiądziesz pierwsza, przed mamą.

Wpatruję się w niego. Mam szeroko otwarte oczy. Zastanawiam się. Myślę. Kirstie spogląda na mnie i mówi:

– Wyobraź sobie, że masz psa, kota Witaj Do Widzenia i jeszcze jednego kota Chodź Tutaj i że wołasz je w parku.

– Tak?

Kirstie chichocze cicho, jej białe ząbki lśnią, jeden się kiwa. Teraz już śmieje się na dobre.

– Gdybyś je wołała w parku, mamusiu, kota i psa, wołałabyś Witaj Do Widzenia i Chodź Tutaj, a one biegałyby w kółko. Nie wiedziałyby, co zrobić!

Zmuszam się do uśmiechu. Ten rodzaj dowcipu – taki spontaniczny absurdalny pomysł – to coś, czym dobrze by się bawiła z Lydią. Wpadały na takie dziwne, kapryśne pomysły, wkręcały się w to coraz bardziej, a potem obie się śmiały, jakby były jedną osobą. Ale teraz nie ma tu nikogo, kto by się z nią bawił w tę grę.

Próbuję się roześmiać. Wyraźnie słyhać, że to fałszywy śmiech. Kirstie wpatruje się we mnie i teraz na tle zimnych niebieskich fal wydaje się smutna.

– Miałam sen – mówi. – Znowu ten zły sen. Dziadek był w białym pokoju.

– Co? Kochanie?

– Saro! – Głos Angusa jest ostrzejszy niż zimny wiatr nad Ornsay. – Saro!

– Co?

– Nie możesz jej pomóc? – Patrzy mi prosto w oczy i dodaje: – Pomóż Kirstie wsiąść na łódź.

Lapię ją i stawiam w łodzi, a potem sama wsiałam. Kirstie jest rozkojarzona, ze smutkiem wpatruje się w fale. Pochyliam się do Angusa. Syczę:

– Co się stało?

Wzrusza ramionami. Zniża głos do szeptu:

– Znowu ten sen. Wczoraj w nocy.

– Ten sam koszmar?

– Tak Twarze. Nic ważnego. To minie. – Odwraca się, udaje, że się rozpromienia, i mówi z uśmiechem: – No dobra, dziewczyny. Witajcie na HMS „Moorcroft”. Płyniemy!

Patrzę na jego fałszywy uśmiech, na śliczną jasną główkę mojej patrzącej w inną stronę córeczki i myślę o tym powracającym śnie. Śni jej się już od wielu miesięcy. A teraz był tam jej dziadek? Dlaczego Angus zawsze to lekceważy? To na pewno jakiś symbol. To musi coś oznaczać. Ale nie potrafię tego rozgryźć.

Angus uruchamia silnik. Wieje rześki wiatr. Kirstie pochyla się nad burtą, spogląda na fale. Martwię się, że nie włożyła kapturka od anoraka, musi jej być zimno. Dopływamy do Torran. Kirstie wyskakuje i biegnie ścieżką do domu. Najwyraźniej poprawił jej się humor, cieszy się, że wróciła. Beany czeka na nią przy kuchennych drzwiach: często tam siedzi.

Jakby nie chciał wchodzić do środka.

Zostajemy jeszcze chwilę przy łodzi i Angus próbuje mnie nauczyć przywiązywać ją do żelaznej barierki latarni.

– Nie tak – mówi. – Zrób to tak

Próbuję zawiązać węzeł i w słabym świetle znów mi się nie udaje. Angus uśmiecha się i mówi z wyrzutem:

– Milverton, ale z ciebie szczur lądowy.

– A ty kto jesteś, Gus? Stary wilk morski?

Śmieje się i atmosfera znów się poprawia. W końcu jako tako udaje mi się zawiązać węzeł, ale nie jestem pewna, czy zapamiętam, jak to się robi.

Wchodzimy do środka. W zdecydowanie dobrych nastrojach. Czuje się, że jesteśmy rodziną. Na stole stoi duży czajnik z herbatą. Nalewamy sobie do kubków, jemy ciasto, podejmujemy decyzje. Jesteśmy parą, która remontuje dom. Kuchnię wypełnia słodki zapach świeżej farby. Angus idzie do drewni, żeby pociąć drewno, ja robię kolację.

Kiedy odrywam wzrok od ziemniaków i wpatruję się w migoczące światelka Ornsay, przychodzi mi na myśl, że prymitywne warunki, w jakich żyjemy, sprawiają, że wracamy do tradycyjnych ról kobiety i mężczyzny. Angus w Camden często gotował, ale tu robi to rzadko: to dlatego, że siły i czasu potrzebuje do żmudnych męskich zadań. Rąbania drewna, noszenia ciężarów, murowania.

Ale nie przeszkadza mi to. W sumie to nawet mi się podoba. Jesteśmy mężczyzną i kobietą na wyspie, jesteśmy samowystarczalni i działamy w zespole. Wykonujemy męskie i kobiece zadania. To staromodne, ale też sexy.

Przy kolacji sączymy tanie wino z Co-op. Ujmuję jego dłoń i mówię:

– Dobra robota z tą łodzią.

Mruczy pod nosem coś o niebezpieczeństwach i o rekinach olbrzymich. Nie wiem dokładnie, co mówi, ale dociera do mnie ogólny sens. Mieszkały w miejscu, gdzie żyją rekiny olbrzymie.

Kiedy płomienie pochłaniają polana i otwieramy drugą butelkę czerwonego wina, Kirstie,

szczęśliwa, idzie do swojego pokoju z jakimś czasopismem. Angus wyjmuje książkę o węzłach żeglarskich i próbuje mnie kilka nauczyć – ratowniczego, knagowego i podwójnej ósemki – na kawałku cienkiej liny.

Znów przytulamy się pod kocem. Patrzę na cienką szarą linę i staram się najlepiej, jak umiem. Ale węzeł po raz siódmy mi nie wychodzi.

Angus wzdycha cierpliwie.

– Dobrze, że nie lubisz krępowania w łóżku – stwierdza. – Byłabyś do niczego.

Podnoszę wzrok

– Ale wtedy to chyba nie ja wiązałybym te węzły, prawda?

Patrzy na mnie przez chwilę i wybucha śmiechem. To ten dawny, głęboki, bardzo seksowny śmiech. Pochyla się i delikatnie całuje mnie w usta, to pocałunek męża, pocałunek kochanka. Wiem, że wciąż jest między nami erotyczna chemia. Jakoś przetrwała. Przetrwała wszystko. I jestem szczęśliwa, albo przynajmniej tego bliska.

Przez resztę wieczoru Angus i ja pracujemy – on robi fugi w łazience i instaluje nowe rury. Ja z satysfakcją zamalowuję ściennie malowidła dzikich lokatorów: są po prostu zbyt upiorne.

Przysuwam sobie krzesło. Mam się zająć drugim malowidłem, arlekinem. I wtedy zamieram, stoję bez ruchu, z wałkiem do malowania w ręce. Spoglądam w górę. Arlekin patrzy na mnie. Ma smutną białą twarz.

I nagle, jakby znikąd, coś do mnie dociera.

Biały pokój, smutne, spoglądające z góry twarze. Nieustannie powracający koszmar. A teraz jej dziadek?

Rozgryzłam to. Rozgryzłam sen Kirstie. Znów wszystko się zmieniło. I boję się.

Przyglądał się żonie. Przynajmniej nie pili już wina ze słoików po dżemie. Przynajmniej zostawili to za sobą i wkroczyli w świat, w którym pije się z kieliszków.

To było coś, ale to nie wystarczało. Krążył po Skye, próbował znaleźć pracę, jakkolwiek, budowanie chlewów, adaptowanie poddaszy, a nawet ogrodowych szop, a wszystko, co musiała robić jego żona, to rozpakować resztę naczyń, i zdawało się, że zajęło jej to jakiś miesiąc. Albo co najmniej sześć dni. Tak ciężko pracowali przy domu. Razem. I szło im całkiem dobrze – mimo wszystko coraz lepiej im się razem żyło. I zgadza się, dostała zlecenie w Glasgow, ale tak naprawdę o co w tym wszystkim chodziło? Nie do końca w to wierzył. Imogen odpowiadała niejasno i wymijająco, kiedy zadzwonił do niej z The Selkie i spytał, co jego żona robiła w Glasgow.

Starając się nie wypić wina jednym haustem, słuchał, jak mówi o telepatii.

Telepatia?

Sarah spojrzała na niego. A potem ciągnęła:

– Gus, zastanów się nad tym. To znaczy... nad tym snem. Kirstie śni się Lydia. To, jak Lydia była w szpitalu. To musi być to, prawda? Więc może wyobraża sobie siebie jako Lydię w tej strasznej chwili: kiedy na chwilę odzyskała przytomność i zobaczyła nas wszystkich, rodzinę, pielęgniarki, lekarzy. Dziadek tam był, w tym pokoju. W białym pokoju w szpitalu.

– Ale Saro...

– Tylko że Kirstie nie ma pojęcia, że jej siostra się ocknęła, że przez tę jedną, ostatnią chwilę była przytomna. Nikt jej o tym nie powiedział. Więc... – Na jej twarzy malowała się panika. – Gus? Skąd mogłaby się dowiedzieć o szpitalu? Jak?

– Daj spokój, Saro. Wyluzuj.

– Nie, poważnie. Zastanów się nad tym. Proszę.

Angus wrzucił ramionami i nie odpowiedział. Usiłował popatrzeć na nią z pogardą, żeby widziała, co sądzi o tym pomysłe.

– Angus?

Dalej milczał. Umyślnie odpowiadał jej milczeniem, to była kara. Na chwilę ogarnęła go złość, że Sarah próbuje to wszystko popsuć. Znowu. A dopiero co zaczęli się zadamawiać.

Odstawił kieliszek i zapatrzył się na dzikie wzory deszczu na szybie w jadalni. Trzeba zabezpieczyć dom przed wodą? I przed wiatrem? Było dokładnie tak, jak mu mówił Josh: kiedy na Skye zaczynały się deszcze i silne wiatry, w domku na Torran było zimniej niż na zewnątrz, za sprawą jakiegoś dziwnego efektu, po wielu latach dużej wilgotności bez porządnego ogrzewania.

– Angus, odezwij się do mnie.

– Po co? Przecież gładzisz od rzeczy.

Usiłował nad sobą zapanować: Sarah nienawidziła, kiedy ktoś na nią krzyczał. Gdyby naprawdę podniósł głos, wybuchnęłaby płaczem. Zostało jej to po dominującym ojcu. Ale z drugiej strony wyszła za mąż za szorstkiego mężczyznę, za niego, i w pewnym stopniu przypominał jej tego ojca.

Czyli to jej wina? A może to niczyja wina: po prostu wzorzec powtarzający się w rodzinie. Angus nie był inny, nie był odporny na powtarzalny wpływ genów i środowiska: w tej chwili miał ogromną ochotę napić się czegoś mocniejszego. Pragnął wielkiej szklanki porządnej whisky, jak jego nieudany i rzucający przekleństwami ojciec, który przynajmniej raz w miesiącu bił matkę do nieprzytomności. A potem wpadł do rzeki i się utopił. I dobrze. Teraz możesz pić, ile dusza zapagnie, ty stary sukiny nu.

– Co to za brednie? Saro?

– Jak inaczej nasza córka mogłaby się dowiedzieć, jak by było z Lydią w szpitalu?

– Nie wiesz, czy ten sen jest o tym.

– Białe pokój, smutne twarze spoglądające z góry, i jest tam jej dziadek? To musi być to, Gus. Co innego by to mogło być? Te obrazy są takie brutalne, to potworne. Boże.

Znów jest bliska płaczu? Coś w nim pragnęło, by się rozplakała. Tak jak on prawie się rozplakał, kiedy Kirstie powiedziała to, co powiedziała.

Jego żona miała łatwiej.

Oparł się chęci, by powiedzieć jej prawdę i kompletnie ją przerazić. Położył swoją wielką dłoń na jej drobnej białej dłoni, na jej szczupłych ładnych palcach, które nie potrafiły zawiązać węzła prostego, by umocować łódź. Ale były to drobne białe dłonie, które kochał. Kiedyś. Czy kiedykolwiek będzie w stanie znów ją naprawdę kochać? Kochać ją czysto i bez wątpliwości? Bez urazu i pragnienia, żeby się odegrać?

– Saro, może twój tata jej powiedział? Wiesz, jaki potrafi być po paru głębszych. Albo twoja mama. Mój brat. Każdy mógł wspomnieć o szpitalu, a ona podsłuchiła i wyobraziła sobie resztę. Pomyśl, jakie to musiało być okropne. Samo wyobrażenie. Dla dziecka. Szpital. Sale. Śmierć. To by jej utkwiło w pamięci. To dlatego wciąż jej się to śni.

– Ale nie wierzę, że ktoś mógłby jej powiedzieć albo wspomnieć o czymś tak by mogła to podsłuchać. Tylko moi rodzice wiedzieli, że Lydia odżyła przytomność. I pytałam ich.

– Co zrobiłaś?

Milczenie.

– Pytałaś mamę i tatę?

Znów cisza.

– Jezu Chryste. Saro, wydzwaniasz do ludzi, opowiadasz im to wszystko... o naszych prywatnych sprawach? W czym to ma pomóc?

Wypiła łyk wina, potrząsnęła głową. Jej usta zdawały się cienkie i blade, jakby próbowała nad sobą panować.

Angus wpatrywał się w wino w kieliszku. Ogarnęło go poczucie pustki: jakby siedział w wannie, z której nagle zaczęła odpływać woda, i czuł się coraz cięższy, marzył coraz bardziej. Jakby go przeniesiono na inną, paskudniejszą planetę. W tym domku drżeli z zimna, przytłaczała ich praca i wyzwania, i może to wszystko było na nic.

Nie. Musiał się starać choć trochę, by myśleć pozytywnie. Ze względu na Kirstie.

Jutro znów spróbuje. Może w tym biurze architektonicznym w Portree, zanieś tam jeszcze raz swoje portfolio. Prawie zaproponowali mu pracę na pół etatu. Trzeba było tylko pokazać się tam jeszcze raz. Słuchajcie, kiedyś projektowałem elementy drapaczy chmur, myślę, że poradzę sobie z owczarnią. Może będzie ich błagał. Pomóżcie, potrzebuję roboty, potrzebuję tych dziesięciu tysiąków, bo moja córka mieszka w domu, w którym jest jak w lodówce.

– Gus, jest mnóstwo historii o tym, że bliźnięta łączy jakaś telepaty czna więź. Wiesz, że kiedyś o tym rozmawialiśmy... i... one miały takie same s ny, wiesz przecież. Pamiętasz, jak nagle obie zaczynały się śmiać w tej samej chwili, a my nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi?

Angus oparł się na krześle i potarł oczy brudną ręką. Wsłuchiwał się w odgłosy domu. Kirstie była w swoim pokoju, grała na starym iPadzie. Niemal słyszał dobiegające z oddali kliknięcia i odgłosy gry komputerowej nakładające się na szum deszczu smagającego szyby w jadalni. Jego córka zatraciła się w wirtualnym świecie i nie mógł mieć jej tego za złe: był lepszy niż rzeczywiście.

A prawda wyglądała tak pamiętał, jak Kirstie i Lydia równocześnie wybuchały śmiechem, bez żadnego powodu. Oczywiście, że to pamiętał: wpatrywał się w nie zdumiony, kiedy nagle zaczynały chichotać, choć pozornie w żaden sposób się nie komunikowały. Czasem zdarzało się to, kiedy były w różnych pokojach. Przechodził z jednego pokoju do drugiego i stwierdzał, że to taki sam napad śmiechu, bez żadnej konkretnej przyczyny.

Tak wiele pamiętał. Pamiętał, że kiedyś Lydia czytała w swoim pokoju *Wielkomiluda* Roalda Dahla, a potem przekonał się, że Kirstie, która była na dole, czyta tę samą stronę. Pamiętał, jak je obserwował, kiedy wracały ze szkoły. Kirstie szła przodem, w pogrzebowym tempie, jakby jakimś powolnym, defiladowym krokiem, a potem dostrzegał za nią Lydię, jakieś trzydzieści metrów dalej. Szła dokładnie tak samo, jakby obie były w transie. Po co to robiły? Żeby napędzić ludziom stracha? A może naprawdę łączyła je jakaś mentalna więź? Ale nie wierzył w to, nie mógł w to wierzyć. Czytał naukowe opracowania: nie istnieje coś takiego jak telepaty czna więź między bliźniętami. To tylko zwyczajny cud, jakim jest posiadanie identycznych genów.

Zapatrzył się na smugi deszczu. Pogoda przyciągnęła jego uwagę, jakby chciała mu coś przekazać.

Coś w nim pragnęło być tam, na tym wietrze i zimnie. Wspiąć się na okrutne grzbiety Black Cuillin, czuć smagający wicher na Old Man of Storr. Ale był tutaj, czekał, aż jego żona zacznie mówić. Pijęła wino z butelki. Otworzą kolejną? Zawsze zdawał się na to, że ona będzie pilnować jego picia. I... tak chciał już otworzyć kolejną butelkę, o piątą po południu.

– Angus, proszę. Zastanów się tylko nad tym. Nie sądzisz, że to mogła być jakaś telepatia? I co z tymi bliźniętami z Finlandii, które równocześnie zginęły w wypadku samochodowym? Ile to było...

– Dziesięć mil od siebie. Tej samej nocy. Zgadza się. No i?

– Czy to nie niesamowite? Czy to czegoś nie dowodzi?

– Nie.

– Ale...

– Saro, nawet jeśli była kiedyś między nimi jakaś mentalna więź, w co nie wierzę, ale nawet jeśli coś takiego było, to Lydia nie żyje od ponad r o ku. A te sny zaczęły się dopiero kilka miesięcy temu.

Deszcz chyba przestał padać. Przyglądała mu się.

Ciągnął dalej:

– Nawet jeśli sądzisz, że bliźnięta mogą przesyłać sobie sny na odległość, naprawdę nie sądzę, żeby mogły się kontaktować przez eter, kiedy jedno z nich nie żyje. A ty?

Milczenie. Parsknął.

– Chyba że twierdzisz, że Lydia wraca jako małeńki duszek. Taka mała zjawa, która unosi się tu i tam i gada do siostry. Gdzie jest teraz? W szafie? Łapie się za głowę?

To był dowcip. Siłił się na dowcip.

I nagle dotarło do niego, że otarł się o prawdę. Sarah się nie śmiała, nie marszczyła brwi. Wpatrywała się tylko w niego, a hebrydzki deszcz wrócił i coraz głębiej wżerał się w beton i zaprawę tego głupiego domu.

– O ja pierdole! Zaczęłaś wierzyć w duchy, Saro? Weź się, kurwa, w garść. Lydia nie żyje, a Kirstie jest zagubioną, nieszczęśliwą dziewczynką. I tyle. Potrzebuje tylko rodziców, którzy są zdrowi na umyśle.

– Nie. To nie duchy, to coś innego.

– Co?

– Ja...

– Co?

– To... – Urwała i umilkła.

Miał ochotę wrzeszczeć. O. Co. Kurwa. Chodzi? Wpadał we wściekłość. Ledwie panując nad sobą, spytał najspokojniej, jak potrafił:

– O co chodzi, Saro? Co to za wielka tajemnica?

– Ja... nie wiem. Ale te sny. Co z tymi snami?

– To tylko pieprzone sny! – Ukrył twarz w dłoniach. Zbyt dramatycznie. Ale szczerze.

Przez dziesięć sekund żadne z nich się nie odzywało. Potem Sarah wstała i zaniósła pustą butelkę do kuchni. Angus śledził ją wzrokiem. Dżinsy wisiały jej na biodrach. Był taki czas, kiedy rozładowałoby to napięcie, rznąc się. I wciąż jej pragnął. Wciąż o niej fantazjował, choć żywił do niej urazę.

Co by się stało, gdyby poszli do łóżka? Ich seks zawsze był ostry: Sarah tak lubiła. Między innymi dlatego się w niej zakochał – przez tę jej zaskakującą, niemal zwierzęcą seksualność. Ugryź mnie, uderz mnie, rznij mnie. Mocniej. Ale gdyby teraz zaczął się z nią ostro kochać i gdyby ten tłumiony gniew wypłynął na powierzchnię, jak by się to skończyło?

Wróciła z kuchni. Nie przyniosła następnej butelki. Nastrój pogorszył mu się jeszcze bardziej, o ile to było możliwe. Czy mógł stworzyć wino później, kiedy ona nie będzie patrzeć? Musiał przestać tyle pić. Kirstie potrzebowała taty, który będzie w miarę trzeźwy i rozsądny. Ktoś musiał pełnić rolę.

Ale to było takie trudne: podtrzymanie tych kłamstw. A to miejsce wcale nie pomagało tak, jak liczył. Zimny, szary listopad sam w sobie był wystarczająco upiorny, a była dopiero późna jesień. Jak będzie wyglądać prawdziwa zima? Może ta surowość i brutalność pomoże: będą musieli wziąć się w garść.

A może to ich wykończy.

Wciąż kręciła się po pokoju, nie siadała.

– Saro, nie mówisz mi o czymś? Zachowujesz się tak już od jakiegoś czasu, chyba od Glasgow. O ile nie dłużej. Co się stało?

Spojrzała na niego i odparła jak zawsze:

– To nic takiego.

– Saro!

– Przepraszam, że o tym wspomniałam. Muszę przygotować ubrania dla Kirstie, nawet ich jeszcze nie rozpakowałam. Przyjechały dopiero dziś rano i... – Złapał ją za rękę i przytrzymał ją, a ona dodała: – ...za kilka dni idzie do szkoły.

Pocałował ją w rękę. Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Cofnęła ją z przepraszającym uśmiechem, odwróciła się i wyszła z jadalni. Drzwi były niepomalowane. Po zimnej kamiennej podłodze chodziła w trzech parach skarpetek. Podążył za nią wzrokiem. Westchnął ciężko.

Duchy?

To śmieszne. Gdyby tylko chodziło o duchy.

To by było proste. Bo duchy nie istnieją.

Wstał i postanowił zająć się ciężką fizyczną pracą. Chciał się otrząsnąć z tego smutku i złości. Może endorfiny poprawią mu nastrój. Trzeba naciąć drzewa, a już zapada zmierzch.

Przeszedł przez kuchnię, otworzył zniszczone drzwi na tyłach – przy zlewie i mopach – drzwi do graciarni. Szczury hasały tam radośnie co noc.

W tym przypominającym stodołę pomieszczeniu przechowywano wszelkiego rodzaju graty: sterty rozwalających się mebli, które czekały, aż ktoś je potnie na podpałkę, worek z węglem, chyba z czasów drugiej wojny światowej. Sterty garnków i butelek – jakby zatrzymywały się tam całe wioski uchodźców, którzy potem uciekli. Stosy foliowych worków, szpule niebieskiego nylonowego szpagatu, piramidy prastarych porcelanowych butli, w większości popękanych. Jego babcia była chomikiem, jak prawdziwa mieszkanka wyspy – wyprzedzającym swoje czasy survivalowcem. Wtedy zbieranie wszystkiego, co morze wyrzuciło na plażę, było jeszcze konieczne, a nie modne. Słuchaj no, chłopcze, to się może przydać. Nie wyrzucaj tego.

Wybrał kilka polan, założył ochronne okulary, wsunął palce w wilgotne stare rękawice i uruchomił piłę elektryczną.

Przez dwie godziny piłował w słabym świetle trzydziestowatowej żarówki. Nad jarzębinami porastającymi Camuscross wstał księżyc w pełni, chmury się rozeszły. Beany otworzył nosem drzwi, wskoczył w sam środek porozzuczanych pachnących trocin, usiadł, powoli machając ogonem, i wpatrywał się w żółty drzewny pył unoszący się z polan.

– W porządku, piasku. W porządku?

Pies wydawał się smutny. Wyglądał tak, odkąd przyjechali. Spodziewał się, że Beany pokocha Torran, że będzie się czuł wspaniale – cała piękna wyspa, z królikami, fokami i ptactwem, które można gonić, kałuże błota i skały. To lepsze niż zaśmiecony ceglano-betonowy labirynt Camden. Prawda?

A jednak często wydawał się ponury, tak jak teraz: położył pysk między łapami.

Angus odłożył piłę. Miał trzy plastikowe kosze pełne pociętych polan. Zsunął zaparowane okulary i połaskotał Sawneya Beana za uchem. Nie zdjął grubych rękawic.

– O co chodzi, przyjacielu? Że to tylko wyspa?

Pies zaskomlał.

– Zapoluj na szczury, Beano. Pełno tu szczurów. – Klapnął zębami, potem machnął rękoma jak psimi łapami. Udawał, że poluje na szkodniki. – Mniam, mniam, mniam. Szczury, Beano. Szczury. Jesteś psem, do cholery. Twój przodekowie od stuleci polowali na szczury. Nie?

Beany ziewnął i spojrzął na niego z niepokojem. A potem znów położył pysk między łapami, jak jakiś sfinks. Angusowi zrobiło się go żal. Kochał tego psa. Spędził z Beanym wiele szczęśliwych godzin, wędrowali razem po lasach wokół Londynu.

Ta zmiana nastroju była dziwna.

Kiedy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że pies zachowuje się bardzo dziwnie, odłąd przyjechali. Czasem w domu chował się po kątach, jakby się bał; kiedy indziej nie chciał wejść. I zachowywał się inaczej przy Sarze. Już od dawna zachowywał się inaczej przy Kirstie i Sarze.

Czy mógł być świadkiem tego, co się stało tamtego wieczoru w Devon? Czy był tam, na górze, kiedy doszło do wypadku? Czy pies potrafi zapamiętać albo pojąć coś takiego? Coś, co się rozgrywa między ludźmi?

W zimnym wilgotnym powietrzu z ust Angusa unosiła się para. Teraz, kiedy przestał walczyć z polanami, poczuł, że w graciarni jest przenikliwie zimno. Tak zimno, że szyby zaparowały.

Tak jak tamtego dnia, kiedy urodziły się bliźniaczki – najzimniejsze go dnia w roku.

Zapatrzył się na cieniutkie wzory w sronie.

I wtedy dopadł go smutek, jak cios podcinający od tyłu nogi: często tak się działo. Jak ostre wejście podczas meczu rugby. Skulił się. Oparł się o zakurzone deski.

Lydia, jego malutka Lydia. Leżała tam, w szpitalu, z rurkami w ustach, jeszcze raz otworzyła oczy i spojrzała z żalem, jakby chciała się pożegnać. Jakby chciała powiedzieć przepaszam.

Lydia, jego Lydia. Malutka Lydia. Jego ukochana córka.

On też ją kochał, równie mocno jak Sarah. A jednak jego smutek jakoś uchodził za lżejszy. Żalobę matki uważano za ważniejszą: j e j wolno było pęknąć, j e j wolno było płakać, o n a mogła użalać się całymi miesiącami nad utratą ulubionej córki. W porządku, stracił pracę, ale mimo całego tego bólu wciąż szukał nowej, i niemal nic z tego wszystkiego nie było jego winą. To go rozwścieczało najbardziej. Ona była nieskończenie bardziej winna. Chciał ją ranić za to, co się stało. Karać ją. Zranić ją naprawdę mocno.

Czemu nie? Jego córka nie żyła.

Wziął z półki młotek. Był to młotek z pazurem. Paskudny, lekko zardzewiały. Pazur był brązowy od rdzy, jakby na stali zaschła stara krew. Był ciężki, ale ten ciężar wydawał się przyjemny, dokładnie taki, jak trzeba. Młotek aż się prosił, by wziąć zamach, mocno, w dół, żeby coś nim rozłupać. Wreszcie. Eksplozja czerwieni. Jak rozwalenie arbuza, miękką miazgą rozpryskująca się na wszystkie strony. A może ten stalowy pazur zostałby w środku?

Deszcz przestał padać, morze za oknami było szare. Zapatrzył się w podłogę, w poplamione nagie deski. Był zrozpaczony.

Usłyszał ciche skomlenie i wrócił do rzeczy wistości. Beany spoglądał na niego z przekrzywioną głową, smutno, ale równocześnie pytająco. Jakby potrafił wyczuć jego absurdałne, potworne myśli.

Popatrzył na niego. Uspokoił się. I powiedział:

– Hej, Beany. Wyjdziemy na dwór? Znajdziemy jakąś fokę, którą mógłbyś pogonić?

Pies szczełkał cicho i zamerdał ogonem. Angus ostrożnie odłożył młotek na półkę.

To mogła być każda szkoła w Wielkiej Brytanii. Niski, przestronny budynek z dość sporym placem zabaw, pomalowane w wesole kolory huśtawki i zjeżdżalnie, i wielu zaspanych, przytłoczonych rodziców, jednocześnie czujących ulgę i mających wyrzuty sumienia, że zostawiają tam swoje maluchy.

Inny jest tylko krajobraz: po lewej morze, a z tyłu wielkie, posępne góry, poznaczone wczesnym grudniowym śniegiem. No i oczywiście tabliczka na bramie:

Rachadh luchd-tadhail gu failteache

Niżej, mniejszymi literami, tłumaczenie na angielski.

Wszyscy odwiedzający muszą się zgłaszać w recepcji.

Kirstie kurczowo ściska mnie za rękę. Idziemy od samochodu stojącego wśród tych bardziej eleganckich, miejskich, i wśród powalanych land roverów i zbliżamy się do brudnych przeszklonych drzwi. Inne matki i ojcowie witają się ze sobą życzliwie i serdecznie, w ten swobodny, lekki, godny pozazdroszczenia sposób. Nigdy tego do końca nie opanowałam, i tutaj, wśród obcych ludzi, będzie to jeszcze trudniejsze.

Niektórzy mówią po gaelicku. Kirstie jest równie milcząca jak ja. Zdenerwowana i spięta. Pod pikowanym różowym anorakiem ma nowy niebiesko-biały mundurek Kyledale. Kiedy w szkole zdejmuję jej anorak, mundurek wydaje się okropnie wielki, prawie jak strój klauna. I buty nie pasują. Jest źle uczesana: przeze mnie.

Czuję się winna. Kupiłam jej ubrania w złym rozmiarze? I dlaczego porządnie jej nie uczesałam? Tak strasznie nam się śpieszyło. Angus chciał się przeprawić na stały łąd wcześniej. Dostał pracę na pół etatu w biurze architektonicznym w Portree, na tyle daleko, że będzie tam musiał nocować za każdym razem, kiedy dostanie jakąś robotę. Z finansowego punktu widzenia to dobrze, ale oznacza to również, że transport będzie jeszcze bardziej skomplikowany.

Więc tego ranka musieliśmy wypłynąć wszyscy razem. Naszą samotną łodzią. Byłam zmuszona wszystko robić szybko. Błyskawicznie zwilżyłam szczotkę, przeciągnęłam nią przez delikatne, białe, elfio jedwabiste włosy mojej córeczki. Kirstie stała między moimi kolanami, wierała się z zabawką w rękach i nuciła sobie pod nosem jakąś nową wymyśloną piosenkę.

A teraz jest za późno – wygląda na rozczochraną. Włącza mi się instynkt opiekuńczy. Tak bardzo nie chcę, żeby się z niej śmiali. I tak będzie beznadziejnie samotna w nowej szkole, prawie w połowie zimowego semestru, bez siostry. Wciąż nie jest do końca pewna, kim jest. Czasem mówi o sobie my zamiast ja. Czasem nazywa siebie drugą Kirstie. Zrobiła to dziś rano.

Druga Kirstie?

To szokujące i bolesne, więc nie zareagowałam. Mam tylko nadzieję, że Kellaway ma rację

i że szkoła jakoś rozwiąże te wszystkie problemy – ekscytacja, nowi przyjaciele, nowe zabawy.

No to jesteśmy.

Marudzimy przed wejściem. Inne dzieci idą prosto na lekcje, rozmawiają, śmieją się, okładają się plastikowymi plecakami. Toy Story, Moshi Monsters. Kobieta w ogromnych okularach na wielkim nosie i w bardzo praktycznej spódnicy w szkocką kratę uśmiecha się do mnie zachęcająco i przytrzymuje przeszlone drzwi.

– Pani Moorcroft?

– Tak?

– Sprawdziłam panią na Facebooku. Strasznie przepraszam! Byłam taka ciekawa, kim są ci nowi rodzice. – Spogląda z uśmiechem na Kirstie. – A to musi być mała Kirstie! Kirstie Moorcroft? – Puszczą nas przodem. – Wyglądasz dokładnie jak na zdjęciach! Ja jestem Sally Ferguson. Wspaniale, że będziemy mieć w szkole nową dziewczynkę. Proszę, mów mi po prostu Sally. – Znów spogląda na mnie. – Jestem tu sekretarką.

Czeka, aż coś powiem. Ale nie jestem w stanie się odezwać. Bo Kirstie mówi:

– Nie jestem Kirstie.

Sekretarka się uśmiecha. Na pewno myśli, że to żart. Zabawa. Dziecko chowające się za sofą i pokazujące kukielkę.

– Kirstie Moorcroft! Widzieliśmy twoje zdjęcia! Pokochasz tę szkołę, uczyimy w naprawdę wyjątkowym języku...

– N i e jestem Kirstie. Jestem Ly dia.

– Uff...

– Kirstie nie żyje. Ja jestem L y d i a.

– Kkkkrr... – Sekretarka milknie. Spogląda na mnie. To zrozumiałe, że jest zdezorientowana.

Moja córka jeszcze raz powtarza na głos:

– Ly dia. Jestem Ly dia. Jesteśmy Ly dia. Ly dia!

Na szkolnym korytarzu panuje cisza. Słychać tylko krzyki mojej córki. Powtarza te obłąkańcze słowa. Uśmiech bardzo szybko znika z twarzy Sally Ferguson. Zerka na mnie, na jej twarzy maluje się przerażenie. Na kartkach przypiętych pinezkami do ściany wypisanych jest mnóstwo wesołych gaelickich zwrotów. Sekretarka podejmuje jeszcze jedną próbę:

– Ach... eee... Kirss...

Moja córka uderza ją, jakby Sally Ferguson była osą.

– Ly dia! Musisz do mnie mówić Ly dia! Ly dia! Ly dia! Ly dia! Ly dia Ly dia Ly dia Ly dia L y d i a!

Sekretarka się cofa, ale moja córeczka zupełnie straciła panowanie nad sobą. Stroi fochy, jakby była małym dzieckiem w supermarkecie. Tyle tylko, że jesteśmy w szkole, a ona ma siedem lat. I twierdzi, że jest swoją zmarłą siostrą.

– Kirstie-koo nie żyje. Umarła. J a j e s t e m L y d i a! Jestem Ly dia! Ona tu jest! Ly dia!

Co mam zrobić? To absurdalne, ale próbuję normalnie rozmawiać:

– Eee... to nic takiego, nic takiego... Odbiorę ją o...

Ale ledwie mnie słychać, bo moja córka znowu krzyczy:

– Ly dia LYDIA LYDIA LYDIA LYDIA LYDIA... Krrrrstie NIE ŻYJE i NIENAWIDZĘ JEJ, jestem L y d i a!

– Proszę – mówię do niej. Daję sobie spokój z pozorami. – Proszę, kochanie. Proszę.

– KIRSTIE NIE ŻYJE. Kirstie nie żyje, zabili ją, zabili ją. Ja jestem Ly-DDDDEEE-YYYYAAAA!

A potem napad mija równie szybko, jak się zaczął. Kirstie kręci głową, podchodzi do przeciwległej ściany, siada na krzeselku pod zdjęciem uczniów pracujących w ogródku – z wesołym podpisem zrobionym mazakiem:

Ag obair sa gharrad.

Moja córka pociąga nosem i mówi bardzo cicho:

– Proszę, mów do mnie Lydia. Dlaczego nie możesz mnie nazywać Lydią, mamusiu? Przecież nią jestem. Proszę. – Podnosi wzrok. Patrzy na mnie załamionymi błękitnymi oczami. – Nie pójdę do szkoły, jeśli nie zaczniesz do mnie mówić Lydia. P r o s z ę. Mamო?

Jestem sparaliżowana. Jej prośby brzmią boleśnie szczerze. Nie mam wyboru.

Milczenie się przeciąga. Bo teraz muszę wszystko wyjaśnić sekretarce, w najgorszej możliwej chwili, w najbardziej niezręczny sposób. A Kirstie nie może przy tym być. Musi pójść na lekcje.

– Dobrze, już dobrze. – Zaczynam się jąkać jak w dzieciństwie. – Pani Ferguson, to jest L y d i a. Lydia Moorcroft. – Jestem przerażona i mamroczę pod nosem. – Zapisałam do szkoły Lydię May Tanerę Moorcroft.

Długie milczenie. Sally Ferguson patrzy na mnie kompletnie zdezorientowana. Zza tych wielkich grubych okularów.

– Przepraszam? Eee... L y d i a? Ale... – Oblewa się pąsowym rumieńcem, potem sięga do biurka przy otwartym przesuwanym oknie i bierze jakąś kartkę. Kolejne słowa wypowiada niemal szeptem: – Ale tu jest wyraźnie napisane, że zapisuje pani do szkoły K i r s t i e Moorcroft. Takie nazwisko było w podaniu. Kirstie. Zdecydowanie. Kirstie Moorcroft?

Oddycham głęboko. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale córka mnie ubiega. Jakby to podłuchała.

– Jestem Lydia – mówi. – Kirstie nie żyje. Potem żyła, ale teraz znowu nie żyje. Ja jestem Lydia.

Sally Ferguson znów się rumieni i nie odpowiada. Jestem zbyt oszołomiona, by zareagować. Balansuję na krawędzi jakiegoś mrocznego absurdu. Ale zbieram siły i mówię:

– Może Lydia pójdzie do swojej nowej klasy, a ja wszystko pani wyjaśnię.

Znów rozpaczliwe milczenie. Potem słyszę, że gdzieś śpiewają dzieci, głośno i radośnie.

Na starym eukaliptusie kukabura gniazdo wije. To wesoły król buszu, wesoło się śmieje! Śmieje się, kukaburo, ŚMIEJ!

Tak bardzo nie pasuje to do sytuacji, że robi mi się niedobrze.

Sally Ferguson kręci głową, przyświada się do mnie i szepcze:

– Tak... To brzmi sensownie.

Zwraca się do przystojnego młodego mężczyzny w obcisłych dżinsach, który właśnie mija szklane drzwi.

– Dan, Danielu, proszę... czy mógłbyś... czy mógłbyś zabrać... ach... L y d i ę Moorcroft do klasy? Do drugiej, koniec korytarza. Jane Rowlandson.

ŚMIEJ SIĘ, kukaburo, ŚMIEJ...

Dan powoli, serdecznie kiwa głową, kuca obok Lydi jak nadgorliwa kelnerka przyjmująca zamówienie.

– Cześć, Lydia. Chcesz pójść ze mną?

Na starym eukaliptusie kukabura siedzi, liczy wszystkie małpy, które wii-dzii!

– Jestem Lydia. – Kirstie z wściekłością krzyżuje ręce, krzywi się. Wydyma dolną wargę. Najbardziej uparta mina, na jaką ją stać. – Musisz do mnie mówić Lydia.

– Jasne. Oczywiście. Lydia! Spodoba ci się. Mają teraz muzykę.

Prześtań, kukaburo, prześtań, kukaburo, to nie małpa, tylko ja!

Nareszcie: to działa. Kirstie powoli opuszcza ręce, bierze Dana za rękę i idzie z nim w stronę kolejnych szklanych drzwi. Wydaje się taka drobna, a drzwi są takie wielkie i przytłaczające, jakby chciały ją pożreć. Zatrzymuje się na chwilę i odwraca, by posłać mi smutny, wystraszony uśmiech, a potem Dan prowadzi ją w głąb korytarza. Szkoła ją polyka. Muszę ją zostawić samą, zdaną na siebie. Zwracam się do Sally Ferguson:

– Muszę to pani wyjaśnić.

Sally z powagą kiwa głową.

– Tak proszę. W moim gabinecie. Tam możemy być same.

Pięćdziesiąt minut później Sally zna najważniejsze, przerażające szczegóły naszej historii. Wypadek, śmierć, pomieszanie tożsamości, ponad trzynaście miesięcy. Jak można się było spodziewać, wydaje się naprawdę przerażona i pełna współczucia, ale dostrzegam w jej oku błysk zachwytu, jakąś przebiegłość, kiedy słucha mojej opowieści. Z całą pewnością dostarczam jej rozrywki. To miał być kolejny nudny dzień. To jest coś, co będzie mogła opowiedzieć wieczorem mężowi i przyjaciółkom. Nie uwierzycie, kto dzisiaj przyszedł. Matka, która nie potrafiła powiedzieć, która z jej bliźniaczk przeżyła. Matka, która się zastanawia, czy jej rzekomo zmarła i skremowana córka nie jest jednaką żywą.

– To wyjątkowa historia – mówi. – Tak bardzo mi przykro.

Zdejmuję okulary, potem znów je zakłada.

– To niesamowite, że nie ma... no cóż... żadnego naukowego sposobu... żeby...

– Się dowiedzieć? Udowodnić?

– No cóż, tak

– Wiemy tylko tyle, że... to znaczy tak mi się wydaje... skoro na razie chce być Lydią, to może m u s i m y się na to zgodzić. Na razie. Ma pani coś przeciwko temu?

– No cóż... nie, oczywiście, że nie. Jeśli tak pani woli. A jeśli chodzi o papiery, to też nie ma żadnego problemu. Są... – Szuka właściwych słów. – To znaczy były w tym samym wieku... więc tak, będą tylko musiała uaktualnić dane, ale proszę się o to nie martwić.

Wstaję, chcę wyjść. Czuję rozpaczliwą potrzebę, żeby stąd uciec.

– Tak mi przykro, pani Moorcroft. Ale jestem pewna, że teraz wszystko będzie dobrze.

Kirstie... to znaczy pani córce, Lydi, na pewno się u nas spodoba. Naprawdę.

Uciekam na parking, wsiadam do samochodu, opuszczam szybę i pędzę z powrotem wybrzeżem. Wiatr jest przenikliwie zimny, szczypie, wieje z zachodu od Cuillin, od Butt of Lewis, Saint Bloody Kilda, ale nie dbam o to. Pragnę tego zimna. Mijam Ornsay i jadę dalej, do Broadford, które w porównaniu z odludnym półwyspem Sleat wydaje mi się Londynem. Są sklepy, poczty i ludzie na chodnikach – i wielka, jasna i ciepła kawiarnia ze świetnym połączeniem Wi-Fi i bardzo dobrym zasięgiem. Mam ochotę na wódkę, ale kawa będzie musiała wystarczyć.

Siadam z gigantycznym kubkiem cappuccino przy wielkim stole na wygodnym drewnianym krześle. Wyjmuję telefon.

M a ma. Muszę zadzwonić do mamy.

– Saro, kochanie, wiedziałam, że to ty! Tata jest w ogrodzie, mamy tu prawdziwe babie lato.

– Mamo.

– Wszystko w porządku? Kirstie zaczęła chodzić do nowej szkoły?

– Mamo, musisz coś usłyszeć.

Moja matka zna mnie na tyle, że zdaje sobie sprawę, co oznacza ten ton. Natychmiast przestaje płakać, czeka.

Wyjaśniam jej. Wyjaśniam tak samo jak Sally Ferguson. I może będę to musiała wyjaśnić wszystkim.

Robię to szybko, by słowa nie uwięzyły mi w gardle. Mówię jej o możliwości, że się pomyliliśmy, że źle zidentyfikowaliśmy bliźniaczkę, która zginęła. Nie wiemy. Próbuje się dowiedzieć. To wszystko jest takie absurdatne, a jednak tak okrutnie rzeczywiste. Równie rzeczywiste jak góry Knoydart. Moja matka, równie małowarna jak ja, przez cały ten czas z szacunkiem milczy.

– O nie – mów na koniec. – O nie. O Boże. Biedna Kirstie. To znaczy...

– Mamo, proszę, nie płacz.

– Nie płaczę.

Płaczę. Czekam. Nie przestaje płakać.

– To przywołuje tyle wspomnień. Tę straszną noc. Karetkę.

Czekam, aż się uspokoi, walczę z własnymi emocjami. To ja muszę być tą silną. Dlaczego?

– Mamo, musimy to rozwikłać, o ile to możliwe. Bo... bo musimy postanowić, czy ona jest Kirstie, czy Lydią. A potem się tego trzymać, tak myślę. Nie wiem. O Jezusie.

– Tak – potwierdza moja mama. – Tak.

Znow słyszę stłumione łkanie. Patrzą na ulicę za oknem, na samochody zmierzające do Kyle albo do Portree. Na długą, krętą górską drogę wijącą się przez Scalpay i Raasay. Angus odjechał nią rano.

Zaczynamy rozmawiać o praktycznych, trywialnych sprawach. Ale chyba muszę jej zadać poważne pytanie.

– Mamo, chcę cię o coś spytać.

Pociąga nosem.

– Tak kochanie?

– Muszę wiedzieć, wyszukać wszystko, co się nie zgadza, wszystkie wskazówki.

– Co...

– Czy było coś, o czym nie wiem? Tamtego wieczoru, w tamten weekend przed wypadkiem.

Czy zauważyłaś coś innego w ich zachowaniu albo w tym, co się między nimi działo? Coś, o czym mi nie powiedziałaś, bo nie sądziłaś, że to ważne?

– Innego?

– Tak.

– Co to znaczy, Saro?

– Nie wiem. Po prostu... może mogłabym je po tym odróżnić. Nawet teraz. Zachowywały się inaczej? Zauważyłaś coś dziwnego? Coś, co mogłoby wywołać to zamieszanie w głowie mojej córki?

Moja matka milczy. Za oknem prószy śnieg, pierwszy tej zimy. Tylko kilka słabych podmuchów. Unosi się w ostrym, smutnym powietrzu jak najlżejsze konfetti. Po drugiej stronie

ulicy jakieś małe dziecko idące z matką zatrzymuje się i wskazuje na tę roziskrzoną nicość, na jego twarzy maluje się radość.

– Mamo.

Znów milczenie. To wyjątkowo długa pauza, nawet jak na moją matkę.

– Mamo?

– No cóż – Mówi w zadumie, jak wtedy, kiedy kłamie. – Nie. Nie musimy tego wszystkiego rozgrzebywać, prawda?

– Owszem, musimy.

– Cóż, nic mi nie przychodzi do głowy.

Klamie. Okłamuje mnie własna matka. Za dobrze ją znam.

– Mamo, słyszę, że coś wiesz. Co to takiego? Co? Musisz mi powiedzieć, koniec tych uników.

Powiedz mi.

Śnieg sypie coraz słabiej, ustaje, w powietrzu zostają jedyne srebrzyste ślady. Duch śniegu.

– Nie pamiętam.

– Pamiętasz.

– Ale kochanie, naprawdę nie pamiętam.

Czemu kłamie w tej sprawie?

– Mamo. Proszę.

Kolejna chwila milczenia jest inna. Słyszę jej oddech. Niemal słyszę, jak myśli. Widzę ją tam, w Devon, na korytarzu ze zdjęciami pokazującymi zawodowe sukcesy mojego ojca, spłowiłymi, zakurzonymi i oprawionymi w ramki. Zdjęcia, na których otrzymuje nagrody za jakieś dawno zapomniane reklamy.

– No cóż, kochanie, może coś takiego było, ale to nic. Naprawdę nic.

– Nie, to nie jest nic. To może być ważne.

To czy wiste, po kim to mam – skłonność do milczenia, niechęć do mówienia.

Potrafię zrozumieć, że Angus czasem ma ochotę mnie udusić.

– To nic, Saro.

– Powiedz mi, mamo. Powiedz mi!

Mówię zupełnie jak Angus.

Moja matka bierze głęboki wdech.

– W porządku... Pamiętam tylko, że tego dnia, kiedy przyjechałaś, Kirstie była zdenerwowana.

– Kirstie?

– Tak, ale nie zauważyłaś tego, byłaś taka rozkojarzona... wszystkim. A Angus oczywiście się spóźnił, przyjechał dopiero potem, bardzo późno wieczorem, i spytał Kirstie, o co chodzi, czemu jest taka zdenerwowana, a ona powiedziała, że to coś z tatą. Że czy mś ją zdenerwował, tak mi się wydaje. Coś w tym stylu, tylko tyle pamiętam, to na pewno nic takiego.

– Nie, to może być ważne. Dziękuję, mamo. Dziękuję.

Rozmowa się urywa. Mówimy sobie, jak bardzo się kochamy, mama pyta, czy u mnie wszystko w porządku.

– To znaczy – dodaje – czy z tobą wszystko w porządku.

– Tak. Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna, kochanie? Mówisz trochę, no wiesz... tak jak wcześniej. Saro, naprawdę nie

powinnaś do tego wracać. Nie tak

– Mamo, radzę sobie. Naprawdę sobie radzę. Martwi mnie tylko to, co się dzieje z Lydią. Nawet lubię ten dom, mimo szczurów pod łóżkiem. I kocham tę wyspę. Musicie ją zobaczyć.

– Oczywiście, oczywiście, że ją zobaczymy.

Żeby zmienić temat, pytam ją o mojego brata, o Jamiego. To działa. Mama śmieje się cicho, z czułością, i mówi, że Jamie hodzi owce w Australii. Albo jest drwalem w Kanadzie. Nie jest do końca pewna. To taki rodzinny żart, który ma znaczyć, że Jamie nie potrafi nigdzie zagrać miejsca i że jest jak syn marnotrawny: rodzinny żart, którym się posługujemy, by przetrwać kiepskie czasy i przebrnąć przez niezręczne rozmowy. Tak jak teraz.

Potem się żegnamy. Siedzę w kawiarni, zamawiam kolejną kawę. Zastanawiam się nad tym, o czym rozmawialiśmy. Dlaczego tamtego wieczoru Angus dotarł do Instow tak późno. Przed wypadkiem jego wersja brzmiała: może będzie musiał do późna zostać w pracy. Ale kiedy próbowaliśmy zadzwonić do niego do pracy, nie było go tam. Później wyjaśniał, że po drodze zajrzał do Imogen, żeby zabrać kilka rzeczy dla dziewczynek. Niedawno u niej nocowały.

Bezdzietna Imogen zawsze lubiła się otaczać dziećmi.

Wtedy tego nie podważałam. W żaden sposób. Za bardzo mnie pochłaniał przytłaczający smutek. Poza tym to miało sens. Ale teraz?

Imogen?

Nie. To głupie. Dlaczego wątpię w swojego męża? Oprócz tej sprawy z picciem zawsze stał u naszego boku. Kochający, oddany, zaradny, biedny Angus. Mój mąż. I muszę mu ufać, nie mam nikogo innego.

Tak czy inaczej nie mogę już nic zrobić, by rozwiązać problemy Kirstie. Muszę się zająć pracą.

Muszę zarabiać, pisać. Nowa, dorywcza praca Angusa w Portree przyniesie nam parę funtów, ale parę funtów nie wystarczy. Musimy więcej zarabiać. A to oznacza, że jakoś muszę się do tego przyczynić. To bardzo ważne, jeśli mamy zostać na Torran.

A tak bardzo, bardzo pragnę zostać na Torran.

Więc włączam laptopa i przez dwie godziny wysyłam maile. Nagromadzone pomysły, koncepcje i maile z czterdziestu ośmiu godzin. Wysyłam kilka maili do redakcji w mieście: może mogłabym coś napisać o Torran i Sleat, o miejscowym folklorze, odrodzeniu gaelickiej kultury i języka, o czymkolwiek.

Popijając cappuccino, patrzę na samochody wjeżdżające i wyjeżdżające z Co-op i po raz kolejny zastanawiam się nad naszym coraz silniejszym zauroczeniem tą wyspą. To jak młodzińcze zadurzenie nieczułym chłopakiem, którego trudno zadowolić. Im trudniejsza okazuje się Torran, tym bardziej pragnę ją posiadać, uczynić własną.

Po kilku ciężkich godzinach praca skończona. Muszę wrócić do szkoły i odebrać Kirstie. Mogę się spóźnić, więc dociskam pedał gazu, i wpadam w poślizg na ośnieżonej drodze i o mało nie wjeżdżam w skarlłowaciały dąb stojący posępnie na straży szlaku do jakiejś farmy po lewej stronie drogi.

Zwolnij, Saro, zwolnij. Muszę pamiętać, że właściwie cała droga jest niebezpieczna, od Broadford aż do Ardvasar. Ale z drugiej strony wszystko jest tu trochę niebezpieczne.

Pojedynczy płatek śniegu pada na przednią szybę, unicestwiają ją wycieraczki. Spoglądam na niskie, tyse wzgórza. Ogołocone przez wichry i wylesienie. Myślę o ludziach, którzy musieli

opuścić to miejsce z powodu nędzy i przymusowych wysiedleń z Highlands. Kiedyś na Skye mieszkało dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Sto lat później została tylko połowa. Często mam przed oczami sceny z tamtych czasów. Płaczące żony farmerów, po cichu zabijane owczarki, płaczące dzieci. Ich rodzice opuszczali swoją piękną, wrogą ojczyznę i żeglowali na zachód. A teraz myślę o swojej córce.

O jej krzyku.

Muszę postanowić, co zrobić z moją córką. Nie chcę tego robić, ale nie mam wyboru. To, co się stało rano, zmusza mnie do decyzji.

Przyjeżdżam do szkoły. Z wysiłkiem uśmiecham się nieprzekonująco do innych matek, a potem się odwracam i patrzę na wesoły papierowy znaczek na szklanych drzwiach, na którym jest napisane *Failte*. Zastanawiam się, gdzie ona jest. Gdzie jest moja córka.

Z klas wysypują się dzieci: rzeka zawrotnej energii, wesołe rozmowy po gaelicku, pojemniki na lunch z ludzikami Lego. Tłum małych osóbek biegnących w objęcia rodziców. A potem wreszcie, powoli, niechętnie wychodzi ostatnie dziecko. Mała dziewczynka bez przyjaciół. Nie rozmawia z nikim.

Moja córka. Teraz jedynaczka. Ze swoim smutnym plecaczkiem. W smutnym szkolnym mundurku. Podchodzi do mnie i wtula twarz w mój brzuch.

– Witaj – mówię.

Obejmuję ją i prowadzę do samochodu.

– Hej, jak tam pierwszy dzień w szkole?

Moja sztuczna wesołość jest absurdalna. Ale co innego mogę zrobić? Być posępną, jakbym planowała samobójstwo? Powiedzieć jej, że tak naprawdę wszystko jest okropne?

Kirstie zapina pasy w foteliku, wygląda przez okno na szare wody cieśniny i różowo-pomarańczowe światła Mallaig – z portem i dworcem kolejowym, z symbolami ucieczki, cywilizacji i stałego lądu, teraz niknącymi w oddali. Jest wpół do czwartej i już wszystko spowija zimowa ciemność.

– Kochanie, jak ci poszło?

Wciąż wygląda przez okno. Upieram się.

– Muminku?

– Nic.

– Co takiego?

– Nikt.

– Och, rozumiem. – Co to znaczy? N i c i n i k t? Włączam radio i podśpiewuję jakąś wesołą melodię, choć mam ochotę wjechać prosto w Loch na Dal.

Ale mam plan i będziemy się go trzymać. Musimy tylko dotrzeć do łodzi i dostać się na wyspę.

Wtedy zrobię to, czego tak bardzo się boję.

To nędzne i okropne.

Lódź czeka na nas. Jest przycumowana do mola wychodzącego w morze przy parkingu pod The Sellie. Latarnia i chatka latarnika w oddali wydają się niewinne, białe i śliczne, ale przytłoczone ciemnością gromadzącą się nad górami Knoydart. Parkuję.

Muszę cztery czy pięć razy szarpnąć linkę, by uruchomić silnik. Przedtem musiałam to robić dziesięć razy. Zaczynam się do tego przyzwyczajać i lepiej steruję łodzią. Potrafię nawet wiązać węzły.

Kirstie ma trochę zaczerwienione oczy, ale siedzi spokojnie na drugim końcu pontonu. Patrzy najpierw na mnie, potem na skaliste plaże Salmadair. Płyniemy powoli w zimnej bryzie. Jej jasne włosy ślicznie się kręcą, falują na wietrze. Jest taka ładna. Widzę jej profil z zadartym nosem na tle wody. Tak bardzo ją kocham. Moja mała córeczka. Kocham ją, bo jest Kirstie, i kocham ją, bo przypomina mi Lydię.

I oczywiście jakaś część mnie chce odzyskać Lydię. Jakaś część mnie tego pragnie. Bardzo tęskniłam za Lydią: za tym, jak siedziałyśmy i czytałyśmy całymi popołudniami, za tym, jak czasem po prostu milczałyśmy, szczęśliwe. Kirstie zawsze musiała się wiercić, była o wiele mniej cierpliwa. Myśl o tym, że Lydia mogłaby wrócić, jest czymś w rodzaju cudu. To przerażające, a jednak to cud. Może wszystkie cuda są przerażające? Ale jeśli odzyskam Lydię, jeśli to naprawdę Lydia jest tu teraz ze mną, to Kirstie umrze.

O czym ja w ogóle myślę? To jest Kirstie i zamierzam to udowodnić. W najokrutniejszy możliwy sposób. O ile będę potrafiła być tak bezwzględna, by to zrobić.

Kirstie pyta na przenikliwym wietrze:

– Dlaczego ta wyspa nazywa się Salmadair, mamusiu?

To dobrze. Normalna rozmowa.

– To chyba znaczy Wyspa Psalmów, kochanie. Kiedyś był tutaj klasztor.

– Kiedy, mamusiu? Co to jest klasztor?

– Klasztor to miejsce, gdzie ludzie się modlili. Modlili się tu wiele lat temu, tyśiąc lat temu.

– Zanim byłyśmy małą?

Nie zwracam uwagi na dziwną składnię i kiwam głową.

– Tak. Na długo przed tym.

– A teraz nie ma tu zakonnicy?

– Nie. Zimno ci?

Wiatr mocno rozwiewa jej włosy. Jej różowy płaszcz przeciwdeszczowy jest rozpięty.

– Nie, jest dobrze. Wiatr zwiewa mi włosy na buzię, ale lubię mieć włosy na buzi.

– No dobrze. Już prawie jesteśmy.

Po prawej wynurza się foła. Spogląda na nas smutno, osieroconymi, mądrymi oczami, a potem znika z pluskiem. Kirstie uśmiecha się swoim szczerbatym uśmiechem.

Fale są dla nas pomyślne i prowadzą nas na plażę pod latarnią. Wciążam ponton – rzeczywiście jest dość lekki – powyżej linii przypląwu, tam, gdzie grasują kraby, a mewy dziobią gnijącego martwego łososia.

– Faj – mówi Kirstie, wskazując na śmierdzącą rybę. Potem biegnie w stronę domku, otwiera nigdy niezamykane na klucz drzwi i znika w środku. Słyszę, jak Beany szczelą cicho na powitanie. Kiedyś szczelą głośno i radośnie. Przywiązuję łódź i idę do domu. W kuchni jest zimno. Szczury nie harcują. W jadalni arlekińscy tańczą na poplamionej białej ścianie. Na muszli kłozetowej leży kamień, żeby nie przychodziła norka.

Angusa nie ma, dziś będzie nocował w Portree. Jesteśmy na wyspie same i nie przeszkadza mi to.

Kirstie poklepuje i głaszcze Beany'ego, a potem idzie do swojego pokoju, żeby poczytać. W północy kuchni robię kolację. Nad moją głową wiszą druciane kosze. Mają chronić jedzenie przed szczurami. Słyszę oddech morza, brzmi tak, jakby ktoś wykonywał ćwiczenia. Jest w tym jakiś spokój. Przed burzą?

Szykuję się do tego, co mam zamiar zrobić. Może powinnam była to zrobić trzy tygodnie temu. Chcę przeprowadzić test, taki, w którym nie będzie mogła udawać. Ten pomysł przyszedł mi do głowy rano, kiedy patrzyłam na krzy czącą w szkole Lydię. Okrzepł dopiero po południu.

Główną rolę odegra fobia mojej córki. To, jak bardzo nienawidzi ciemności.

Za każdym razem, kiedy ta fobia się przejawiała, obie krzyczały. Ale krzyczały różnie, każda inaczej. Kirstie wrzeszczała i dyszała ciężko, była przerażona, drżącym głosem wykrzykiwała różne słowa. Lydia po prostu piszczała: bardzo wysoko. Od tego pisku popękałby lód.

Słyszałam ten pisk tylko kilka razy. Różnił się od każdego innego dźwięku, jaki znam. Pewnie dlatego przyszło mi to do głowy dopiero dzisiaj. Raz zdarzyło się to wtedy, kiedy w Camden wyłączyli prąd. To było dwa lata temu. Dziewczynki zanurzyły się w kompletnej ciemności, w czerni, której zawsze się bały.

Kiedy to się stało, natychmiast się przerażyły. Ale Kirstie dyszała i wrzeszczała, a Lydia wydała ten przenikliwy pisk

Teraz umyślnie wyzwolę tę fobię. Nagle zamknę ją w ciemności. Zareaguje instynktownie, odruchowo. Nie będzie w stanie udawać. W ten sposób poznam prawdę. Mój plan jest okrutny, czuję się winna, ale nie widzę innej możliwości. Pozwalać na to, by to pomieszczenie się ciągnęło, byłoby jeszcze okrutniej.

Muszę to zrobić teraz. W przeciwnym razie pogubię się w wątpliwościach i nienawiści do samej siebie.

Wchodzę do jej pokoju. Podnosi wzrok i spogląda na mnie. Wydaje się bardzo smutna. Dzięki niej te nagie ściany wyglądają trochę przytulniej, z książkami na półkach i obrazkami. Ale to wciąż pusty, samotny pokój, w którym nie ma jej siostry bliźniaczki. W jej radiu grają piosenki dla dzieci. One Direction. Jest wiklinowy kosz pełen zabawek. Niewiele się nimi zajmowała. Tylko z Lamparcikiem kładzie się do łóżka. Obie uwielbiały Lamparcika. Może Lydia kochała go trochę bardziej?

Jej smutne spojrzenie jest nie do zniesienia.

– Kochanie? – mówię ostrożnie. – Powiedz mi, co się stało w szkole.

Cisza.

Próbuję jeszcze raz.

– Jak było? Jak ci minął pierwszy dzień w szkole? Opowiedz mi o nauczycielach.

Znów milczenie, slychać tylko One Direction. Zamyka oczy. Czekam, czekam. Czuję, że chce mi powiedzieć. A potem powoli pochyła się w moją stronę i mówi bardzo cichutko:

– Nikt nie chciał się ze mną bawić, mamusiu.

Czuję, że zaraz pęknie mi serce.

– Och... rozumiem.

– Prosiłam dzieci, ale nikt nie chciał się ze mną bawić.

Czuję palący ból, chcę przytulić moją córeczkę, ochronić ją.

– Kochanie, to dopiero pierwszy dzień, tak się czasem zdarza.

– Więc bawiłam się z Kirstie.

Głaszczę ją delikatnie po włosach, serce bije mi jak szalone.

– Z Kirstie?

– Bawiła się ze mną, tak jak zawsze.

– No dobrze.

Co mam zrobić? Rozzłościć się? Rozplakać? Krzyczeć? Wyjaśnić, że Lydia nie żyje i że to ona jest Kirstie? Może nawet sama nie wiem, która z nich nie żyje.

– Ale wtedy, kiedy się bawiłam z Kirstie-koo...

– Tak?

– Wszyscy się ze mnie śmiali, mamusiu. To było... Rozplakałam się, wszyscy się ze mnie śmiali.

– Bo tak naprawdę byłaś sama?

– Nie! Kirstie tam była! Była tam! Jest tutaj!

– Kochanie, nie ma jej. Ona...

– Ona co?

– Kirstie, twoja siostra... ona... ona...

– Po prostu to powiedz, mamó. Po prostu to powiedz. Wiem, że ona nie żyje. Mówiłaś mi, że nie żyje.

– Kochanie...

– Ciągłe mi powtarzasz, że nie żyje, ale ona wraca, żeby się ze mną bawić, była tutaj, była w szkole, b a w i się ze mną, jest moją s i o s t r ą, to nieważne, że nie żyje, w c i ą ż t u j e s t, wciąż tu jest, jestem tu, jesteśmy tu, dlaczego wciąż powtarzasz, że nie żyjemy, bo żyjemy, żyjemy, żyj e m y.

To wycie kończy się pełnym złości, głośnym płaczem. Kirstie gwałtownie odsuwa się ode mnie, pełnie na drugi koniec łóżka, chowa zarumienioną twarzączkę w poduszce i... jestem bezradna. Siedzę tak, żałosna, okropna matka. Co zrobiłam swojej córce? Co wciąż jej robię? Co zamierzam z nią zrobić?

Czy na samym początku, w Londynie, powinnam była nie zwracać uwagi na to, że jest zagubiona? Gdybym nigdy nie nabrała podejrzeń, gdybym się upierała, że jest Kirstie, może zostałaby Kirstie. A teraz muszę zrobić t o.

Zła matka. Bezдушna matka.

Czekam kilka minut, aż napać złości minie. Z radia wciąż płynie tandetna muzyka pop: *The Best*

Song Ever. Potem Britney Spears.

W końcu kładę rękę na jej stopie.

– Muminku.

Odwraca się. Ma zaczerwienione oczy, ale jest spokojniejsza.

– Tak?

– Kirstie?

Nie wzdryga się na dźwięk tego imienia. Teraz jestem pewna, że to Kirstie. Moja Lydia nie żyje.

– Kirstie, idę na chwilę do kuchni napić się czegoś gorącego. Chcesz coś? Coś do picia?

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Sok

– Dobrze. Ty poczytaj książkę, a ja zrobię coś do picia.

Chyba się zgadza. Sięga po *Cwaniaczka*, a ja cicho zasuwam zasłony. Tak, żeby do środka nie dostało się żadne światło: to proste, księżyc schował się za chmurami, a na Torran nie ma ulicznych latarni.

Potem, najdyskretniej, jak potrafię, schylam się, jakbym zbierała z podłogi zabawki. A tak naprawdę ukradkiem wyłączam jej nocną lampkę.

Nie zauważa tego. Dalej czyta, lekko poruszając ustami. Lydia tak robiła.

Zostało mi już tylko jedno. Wyłączyć światło i zamknąć drzwi. Zatrzasnę Kirstie w całkowitej ciemności, wśród najgorszych lęków. Ledwie powstrzymuję płacz i podchodzę do drzwi.

Czy mogę to zrobić? Jak mogę to zrobić?

Szybko wyłączam światło, wychodzę z pokoju i zamykam drzwi. W korytarzu też panuje półmrok, ledwie go oświetla lampa z dużego pokoju. Pokój Kirstie musiał się pogryźć w całkowitych ciemnościach.

Czekam. W piersi czuję palące poczucie winy. Och, kochanie. Kirstie, tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Jak długo to potrwa? Kiedy krzyknie?

Niedługo.

Bardzo niedługo.

Trzy sekundy po tym, jak zamknęłam drzwi, krzyczy. To ten wysoki, przenikliwy, charakterystyczny pisk jakby coś cienkiego i metalicznego rozszczepiało się na dwie części. Krzyk jest straszny i nie mogę go pomylić z niczym innym: jest przenikliwy i jedyne w swoim rodzaju. Otwieram drzwi, błyskawicznie włączam światło i podbiegam do mojej oszołomionej, przerażonej, zawodzącej w łóżku córeczki.

– Mamo, mamo, mamo!

Biorę ją w ramiona i mocno przytulam.

– Przepraszam, kochanie. Tak strasznie przepraszam. Zapomniałam, zapomniałam o lampce, zapomniałam... Przepraszam, przepraszam. Tak bardzo, bardzo cię przepraszam.

Ale chociaż czuję się strasznie winna, w mojej głowie kołocze się jedna przerażająca myśl.

To Kirstie umarła.

To Lydia tutaj siedzi.

Trzy naście miesięcy temu się pomyliliśmy.

Następnego dnia rano dzwoni do mnie Angus. Jest sobota. Chce, żebym przyłączyła się i odebrała go z mola przy The Selkie o piątej.

– Będzie już ciemno.

Ledwie mnie słyszy przez te szumy na naszej przeźartej przez morze linii telefonicznej.

– Co? Saro? Co?

– Nie będzie ciemno? Angus?

– Pełnia... – mówi. Tak mi się wydaje.

Połączenie całkiem się zrywa. Zerkam na zegarek: jedenasta przed południem. Za sześć godzin będę musiała się spotkać z mężem w Ornsay, i wtedy mu powiem, że popełniliśmy potworny błąd, że Kirstie zginęła, a Lydia żyje. Jak zareaguje? Czy mi w ogóle uwierzy?

Wychodzę przed dom, na splekane płyty, i spoglądam na wschód, na kredowobiały filar latarni, na morze i przyprószone śniegiem góry Knoydart w oddali. Z jakiegoś powodu ten widok i samo to, że stoi tam latarnia, zawsze mnie pociesza i uspokaja. Uspokajające światło, błogie, jakby się trzymało na dystans. W nocy migocze co dziesięć sekund, sygnalizując światu: tu jesteśmy. Angus, Sarah i Lydia a Moorcroft. Nas troje.

Widzę Lydię: jest sama, bawi się w swoich nowych niebieskich kaloszkach, brodzi w kałuży na skałach, szuka małych rybek i pulsujących jeżowców. Nazywanie ją Lydią wydaje się takie łatwe. Ona jest Lydią. Lydia wróciła. Kirstie odeszła. Po raz drugi oplakuję córkę, a jednak po cichu rozpiera mnie radość – pomieszana z poczuciem winy. Lydia wróciła z krematorium. Moja druga córka – ta, która uwielbia kałuże na skałach, ta, która tak lubi przyglądać się jeżowcom, patrzeć na ich delikatne, miękkie ciała – znowu żyje.

Lydia odwraca się i patrzy na mnie, a potem biegnie do kuchni po porośniętym nadmorską trawą stoku, pokazuje mi muszélki, które zebrała.

– Hej, są bardzo ładne.

– Mogę je pokazać tacie?

– Oczywiście, że możesz, Lydio. Oczywiście.

Muszélki są wilgotne, zapiaszczone, pokryte błękitnymi prążkami przechodzącymi w żółty i kremowy. Płuczę je pod wodą tryskającą z kranu i oddaję jej.

– Schowaj je w bezpiecznym miejscu. Tatuś wróci do domu późno.

Zmieniam jej kalosze na tenisówki i szczęśliwa znika w swoim pokoju. W milczeniu gotuję zupę. Próbuję rozproszyć ponure myśli. Często jadamy zupy, łatwo je odgrzewać w tej koszarnej kuchni. Mogę je zamrażać i odgrzewać w mikrofalówce, kiedy prawdziwe gotowanie wydaje się zbyt przytłaczające.

Czas mija, nic strasznego się nie dzieje. Jest szesnasta trzydzieści i zapada zmierzch. Wsuwam głowę do pokoju Lydii i proszę, by popłynęła ze mną odebrać tatę spod The Selkie.

Stoi tam, w różowych legginsach i różowych tenisówkach z odblaskowymi paskami na piętach. W pokoju jest przeciąg. Kręci głową.

– Ale tatuś chce się z tobą zobaczyć.

– Nn... nie chcę.

– Lydie-lo. Czemu nie?

– Po prostu nie. Nie teraz.

– Lydio, zostaniesz sama na wyspie.

Tak łatwo mi przychodzi nazywanie jej Lydią. Może od początku podświadomie czułam, że to Lydia.

Kręci głową.

– Nie szkodzi!

Nie mam ochoty się z nią kłócić. Za bardzo pochłania mnie myśl o konfrontacji z Angusem. Poza tym na Torran będzie bezpieczna, o ile gdzieś nie zabłądzi. To wyspa. Jest przypiływ. Nie będzie mnie trzydzieści minut. Moja córeczka ma siedem lat i może sama posiedzieć w domu. Nie mamy balkonów.

– W porządku. Chodź tutaj. Obiecuję ci tylko, że zostaniesz w swoim pokoju, dobrze?

– Tak

Przytulam ją i zapinam jej niebieski sweterek. Potem całuję jej pachnące szamponem włoski i posłusznie wraca do pokoju.

Niebo nad wyspą pociemniało, otoczył ją mrok. Biorę latarkę i idę ścieżką na kamienistą plażę przy latarni. Ściągam łódź z porośniętych trawą skał. Odwiązuję liny, wciągam na pokład martwy ciężar kotwicy, jakby to było jakieś małe ciało, które chcę wyrzucić za burtę, ukryć w wodach cięśniny.

Wygląda na to, że Angus miał rację. Noc jest pogodna i spokojna i latarka nie jest mi potrzebna. Księżyc świeci jasno, rzuca na wodę poświatę.

I widzę go: mój mąż czeka na moło przy The Selkie na tle światła z pubu. Ma na sobie ciemne dżinsy, ale sweter z dekoltem w szpic i koszulę w kratę: kompromis między życiem na wyspie a pracą architekta. Wydaje się pełen energii, uśmiechnięty, może jest szczęśliwy po pierwszym dniu porządnej pracy.

– Hej, śliczna stercznico. W samą porę.

Schodzi po stopniach, wskazuje do łodzi, całuje mnie. Czuć od niego whisky, ale nie za mocno. Pewnie szybka szklaneczka na rozgrzanie w The Selkie.

– Co tam u Kirstie?

– Ona...

– Co?

– Nic.

Silnik Yamahy tnie zimne, czarne, rozświetlone księżycem wody, a ja steruję wokół Salmadair. Wielki dom miliardera stoi ciemny i pusty. Czarne jodły bronią go, zwarte legiony.

– Saro?

Łódź osiada łagodnie na morskazynach. Światło księżycy prowadzi nas do domu. Lydia nas słyszy i wybiega z pokoju, by pokazać tacie muszelki, które znalazła. Angus trzyma je w wielkich

dłoniach i mówi:

– Hej, kochanie. Są piękne. Naprawdę śliczne. Dziękuję. – Pochyla się i całuje ją w małe, blade czołko. A potem ona wymyka się z powrotem do swojego pokoju. Mija malowidło ze Szkotką w klanowym stroju.

Sadzam Angusa przy stole i robię herbatę. Nie odzywa się. Zupełnie jakby się spodziewał czegoś niezwykłego. Czyżby coś podejrzewał? Chyba nie.

Tak spokojnie, jak ty lko mogę, wysuwam krzesło i siadam naprzeciwko. I mówię:

– Jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć.

– Dobra.

Oddycham głęboko, ale spokojnie. Mówię dalej:

– To nie Lydia spadła z balkonu. To była Kirstie. Pomyliliśmy się. Popelniliśmy błąd. Dziewczynka w tym pokoju, nasza córka, która przeżyła, to Lydia.

Nic nie mówi. Popija herbatę. Jego ciemnobrażowe oczy wpatrują się w moje. Nie mruga. Ale jest w nich gniew. Przygląda mi się jak drapieżnik.

Nagle czuję się tak, jakbym się znalazła w niebezpieczeństwie. Jakby mi coś groziło, tak jak wtedy na strychu. Na chwilę wraca jąkanie z dzieciństwa.

– Ja... ja...

– Saro. Uspokój się. – Patrzy ze złością. Mrocznie i złowrogo. – Powiedz mi.

– Zgasilałam wszystkie światła w jej pokoju. Żeby zaczęła krzyczeć.

Zmarszczył na jego czole pogłębiają się.

– Co?

– Pamiętasz, jak krzyczały? Każda inaczej. Kiedy się naprawdę wystraszyły. Kiedy zaczynały się bać? Pamiętasz? Gdy nie było prądu? Więc to zrobiłam. Zostawiłam ją w ciemności. Tak, wiem, że to straszne, ale... – Znow dopada mnie poczucie winy. Szybko mówię dalej: – ...czegoś takiego nie da się udawać, prawda? Ten krzyk był odruchem, to strach, to instynktowna reakcja, więc... więc... no właśnie, krzyczała jak Lydia, kiedy zrobiło się ciemno. To Lydia. Musi nią być.

Znow wypija łyk herbaty. Chciałabym, by zareagował normalnie. W taki czy inny sposób. Może płacem. Krzykiem. Byle coś zrobił. Choćby miał być wściekły.

Ale on tylko wpatruje się we mnie groźnie. Popija herbatę i mówi:

– To wszystko? Krzyk? Krzyk to twój jedyny dowód?

– Nie, nie tylko to. Boże, jest tego o wiele więcej.

– No dobra. Powiedz mi. Uspokój się. Co jeszcze?

Zaciska swoje wielkie dłonie na kubku. Mocno. Wypija kolejny łyk, jego oczy nawet na chwilę nie przestają patrzeć w moje.

– Powiedz mi, Saro. Powiedz mi wszystko.

Ma rację. Powinien wiedzieć w s z y s t k o. Wyrzucam to z siebie, jakbym rzygała po całej nocy picia. Jakbym rzygała kłamstwami i unikami. Ratuję się prawdą. Mówię mu o tym, jak się zachowuje pies, o czytaniu, o tym, że zmieniła przyjaciół, o fochach w szkole, o całych tygodniach dziwnego zachowania i o tym, że teraz nasza córka chce, bym nazywała ją Lydią. Opowiadam mu o wizycie w Glasgow, u Kellowaya, i o tym, jak mnie to przekonało na jakiś czas, że się myliłam. A potem wątpliwości wróciły. Jeszcze większe i bardziej przekonujące niż wcześniej.

– To Lydia – podsumowuję. Wpatruję się w niego. On wpatruje się we mnie.

Chociaż ma zarost, widzę, że zaciska zęby. Brnę dalej.

– My... ja... jakoś się pomyliłam, Gus. To przez tych parę słów, to zdanie, które wypowiedziała po wypadku, za dużo z góry założyłam, może Lydia się w tym pogubiła, pamiętasz, jak się wtedy zamieniały, bawiły się w te swoje gry, wyglupiały się, ubierały się tak samo, chciały, żeby je tak samo czesać. Przypomnij sobie to wszystko. A potem ten wypadek i kto wie, może nawiązały jakąś telepatyczną więź, kiedy Kirstie była w szpitalu. Nie możemy tego wiedzieć na pewno. Ich umysły jakoś się ze sobą wymieszały, tak jak wtedy w łóżeczku, kiedy stały obok siebie i ssały sobie nawzajem kciuki.

Angus wciąż się nie odzywa. Cały czas tylko ja mówię. Ale ściska kubek tak mocno, że zbielały mu kostki. Jakby chciał się nim zamachnąć i uderzyć mnie w twarz. Jest wściekły, gotów użyć przemocy. Boję się, ale nie przestaję mówić, Angus mnie uderzy, ciśnie mi w twarz kubkiem z namalowanym zamkiem w Edynburgu. Mówię mu, że jego ukochana córeczka nie żyje i że moja wróciła do życia.

Ale nie dbam o to, muszę to powiedzieć.

– Ta, która jest w tym pokoju, to Lydia. Nie Kirstie. Skremowaliśmy Kirstie. Lydia żyje.

I wtedy się zaczyna. Reaguje. Wypija resztę herbaty. Odstawia kubek na zakurzony, poplamiony stół. Księżyc za oknem jest błądy i przerażony. Gapi się na nas.

W końcu Angus mówi:

– Wiem, że to Lydia.

Wpatruję się w niego. Jestem tak oszołomiona, że brakuje mi słów.

Zbývá to wzruszeniem ramion. Jest taki spięty i taki muskularny. Potem dodaje:

– Wiem już od jakiegoś czasu.

Oniemiałam. Angus głośno wzdycha.

– Chyba powinniśmy zrobić porządek z aktem zgonu.

Nie powinnam milczeć. To chore.

Angus wstaje. Wchodzi do kuchni. Garnki i talerze brzęczą w zlewie. Beany wślizguje się do jadalni, przystaje i spogląda na mnie. Jego nieprzycięte pazury porobiły rysy na zimnych kamiennych płytach. Przydałby nam się dywan albo jakieś chodniczki. Wszystko jest nagie, zimne i twarde.

Jako znajduję w sobie siły, by zareagować. Wchodzę do kuchni. Angus w wielkim ceramicznym zlewie myje filiżanki pod nierówno płynącą wodą. Kran się krztusi, woda płynie niepewnie, jak deszczówka przelewająca się z rynny podczas burzy. Mój mąż mocnymi palcami myje kubki, płucze je. Obsesyjnie.

– Josh i Molly zaprosili nas na kolację w przyszły czwartek. Przyjechali do nich jacyś przyjaciele z Londynu. Będzie wielkie wesele w Kinloch.

– Angus.

– I słyszałem w The Selkie dobre wieści. Może postawią maszt telefonii komórkowej za Duisdale, i wtedy będziemy mieli porządną zasięg. Nie będziemy musieli jeździć na to cholerne wzgórze.

– Gus!

Stoi plecami do mnie i metodycznie zmywa naczynia. Wpatruje się w ciemne kuchenne okno wychodzące na pływowe mokradła i linię niskich, gołych wzgórz za The Selkie. Granatowoniebieski horyzont, gwiazdy i ciemność.

Ale widzę też jego twarz odbijającą się w szybie. Nie zdaje sobie z tego sprawy. I dostrzegam na tej przystojnej twarzy grymas gniewu. Potworną, tłumioną wściekłość.

Dlaczego?

Przylapuje mnie na tym, że na niego patrzę, i gniew znika. Ukrywa go bardzo szybko. Odstawia kubek na suszarkę i odwraca się. Sięga po ścierkę i starannie wyciera palce.

W końcu mówi:

– Jakieś sześć miesięcy temu... – przerywa, odkłada ścierkę na lodówkę. Podnosi wzrok – Lydia przyszła do mnie i powiedziała mi to samo co tobie. Że jest Lydią. Że to Kirstie nie żyje. Że się pomyliliśmy. Że ty się pomyliłaś. Że wszyscy się pomyliliśmy.

Pies jest w kuchni, skomle bez wyraźnego powodu. Może wyczuwa napięcie? Angus patrzy na niego i kiwa głową.

– Pies. Ja też to zauważyłem. Że zachowuje się inaczej. Przy Lydii.

– Beany? Ty...

– No tak. W sumie, myślałem... No cóż. Myślałem, że Lydia może mieć rację. Albo raczej że mówię prawdę. To dlatego wyjąłem jej zabawkę.

– Prosiła o nią?

– Nie.

– Przepraszam, co? Nie rozumiem...

– To był test, Saro. Eksperyment. Taki jak twój.

Gapię się na niego. Słyszę szczury w graciarni. Dlaczego Beany ich nie zabije? Ten pies jest żaloszny. Ponury, przygnębiony, przerażony.

– Że jak? Co za te st?

– Chciałem zobaczyć, jak zareaguje. Sprawdzić ją. Lydię. Albo sprawdzić Kirstie. Zobaczyć, czy na własną zabawkę zareaguje inaczej. Na zabawkę Lydii.

– No i? Zareagowała inaczej?

– Tak. Wyjąłem po kryjomu tego smoka. Tak żeby nie wiedziała. Wziąłem go ze strychu. I zanieśliśmy do jej pokoju. Dorzuciłem do innych zabawek. A potem ją obserwowałem, tak żeby nie zauważyła. Chciałem zobaczyć, jak zareaguje.

– Obserwowałaś ją po kryjomu?

– Tak. I jak tylko zauważyła, że tam jest, od razu po niego sięgnęła. Wyraźnie wołała zabawkę Lydii. Całkiem odruchowo. Bez wahania.

No oczywiście: teraz zrozumiałam. To logiczne i przynosi mi ulgę. To właśnie cały Angus. Logiczny i rozsądny, myślący jasno, ale kreatywnie: rozwiązujący problemy inżynier. Wymyślił subtelny test, z zabawką. Znacznie mniej stresujący niż mój.

– Więc wiedziałeś cały czas, albo podejrzewałeś, i... zgadzasz się? Naprawdę myślisz, że jest Lydią?

Odchyła się, opiera ręce o krawędź zlewozmywaka i patrzy mi w twarz. Wyzywająco, a może z pogardą? A może tylko sobie to wyobrażam? Chaos w mojej głowie jest jak wir, i tonę w nim.

– Ale... Gus, dlaczego mi w te d y nie powiedziałeś?

– Nie chciałem cię niepokoić. Nie byłem pewien.

– To wszystko? Taki miałaś powód?

– A co innego? Co chciałabyś, żebym zrobił? Ledwie się trzymałaś, nie doszłaś jeszcze do siebie po śmierci Kirstie. I co, miałem ci powiedzieć: ach, tak przy okazji, wiesz, pomyliłaś się,

gdy zdarzył się ten wypadek Nie ta córka. Daj spokój, Saro. Naprawdę? Naprawdę miałem to wtedy zrobić? Żebyś cierpiała jeszcze bardziej?

Jego twarz łagodnieje, zmienia się. To jeszcze nie uśmiech, ale już nie grymas gniewu. Potrząsa głową, i kiedy to robi, widzę łzy w jego oczach, wzruszenie. To jeszcze nie prawdziwe łzy, ale blisko. I tak mi go żal, tak mi żal nas wszystkich. To musiało być dla niego straszne. Musiał sobie z tym radzić sam. A ja go jeszcze oskarżam. Całymi miesiącami musiał sobie radzić z tą potworną wiedzą najlepiej, jak mógł. I stracił Kirstie, kiedy myślał, że stracił Lydię.

Mówię:

– Więc ona jest Lydią?

– Tak sama w to wierzy, i wydaje się, że tak jest, że to właśnie ona. Nie mamy wyboru. To Lydia, Saro. To Kirstie umarła. Wtedy. I to by było na tyle.

Próbuje trzymać emocje na wodzy. A potem, stojąc na drugim końcu kuchni, rozkłada szeroko ramiona, jakby mnie zapraszał. I czuję, jak coś się we mnie przełamuje: jestem już zmęczona tą ciągłą wrogością. Musimy być rodziną. Znowu być razem. Lydia Moorcroft i jej rodzice. Przechodzę przez kuchnię, a on mnie przytula. Opieram głowę na jego ramieniu.

– No chodź – mówi. – Zróbmy jakąś kolację. Ty, ja i Lydia. I Beany, ten bezużyteczny pies.

Udaje mi się roześmiać i niemal robi mi się weselej. A potem idziemy do salonu. Angus rozpala w kominku wielki ogień, a ja gotuję makaron, a potem on spokojnie woła przez korytarz w stronę pokoju Lydii:

– Lydia, Lydie-lo! – A ona przybiega, i to jest właśnie ta chwila, właśnie ten moment.

Obściskuje go całego, tak wysoko, jak tylko może sięgnąć, a on mierzwi jej jasne włosy, całuje ją w głowę i mówi do niej Lydia, Lydia, a ja czuję, że naprawdę tak myśli.

On mówi do niej Lydia, ja mówię do niej Lydia, ona myśli, że jest Lydią. Ona jest Lydią. I tyle.

Jak łatwo zmienić tożsamość.

Zbyt łatwo?

Musimy to jakoś uczcić. Nie możemy po prostu przeskoczyć z jednego imienia na drugie, z jednej tożsamości na inną, jakby to było coś, co się robi codziennie. Powinniśmy zrobić coś poważnego, coś symbolicznego. Może pogrzeb. Tak, na pewno pogrzeb. Moja córka Kirstie nie żyje i należy to w jakiś sposób upamiętnić. Stosownie.

Ale to może poczekać. Chciałabym, żeby ten wieczór był decydujący, ostateczny, żeby był dla nas czymś w rodzaju katharsis. I jest: aż do chwili, kiedy jest już po kolacji i Angus kończy zmywać naczynia, znowu, a Lydia bawi się z Beany na dywaniku przed huczącym, przyjemnym ogniem na kominku.

A potem przychodzą myśli. O twarzy Angusa odbijającej się w szybie. Był wściekły. To był głęboki, straszny gniew. To było tak, jakbym odkryła jakiś potworny sekret i jakby mnie za to nienawidził. Ale co to był za sekret?

Mój mąż wchodzi do salonu, kuca przy kominku.

Obserwuję go. Grzebie w ogniu, przesuwają polana, unosi je, tak że widać rozżarzone do czerwoności drewno, bucha płomień i unoszą się złote iskry. Wygląda tak męsko. Mężczyzna i ogień. Podoba mi się to, że jest taki męski. Wysoki i ciemnowłosy, seksowny ideał.

Ale w jego wersji jest nadal coś niepokojącego. Był gotów pozwolić Lydii dalej być Kirstie, może na zawsze, tylko po to, by oszczędzić mi cierpienia? Naprawdę? Czy to ma sens? Wiem, że

sama zachowywałam się tak wobec niego, ale trwało to tylko kilka tygodni i od początku zamierzałam mu to w końcu powiedzieć. Więc może chodziło raczej o to, żeby Lydia została Kirstie, bo on wolał Kirstie? I dlatego nic nie mówił? Ale nawet to wydaje się dziwne i niewłaściwe.

Siada obok mnie na sofie i obejmuje mnie. To jest to. Albo raczej powinno być to. Ta chwila. My troje, rodzina. W naszym przytulnym domku, który już w połowie nadaje się do mieszkania: w łazience położyliśmy kafelki, pomalowaliśmy połowę ścian. W kuchni wciąż jest kiepsko, ale czysto, i można jej używać. I oto jesteśmy. Pies, córka, zimna pogodna noc, mrugająca latarnia wysyłająca sygnał do wszystkich innych latarni na tym samotnym wybrzeżu: do Hyskeir i Waternish, do Chanonry i South Rona.

O tym marzyłam w te wszystkie wieczory, kiedy się wpatrywałam w ekran laptopa. Krystaliczne obrazy z Eilean Torran. I domek nad morzem. I wszystko wszystkim zostało wybaczone. Albo zapomniane.

A jednak zmuszam się, żeby się nie cofnąć pod jego dotykiem. Wyczuwam, że wie coś jeszcze. I nie mówi mi o tym. Cokolwiek to jest, jest tak złe, że kłamie, kłamał od miesięcy. Może od trzydziestu miesięcy.

A może powinnam po prostu wziąć się w garść i to wszystko zostawić.

W kominku trzaska ogień. Lydia się bawi. Nasz melancholijny pies chrapie, coś mu się śni, drga mu warga. Angus czyta grubą książkę o jakimś japońskim architekcie budującym betonowe kościoły. Tadao Andō. Wypijam łyk wina, ziewam, wyrywam się z drzemki, zanim pójdę spać, muszę jeszcze zrobić kilka rzeczy. Tyle szkolnych rzeczy Lydii trzeba posortować.

Idę do sypialni i włączam słabe boczne światło. Na łóżku leży złożona karteczka. Liścik?

Czuję w sercu niepokój. Widzę duże dziecinne litery.

Do mamusi.

Palce mi drżą – nie jestem pewna dlaczego. Rozkładałam karteczkę i czytam. Teraz drży mi również serce.

Mamusiu. Ona jest tu z nami. Kirstie.

Angus siedział w sypialni i patrzył, jak Sarah szykuje się na kolację u Freedlandów. Był taki czas, kiedy zmieniłoby się to w zmysłowe interludium. Odwróciłaby się i poprosiła, by zapiął jej suknię na plecach. Wstałby i obsypał jej białą szyję delikatnymi pocałunkami. Potem patrzyłby, jak się spryskuje perfumami, t u i tu.

Musiał stłumić chęć, by wyjść albo zrobić coś jeszcze gorszego. Jak długo będzie w stanie to wytrzymać? *A teraz musiał jeszcze udawać, że Kirstie jest Lydią.*

Jego żona wsunęła stopy w buty, była prawie gotowa. Pochyliła się, żeby wygładzić rajstopy. Patrzył na delikatne mięśnie jej odsłoniętych ramion. Jedwabista skóra na plecach, subtelne piękno. Wciąż jej pożądał. Ale to wszystko nie miało teraz sensu.

Może z czasem uda mu się przekonać samego siebie, że Kirstie jest Lydią. Wydawało mu się, że o wszystkim wie, wszystko rozumie, ale było w tym coś dziwnego. Kirstie zachowywała się inaczej. Zachowywała się jak Lydia. Pies też zachowywał się inaczej. I uwierzył Sarze, kiedy mu opowiedziała o tym krzyku. Czy on też mógł się pomylić?

Nie, to było głupie. Pogubił się w tych rozmyśleniach. W labiryncie z przyciemnionego szkła.

– Możesz iść po Lydię? – spytała go. – Angus? Halo? Lydia. Musimy ją przygotować. Już. Mógłbyś, proszę, iść po nią i ją przyprowadzić?

Lakoniczne, ostrożne wskazówki. Tak jak wszystko, co teraz mówiła. Krył się w tym niepokojący podtekst: *wiemy, że to koszmar, ale musimy próbować. Albo udawać.*

– Tak, dobrze.

Ruszył do pokoju Kirstie. Nie, do pokoju Lydii. Musiał udawać, że to Lydia. Sam musiał uwierzyć, że to Lydia, myśleć przez jakiś czas, że to Lydia, by rodzina się nie rozpadła. To było jak uczenie się obcego języka: musiał myśleć w tym języku.

Zapukał i otworzył drzwi.

Jego córeczka była ubrana nie tak jak lubiła, w letnią sukienkę i sandaiki. Po prostu tam stała. Na środku pokoju. Milcząca i sama. Czemu to robiła? Jej zachowanie coraz bardziej wytrącało go z równowagi. Znow zaczął wpadać w panikę. Kończył mu się czas. Musiał ją uratować od tego szaleństwa. Ale nie wiedział jak.

– Będą tam inne dzieci, tatusiu? – spytała.

– Może – skłamał. – Wydaje mi się, że Gemma Conway ma dzieci.

– Gemma kto?

– Conway. Polubisz ją. Jest trochę dziwna, ale wie wszystko o wszystkim...

– Nie wie, tatusiu. Nikt nie wie wszystkiego. Może z wyjątkiem Boga. I nie wiem, czy ON jest na tyle mądry, żeby o wszystkim wiedzieć.

Gapił się na nią. To o Bogu... to było coś nowego. Skąd to się wzięło? Szkołę Kylerdale prowadził Kościół Szkocji, ale nie wydawała się jakoś szczególnie religijna. Może jego córeczka miała nowych przyjaciół, którzy byli religijni. W niektórych miejscach Hebrydów ludzie są bardzo pobożni. Na Lewis w niedziele wciąż zamyka się boiska.

Ale potem przypomniał sobie, że jego córeczka nie ma przyjaciół. Wciąż mu to powtarzała: *tatusiu, nikt się nie chce ze mną bawić.*

To go rozwalało. Bo to nic dziwnego, że nikt nie chciał się z nią bawić. Inne dzieci pewnie myślały, że jest wariatką. Ta mała, co ma zmarłą siostrę, która ożyła. Ten dziwołag.

I to wszystko było winą jej matki. Czy kiedyś będzie w stanie jej wybaczyć? Ciągle musiał jej wybaczać, raz za razem. A jednak musiał ją kochać, rozgrzeszyć, zrobić to po raz kolejny, jeśli to miało zadziałać.

Ale zbyt często czuł coś całkiem przeciwnego. Nie miłość.

– No dobrze, chodźmy. – Krzyknął przez korytarz: – Saro? Saro!

– Tak jestem gotowa.

Wszyscy troje zebrał się w kuchni. Angus wziął latarkę i poprowadził swoją małą rodzinę kamienistą ścieżką do plaży przy latarni. Wsiadli do łodzi. Odepchnął ją od brzegu na wody cieśniny i popłynęli w stronę The Selkie.

Wieczór był zimny i pogodny. Gwiazdy odbijały się idealnie w spokojnych wodach. Na ciemnofioletowym horyzoncie wznosił się nad nimi gniewnie Knoydart, jak rząd kobiet w czarnych burkach. Fiordy lśniły w świetle księżyca.

Przycumował przy molu przed The Selkie, przywitał ich szum olinowania innych łodzi.

Krótką podróż samochodem do wielkiego jasnego domu Freedlandów przebiegła w milczeniu. Każde z nich zapatrzyło się w inne okno, w inną ciemność.

Zastanawiał się, czy nie powinien był odwołać tego spotkania – ze względu na ten potworny chaos w głowie jego córki. Ze względu na w s z y s t k o. Ale Sarah upierała się, że muszą dążyć do normalności. Choć ledwie sobie radzili, musieli udawać, że wszystko jest w porządku, jakby to jakimś magicznym sposobem miało sprawić, że będzie w porządku.

Więc oto byli tam, w czymś, co miało przypominać ładne londyńskie ubrania. Weszli do wielkiego domu. I tam, w ogromnej kuchni, otoczona swoimi drogimi miedzianymi garnkami, czekała na nich Molly. Stała roześmiana przy wielkiej żeliwnej kuchence, zajęta przygotowywaniem tac z kanapkami. Przy kuchennym stole dwie inne pary popijały drinki Aperol Spritz z eleganckich kieliszków i wszędzie unosiły się wspaniałe zapachy. To było coś, czego mu brakowało na Torran, w ich prymitywnej kuchni.

– Obawiam się, że to tylko pieczeń wołowa – powiedziała Molly przepraszającym tonem, odbierając od nich płaszcze. – Dzisiaj się nie załapiemy na poziom Michelin.

Weszli do połączonego z kuchnią salonu z ogromnymi oknami i wspaniałym widokiem na cieśninę Sleat. Tu i ówdzie stały wysokie kieliszki z jakimś musującym napojem.

– Czestujcie się – powiedział Josh. – Mamy nawet dobre wino: Trentodoc Ferrari, prawdziwy włoski szampan, nie jakieś badziewie w stylu prosecco.

– Skąd możesz to wiedzieć, Josh? Nie pijesz od dziesięciu lat.

– Potrafię poznać po bąbelkach. Wciąż wolno mi oglądać bąbelki.

Wszyscy silili się na dowcip. Molly elegancko przedstawiła swoich gości. Gemma Conway, którą Angus poznał w Londynie – była wtedy w towarzystwie Joshua – jej mąż Charles (bogaty,

z Londynu, handlował dziełami sztuki) i młodsza para Amerykanów, Matt i Fulvia (bogaci, z Nowego Jorku, bankowość). Poza ich córką nie było dzieci. Tamci przyjechali do Kinloch na wielkie wystawne wesele, jego i Sary nie zaproszono.

Nie obchodziło go to wesele, obchodziła go natomiast własna córka. Znowu sama? Czemu ci śmieszni ludzie nie mogli przyprowadzić przynajmniej jednego dziecka, żeby miała się z kim bawić? Próbował się nie denerwować. Z obowiązku rozpieszczali Lydię – ale tylko przez jakieś trzy minuty, z najzwyczajniejszej nudy – a potem wrócili do swoich kieliszków z musującym włoskim winem i do własnych rozmów.

Jego córeczka zaś znów stała milcząca i sama, i ścisła pod pachą Lamparcika. Wściekle pragnął jej tego wszystkiego oszczędzić, zabrać ją z powrotem na Torran. Tylko oni dwoje. Na jego rodzinnej wyspie. Eilean Torran.

To tam było ich miejsce. Tam jego babcia była szczęśliwa. Tam w dzieciństwie był szczęśliwy z bratem. I tam mógł być szczęśliwy ze swoją dziewczynką.

Widział, jak jego córeczka pyta matkę, czy może pójść na górę i sobie pograć.

– Mamusiu, proszę. Mogę pograć na telefonie taty? Jest tam Angry Granny i wszystko.

– Ale...

– Mamusiu. Proszę. Będę cicho.

Sarah znacząco przewróciła oczami, patrzyła na niego, ale on nie chciał zatrzymać Lydi i i na dole. Będzie się nudzić i może zacząć sprawiać kłopoty. Potrafił sobie wyobrazić, do jakich jest zdolna fochów, kiedy ma na to ochotę.

Jego córka była udręczona. I wiedział dlaczego.

– Pozwól jej iść na górę, jeśli chce – szepnął szorstko do Sary.

Kiwnęła głową i odwróciła się do Molly, by jej to wyjaśnić. Molly właśnie wróciła z kuchni, rozkojarzona i zarumieniona od stania nad kuchenką. Roześmiała się i odparła:

– No jasne! No jasne, że może iść na górę. Boże, szkoda, że nie ma innych dzieci, z którymi Kirstie mogłaby się pobawić, to znaczy... mm... z którymi Lydia mogłaby się pobawić...

Przerwała, wyraźnie zakłopotana. Josh zmarszczył brwi i spojrzął na nią. Dowiedzieli się o zamieszaniu z Kirstie-Lydią zaledwie kilka dni wcześniej. Pomyłka była całkowicie zrozumiała. Ale niezręczna. Wyglądało na to, że inni goście nie mają pojęcia, o co chodzi. Zapadła cisza. Wszyscy byli skonsternowani. A potem odezwał się Josh:

– Możecie mi wierzyć, to nie dlatego, że nie próbujemy. Ale w takim tempie może będziemy musieli adoptować jakieś cholerne lamy.

Molly zaśmiała się z zakłopotaniem i niezręczna chwila przysła. Wymieniali uprzejmości. Rozmawiali o weselu, potem o pogodzie. Charles pytał Sarę o ceny nieruchomości, o wartość Torran i o wakacje na Malediwach, i kiedy zesłi na te typowe dla klasy średniej tematy, Angus poczuł, że zbiera w nim niewysłowiony żal.

Ci bogaci ludzie z tymi swoimi willami, aukcjami i papierami wartościowymi: co oni mogli wiedzieć. Ci ludzie nigdy nie musieli się o nic martwić. Czemu w ogóle słuchał tej burżuazyjnej gadaniny? Jego babcia była żoną rolnika, matka zwykłą nauczycielką, ojciec zapijaczonym robotnikiem portowym, który bił żonę. On wi e d z i a ł. A oni nie wiedzieli nic.

Pił.

I pił. I snuł ponure rozmyślenia. Zastanawiał się, czy wytrzyma jeszcze ten jeden wieczór. Gdy wszyscy zasiedli do homara podanego z najlepszym majonezem Molly i świeżym

pieczywem, miał ochotę stamtąd wyjść.

Jak można się było spodziewać, jedzenie było przepyszne. Nastrój pogarszał mu się coraz bardziej. Miał ochotę wykrzyknąć to na głos: moje życie jest nic niewarte, rozpada się na kawałki, moja córka nie żyje, a druga jest szalona. I czasem, całkiem na poważnie, mam okropne fantazje, myślę o tym, żeby zrobić krzywdę żonie, bo chce wyprawić pogrzeb dziecka, które żyje.

Chciał to spokojnie ogłosić. Chciał patrzeć, jak wszyscy się do niego odwracają i wpatrują się z przerażeniem. Ale powiedział tylko:

– Naturalnie dobrze by było, żeby stopy procentowe pozostały na niskim poziomie.

– Och, oczywiście, że pozostaną. Kolejny taki krach kompletnie sparaliżowałby kraj. Na Pall Mall zamieszkaliby trędowaci.

Podano wino. W dużych ilościach.

Zauważył, że jego żona też za dużo pije, prawie tyle co on.

– O tak, jeszcze jeden.

Jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i jeszcze tylko jeden.

Głównym daniem było młodziutkie prosię – miejscowe – z cudownie chrupiącą skórką i sosem ze śliwek damaszek, wyjątkowo modnego owocu, którego nie potrafił rozpoznać. A potem zaczęli rozmawiać o śmierci i duchach.

Dlaczego, u diabła, o tym gadali? Akurat teraz?

Sączył dziesiąty kieliszek. Rozparł się wygodnie, popijał i zastanawiał się, czy ma na zębach przebarwienia od czerwonego wina. I wtedy Gemma Conway oświadczyła:

– Chatwin całkiem nieźle się na ten temat wypowiada. W swojej australijskiej książce twierdzi, że nasz lęk przed duchami to lęk przed drapieźnikami, przed tym, że staniemy się zdobyczą.

Molly odłożyła widelec i odparła:

– Czytałam kiedyś, że można naśladować duchy albo to, co się kojarzy z duchami, puszczając ludziom niesłyszalne dźwięki. Nie słyszą tego, ale takie same pomruki wydają drapieźniki, żeby zastraszyć zdobycz.

– Naprawdę?

– Tak. Testowali to, na ludziach. Te niesłyszalne dźwięki nie są rejestrowane przez ucho, ale słyszymy je umysłem. To ten bezimienny strach, jaki opisują ludzie, którzy mieli jakieś doświadczenia z duchami!

Spróbuj się postawić na moim miejscu, pomyślał Angus. Jeśli chcesz zrozumieć, co to bezimienny strach, spróbuj być mną i moją córką jakieś sześć miesięcy temu. W Camden.

Rozejrzał się. Jego żona wciąż wydawała się niespokojna, za szybko wlewała w siebie wino. I oczywiście milczała. I jakby znikąd, z przeszłości, z jakichś niejasnych zakamarków siebie, które ledwie rozumiał, nagle poczuł, że jej współczuje. To było nagle poczucie więzi i wspólnoty. Cokolwiek ich dzieliło, jego i Sarę – a było tego tak wiele, z pewnością aż za wiele – razem przechodzili przez ten koszmar. Niemal był w stanie wybaczyć jej wszystko inne. Jakby była jego towarzyszem broni w tym, co się działo.

I kiedyś ją kochał, dość mocno.

Ale jak to działało? Czy wciąż mógł to do niej czuć, choć równocześnie snuł dzikie fantazje o tym, by kazać jej cierpieć za to, co zrobiła? Może kiedy ma się razem dziecko, zawsze zostaje jakaś więź, nawet jeśli miłość znika. Miłość wciąż się gdzieś kryje: jak zatopiona łódź.

A jeśli dzieli się ze sobą śmiertelność dziecka, jest się związanym na całą wieczność. A oni nie tylko dzielili śmierć dziecka. Dzielili ją dwa razy, a teraz przywrócili do życia to drugie dziecko. On i Sarah byli jak ludzie, którzy plądrują groby. Jak nekromanci. Ludzie, którzy przywołują zmarłych.

Był pijany i zagubiony i miał to wszystko gdzieś.

Molly wciąż gadała.

– I to dlatego ludzie widzą duchy w starych domach, piwnicach, kościołach, w takich miejscach, gdzie są echa i rezonanse, wibracje powietrza z powodu topografii, i te wibracje wywołują takie same poddźwiękowe efekty jak pomruk drapieżnika.

– To wyjaśnienie wydaje się niemal zbyt eleganckie. Jak na duchy.

– Dolać komuś wina?

– To proszę jest naprawdę wyborne, przeszedł samą siebie, Molly.

– Mówi się, że kiedy człowieka zaatakuje wielki kot, osiąga stan jakiegoś spokoju, coś takiego jak w zen.

– A skąd o tym wiedzą? Przecież tych biednych nieszczęśliwych zjadły tygrysy? Robią z nimi wywiady w niebie?

– Charles! – Gemma żartobliwie klepnęła męża.

Odezwała się kobieta z Nowego Jorku:

– Jeśli ta teoria jest słuszna, to wynikałoby z tego, że cała Biblia jest czymś w rodzaju pomruku Boga grożącego wszystkim śmiercią!

– Grzmiącym głosem Jehowy. Ognistym krzakiem. To wino to naprawdę rioja, Josh? Na pewno gran reserva, jest wyśmienite.

– Poproszę jeszcze wina – powiedział Angus. – Dziękuję.

Wziął kieliszek, znów pełny i ciężki, i jednym wielkim haustem wypił połowę.

– Czy to jest dowód na to, że Bóg nie istnieje? To, że można to wyjaśnić lękiem przed drapieżnikami, przed śmiercią?

Wtrącił się Charles:

– Cóż, zawsze wyznawałem pogląd, że powinniśmy w coś wierzyć. Bądź co bądź dzieci wierzą z natury. Są instynktownie pobożne. Kiedy moje dzieci miały po sześć lat, mocno wierzyły w Boga. Teraz dorosły i są ateistami. To dość smutne.

– Dzieci wierzą też w Świętego Mikołaja. I w wielkanocnego króliczka.

Charles zignorował uwagę żony. Ciągnął:

– Więc może życie jest czymś w rodzaju moralnego upadku? Czysta, prawdziwie wierząca dusza dziecka z czasem ulega zepsuciu, zanieczyszczana przez całe lata...

– Za mało czytałeś Nietzschego, Charles. Na tym polega twój problem.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że jego problemem jest porno w internecie – powiedział Josh i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Josh dalej droczył się ze swoim pompatycznym starszym przyjacielem. Gemma rzuciła jakiś lekki dowcip o kaloriach, ale Angus wpatrywał się w Charlesa. Zastanawiał się, czy to, co powiedział, nie było tak naprawdę bardzo głębokie. Co jakiś czas ten irytujący handlarz dziełami sztuki z Londynu mówił coś zdumiewającego albo ciekawego, coś, na co nikt nie zwracał uwagi, a jednak od czasu do czasu, tak jak teraz, Angus miał ochotę z całego serca się z nim zgodzić i zastanawiał się, czy Charles zna to coś, czego on właśnie doświadczał. I wtedy Charles

powiedział:

– Nie tyle moja własna śmierć jest nie do zniesienia, ile śmierć najbliższych. Bo ich kocham. I część mnie umiera razem z nimi. Dlatego można by powiedzieć, że wszelka miłość jest formą samobójstwa.

Angus gapił się na niego. I pił. I słuchał. Josh dyskutował z Gemmą i Sarą o rugby, a on miał ochotę uściśnąć temu człowiekowi rękę, pochylić się do niego i powiedzieć: tak, to takie prawdziwe, oni wszyscy się mylą. Dlaczego nie zwracają na ciebie uwagi? Wszystko, co mówisz, jest absolutnie s ł u s z n e – śmierć tych, których kochamy, jest o wiele gorsza niż nasza własna i... tak, wszelka miłość jest formą samobójstwa, niszczy sz samego siebie, poddajesz się, z własnej woli zabijasz coś w sobie, jeśli naprawdę kochasz.

– Idę po Ly dię – powiedziała Sarah.

Siedziała obok niego. Wstała i wyrwała go z zadumy. Otarł z ust wino, odwrócił się do niej i powiedział:

– Tak Dobry pomysł.

Pozbierano talerze. Angus pomagał. Zanim wrócił do stołu, z zastawą i sztućcami do deseru – lody z karmelizowanymi kawałkami ciemnego pieczywa i czymś słonym i karmelowym – jego córka L y di a i Sarah były już na dole, przy wielkich ciemnych oknach wychodzących na cieśninę.

– Czy ba może zjeść lody? – spytała Molly.

Sarah dotknęła ramienia Ly dii.

– O tak, kochanie. Lody? Twoje ulubione?

Angus patrzył na nie. Z jego córką coś było nie tak.

Wpatrywała się w mrok za oknem. W księżyc odbijający się w wodach zatoki. W jodły i olchy. Ale w niezastłoniętych oknach odbijało się oczywiście również światło z pokoju: stół i krzesła, obrazy na ścianach, dorośli i ich drinki. I mała dziewczynka w sukience, stojąca obok matki.

Zdał sobie sprawę, co się dzieje. Zbyt późno.

Ly dia wrzasnęła:

– Odejdź, odejdź! Nienawidzę cię!

Rzuciła się na okno, natarła na szkło, unosząc małe piąstki, i wtedy szyba pękła i roztrzaskała się z przerażającym brzękiem. Krew. Tyle krwi. Za dużo krwi.

Widzę przerażenie na twarzy Angusa, na twarzy Molly, ich strach jest niczym w porównaniu z moim. Czuję, że już to przeżyłam. W Devon.

Lydia znów krzyczy, odsunęła się od rozrzuconej szyby. Podnosi szkarłatne, zakrwawione ręce, jak chirurg czekający, aż ktoś mu włoży rękawiczki.

Angus i ja zbliżamy się do niej, ostrożnie, drżący, jakbyśmy się zbliżali do dzikiego zwierzęcia, a ona ciągle się cofa. Cały czas wpatruje się we mnie. Wystraszona. Jakby się bała s a m e j s i e b i e.

Słyszę, że za moimi plecami Josh wzywa karetkę. Tak, Maxwell Lodge, Ornsay, kilometr za The Selkie, przy kaplicy, tak proszę jak najszybciej, PROSZĘ.

– Lydia...

– Lydia...

Nasza córeczka milczy. Strywna, z zakrwawionymi rękoma, patrzy na nas błagalnie i wciąż się cofa. Jej milczenie jest niemal równie przerażające jak krew.

– Chryste...

– Lydia...

– Josh, wezwij tę pieprzoną karetkę!

– Wezwałem, ja...

– Lydia, kochanie, Lydia...

– Przynieś wody, Molly, bandażę... Molly!

– Lydio, już dobrze, już dobrze, nie ruszaj się... pozwól mi...

– Mmmmmmmmmmo. Co mi się stało?

Mówiąc to, wciąż się cofa, z uniesionymi rękami. Krew spływa po jej nagim łokciu, kapie na wypolerowaną drewnianą podłogę.

– Lydio, proszę.

Przybiega Molly z miską wody, chusteczkami i ściereczkami, a Angus i ja znów próbujemy zbliżyć się do Lydii, na kolanach, z wyciągniętymi rękami, ale ona nam się wymyka, krwawi. Ma przeciętą tętnicę czy tylko mocno się pokaleczyła?

Kłęczę na czymś twardym i ostrym. Szko.

Wstaję – ale Angus mnie omija i łapie Lydię w kącik, przyciska ją mocno do piersi. Jest zbyt wstrząśnięta, by mu uciec. Angus wrzeszczy na mnie:

– Umyj jej ręce, zmyj tę krew, trzeba zobaczyć, jak bardzo się pocięła.

– Josh...

– Karetka już jedzie. Będzie za dziesięć minut.

– Maleńka, maleńka.

Angus kołysze Lydię w ramionach, powtarza *szszszsz, szszszsz, szszszsz*, pociesza ją. Pochylam się nad nią. Zaczynam zmywać krew z jej palców zmoczonymi w zimnej wodzie szmatkami. Krew kłębi się w misce jak czerwony dym. Z ulgą stwierdzam, że skaleczenia nie są poważne. Moja córka poraniła sobie wewnętrzną stronę dłoni i kostki, skóra w wielu miejscach jest przecięta, ale nie wygląda to na uszkodzoną tętnicę, rany nie są aż tak głębokie.

Ale bardzo krwawi. Rośnie sterta zakrwawionych chusteczek, Molly usuwa je jak asystująca pielęgniarka.

– Jezus – szepcze Angus, trzy mając ją mocno. – Jezus.

Molly zastępuje szmatki chusteczkami dla niemowląt, podaje maść, bandaż.

– Hej – mówię. – Lydia. Słodziutka.

W objęciach ojca wydaje się taka bezbronna i mała. W sukieneczce na imprezę, z tymi wesołymi motylkami na różowych sandałkach. Wydaje się taka mała i taka pokrzywdzona. Jej białe skarpetki i jasnoróżowe sandały są poplamione krwią, ma też ślady krwi na gołym kolanku.

Co mogę zrobić? Wiem, że jest nieszczęśliwa i że jest za mała, by być aż tak nieszczęśliwa. Nie zapomniałam o liściku na łóżku. *Kirstie wciąż tu jest*. Dlaczego to napisała? CO nie daje jej spokoju? Jaki lęk i jakie wątpliwości? Obmywam jej paluszki i mój smutek walczy z lękami, z poczuciem winy. Wy ciskam wodę i obmywam najbardziej krwawiące miejsca.

A potem znów mówię:

– Kochanie, Lydia. Co się stało?

Oczywiście wiem, co się stało. Potrafię się tego domyślić. Spojrzała w okno i zobaczyła siebie, ale zobaczyła też swoją zmarłą siostrę. To pomieszanie tożsamości spycha ją w coraz głębszy mrok.

Siedzi na kolanach ojca i kręci głową, jeszcze mocniej się do niego przytula. Angus delikatnie gładzi ją po włosach. Lydia odwraca wzrok, ale mówi:

– Nic.

Wycieram krew, teraz już prawie nic nie zostało. Trzęsą mi się ręce. Naprawdę myślałam, że podcięła sobie żyły, że to była jakaś potworna dziecięca próba samobójcza. A może zrobiła to ze strachu przed duchem w niej samej, duchem, którym się stała.

– Lydia, czemu stłukaś szybę?

Angus patrzy na mnie z wściekłością.

– Nie musimy jej o to pytać. Nie tutaj, nie teraz. Na litość boską!

Nie zwracam na to uwagi. Co on może wiedzieć? Nie było go tam, w Devon, tamtego wieczoru. Jeszcze tego nie przeżył, nie wie, co to za szczególne przerażenie, nie słytał krzyku, nie stwierdził, że jego córka nie żyje.

– Kochanie, co było nie tak z tym oknem? Było jak lustro?

Lydia bierze głęboki oddech, jeszcze mocniej wtula się w tatę, a potem siada prosto i pozwala mi otrzeć resztę krwi z palców.

Może trzeba jej będzie założyć szwy, a na pewno będzie potrzebowała mnóstwa plastrów i bandaży. Ale przede wszystkim potrzebuje miłości i spokoju i żeby te wszystkie straszne rzeczy już się skończyły. Nie wiem, jak nam się uda sprawić, by tak się stało.

Molly kłęczy i zmiata na szufelkę odpryski szkła. Krzywię się, czuję się winna.

– Tak mi przykro, Molly.

– Proszę... – Kręci głową i spogląda na mnie z powagą i współczuciem, a ja czuję się przez to jeszcze gorzej. – Saro.

Odwracam się do mojej córki. Chcę się dowiedzieć.

– Lydio?

Nagle bardzo szeroko otwiera oczy i wpatruje się w rozbite okno. W tę poszarpaną czarną pustkę otoczoną ostrymi kawałkami szkła. Potem spogląda na mnie i mówi drżącym głosem:

– To była Kirstie. Była tutaj, była w oknie, mamusiu, widziałam ją, ale nie tak jak ostatnim razem, nie tak jak wtedy, wtedy mówiła różne rzeczy, złe rzeczy, to było straszne, mamusiu, ale ja... ja... ja...

– Już dobrze – mówi Angus. – Uspokój się, Kiwaczku.

Gapię się na niego.

Kiwaczku?

Tak nazywał kiedyś Kirstie. K i w ac z ek. To słowo z jakiejś reklamy telewizyjnej z czasów, kiedy jego matka była dzieckiem. To ona go tego nauczyła. *Kiwaczki się kiwają, ale nie spadają.* Dlatego nazywał tak Kirstie. Bo Kirstie była tą odważną, jego ulubienicą, chłopczycą włączającą na drzewa, dzielną dziewczynką robiącą różne fajne rzeczy z tatusiem. Wspinała się na drzewa, wysoko, ale ani razu nie spadła. Kiwaczek

A teraz mówi do niej Kiwaczku. Tuli Lydię i nazywa ją Kiwaczkiem, tak samo jak kiedyś przytulał mocno Kirstie. Tuli ją i całuje. Czy to znaczy, że nadal myśli, że to Kirstie? Wie coś, o czym ja nie wiem? A może robi to po prostu dlatego, że jest w szkole i jest przerażony.

– Kiwaczku. Nie musisz nam mówić – zapewnia ją.

– Nie. – Lydia kręci główką i wpatruje się we mnie. – Chcę powiedzieć. Mamusiu? – Wyciąga do mnie ręce, wdrapuje się w moje objęcia i siedzimy tak razem, matka i córka, na eleganckich tureckich dywanikach. Przez kilka sekund głęboko oddycha, a potem mówi: – Kirstie była też w oknie na górze, i nie mogłam na to nic poradzić, była tam zawsze, kiedy patrzyłam, za każdym razem, i ona nie żyje, i jest w lustrze w domu, a teraz była tutaj i zaczęła mówić różne rzeczy, mamó, złe rzeczy, straszne rzeczy. Teraz było inaczej, mamusiu, i boję się. Tak się jej boję, zrób tak, żeby sobie poszła, proszę, zrób tak, żeby sobie poszła, jest na wyspie, i w szkole, i teraz jest wszędzie.

– Dobrze, już dobrze – pocieszam swoją córkę, głaszczę ją po główce. – Już dobrze.

Josh znów staje w drzwiach, speszony i blady.

– Przyjechała karetka.

Prawdopodobnie nie potrzebujemy już karetki, a na pewno nie musimy jechać szybko do Portree z wyciem syren, by ratować życie naszej córki. A jednak zanosimy Lydię na podjazd, wszyscy wspinamy się do wozu, a Josh, Molly, Amerykanie i Charles z Gemmą Conway z przejściem mruczą pod nosem do widzenia. A potem jesteśmy małą poszkodowaną rodziną jadącą ciemnymi drogami Skye, mijamy góry pod rozgwieżdżonym niebem, siedzimy z tyłu z milczącym ratownikiem. Angus i ja nie rozmawiamy ze sobą.

Lydia leży na noszach, ma zabandażowane rączki. Teraz jest bezwładna i smutna. Bierna. Bez wyrazu. Karetka jedzie szybko. Nie wiem, co powiedzieć. Nie ma nic do powiedzenia. Portree wita nas rondami, ruchem ulicznym, dwoma supermarketami i posterunkiem policji. Nagle ogarnia mnie tęsknota, chciałabym znów być w Londynie. Po raz pierwszy.

Na pogotowiu, w małym nowym szpitaliku w Portree, zakładają Lydii na paluszkach kilka

delikatnych szwów, nakładają maść i łagodzące kremy i bandaże. Pielęgniarki pocieszają nas ze śpiewnym hebrajskim akcentem i przez cały ten czas ja i Angus wpatrujemy się w siebie i milczymy.

Potem karetka odwozi nas z powrotem do Ornsay. Oddają nam przysługę, żebyśmy nie musieli płacić za taksówkę. Bo oboje jesteśmy oczywiście zbyt pijani, żeby prowadzić. Mieliśmy przejechać tylko kilometr z The Selkie na imprezę, więc żadne z nas nie starało się nie upić. Teraz czujemy się z tym okropnie. Ten wstyd miesza się ze wstydem za wszystko inne. To żenujące. Jesteśmy okropnymi ludźmi. Najgorszymi rodzicami na świecie. Straciliśmy jedną córkę w wypadku, a teraz w jakiś sposób tracimy drugą.

Zasłużyliśmy na to wszystko.

Wsiadamy na łódź. Angus uruchamia silnik i tniemy ciemne wody. Wracamy na Torran. Kładę Lydię do łóżka. Potem oboje kładziemy się w łóżu admirałskim i Angus próbuje mnie przytulić, a ja go odpycham. Chcę, by zostawił mnie w spokoju, samą z moimi myślami. Nazwał ją Kiwaczkim. Nie jestem pewna, co to oznacza.

W nocy coś mi się śni: jestem w kuchni, ktoś przycina mi włosy, a potem patrzę w lustro. Widzę, że w ogóle nie mam już włosów, i wtedy spoglądam w dół i zdaję sobie sprawę, że jestem naga, a ludzie widzą mnie przez ciemne okna. I nie wiem, kim są ci ludzie, ale gapią się na mnie, i wtedy czuję zimny pocałunek na ustach, a kiedy się budzę, czuję, że mam ochotę zrobić sobie dobrze, trzymam palce między udami, jest czwarta nad ranem.

Ale kiedy znów przykładam głowę do poduszki, czuję przytłaczające wyrzuty sumienia, czuję się winna, jakbym miała w głowie ciemny muł, który ten sen wbił w górę. Co to oznacza? Czy to poczucie winy z powodu romansu? Tak wiele lat temu? Czy to wyrzuty sumienia, że mnie tam nie było, że nie byłam dobrą matką i dopuściłam do tego, by moja córka spadła?

Angus chrapie, obojętny na wszystko. Księżyc zagląda przez okno znad cieśniny Sleat, wędruje nad ciemnozielonymi szkockimi sosnami na Camuscross, nad grupką białych jachtów ogołoconych na zimę z takielunku.

Rano nic nie robimy. Lydia oczywiście nie idzie do szkoły, wciąż ma zabandażowane ręce, a jej oczy wciąż patrzą smętnie. Angus wydaje się zadowolony, że zostaje w domu, by się nią opiekować. W trójkę pijemy herbatę i sok, a potem Lydia podchodzi ze mną do okna i patrzymy na samotną fokę na skale na Salmadair. Foka poszczekuje smutno, wydaje się okaleczona: jak stworzenie bez kończyn.

Potem rozwieszam pranie na sznurku – dzień jest zimny, ale pogodny i wietrzny. Wpatruję się w zatokę: Loch Alsh, Loch Hourn i Loch na Dal, wszystkie oświetlone słabym zimowym słońcem. Chmury się rozstępują i zmieniają kształty. Fiordy wydają się takie zimne, a jednak dziś woda nie jest wzburzona.

Po morzu płynie wielka niebieska łódź „Atlantis”. Znam ją, widywałam ją już. To jeden z tych statków turystycznych ze szklanym dnem, przez które wycieczkowicze mogą oglądać to, co jest pod powierzchnią zimnej wody: kołyszące się lasy wodorostów, które tańczą powoli, jak zaczarowani dworzanie. Ciemne rośliny i rekiny. I fioletowe pulsujące meduzy, melancholijnie ciągnące za sobą swoje czułki.

Podobno niektóre z tych meduz są jadowite. Zawsze uważałam, że to nie fair. W jakiś sposób niesprawiedliwe. Zimne, północne wody, w których czają się tropikalne niebezpieczeństwa.

Przypinam klamerkami ostatnie koszule, niezakrawioną już sukienkę Lydii i białe skarpetki.

Jeszcze raz spoglądam na statek, a potem wracam do domu.

Angus siedzi z Lydią na kolanach. Czytają *Charliego i Lolę*. Kiedyś czytał te książki im obu. Spoglądam na nich. Lydia z całą pewnością jest za duża na te książki. Nagle wydaje się za duża, by siedzieć na kolanach tatusia. Zapominam o tym, że wciąż rośnie, mimo wszystkich tych strasznych przeżyć. Dawniej Angus lubił sadzać sobie Kirstie na kolanach.

Ale może w tej regresji jest coś pocieszającego. Spoglądam w dół. Na podłodze leży książka o Charlie i Loli: *Za nic na świecie nie zjem pomidora*. Ta, którą czytają, to *Trochę niewidzialny*.

Pamiętam *Trochę niewidzialnego*. Wydaje mi się, że to o niewidzialnym, wymyślonym przyjacielu Loli, Sorenie Lorensenie. Zjawia się w tych książkach jak jakiś duch, nie do końca narysowany: niebieskawy jak lód i szary.

Kirstie zawsze lubiła czytać o Sorenie Lorensenie, wymyślonym przyjacielu Loli.

I znów obsesyjnie myślę o tym liściku na łóżku. Nie zapomniałam o nim, mimo wszystkich okropnych rzeczy, jakie się wydarzyły. Moja dziewczynka napisała ten liścik. To musiała być ona. Nikt inny nie mógł tego zrobić, chyba że Angus próbuje mnie dręczyć. A nawet gdyby naprawdę to robił – choć nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby nim kierować – to z pewnością nie mógłby tak dobrze podrobić charakteru pisma.

Ale Lydia i Kirstie pisały oczywiście identycznie. Lydia z łatwością mogłaby to zrobić. Pisze dokładnie tak samo. Co oznacza, że to ona to zrobiła, ona to napisała.

I co mam z tym zrobić? Złapać ją i potrząsać, aż się przyzna? Dlaczego ma cierpieć, skoro to głównie nasza wina? Przez rok nazywaliśmy ją Kirstie, przez pomyłkę, dlatego że popełniliśmy tragiczny i głupi błąd. Więc wciąż musi być strasznie dezorientowana. Bo gdzie się podziała Kirstie?

Wyrzuty sumienia nakładają się na siebie. Muszę się uwolnić od ich ciężaru.

Biorę lódź, mówię Angusowi.

Wzrusza ramionami.

– Dobra.

– Przejdę się trochę. Muszę się stąd na chwilę wyrwać.

Uśmiecha się chłodno.

– Pewnie.

Wciąż wisi między nami napięcie. Wczorajsze straszne przejścia tylko je osłabiły, bo czujemy się zbyt wyczerpani, żeby sobie nie ufać. Ale ta narastająca nieufność wróci.

– Zrobię przy okazji zakupy w Broadford.

– Dobra.

Nawet na mnie nie patrzy. Pomaga Lydii przewrócić kartkę. Przecież ma zabandażowane rączki.

Ten widok sprawia mi ból, więc wychodzę z domu, maszeruję do łodzi i płynę do moła przy The Selkie. Potem ruszam w stronę domu Freedlandów, szybko wsiadam do samochodu i jadę dwa czy trzy kilometry przez półwysep Sleat do Tokavaig. Chcę zobaczyć ten słynny widok na Cuillin nad Eisort.

Wiatr jest przenikliwy i zimny. Próbuję zatrzaskać drzwi samochodu. Zapinam suwak kurtki North Face pod samą szyję, wciskam ręce do kieszeni. Spaceruję plażą, wpatruję się w dal. I myślę.

Tutejsze światło fascynuje mnie jeszcze bardziej niż to na Torran. Nie jest tak piękne jak tam,

ale zmienia się jeszcze szybciej i jest jeszcze bardziej zwodnicze, zasłony deszczu i chmury nieśmiało skrywają górskie szczyty, potem widać jasne włócznie słońca, ukośne i złociste.

Black Cuillin wyglądają, jakby mnie potępiały. Jak rząd inkwizytorów w czarnych kapturach. Ich szczyty szarpią ciężkie, przepływające chmury, jak rekinie zęby, wypruwają z nich wnętrzności: deszcz. A jednak chmury wciąż się budują i schodzą w dół, w nieustannym, pełnym udręki chaosie, najwyraźniej nie ma w tym żadnego wzorca.

Ale musi istnieć jakiś wzorzec. I jeśli dostatecznie długo będę się wpatrywać w Black Cuillin nad wodami Eisort, zrozumie.

Angus kochał Kirstie. Ale coś, co zrobił, przeraziło ją. Kochał ją. Ale bała się go?

Wzorzec. W z o r z ec. Znajdę go, jeśli się porządnie skupię. I wtedy zrozumie wszystko.

Wciąż nie znaleźliśmy kościoła, żeby wyprawic pogrzeb Kirstie.

Dni mieszają się ze sobą jak chmury nad Sgurr Alasdair. Angus chodzi do pracy dwa do trzech dni w tygodniu, a ja próbuję sobie znaleźć zlecenia. Dostaję maile od terapeutów z Londynu, którzy pomagali mi przepracować smutek po śmierci Kirstie. Wydaje się to trywialne, nieaktualne i nieistotne. Wszystko. W porównaniu z tym, co w tej chwili dzieje się z naszą córką.

Musi wrócić do szkoły. W przeciwnym razie nigdy nam się nie uda zostać na Torran. Widać jednak wyraźnie, że nie ma na to ochoty. Zabandażowane rączki są wymówką, by mogła zostać w domu, ale pewnego wieczoru, kiedy uroczyste zdejmujemy jej bandaże, razem z Angusem decydujemy: musi znów spróbować w Kyledale.

Następnego ranka całą rodziną przeprawiamy się łodzią do The Selkie. Lydia jest nieszczęśliwa i pełna obaw, ginie w zbyt dużym szkolnym mundurku i tych głupich butach. Jej nieśmiała twarz kryje się pod różowym kapturkiem anoraka.

Angus całuje mnie w policzek i wsiada do samochodu Joshua – Josh podwozi go do Portree. Zazdroszczę mu. Ma pracę i wygląda na to, że dobrze się w niej czuje. Przynajmniej może się wyrwać z wyspy, ze Sleat, i spotkać z jakimś ludźmi.

Melancholijna i zadumana wiozę Lydię do Kyledale. Poranek jest przyjemny, trochę kropi. Dzieciaki biegną ścieżką do szkoły, wyskakują z samochodów, idą na lekcje, zrzucają płaszcze, żartują. Wszystkie z wyjątkiem mojej córki, która drobnym kroczkiem podchodzi do szkolnej furtki. Będę musiała ją tam zanieść?

– No chodź, Lydio.

– Nie chcę.

– Dzisiaj będzie o wiele lepiej. Pierwsze tygodnie zawsze są najgorsze.

– A co, jeśli znowu nikt nie będzie chciał się ze mną bawić?

Ignoruję budzące się we mnie bolesne współczucie.

– Będą, kochanie. Daj im tylko szansę. Jest tu mnóstwo nowych dzieci, takich jak ty.

– Chcę Kirstie.

– Cóż, Kirstie już z nami nie ma. Możesz się bawić z innymi dziewczynkami i chłopcami. No chodź.

– Tatuś lubi Kirstie. Też chce, żeby wróciła.

Co to ma być? Poganiam ją.

– No chodź, idziemy. Zdejmujemy ci kurtkę, już jej nie potrzebujesz.

Eskortuję ją przez przeszkłone drzwi, w milczeniu wymieniamy spojrzenia z Sally Ferguson. Przygląda się mojej córce.

– Witaj, Lydio. Czujesz się już lepiej?

Żadnej reakcji. Kładę rękę na ramieniu Ly dii.

– Ly dio, powiedz dzień dobry.

Wciąż milczy.

– Ly dia?

Moja córka wy dusza nie śmiała, nie chętnie dzień dobry.

Spoglądam na Sally. Ona spogląda na mnie i mówi trochę zbyt lekkim tonem:

– Na pewno dzisiaj wszystko będzie dobrze. Pani Rowlandson będzie opowiadać historię o piratach.

– Piraci! Ly dia, słuchaj, przecież uwielbiasz piratów...

Delikatnie popycham jej plecy w stronę korytarza, a ona powoli, bardzo powoli rusza, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Typowy introvertyk. A potem znika w szkolnym korytarzu. Pochłonięta przez szkołę.

Kiedy już jej nie ma, Sally Ferguson dodaje mi otuchy:

– Powiedzieliśmy wszystkim dzieciom, że straciła siostrzyczkę i że może być trochę zdezorientowana. Zabroniliśmy im jej dokuczać.

Ma mnie to pocieszyć, ale nie jestem przekonana, czy tak jest lepiej. Teraz moja córka została w trwały sposób naznaczona, jako ta dziwna. Dziewczynka, która straciła siostrę bliźniaczkę. Nawiedzona siostra. Może inne dzieci słyszały coś o tym, co się stało u Freedlandów. A tak, to ta stuknięta dziewczynka, która rozbiła szybę, bo zobaczyła ducha. *Popatrz tylko, jakie ma blizny na rękach.*

– Dziękuję – mówię. – Przyjadę ją odebrać piętnaście po trzeciej.

I przyjeżdżam. Dziesięć po trzeciej czekam z niepokojem przy szkolnej furtce, razem z innymi mamami i kilkoma ojcami. Nie znam ich. Naprawdę żałuję, że nie znam tych ludzi. Mogłabym z nimi swobodnie rozmawiać, Ly dia zobaczyłaby, że nawiązałam znajomości, i mój przykład mógłby jej pomóc. Ale jestem zbyt nieśmiała, by po prostu zacząć rozmawiać z obcymi ludźmi – z tymi pewnymi siebie rodzicami, którzy mają wielkie terenówki z napędem na cztery koła i żartują sobie swobodnie. Znów uderza mnie myśl, jak wiele z tego wszystkiego jest moją winą – Ly dia ma po mnie tę paraliżującą nieśmiałość.

Kirstie pewnie dobrze by się tutaj czuła. Na pewno lepiej by jej szło nawiązywanie znajomości. Skakałaby sobie, podśpiewywała swoje piosenki, rozśmieszałyby inne dzieci. Ly dia nie.

O wyznaczonej porze dzieci wybiegają ze szkoły. Chłopcy biegną w objęcia mam, dziewczynki idą obok siebie, powoli wszyscy się schodzą, przytulają, a potem rodzice i dzieciaki powoli się rozchodzą. W końcu jestem ostatnim rodzicem, który został na placu zabaw w naciągających zimowych ciemnościach. Potem w drzwiach staje moja córka. Wygląda na nieszczęśliwą. Młoda jasnowłosa nauczycielka, zakładam, że to pani Rowlandson, prowadzi ją do mnie.

– Ly dia! – wołam. – Dobrze się bawiłaś? Było miło? Jaktam piraci?

Pragnę ją zapytać: czy ktoś chciał się z tobą bawić? Udawałaś, że Kirstie żyje?

Ly dia bierze mnie za rękę. Spoglądam na młodą nauczycielkę. Uśmiecha się blado, wyraźnie się rumieni – i wraca do klasy.

W samochodzie i na łodzi Ly dia nie chce mówić. Jakby była niema. Cicho dziękuje za żądanie, ale poza tym nie mówi nic i idzie do swojego pokoju poczytać. Później, przy świetle

księżycą, wychodzi na plażę i wpatruje się w lśniące kałuże wśród kamieni. Odbija się w nich srebrzysty księżyc. Obserwuję ją z kuchni. Moja córka. Lydia Moorcroft. Samotna dziewczynka na wyspie, w ciemności. Kwintesencja samotności.

A potem dni mijają, i wszystkie są do siebie podobne, pochmurne, łagodne i wilgotne. Planujemy pogrzeb: Angus bierze na siebie większość telefonów i papierkowej roboty, bo opuszcza wyspę częściej niż ja. Wyczuwam jego niechęć. Codziennie wożę Lydię do szkoły. Milczy. Codziennie odbieram ją ze szkoły – wtedy również milczy. Zawsze wychodzi z klasy jako ostatnia.

Czwartego dnia rano przyjeżdżam do szkoły wcześniej: zamierzam spróbować czegoś innego. Dławiona poczuciem winy popycham Lydię ku grupce dziewczynek z jej klasy. Zebrały się przy szkolnej furcie. A potem udaję, że odbieram telefon.

Lydia nie ma wyboru. Musi z nimi rozmawiać. Inaczej będzie tak po prostu stała, boleśnie odizolowana.

Udaję, że rozmawiam przez telefon, i obserwuję ją. Wygląda, jakby próbowała z nimi rozmawiać, dołączyć do rówieśników. Ale te dzieci ją ignorują. Rozpaczliwie ogląda się na mnie, szukając wsparcia albo pocieszenia, ale ja udaję, że jestem rozkojarzona, jakby mnie pochłonęła rozmowa.

Potem przy suwam się bliżej i podsłuchuję.

Budzi się we mnie nadzieja. Wygląda na to, że to zrobi: moja córka zacznie rozmawiać z koleżanką ze szkoły, będzie się z nią komunikować. Nieśmiało podchodzi do ciemnowłosej dziewczynki – szcuplej, wyraźnie pewnej siebie, rozmawiającej z przyjaciółkami.

Słyszę, jak pyta nerwowo:

– Grace, mogę ci opowiedzieć o moim Lamparciku?

Dziewczynka – Grace – odwraca się do niej. Szybko mierzy ją wzrokiem, a potem wrusza ramionami i nawet nie odpowiada. Odwraca wzrok i rozmawia z przyjaciółkami. Potem cała grupa odchodzi, rozmawiając wesoło, a Lydia zostaje sama, wpatrzona w swoje buty. Odrącona. I unikana.

To nie do zniesienia. Ocieram łzy – ledwie mi się udaje je ukryć – i prowadzę ją do szkoły, a potem wracam do samochodu i włączam silnik. Mam nadzieję, że przestanę płakać, ale łzy nie chcą przestać płynąć, płyną przez całą drogę do Broadford. Jest tam Wi-Fi, więc odpowiadam na maile. Zanim zrobi się południe, pokusa staje się nie do odparcia.

Muszę to sama zobaczyć.

Wsiadam do samochodu i jadę za szybko – przez Sleat do szkoły Kylerdale, stojącej na zielonym przylądku nad zmierzwionym wiatrem morzem. Zza chmur wyszło zimne, metaliczne słońce: w jego blasku Knoydart lśni złotem i brązem. Nad stalowoszarymi wodami.

Kończy się przerwa na lunch. Wszystkie dzieci już zjadły i zaraz wyjdą na plac zabaw. Zamierzam znów obserwować Lydię, zobaczyć, czy coś się poprawiło. Muszę sprawdzić, czy rozmawia z innymi dziećmi, czy może jej dokucają i się z niej śmieją.

Ale nie chcę, żeby mnie zobaczyła. Podkradam się więc z boku, mniej uczęszczaną ścieżką, prowadzącą na kamienistą plażę. Zaslaniają mnie cierniste krzewy. Szczęśliwe, rozkrzyczane dzieci za siatką nie mogą mnie widzieć.

Dziewczynki grają w klasy. Chłopcy się popisują. Uważnie przyglądam się wszystkim zaróżowionym twarzyczkom, białym skarpetkom i niebieskim spodniom, szukam jasnych włosów

mojej córki. Nie widzę jej. Najwyraźniej wszystkie dzieci są tutaj na placu, bawią się. A Lydia?

Może jest w środku? Siedzi sama i czyta? Mam nadzieję, że nie. Musi tu być. Proszę, niech tu będzie, niech się z kimś bawi.

Tam jest.

Zamykam oczy i uspokajam się. A potem dokładnie się przyglądam.

Lydia stoi w najdalszym kącie placu. Zupełnie sama. Najbliższe dziecko, jakiś mały chłopiec, jest dziesięć metrów od niej, stoi plecami do niej. Ale choć tak ewidentnie jest sama, coś robi. Co to takiego?

Podchodzę bliżej, wciąż ukryta za drzewami i krzewami.

Teraz jestem od niej zaledwie o kilka kroków. Widzę, że stoi plecami do szkoły, do kolegów z klasy, odizolowana od świata.

Jest sama – a jednak mówi. Z ożywieniem. Widzę, jak porusza ustami, jak macha rękami. Mówi do powietrza, do drzew i do siatki. A nawet uśmiecha się i głośno śmieje.

Teraz ją słyszę.

– Niuuuuie nienienie tak raz ho las hop bzzz hopla hopla nie tak paka sufi sufi nnn. Mmmm. Nana nana nana.

Mówi to i wymachuje rękami, a potem nieruchomieje i słucha, jakby ktoś jej odpowiadał. Ale nikt jej nie odpowiada. Kiwa głową, śmieje się i znów papie coś bez sensu.

To ten bezsensowny język bliźniaków, w którym rozmawiała z Kirstie. Mówiły w nim do samego końca. Nigdy nie udało nam się rozgryźć, co to wszystko oznaczało.

Lydia rozmawia ze swoją zmarłą siostrą.

– An t-Eilean Sgithenac, uskrzydłona wyspa, Skye. – Josh skrzył, mknęli na południe. – Mniej więcej tyle gaelickiego się nauczyłem.

Angus nie odpowiedział. Ranek był pogodny i strasznie zimny. Może to był pierwszy dzień prawdziwej zimy.

– Molly nauczyła się znacznie więcej. Interesują ją te wszystkie celtyckie sprawy. Ale wszystkie są takie cholernie ponure. To znaczy... znasz tę małą zatoczkę przy Ardasar, Port na Faganaich? Śliczna, co? – Josh zarechotał i ciągnął: – A potem się dowiadujesz, co to znaczy Port na Faganaich. Tak naprawdę to Port Opuszczonych. P o r t O p u s z c z o n y c h. Uroczę.

Przyśpieszył. Jechali pod górę i na chwilę zostawili za sobą morze, choć tam, na Skye, nigdy nie dało się na dłużej stracić go z oczu. Otworzył okno i wciągnął w nozdrza świeże, lodowate powietrze.

– Nareszcie zima, uwielbiam to. Wreszcie porządny mróz. O czym to ja mówiłem? No tak, jest tutaj takie jezioro, Lagan coś tam. Lagan...

– Lagan inis na Cnaimh.

– No właśnie. Ciągle zapominam, że jesteś miejscowy. Tak Lagan inis. I to znaczy... Molly powiedziała mi wczoraj wieczorem: Z a g ł ę b i e n i e Ł ą k i K o ś c i. Do kurwy nędzy, dlaczego? Co to robi z cenami nieruchomości? Chciałbyś sobie kupić ładny bungalow w zagłębieniu łąki kości? Nie? No dobra, w takim razie budujemy dom przy Paśmie Nocnych Wiedźm.

Śmiał się z własnych dowcipów. Angus milczał. Znał ten osobliwy, makabryczny miejscowy folklor. Pamiętał to niemal słowo w słowo: wszystkie te historie, które kiedyś opowiadała mu babcia. W jego pamięci były święte. Szczęśliwe wakacje i straszne bajki. Ogniska, które palili na Torran z bratem. Nie było tam ojca. Wszyscy byli szczęśliwi. Słuchali starych historii. *Ta śliczna dróżka wijąca się po porośniętym paprociami stoku – ach, to droga do śmierci i do nieba, dawniej to miejsce należało do wróżek...*

Wyglądał przez okno. Torran ukryła się za przylądkami. Pomyślał o Lydii – L y d i i – i o Sarze. Same, razem, w domku. Sarah i... Lydia. Musi się pogodzić z tym, że jest Lydią. Tak będzie najlepiej. To on jest temu winny. Jego córeczka, z okaleczoną duszą i bliźniami na dłoniach i nadgarstkach. Została skrzywdzona: przez życie, przez śmierć, przez niego.

I przez matkę.

Mijali furtkę między zagrodami dla bydła. Przecinali szczyt półwyspu Sleat ze wschodu na zachód. Pojechali wąską drogą prowadzącą do Tokavaig; wiodła przez rozległe faliste wrzosowiska, uasiane małymi srebrnymi jeziorkami. Unosiły się nad nimi mewy. Nie było to

piękne. Ale wkrótce zobaczą Loch Eisort.

– To już prawie tutaj. Za tym lasem. Same drzewa liściaste: dęby, leszczyny, wiązy górskie.

Angus mruknął w odpowiedzi:

– Moja babcia uwielbiała to miejsce. Mówiła, że to był święty gaj, Doir'an Druidean, Gaj Swarów.

– Tak? Naprawdę? Gaj Swarów? Znowu! To jest naprawdę bezcenne. Naprawdę, stary, musisz o tym wszystkim opowiedzieć Molly.

Skąd u niego ten optymizm? Angus domyślał się, że jego przyjaciel próbuje mu poprawić nastrój po makabrycznej kolacji. Od tego czasu on i Molly prawie o tym nie wspominali.

A jednak będą musieli o tym porozmawiać. Wkrótce.

Samochód zanurkował między powykrzywane stare drzewa, wjechał na szczyt bazaltowych skał, a potem zaczęli zjeżdżać ostro w dół, na zachodnie wybrzeże Sleat, w stronę maleńkiej wioski Ord.

Widok był dokładnie taki, jak zapamiętał – spektakularny. Za nimi szerokie zielone stoki wrzosowisk porastały dęby i olchy, łagodne pochyłości opadały ku niebieskim spokojnym wodom Loch Eisort, w których odbijały się majestatyczne Black i Red Cuillin.

Na południu widać było Soay. Sgurr Alasdair śpiewało na wietrze na zachodnim horyzoncie, wraz z siostrzanymi szczytami. Ich strzeliste, zwieńczone śniegiem szczyty wpatrywały się w bezmiar wód.

To było takie piękne. Przez chwilę czuł się tak, jakby zaraz miał się rozplakać. Płakałby nad Lydią, nad Kirstie, nawet nad Sarą. Nad nimi wszystkim.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w dół, ku brzegom chłodnego jeziora. Z odległej wyspy doleciał krzyk jakiegoś morskiego ptaka. Samotna czapla zniżała powoli lot ku Loch a'Ghlinne.

Josh powiedział to wprost:

– Wszystko w porządku, stary?

– Tak, nic mi nie jest.

– Tylko jesteś trochę małomówny? Czy to... czy chcesz... wciąż chcesz, no wiesz, pogadać o tym wszystkim?

Angus bezradnie wzruszył ramionami. Właściwie akurat wtedy chciał mu o wszystkim powiedzieć. Musiał się z kimś podzielić tym ciężarem, wyjaśnić, jaki koszmar rozgrywa się na Torran. Jego żona, jego córki, i przeszłość, której nigdy nie będzie można zgłębić.

Czapla stała się plamką na tle błękitu, potem zniknęła. Podjął decyzję: powie Joshowi, zaraz, za chwilę.

Pokręcił głową, podniósł okrągły płaski kamyczek i puścił kaczkę. Jedno, dwa, trzy odbicia, chlup. Potem odwrócił się do Josha i spytał:

– No więc po co mnie tu przywiozłeś?

Josh wyszczerzył zęby.

– Bo chcielibyśmy, żebyś coś zbudował.

– Że jak?

– Mógłbyś tu coś zbudować?

Angus gapił się na niego.

– Ja? Zbudować? Nie łapię, Josh. Przecież to wszystko ziemie Macdonaldów. Całe Tokavaig i Ord. Zgadza się?

Josh się uśmiechnął.

– Kilka lat temu kupiliśmy tu z Molly małą działkę. O tam, na górze. Widzisz, za tym drutem kolczastym. Pole i żywoptł z tarniny.

Angus skinął głową.

– To jakieś pół akra, może trochę więcej – wyjaśnił Josh.

– Pół akra pokrzy w i leszczy ny? To dobre dla ptaszków, ale to szczerę pole.

– Dostaliśmy pozwolenie na budowę. W zeszył m ty godniu.

Angus rozdziawił usta.

– Naprawdę?

– Tak Tak, naprawdę. Dostaliśmy pozwolenie na pięciopokojowy dom i strasznie byśmy chcieli, żebyś to t y go zaprojektował, przyjacielu. Władze chcą, żebyśmy zbudowali coś naprawdę ł a d n e go. No wiesz, coś mocnego, coś, co zdobędzie nagrody. Żeby jak najlepiej wykorzystać ten widok

Angus spojrzął na pole opadające ku piaszczystemu brzegowi fiordu. W głowie natychmiast zaroilo mu się od pomysłów. Już to widział: najpierw wyrównać połowę pola, usunąć ziemię. Potem użyć najprostsz ych i najczystszy ch materiałów: kamienia, drewna, stali, łupków. Wypełnić to miejsce wspaniałym światłem: okna od podłogi do sufitu, przeszkłona amfilada, wszystko zrobić w połowie ze szkła, żeby ten dom stapał się z powietrzem, morzem i niebem. A nocą by świecił.

– Gus?

– To by mogło być niesamowite miejsce.

– Ha! – Josh wyszczerzył zęby. – Czyli piszesz się na to? Świetnie, stary! Chcemy go wynajmować. Może zimą artystom, a latem urlopowiczom.

– Macie na to pieniądze?

– Wszystko, co chcesz, stary. Wszystko, co chcesz. Molly odziedzyczyła niezłą sumkę po babci. Jak to dobrze, że się bogato ożeniłem! – Roześmiał się. – Wracajmy do nas, mogę ci pokazać papiery.

Angus ruszył do samochodu, był lekko oszołomiony. Zastanawiał się, czy Josh i Molly próbują w ten sposób pomóc jemu i Sarze. Jeśli tak, nie miał nic przeciwko temu. Absolutnie nic. Czuł się żałośnie wdzięczny. To była szansa, by zbudować coś dobrego. Prawdziwy projekt!

Josh zawiózł go do swojego przestronnego domu z ogromną stalową kuchnią. W garnkach gotowały się jagody. Molly poczęstowała go dżemem domowej roboty. I było tam to wielkie okno w salonie.

Próbował nie myśleć o tamtym wieczorze. Usiłował nie patrzeć na to ogromne okno – teraz już naprawione. Josh zajął cały stół. Rozłożył na nim papiery. Pozwolenie na budowę. Wymagany wkład. Marzenie, które mogło się ziścić. Dom Freedlandów w Tokavaig, uhonorowany nagrodą Architecture Scotland Award, projekt Angusa Moorcrofta.

W głowie Angus a to już nie była chatka, tylko dom: bo to miejsce miało być w sp a n i a ł e. Może mógłby połączyć modrzewiowe pokrycie z kamieniem z Caithness. Oczywiście uwzględniłby też panele słoneczne. Może mógłby to zrobić tak, by cała północna ściana była przesuwany mi szkłany mi drzwiami: wtedy dom dosłownie otwierałby się na fiord...

Przez chwilę był szczęśliwy i rozkojarzony, pijany herbatą rooibos i marzeniami. Może to punkt zwrotny. Może teraz wszystko się zmieni? Kiedy popołudnie przeszło w zimowy zmierzch, podjął decyzję. Nadeszła ta chwila. Zamierzał mu powiedzieć.

Przynajmniej połowę prawdy.

Papiery poszły w ką. Włożył płaszcz i spojrzął na Josha. Znacząco.

– Mam ochotę na jednego w The Selkie. Masz ochotę dotrzymać mi towarzystwa? Moglibyśmy jeszcze trochę pogadać.

Dom wypieiała słodka woń duszonych jagód. Josh posłał mu spojrzenie, które mówiło: r o z u m i e m. Pożegnali się z Molly i w zimowym zmierzchu ruszyli w dół zbocza, w stronę pubu. Angus wciągał w nozdrza zimne powietrze Ornsay. Chłód przesycony zapachami wybrzeża. Więcierze na homary, pocięte drewno i słodka woń gnijących wodorostów.

– Posiedźmy na zewnątrz – powiedział Angus. – Będziemy mogli spokojnie pogadać.

Josh zmrugał oczy i zgodził się. Angus wszedł do baru, kupił whisky i sok i wyszedł na dwór. Postawił szklanki na drewnianym stole i spojrzął w stronę latarni na Torran. Teraz widać było jej światło w spokojnym chłodnym zmierzchu.

Sączył whisky. Próbował znaleźć w sobie odwagę. Josh przerwał milczenie:

– No więc jak tam teraz u Lydii, stary? Lepiej z nią?

Angus wrzucił ramionami, wypił łyk ognistej whisky. Delektował się dymnym posmakiem alkoholu. Po chwili odparł:

– Powiedzmy. Czasami. Ale... wciąż robi problemy.

– Jak to?

– Mówi do zmarłej siostry, zachowuje się tak, jakby Kirstie była przy niej.

Josh gapił się na niego.

– Często to robi?

– Tak. Często. Robi to w szkole. W domu. W samochodzie. Czasem mówi normalnie, ale często w tym ich bliźnięcym języku. To naprawdę upierne. Czasami rusza się tak i przedrzeźnia, jakby była przy niej jej siostra, fizycznie. Dziwnie to wygląda.

– No dobra. No dobra. Jezu!

– Myślę, że właśnie to ją tak wystraszyło u was w domu. Zdawało jej się, że widzi w szybie ducha swojej siostry. Odbicie.

Josh kiwnął głową.

– No cóż... Tak Ty też byś się przestraszył, co? Chryste! Przepraszam. – Josh się zawahał, wypił trochę soku i pochylił się lekko do przodu.

– Słuchaj, Gus, ona naprawdę w to wszystko wierzy. Czy twoja córeczka, no wiesz, to znaczy...

Czy ona...

– Czy zwariowała albo czy naprawdę jest jakiś duch? Albo czy tylko udaje?

– Mhm...

– Oczywiście, że nie ma żadnego ducha. – Angus wpatrywał się w Josha bez mrugnienia okiem. – Ale ona nie zwariowała.

Josh zmarszczył brwi.

– Czyli udaje? O to chodzi? Rany! Ale po co? Słuchaj, oczywiście nie musisz mi mówić, ale...

Angus milczał. Czuł, jak narasta w nim gorycz. I pragnienie, by się komuś zwierzyć. Zmęczyły go kłamstwa. Zmęczyło oszukiwanie bliskich. Ale czy miał odwagę, by być szczerym? Nie mógł powiedzieć wszystkiego – nigdy tego nie robi. Ale mógł się pozbyć chociaż części ciężaru.

Po kolejnym drinku.

Uniósł pustą szklankę.

Josh kiwnął głową.

– Jeszcze jedna?

– Ardbeg. Podwójna. Ale sam zapłacę. Nie musisz bulić za mój alkoholizm, Josh. – Sięgnął do kieszeni džinsów po banknot.

Josh się uśmiechnął.

– Zasponsoruję ci twój nałóg. Ale tylko ten raz.

Wziął szklankę Angusa i zniknął w barze. Kiedy drzwi się otworzyły i zamknęły, Angus usłyszał ciche dźwięki folkowej muzyki. Przez szybę wewnątrz The Selkie wydawało się pełne radosnej krzątaniny. Byli tam wszyscy miejscowi: popijali whisky i piwo McEwan's, cieszyli się weekendem, gawędzili o pilce nożnej i o koniach, i o tej dziwnej nowej rodzinie, która się sprowadziła na Torran.

Pochylił się nad stołem, wyciągnął ręce, oparł na nich czoło. Zapatrzył się w głęboką, głęboką ciemność. To, co się ostatnio stało, zламаło go.

Drzwi się otworzyły.

– Hej! – zawołał Josh. Podszedł do stołu ze szklankami. – Gus, daj spokój. Na pewno nie jest aż tak źle.

Angus podniósł wzrok

– Jest.

Josh westchnął i usiadł naprzeciwko, w spowijających ich ciemnościach. Odstawił szklanki na stół i zaczął otwierać paczkę papierosów.

Angus uniósł brew: *Josh Freedland pali?*

Josh wzruszył ramionami.

– Taki potajemny nałóg. Tylko nie mów Molly! Tak, czasem w weekend zdarzy mi się zapalić papierosa. Też chcesz?

– Nie, dzięki.

Znów milczenie. Tylko ciężki oddech morza i wiatr w gałęziach brzoź.

Angus zapatrzył się na lewo: na Torran i małą latarnię, i biel skulonego pod nią domku. Ledwie widział światło w ich kuchni, w mroku i we mgle. Co w tej chwili mogło się dziać w domku na Torran?

Zamknął oczy. Zrobi to. Otworzył.

– Josh, pytałeś o Ly dię.

– Tak

– Chcesz znać prawdę?

– Tak. Ale tylko jeśli masz ochotę mi powiedzieć.

– Tak. Tak mi się wydaje. Chcę. Kiedyś mi powtarzałeś, że dobrze jest się z kimś podzielić, zwierzyć się, że to człowiekowi pomaga, prawda? To dzięki temu uwolniłeś się od narkotyków? Tego cię nauczyli na spotkaniach AN?

– Tak

– W porządku. Ale to, co ci powiem, musi pozostać absolutną tajemnicą. Nie możesz tego powiedzieć nikomu, nigdy. I mówię poważnie. NIGDY, nikomu.

Josh kiwnął głową. Równie ponury jak zmierzch.

– Rozumiem.

– No dobra. W porządku. – Angus wciągnął głęboko powietrze, potarł usta ręką, poczuł kilkadziesiąt zimnych włosów. Zimne powietrze wydawało się ciężkie. Nad cieśniną opadała rosa. Kiedy zaczął mówić, w rześkim powietrzu z jego ust unosiła się para. – Najpierw muszę ci wyjaśnić kilka rzeczy.

– Dobra.

– Na pewno pamiętasz, że Sarah zawsze wołała Lydię. Lydia wyraźnie była jej ulubienicą.

– Wszyscy rodzice mają ulubione dzieci – odparł Josh. – Przy najmniej tak słyszałem.

– Tak, ale to było coś wyjątkowego. Naprawdę ją faworyzowała. Tę cichą, smutną, taką jak ona, tę, która lubiła czytać. Faworyzowała ją tak bardzo, że dla Kirstie stało się to przygnębiające. Próbowałem przywrócić jakąś równowagę i byłem o wiele miłszy dla Kirstie, ale to nie działało. Miłość ojca nie jest aż tak ważna. Nie może się równać z miłością matki. A na pewno nie wtedy, gdy dzieci są małe.

Chwila milczenia. W wieczornym świetle nie widział dokładnie twarzy przyjaciela. I tak było dobrze. Dzięki temu czuł się swobodniej: jakby to była spowiedź w kościele, przed księdzem, bez pokazywania twarzy. Mówił dalej:

– Na kilka dni przed wypadkiem Kirstie powiedziała mi, że przez to wszystko nienawidzi mamy, i potraktowałem ją bardzo ostro. Prawie dałem jej kłapsa. Nigdy przedtem nie dałem dziecku kłapsa. Nigdy. Ale byłem pijany i poniosło mnie. – Pokręcił głową. – Kirstie była bardzo zdenerwowana. Jak się można było spodziewać. Najpierw mama faworyzuje jej siostrę bliźniaczkę, a potem tatuś na nią krzyczy?

Josh wciąż milczał. Papieros jarzył się w ciemności. Angus ciągnął:

– A potem zdarzył się ten wypadek. No wiesz. Balkon. Sarah się kompletnie posypała, wszyscy się posypaliśmy i było tylko coraz gorzej... A później, sześć miesięcy temu... – Przerwał i wypił duży łyk whisky, żeby dodać sobie odwagi. – ...sześć miesięcy temu moja córka przyszła do mnie i powiedziała: tatusiu, ja to zrobiłam. Ja to zrobiłam. Zabiłam swoją siostrę. Pchnęłam ją. Bo mamusia zawsze bardziej ją lubiła, i teraz jej nie ma.

– O mój Boże – szepnął cicho Josh.

– Właśnie.

– Jezu... – Josh zgasił papierosa i przydeptał butem. Milczenie aż bolało. A potem w końcu się odezwał: – Ale... Gus, czy ona mogła... czy ona ją zabiła? Wierysz jej? Uwierzyłeś w to?

Angus westchnął.

– Tak. Może. Ale kiedy to się stało, miała tylko sześć lat, a powiedziała mi, kiedy miała siedem. Czy w ogóle wiedziała, co mówi? Czy w tym wieku dzieci w ogóle wiedzą, co mówią? Problem polega na tym, że to jej nowe wyjaśnienie ma sens, Josh. Miała motyw, to, że matka tak absurdalnie faworyzowała Lydię. I dowody pasują. To znaczy: dlaczego Lydia odniosła tak ciężkie obrażenia? Spadła z sześciu metrów? Dzieciaki zwykle przeżywają upadek z takiej wysokości. Więc dlaczego?

– Bo...

– Bo spadła z ostatniego piętra, nie ze środkowego. Kirstie mi to powiedziała. Weszły... na samą górę, na ostatnie piętro, potem wybiegły na balkon, i wtedy Kirstie pchnęła Lydię...

– Wciąż tego nie widzę.

Angus przerwał. Nabrał powietrza. I mówił dalej:

– Było tak pchnęła ją z balkonu na ostatnim piętrze, potem... chyba zbiegła na pierwsze, by

spojrzeć z balkonu na to, co zrobiła, każdy by tak zrobił, i wtedy wpadła Sarah i usłyszała, jak krzyczy *Lydia spada, Lydia spada*. Więc takie jest wyjaśnienie. Prawdopodobnie tak to było. Kirstie zabiła siostrę. Takie rzeczy już się zdarzały. Poczytałem trochę. Piszą o tym. Ostrą rywalizacja między bliźniętami jednojajowymi. Która może się stać zabójcą.

– No dobra. Ale... – Josh pokręcił głową. Angus ledwie to zauważył w słabym świetle bijącym z pubu. – Co to ma wspólnego z zamianą tożsamości?

– Kiedy Kirstie przyszła i mi to powiedziała, wpadłem w panikę. Kompletnie straciłem głowę. Była zdecydowana, żeby powiedzieć mamie, swoim przyjaciółkom i nauczycielom. Wszystkim. A jej matka była wtedy bardzo rozchwiana psychicznie, nie było mowy, żeby mogła usłyszeć coś takiego. Kirstie chciała też powiedzieć policji, bo miała straszne wyrzuty sumienia. Była bliska załamania, moja córeczka, która przeżyła. Więc owszem, spanikowałem.

– Dlaczego?

– Dlatego! Co się dzieje, kiedy sześciolatkę oskarżą o morderstwo? Co robi policja? W ogóle coś robi? Zacznie się śledztwo? Na pewno wszczęliby śledztwo. Dowody potwierdzały jej wersję. Więc musiałem ją uciszyć, uspokoić, sprawić, by przestała wierzyć samej sobie.

– No i...

– Zrobiłem, co mogłem, żeby jej zamknąć usta. Powiedziałem jej, żeby mi już o tym nie mówiła. Że nie chce wiedzieć. Powiedziałem, że nikt nie musi wiedzieć. A potem wmówiłem jej, że Lydia tak naprawdę nie umarła.

– Co ta kie go?

– Wyjaśniłem jej, że nikt tak naprawdę nie umiera, że tacy ludzie idą do nieba, ale jakaś ich część zawsze zostaje z nami. Opowiedziałem jej, że Lydia ocknęła się w szpitalu, że wróciła. Dałem jej ulubioną zabawkę Lydii. Patrz tylko, ona wciąż tu jest! Przekonałem ją, że bliźnięta są wyjątkowe i że tak naprawdę nie umierają, bo są jedną i tą samą osobą i jeśli jedno z nich przeżyje, to obie są z nami. To ja rozmyłem jej tożsamość, powiedziałem: jesteś Kirstie, ale Lydia zawsze z tobą będzie, bo jesteś jej siostrą bliźniaczką i teraz możesz dalej żyć za was obie. I wmówiłem jej, że to wszystko to wielka tajemnica, jej i tatusia, i że już nigdy nie wolno jej o tym wspominać. – Odchylił się do tyłu. – Powiedziałem jej to wszystko, bo się bałem, że powie prawdę, i wtedy moja rodzina na dobre się rozpadnie, bo... – Spojrzał na ukrytą w mroku twarz przyjaciela i mówił dalej: – Wyobraź sobie tylko, Josh. Wyobraź sobie, co by było, gdyby moja córka poszła do matki, do dziadków, do nauczycieli i do swoich przyjaciół i powiedziała: jestem morderczynią, pomóżcie mi, zabiłam własną siostrę. To byłby dla nas koniec. Na zawsze. Po tym wypadku kolejnego wstrząsu byśmy już nie przetrwali. Nie ma szans. Nie ma, kurwa, szans.

Drzwi pubu nagle się otworzyły, wyszedł jakiś pijany człowiek i zniknął w ciemnościach nocy.

W końcu Josh przemówił:

– Więc to ty posiałeś w jej głowie ten zamęt. Wmówiłeś jej, że jest równocześnie Lydią i Kirstie. I teraz ona myśli, że jest Lydią.

– Tak. Wtedy ją uspokoiłem i tylko na tym mi zależało. Zrobiłem, co trzeba. Ale potem to zamieszanie w jej głowie znów się zaczęło i było naprawdę przerażające. Zaczęła myśleć, że jest Lydią.

– Ale tak naprawdę jest Kirstie?

– Tak.

– A co z tym krzykiem?

– To tylko krzyk. To niczego nie dowodzi.

– A pies? Mówiliście o psie.

– Domowe zwierzęta odbudują więź z bliźniakiem, który przeżyje, próbują go chronić. Zastanawiam się też, czy czegoś nie widział. Albo nie wyczuł. Był z nimi, kiedy to się stało. I od tej pory już nie był sobą. Wiem, że to brzmi jak jakieś wariactwo, ale tak właśnie jest.

– Więc Lydia tak naprawdę wciąż jest Kirstie?

– Tak

– I ty to wszystko wiesz? – Josh znów pokręcił głową w ciemności. – Wiesz, że to wszystko kłamstwo. Wiesz, że tak naprawdę to Kirstie. A jednak godzisz się na tę farsę, na to oszustwo, pozwalasz nawet, żeby twoja żona planowała pogrzeb Kirstie? – W zimnym, czystym powietrzu jego głos brzmiał coraz ostrzej. – Poważnie, Gus? To takie p o p i e r d o l o n e. Jak możesz robić c o ś t a k i e g o?

– Bo nie mam wyboru! Nikomu nie mogę powiedzieć prawdy. Tylko ty wiesz. Gdybym powiedział Sarze, pewnie by się załamała, i w czym by to miało pomóc? Mogłaby zniechęcić własną córkę. A poza tym czemu nie pozwolić żyć Lydii, jeśli dzięki temu będzie spokój? Niech matka odzyska swoją ulubienicę. Na razie. – Westchnął z wściekłością i ciągnął: – I wiesz co? Ostatnio nawet mi się czasem wydaje, że to Lydia, jakby naprawdę była Lydią, jakbym zapomniał. I zachowuje się jak Lydia. Czasem tak się dzieje u bliźniąt, które przeżyją śmierć brata albo siostry. To znaczy... o ile prawda nie wyjdzie na jaw, jakie to ma znaczenie, że może jedna z moich córek zabiła drugą?

– Ale Kirstie wciąż tu jest. Wciąż żyje. Wciąż tkwi w Lydii.

– Tak

– Jest w niej uwięziona. Walczy o to, by ktoś ją usłyszał.

– Tak

– Jezus. – Josh westchnął. – Co za pojebany bajzel.

Angus kiwnął głową. Był wyczerpany. Ale też trochę mu ulżyło. Zwierzył się komuś, i musiał przyznać, że poczuł się lepiej. Ale inne problemy nie zniknęły. Głębsza prawda pozostała ukryta: jego własna wina, udział Sary, jej odpowiedzialność za to, co się stało. Rzeczy, o których nie mógł powiedzieć nikomu.

Po drugiej stronie cieśniny mrugała latarnia. Angus pomyślał o swojej pomniejszonej i złamanej rodzinie, tam, w domku na Torran. Pragnienie zemsty nie znikło. Umarło jego dziecko. I to poczucie niesprawiedliwości go wypalało.

Jest piątek i w powietrzu wisi śnieg. Jadę do szkoły Kyledale, odebrać Lydię. Rozpaczliwie pragnę pomóc swojej córce. Potrzebuje przyjaciół, inaczej będzie stracona. Musi mieć jakieś powody, które dawałyby jej nadzieję, musi zobaczyć tu swoją przyszłość. Musi zacząć rozmawiać z ludźmi, którzy nie są duchami.

Spoglądam ponad budynkami na wody cieśniny Sleat. Wiatr smaga szare fale, wszystko jest ostre, surowe i ponure. Wesół pomalowane huśtawki i drewniane zwierzątka na placu zabaw zupełnie tu nie pasują: surrealisty czni przy bysze z naiwnie szczęśliwego świata.

Młoda blada kobieta stoi sama przy furtce, wpatruje się w przeszkłone drzwi szkoły i wesół tabliczki z napisami Shleite i Sgoil. Poznają ją. Lydia mi ją pokazała i powiedziała, że to mama Emily: Julia Durrant.

Emily Durrant jest kolejną dziewczynką, którą przywiało z Anglii, i wydaje się jedynym dzieckiem, z którym Lydia mogła nawiązać jakąś więź. A przynajmniej jest jedynym dzieckiem, o którym Lydia kilka razy wspomniała. Wymawiała jej imię za każdym razem, gdy ostrożnie, z niepokojem i udawaną swobodą wypytywałam ją, jakiej poszło w szkole.

Tak naprawdę nie mam pojęcia, czy Emily lubi Lydię. Pewnie nie. Jestem prawie pewna, że żadne z dzieci w Kyledale tak naprawdę nie lubi ani nawet nie zna mojej córki. Uważają, że jest dziwna i że jest w niej coś niepokojącego.

Ale teraz nie mam wyboru, więc mierzę się ze swoją nieśmiałością, chowam ją głęboko w sobie i podchodzę do Julii Durrant, ubranej w elegancki fioletowy płaszcz i buty Ugg. Jeszcze zanim zacznę mówić, jej szczupłą twarz wykrzywia grymas.

– Dzień dobry, jestem Sarah Moorcroft.

– Ach, dzień dobry.

– Jestem mamą Lydii Moorcroft.

– Oczywiście. Przepraszam. No tak.

– Zastanawiałam się, czy pani córka nie chciałaby jutro przyjechać do nas, pobawić się z moją. Mieszkały na wyspie Torran, to ta z latarnią. Tylko na jakieś cztery godziny, może od jedenastej rano. Mogłybyśmy po nią przyjechać.

– Cóż...

Yduje się wystraszona. I czy można mieć do niej pretensje? Ale muszę nalegać. Nie mogę pozwolić, by Lydia nadal tkwiła w coraz bardziej szalonej samotności. Muszę być obcesowa i agresywna: okropny, natarczywy rodzic.

– Widzi pani, szczerze mówiąc... Lydia czuje się tu trochę samotna, więc naprawdę b a r d z o byśmy chciały, żeby Emily przyjechała i trochę się z nią pobawiła. Może być o jedenastej? Nie

macie w planach nic innego? Zajmiemy się wszystkim. Byłoby naprawdę wspaniale.

– No cóż... chcieliśmy... to znaczy...

Wyraźnie chce odmówić, ale się łamie, bo właściwie nie daje jej wyboru. Żal mi tej biednej kobiety. Strasznie na nią naciskam. Ale muszę przypieczętować umowę. Więc posługuję się tym.

– Naturalnie Lydia wciąż jest bardzo zagubiona po wypadku siostry. Pewnie pani wie, co się stało. Jej siostra bliźniaczka zginęła. Więc po prostu... po prostu trudno jej się dopasować, i byłoby tak miło, gdyby mogła się pobawić z Emilią.

Co może teraz powiedzieć Julia Durrant? *Och, nie obchodzi mnie, że pani córka straciła siostrę? Nie obchodzi mnie, że jest pani pogrążoną w żałobie matką trudnego i samotnego dziecka?*

Widzę po jej twarzy, że opiera się coraz bardziej: jest zażenowana, pewnie się nade mną lituje – i co z tego? Byłoby tylko się zgodziła.

– Dobrze – mówi, zmuszając się do sztucznego uśmiechu. – Wie pani, gdzie mieszkamy, prawda? Przy poczcie na wzgórzu.

– Tak. To wspaniale. – Odpowiadam jej równie nienaturalnym uśmiechem. – Lydia tak bardzo się ucieszy. Angus, mój mąż, przyjdzie po Emilię o jedenastej i odprowadzimy ją o trzeciej, zanim się ściemni. To naprawdę wspaniale, dziękuję!

A potem obie się odwracamy i spoglądamy na szklane drzwi. Dzieci wybiegają ze szkoły. Lydia jak zwykle jako ostatnia. Wychodzi niechętnie. Wszyscy jej rozkrzyżczani, uśmiechnięci koledzy i koleżanki z klasy już dawno się rozeszli.

Idzie w moją stronę. Przyglądam jej się badawczo. Przynajmniej blizny na dłoniach nie są zbyt widoczne.

Krzywię się w duchu do własnych myśli. Tak właśnie wygląda mój optymizm, to jest moje spojrzenie na życie od jasnej strony: *blizny nie są zbyt widoczne.*

– Cześć, kochanie.

Obejmuję ją i prowadzę do samochodu.

– Hej! Jak tam w szkole?

– Nic.

– Że jak?

– Możemy jechać do domu, mamusiu?

– Dobrze, pewnie.

Przekręcam kluczyk w stacyjce i odjeżdżamy.

– Mam dla ciebie miłą wiadomość, Muminku.

Zerkam we wsteczne lusterko. Lydia patrzy na mnie. Bez przekonania, ale z nadzieją. Współczuję jej coraz bardziej, waham się. A potem mówię:

– Emilię przyjdzie jutro się z tobą pobawić.

Lydia trawi tę wieść w milczeniu. Patrzy na mnie w lusterku. Mruga raz, dwa razy. I widzę delikatną, smutną nadzieję w jej wielkich błękitnych oczach. Nadal milczy, zastanawia się nad tym.

Wiem, że weekendy na Torran są dla niej boleśnie samotne, jeszcze gorsze niż samotność w szkole. Bez względu na to, jak opuszczona może się czuć na placu zabaw, mimo wszystko otaczają ją tam dzieci, chodzi na lekcje i przynajmniej nauczyciele się nią zajmują.

Na Torran ma tylko mnie. I Angusa. I niebo, chmury, płaczące szare foki i łabędzie krzykliwe, gnane na południe przez arktyczne zimno. Wciąż kocham Torran, albo przynajmniej pragnę,

żebyśmy ją kochali, mimo jej surowości i trudów, więc pragnę, by ona też ją pokochała. Ale do tego potrzebuje towarzystwa. Na wyspie.

Więc mam nadzieję i wierzę, że się ucieszy: że w weekend ktoś przyjdzie się z nią pobawić.

W końcu pyta:

– Naprawdę?

– Tak

– Ktoś przyjdzie się ze mną bawić? Bawić się ze mną?

– Tak, naprawdę. Z tobą. Jej mama przed chwilą spytała mnie, czy Emily mogłaby przyjść.

Czy to nie wspaniale?

Moja córka wpatruje się we mnie, a potem na jej twarzy pojawia się wielki, promienny, pełen nadziei uśmiech. Najradośniejszy, jaki widziałam od wielu tygodni. Może od wielu miesięcy. Potem próbuje ukryć ten uśmiech: jest zakłopotana tym, że tak bardzo się ucieszyła. Jej uśmiech wprawia mnie w prawdziwy zachwyt. I jestem przerażona. Co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? Teraz tak dużo oczekuje. Ale muszą to zrobić.

Próbuję ją uspokoić, ale nie jest to łatwe. Podczas kolacji cały czas wypytuje mnie, o której przyjdzie Emily i czy mogłaby przyjść wcześniej – a to drażni Angusa. Ale teraz Angus cały czas jest rozdrażniony albo zachowuje się tak, jakby był nieobecny. Jego humory zaczynają przypominać widok na Torran podczas ulewy: wciąż go widzę, gdy jest z nami. Jest tutaj. Ale szczegóły się zamazują.

Od czasu tej imprezy u Joshua i Molly jeszcze bardziej się od siebie odsunęliśmy. Nie wiem już, co tak naprawdę myśli. A on najwyraźniej nie wie, co ja myślę. Gdy robimy coś w domu, porozumiewamy się znakami i monosylabami. Jakbyśmy nie mówili swobodnie tym samym językiem.

Może to dlatego, że musieliśmy znieść zbyt dużo bólu – ale znieśliśmy go inaczej, osobno – i teraz to nas rozdziela. Może dlatego, że teraz raczej mnie przeraża ta jego ledwie skrywana wściekłość: na świat, na ten dom, na życie i może na mnie. Najdziwniejsze jest to, że wciąż go pragnę. Chociaż cała reszta naszego związku wydaje się spełkana i zniszczona. Może to jakaś nadzieja.

Ale nie mam w tej chwili energii, żeby naprawiać nasz związek. Skupiam się na córce.

W końcu o dziewiątej kładę ją do łóżka i jestem tak wykończona jej pytaniami i paplaniną, że wkrótce sama idę spać.

O wpół do ósmej Lydia potrząsa mną, żebym się obudziła. W piżamce, z zarumienioną buzią. Jest podekscytowana, stoi w zimnej sypialni.

– Mamusiu! Mamusiu! Gdzie jest Emily?

Jęczę. Jestem zaśpana. Angus wciąż śpi jak zabity po drugiej stronie łóżka.

– Co takiego?

– Emily! Gdzie ona jest? Moja nowa przyjaciółka. Mamusiu, mówiłaś, że przyjdzie!

Opuszczam nogi i ziewam tak szeroko, że trzeszczy mi szczęka.

– Mamusiu?

– Przyjdzie, kochanie. Ale jeszcze nie teraz.

– Kiedy przyjdzie, mamusiu? Kiedy?

– O Boże, niedługo, Lydio. Zróbmy ci jakieś śniadanie.

Zarzucam szlafrok, idę do kuchni i pierwsza rzecz, którą widzę, sprawia, że o mało nie

zaczynam wymiotować. W słoiku z olejem jest martwy, utopiony nornik Z drobnego ciała śący się czarna krew, wije się w zielonym oleju. Mój Boże. Torran.

Skąd przychodzą te wszystkie wredne gryzonie? Szczury i norniki, ryjówki i myszy. Są bezczelne i niezliczone. Wzdrygam się z obrzydzenia, otwieram drzwi i wylewam olej razem z małym czarnym ciałkiem na pokrytą szronem plażę, by zabrał je przyptyw. Wracam do domu i myślę o czekającym mnie dniu i o wizycie Emily. Nagle zdaję sobie sprawę, że choć tak naprawdę nie wierzę w Boga, modłę się.

Proszę, Boże, niech to zadziała. Proszę, Boże, uwierzę w ciebie, jeśli sprawisz, że to zadziała.

A teraz jest tu Emily.

Jest w pół do dwunastej. Stoję przy kuchennych drzwiach i widzę, jak Angus opływa lodzią skały Salmadair. Po jego prawej stronie siedzi mała osóbką: Emily Durrant. Nawet z tej odległości widzę, że jest nieufna, wyraża to jej postawa. Lydia nie popłynęła, bo chce ją powitać na swojej wyspie.

Razem z Lydią schodzimy na plażę przy latarni, żeby powitać Emily Durrant. Moja córeczka podskakuje w niebieskich kaloszkach. Dzień jest wilgotny i mglisty, ale przynajmniej nie pada. Dziewczynki będą mogły oglądać kałuże na skałach, dotykać skamieniałości, przeczeszą plażę w poszukiwaniu skarbów: plastikowych butelek po wodzie Nestlé, skrzyń rybackich z Peterhead i Lossiemouth, poroża zrzuconego przez jelenia. Przyptyw przynosi je tu z wyspy Jura.

– Witaj, Emily! – wołam.

Drobna, ruda i piegowata dziewczynka zerka na mnie niepewnie i nieśmiało. Angus pomaga jej wsiąść. Lydia stoi obok mnie i wpatruje się w nią, jakby była jakąś celebrytką. Moja córka jest oszolomiona, zachwycona, olśniona, naprawdę ma nową przyjaciółkę! Przypląnęła do niej na wyspę! Emily ma na sobie nowiutki czarny anorak i nowe czarne kalosze.

– Lydia, przywitaj się z Emily.

– Cześć, Emily! Dziękuję, że przyjechałaś! Dziękuję! – woła jednym tchem, a potem podbiega i przytula ją, i wyraźnie widać, że to zbyt wiele, że to niezręczne i nieporadne, bo Emily Durrant odsuwa ją od siebie i krzywi się.

Szybko interweniuje, rozdzielam je, biorę obie za ręce, uśmiecham się promiennie i mówię:

– No dobrze, wejdźmy do środka. Napijemy się soku pomarańczowego. Macie ochotę na herbatniki? A potem, Lydio, możesz pokazać Emily swoje ulubione skalne sadzawki!

– Tak, tak! – Lydia podskakuje. – Emily, chcesz zobaczyć nasze skalne sadzawki?

Emily wzrusza ramionami, nie uśmiecha się. Wlecziemy się noga za nogą do kuchennych drzwi. I wtedy mówi:

– No dobra.

Naprawdę współczuję małej Emily: nie jest okrutna ani obojętna, po prostu nie zna mojej córki, zmuszono ją do tego spotkania. Ale to mnie nie może powstrzymać. Po prostu mam nadzieję, że wrażliwość i nieśmiały urok Lydi – urok mojej kochanej, słodkiej dziewczynki, która jest tak delikatna i zabawna, kiedy już się ją pozna – odwali całą najtrudniejszą robotę i pozwoli im nawiązać więź.

Angus posyła mi znaczące spojrzenie, mija nas i wchodzi do domu. Jakby uważał, że to będzie moja wina, jeśli ta wspólna zabawa nie wypali. Nie zwracam na to uwagi, przynoszę dziewczynkom herbatniki i sok, a potem zapinam im kurtki i wysyłam na plażę. Usiłuję mówić swobodnie i serdecznie, jakby takie rzeczy ciągle nam się zdarzały.

– Dziękuję, mamusiu. Dziękuję, mamusiu.

Lydia aż promienieje ze szczęścia, gdy zapinam jej kurtkę. Jest zachwycona, że ma nową towarzyszkę zabaw. Za to Emily stoi milcząca i niechętna, ale stara się zachowywać jak grzeczna siedmiolatka, czyli niezbyt grzecznie. Mruczy pod nosem, dziękuje za herbatniki i sok i przez kuchenne drzwi powoli rusza za moją niezwykle pobudzoną i rozświegotaną córką.

– No chodź, Emily. Mamy skorupki krabów i w ogóle, i małe, i foki. Mogę ci pokazać? Mogę?

Sluchanie, jak Lydia ją błaga, sprawia mi ból. Jest naprawdę spragniona towarzystwa. Więc zamykam kuchenne drzwi i myślę o swojej nadziei. Nie chcę jej mieć. Nie mogę zbyt wiele oczekiwać.

Wchodzi Angus. Całuje mnie lekko w policzek. Jego zarost kłuje, nie jest zbyt seksowny. Mówi:

– Muszę się spotkać z Joshem na tej działce w Tokavaig, a potem rano jechać do Portree. Do biura. Może tam przenocuję.

– W porządku.

Staram się nie okazywać zazdrości. On może robić różne rzeczy. Ja muszę się zajmować Lydią.

– Ale wrócę po Emily.

– W porządku.

– Koło trzeciej.

Znów zwracam uwagę na to, że ograniczamy się do: gdzie się wybierasz? Dlaczego się gdzieś wybieram? Kto weźmie łódź? Kto dziś kupi jedzenie? Może to dlatego, że boimy się rozmów o poważniejszych sprawach – o tym, co się dzieje z Lydią. Może po prostu mamy nadzieję, że jeśli nie będziemy o tym mówić, problem sam zniknie, jak zaspy wczesnego śniegu u podnóża Ladhar Bheinn.

Angus otwiera drzwi, wpuszcza do domu świeże powietrze i rusza na plażę przy latarni. Gdy drzwi się otwierają, udaję przed sobą, że nie szukam wzrokiem Lydii i Emily, ale robię to. Chcę być matką, która się nie wtrąca, która pozwala swojej córeczce swobodnie biegać, bo na wyspie, z przyjaciółką, jest bezpieczna. Jestem jednak również matką pełną niepokoju, matką dziecka, które nie ma przyjaciół, i zżera mnie troska.

Słyszę nikanący w oddali warkot silnika. Angus zniknął za Salmadair. Przez chwilę stoję przy kuchennym oknie i obserwuję kulika, który siedzi na kamieniu przy sznurku do suszenia prania. Dziobie pobrzeżka, rozrzuca wodorosty. Potem na jednej nodze przeskakuje na śliski głaz, poirywany trzepie skrzydłami i wydaje pojedynczy krzyk.

Lydia.

Jest tam, na plaży, przy wynurzającej się podczas odpływu grobli. Moja córka wpatruje się w nieruchome kałuże. Jest sama. Gdzie jest Emily?

Muszę się wtrącić.

Zapinam wiatrówkę na zamek błyskawiczny i swobodnym krokiem idę po trawie w stronę piasku i kamyków.

– Lydio, gdzie się podziała twoja nowa przyjaciółka?

Mój głos jest absurdalnie spokojny.

Lydia grzebie patyczkiem w piasku. Kalosze ma brudne od szarego błota, oblepione wodorostami, a jej miękkie jasne włosy są dziko rozwiane na wietrze. Nie ma na głowie kapturka. Dziecko wyspiarzy.

– Lydio?

Podnosi wzrok, na jej twarzy maluje się coś między poczuciem winy a smutkiem.

– Emily nie chciała się bawić w to co ja, mamusiu. Chciała iść obejrzyć latarnię. Nudne, co? No to przysłałam tutaj.

Wyczuwam w tym stwierdzeniu panikę. Boi się, że nie będzie wiedziała, jak się zachować. Minęło zbyt dużo czasu. Już zapomniała, jak się rozmawia z dziećmi, jak się dzielić, być czy imś przyjacielem.

– Lydio, nie możesz z aw s z e robić tego, co chcesz. Czasem musisz robić to, czego chcą twoje przyjaciółki. Gdzie ona jest?

Milczenie.

– Gdzie ona jest?

Czuję pierwszą falę niepokoju, ścisną mi gardło.

– Kochanie, gdzie jest Emily?

– Mówiłam ci! Przy latarni. – Lydia tupie nogą. Udaje, że jest zła. Ale widzę w jej oczach nadzieję i to, że czuje się zraniona.

– W porządku. W takim razie chodźmy jej poszukać. Na pewno wymyślimy coś, co obie będziecie chciały robić.

Biorę swoją przerażoną córkę za rękę i ciągnę za sobą ścieżką. Maszerujemy razem do latarni, i faktycznie jest tam Emily Durrant. Wygląda na kompletnie znudzoną i zziębniętą, ręce ukryła w kieszeniach anoraka. Stoi przy barierce.

– Pani Moorcroft, mogę już wracać do domu? – pyta. Prosto z mostu. – Po południu chcę się spotkać z przyjaciółkami w wiosce.

Natychmiast zerkam na swoją córkę.

W oczywisty sposób zraniła ją ta nieumyślnie okrutna uwaga. Widzę w jej błękitnych oczach, że jest bliska płaczu.

Ale naturalnie Emily jest po prostu szczerą: Lydia nie jest jej przyjaciółką i pewnie nigdy nie będzie.

Jakoś mi się udaje stłumić matczyzny gniew, potrzebę, by chronić Lydię. Bo zrobię wszystko, by spróbować jeszcze raz.

– Hej, dziewczynki, może się pobawicie w puszczenie kaczek?

Emily wydyma usta.

– Ale ja chcę wracać d o do mu.

– Jeszcze nie, Emily, jeszcze nie. Już niedługo. Ale najpierw możemy się trochę pobawić. Będziemy puszczać kaczki na wodzie, za latarnią!

To jedna z ulubionych zabaw Lydii: puszczenie kaczek na spokojnej wodzie, tam, gdzie bazaltowe i granitowe bloki tworzą osłonę przed falami. Lubi się w to bawić z tatusiem.

Emily wzdycha ciężko, a Lydia mówi:

– Proszę, Emily. Chodź. Możemy się w to pobawić, pokażę ci. Proszę, mogę ci pokazać?

– Och, no dobra.

Razem ostrożnie schodzimy w stronę bazaltowych bloków, tam, gdzie woda jest spokojna. Musimy się wspinać, potykamy się o kamienie, brniemy przez sterty gnijących wodorostów. Emily marszczy nos.

Gdy docieramy do niewielkiej plaży, Lydia podnosi okrągły kamyczek i pokazuje go Emily.

– Widzisz? Musisz znaleźć okrągły kamyk i rzucić go tak jakby bokiem.

Emily kiwa głową. Wyraźnie widać, że jej to nie interesuje. Lydia odchyła się, puszcza kaczkę, kamyk trzy razy wesoło podskakuje na powierzchni wody. Mówi:

– Twoja kolej. Twoja kolej, Emily!

Emily stoi bez ruchu. Lydia próbuje jeszcze raz.

– Znajdę ci kamyk, Emily. Mogę ci znaleźć kamyk?

Przyglądam się temu bezradnie. Lydia pilnie szuka płaskiego kamyka na małym kawałku plaży i podaje go Emily. Emily bierze, spogląda na mnie, potem na morze, i apatycznie rzuca kamyk. Z pluskiem wpada prosto do wody. Potem wsuwa ręce do kieszeni.

Lydia patrzy na nią z rozpaczą. Nie wiem, czy interweniować. Ani jak. W końcu moja córka mówi:

– Wyobrażasz sobie, że wszyscy na świecie chcieliby stać w kolejce, żeby obejrzeć gąsienicę?

Emily milczy. Moja córka paple dalej:

– Wyobraź to sobie. Wyobraź sobie, że gdyby tak było, trzeba by tam zbudować wielką kawiarnię, ale nikt by im nie dał jedzenia, bo wszyscy by stali w kolejce!

To jedna z tych chwil, gdy Lydię ponosi fantazja, jeden z tych jej absurdalnych pomysłów: dzieliła się nimi z Kirstie, a potem zanosiły się śmiechem, wznosiły się na coraz wyższe poziomy absurdu.

Emily kręci głową i wrusza ramionami. Potem spogląda na mnie i pyta:

– Mogę już wracać do domu?

To nie wina Emily Durrant, ale mam straszną ochotę dać jej klapsa.

Jestem bliska poddania się. Chciałabym zadzwonić po Angusa, powiedzieć, żeby przyplłynął i ją zabrał. Albo może powłokę ją za sobą pieszo, przez groble i błota podczas odpływu. Zacznie się za niecałą godzinę: o pierwszej. I wtedy Lydia mówi:

– Emily, chcesz pograć w Angry Granny na wielkim telefonie?

I to wszystko zmienia. Emily Durrant wydaje się naprawdę zainteresowana. Wielki telefon to iPad. Kupiliśmy go w czasach, gdy jeszcze mieliśmy pieniądze.

– To iPad – wyjaśniam Emily. – Jest na nim mnóstwo gier!

Emily Durrant marszczy brwi. Ale tym razem to inna mina, dobra mina: jest zdezorientowana – i zciekawiona.

– Tatusz nie pozwala nam... eee... grać na komputerze – mówi. – Uważa, że to nam źle robi. Ale tutaj mogłabym pograć?

– TAK! – mówię. – Oczywiście, że możesz, kochanie. – W tej chwili nie martwię się o to, czy to rozłości Durrantów. Muszę to jakoś ratować. – No chodźcie, dziewczynki. Chodźmy do domu. Możecie sobie pograć na iPadzie, a ja zrobię wam lunch! Co wy na to?

To działa. Emily Durrant wydaje się zachwycona, wręcz przejęta. W trójkę wspinamy się z powrotem po skałach, wpadamy do domu, sadzam je obie w salonie. W kominku huczy ogień, a na stole lśni podłączony iPad. Emily włącza jakąś grę i naprawdę chichocze. Lydia pokazuje jej, jak przejść pierwszy poziom jej ulubionej gry: jak sprawić, żeby Angry Granny nie wpadła na szybę.

Spoglądają na siebie, uśmiechają się, a potem obie chichoczą, jak przyjaciółki, jak siostry, jak kiedyś Lydia i Kirstie. Odmawiam w duchu dziękczynną modlitwę i ostrożnie, niepewnie, z nadzieją wychodzę z salonu. Ruszam do kuchni. Chcę zrobić spaghetti z sosem bolognese.

Wszystkie dzieci uwielbiają spaghetti z sosem bolognese.

Wciąż słyszę ich śmiechy i rozmowy. Czuję ogromną ulgę. Nie tak to sobie wyobrażałam, nie tak to planowałam. Myślałam, że dwie dziewczynki będą biegać po naszej pięknej wyspie, szukać muszelek, pokazywać sobie foki płynące w górę rzeki z Kinnloch. A to dwie dziewczynki pochylone nad iPadem, siedzące w domu. Równie dobrze mogłybyśmy być w Londynie. Mogłybyśmy być gdziekolwiek. Ale to z całą pewnością wystarczy. Bo to może być początek czegoś lepszego.

Kolejne minuty mijają w poczuciu ulgi i w zadumie. Odcedzam makaron, robię sos, spoglądam przez kuchenne okno na małą zatoczkę Ornsay Bay i na wzgórza nad Camuscross. Piękno Torran i Ornsay jest dziś przygaszone, ale wciąż imponujące. Zawsze jest imponujące. Delikatne, blade szarości morza i nieba. Głęboka rdzawobrazowa barwa martwych zimną paproci. Krzyki labędzi.

Krzycząca dziewczynka.

Co?

To Emily. Głośno wrzeszczy.

Rozpaczliwie.

Stoję bez ruchu, jakbym zamarła. Sztwna i pełna obaw. Sparaliżowana pragnieniem, żeby się nie dowiedzieć, co się dzieje. Nie znówu. Nie tutaj. Proszę, nie.

Górę bierze odruch. Biegnę do salonu, nikogo nie ma, i znów słyszę ten krzyk – dobiega z naszej sypialni, Angus a i mojej, tej, w której stoi łóże admirałskie. Wpadam do pokoju. Emily stoi w łacie i rozpaczliwie szlocha. Wskazuje palcem na Lydię.

– Ona! Ona! Ona!

Lydia siedzi na łóżku i też płacze, ale inaczej. Bezradnie. Cicho. To ten cichy płacz, który mnie przeraża.

– Dziewczynki. Co się stało?! O co chodzi?!

Emily krzyczy jak zwierzę, wybiega z pokoju, mija mnie, próbuję ją złapać, ale jest za szybka. Co mam robić? Nie mogę pozwolić, by wybiegła na plażę, na skały, nie taka rozhisteryzowana, mogłaby się przewrócić, wszystko mogłoby się stać. Więc gonię ją do kuchni, zaganiam w kąt. Stoi przy lodówce, drży, trzęsie się, szlocha, a potem znów zaczy na krzyczeń.

– Ona! To przez nią! Gadała! Do lustra! Do lustra!

– Emily, proszę, uspokój się. To tylko... – Nie wiem, co powiedzieć.

Emily krzyczy mi w twarz:

– Zabierz mnie do domu. Zabierz mnie do domu! Chcę do mamy! Zabierz mnie do domu!

– Mamusiu...

Odwracam się.

Lydia stoi w drzwiach, twarz ma mokrą od łez. Ma różowe skarpetki i dzinsy.

– Przepraszam, mamusiu – mówi. – Ja tylko... tylko powiedziałam, że Kirstie też chce się pobawić. To wszystko.

Emily zaczy na wrzeszczeć jeszcze głośniej: jakby się panicznie bała mojej córki, kuli się, cofa.

– Zabierz mnie do domu! Proooooo, proszę, zabierz to, zabierz to ode mnie, zabierz to! Zabierz je ode mnie!

Angus zjawia się szybko. Pół godziny po naszej rozmowie – był w Ord, jest tam całkiem dobry zasięg – widzę go w pontonie, wypływa zza skał Salmadair.

Tymczasem zdążyłam już uspokoić Emily Durrant. Wciąż jest rozrzęsiona, ale przestała płakać. Dałam jej kakao i herbatniki i trzymałam z dala od Lydii.

Muszę trzymać inne dzieci z dala od mojej córki.

Lydia siedzi zgarbiona na sofie w salonie. Udaje, że czyta książkę. Wygląda na nieopisanie samotną. Wygląda, jakby ją dręczyło poczucie winy. Jakby zawiodła w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

A najgorsze jest to, że ma rację.

Teraz nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałyby się zaprzyjaźnić z kimkolwiek z Kylerdale. Bez względu na to, czym wystraszyła Emily – mówieniem w swoim bliźnięcym języku, udawaniem, że bawi się z Kirstie, opowiadaniem o tym, że ma siostrę ducha – Emily opowie o tym wszystkim w szkole, a dzieci będą jej słuchać, i Lydia w jeszcze większym stopniu stanie się tym dziwnym dzieckiem z Torran. Upiorną, samotną dziewczynką. Która słyszy głosy.

A Durrantowie zienawidzą mnie za tak wiele rzeczy: za to, że pozwoliłam ich córce grać w gry komputerowe, że przeze mnie poczuła się nieszczęśliwa i że się przeraziła.

Jesteśmy skazani na niepowodzenie. Może ta przeprowadzka była tragicznym błędem.

– Gdzie ona jest? – pyta Angus, wpadając do kuchni. Spogląda na stojącą w najdalszym kącie Emily. – Gdzie jest Lydia?

– W salonie – odpowiadam szeptem. – W sumie nic jej nie jest.

– Hm... – Patrzy na mnie z wściekłością. Wspólne zabawy nie wypaliły, i to ani trochę, i to jest moja wina. Ja to zaaranżowałam, i poszło bardzo, ale to bardzo nie tak

– Proszę, Angus. Zabierz po prostu Emily do domu.

– Tak zrobię.

Podchodzi do Emily, obcesowo łapie ją za rękę i wyprowadza. Zbliża się zmierzch. Daję mu torbę z jej zabawkami. Wlokę się do łodzi i słyszę warkot uruchamianego silnika. Odwracam się i zrozpaczona wracam do domu.

Zostałyśmy tylko ja i Lydia. Same. Tutaj.

Wsuwam głowę do salonu – wciąż czyta, ale tak naprawdę nie czyta.

– Kochanie?

Nawet nie podnosi wzroku. Na jej bladej twarzyczce widać ślady łez. W domu jest tak cicho. Tylko hymny wiatru i fal, i drzewo trzaskające w kominku. Żałuję, że nie mamy telewizji. Żałuję, że nie mamy stu telewizorów. Żałuję, że nie jesteśmy w Londynie. Nie mogę uwierzyć, że tego

pragnę, ale chyba tak jest.

Nie możemy wrócić. Utknęliśmy tu, w pułapce. Na wyspie.

Mamy bardzo mało pieniędzy. Ja w ogóle nie mam pieniędzy. Wszystko wkładamy w Torran, ledwie nam wystarczy na podstawowy remont. Ale jeśli sprzedamy ją teraz, z tylko trochę wyremontowanym domem, w półsurowym stanie, nie zarobimy na tym nic. Może nawet poniesiemy straty i zbankrutujemy.

Noc mija na cichej rozpacz, a następnego ranka Angus prawie się do mnie nie odzywa. W jego ruchach widać wściekość, nie potrafi tego ukryć. Kiedy jemy śniadanie, zaciska pięści. Mam wrażenie, że jest naprawdę bliski tego, by mnie pobić.

I zaczynam się autentycznie bać jego gniewu, tłumionej agresji, którą ten gniew oznacza. Bądź co bądź uderzył swojego szefa. A jego zapijaczony ojciec o mało nie zatłukł jego matki na śmierć. Czy Angus aż tak bardzo się od niego różni? Na pewno pije, i na pewno cały czas jest zły. Nie wiem, czy tknąłby Lydię, ale nie czuję się już całkowicie bezpieczna, kiedy jest obok mnie. Tak blisko.

Wstaje bez słowa i znosi talerze do zlewu. Wzruszam ramionami i pozwalam, by zabrał Lydię do szkoły. Bo nie jestem w stanie spojrzeć w oczy mamom i ojcom przy furtce, a już zwłaszcza mamie Emily Durrant. Lydia też milczy. Wszyscy zostali uciszeni.

Kiedy już jestem całkiem sama, zdejmuję słuchawkę z widełek i odkładam. Chcę, żeby nic mi nie przeszkadzało. Chcę mieć czas do namysłu.

Potem wracam do naszej sypialni i leżę tam przez pięć czy sześć ponurych, cichych godzin, zapatrzona w sufit i plamy wilgoci. Zastanawiam się nad słowami mojej matki. O dziwnym zachowaniu Kirstie tuż przed wypadkiem. O tym, że tamtego wieczoru Angus się spóźnił, że wstąpił do Imogen.

Coś się w tym kryje. Tylko co? Czuję się tak, jakbym wpatrywała się w trójwymiarowe puzzle. Muszę dać oczom odpocząć, wtedy zobaczę rzeczywistość.

W zadumie podpieram głowę i pustym wzrokiem rozglądam się po pokoju. I wtedy zdaję sobie sprawę, że wpatruję się w ukochaną komodę Angusa. W jeden z tych mebli, które m u s i a ł y tu przyjechać z Londynu.

Należała do niego, zanim jeszcze się pobraliśmy. Prezent od babci: stara wiktoriańska szkołka komoda. Szuflady są zamykane. Zamyka je na klucz.

Ale wiem, gdzie go trzyma. Kilka razy widziałam, jak swobodnie sięga po ten klucz; bądź co bądź jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat. Przez dziesięć lat człowiek zauważy różne rzeczy. Angus pewnie nie wie, że wiem, ale wiem.

Przechodzę przez pokój i sięgam za komodę. Jest tam. Wsunięty w szczelinę z tyłu.

Waham się. Co ja robię?

Wkładam klucz. Z łatwością przekręca się w starym, dobrze naoliwionym zamku. Chwytam mosiężną rączkę i wysuwam górną szufladę. W domu jest bardzo zimno. Słyszę mewy pikające wśród wichrów nad Torran, nawołując się w ten irytujący sposób – przesywając i rozpaczliwie.

Szuflada jest pełna dokumentów. Sprawy zawodowe. Czasopisma o architekturze, niektóre podpisane przez prawdziwe gwiazdy branży. Richard Rogers, Renzo Piano, i tacy, których nie znam. Dalej teczka z CV. Zdjęcia budynków. Plany i projekty.

Otwieram następną szufladę. Wysuwa się. Wygląda bardziej obiecująco, choć nie jestem pewna, czego się spodziewać. Są w niej listy i książki. Przysuwam do oczu jeden z listów, by mu

się przyjrzeć dokładnie w słabnącym popołudniowym świetle.

To list od jego babci.

Mój drogi Angusie, piszę do Ciebie z Torran, by Ci powiedzieć, że mamy tutaj parę wydr z młodymi! Musisz przyjechać i je zobaczyć. Cały dzień bawią się na plaży przy latarni, tak miło na nie...

Czuję, że postępuję niewłaściwie, czytając to. Co ja wyprawiam? Szpieguję własnego męża? A jednak mu nie ufam, bo zbyt wiele razy mnie okłamał: nie powiedział o tej zabawce, o zmianie tożsamości. A poza tym coraz bardziej się go boję. Więc chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć, o co tu chodzi. Odkładam list, sięgam po kolejny.

Słychać jakiś dźwięk. Jestem pewna, że to skrzypiąca podłoga. Czy to Angus wrócił? Tak wcześniej? Dochodzi trzecia i jest odpływ. Mógł przejść pieszo po stonych mokradłach. Ale po co?

Znów skrzypienie. Strach jest jak zimny domięśniowy zastryk.

Czemu Kirstie bała się Angusa tego dnia, gdy zginęła? Widziała, jak używał przemocy? Dał jej klapsa?

Skrzypienie ustaje. To pewnie kuchenne drzwi kiwają się na zawiasach. Nie zamknęłam ich porządnie.

Czuję ulgę i znów przeglądam zawartość drugiej szuflady. Listy wysypują się na podłogę. Znów jeden od jego babci, drugi od mamy, trzeci od brata, napisany nieudolnym szkolnym pismem. Znajduję też dwa napisane na maszynie listy dotyczące jego ojca i jego akt zgonu. A potem czuję w palcach niewytłumaczalne mrowienie – i widzę to.

Anna Karenina.

Anna Karenina?

Angus nie czyta powieści. Pochłania gazety i czasopisma o architekturze, potrafi się zagłębić w jakieś tomisko o historii wojskowości, jak większość mężczyzn.

Ale powieści? Nigdy.

Po co mu *Anna Karenina*? I dlaczego ukrył tę książkę?

Wyciągam ją i przerzucam kilka pierwszych stron. Kiedy dotykam trzeciej strony, czuję zimno w opuszkach palców.

Pod tytułem jest krótka, napisana odręcznie dedykacja:

A więc za nas... z miłością, Immy, xxx

Znam ten charakter pisma ze świątecznych kartek, z kartek urodzinowych i dowcipnych, sarkastycznych pocztówek z Umbrii i znad Loary, które dostajemy każdego lata. Znam to pismo od tak dawna.

To od Imogen Evertsen.

Mojej najlepszej przyjaciółki Immy.

Napisała: z miłością. Dodała trzy całusy? Do słynnej powieści o cudzołóstwie?

Imogen Evertsen?

W zimnej sypialni z moich ust unosi się słaba mgiełka. Muszę natychmiast przeszukać resztę szuflady, ale nie mogę. Znów powstrzymuje mnie jakiś dźwięk, i tego dźwięku nie da się pomylić z niczym innym.

Ktoś jest w domu. Zatrzasnęły się drzwi. Słyszę kroki.

Czy to Angus? Co mam robić? Co będzie, jeśli mnie przyłapie na szperaniu w jego rzeczach? Groźba przemocy z jego strony nagle jest bardzo realna.

Zbieram wszystkie te listy i pośpiesznie wpycham je do szuflady, rozpaczliwie, gorączkowo. A jednak próbuję to robić cicho. Wrzuciłam ostatni list, odwracam się.

Liczę uderzenia serca.

Odgłosy kroków umilkły. Słyszę pobrząkiwanie. Z całą pewnością ktoś jest w kuchni. I na pewno wszedł tylnym wejściem. Wiedział, że nie jest zamknięte na klucz.

Więc to musi być Angus?

Pośpiesznie zamykam dwie szuflady, ostrożnie, ostrożnie. Pierwsza się zamyka, ale skrzypi. O wiele za głośno. Wstrzymuję oddech, waham się.

Znów kroki. Słyszę jakiś głos? Cichy, wysoki, dziewczęcy głosik? Czy to możliwe, że Angus jest z Lydią? Dlaczego miałby tak wcześniej odbierać ją ze szkoły? Jeśli to nie Lydia, to kto?

Znów zapada cisza. Jeśli słyszałam jakiś głos, to teraz umilkł. Ale gdy zamykam drugą szufladę, znów słyszę kroki. Powolne. I ostrożne. Ogarnia mnie przerażające uczucie: że ktoś się skrada, że ktośkolwiek jest w domu, próbuje jak najciszej mnie podejść. Dlaczego?

Teraz ledwie słyszalnie skrzypią drzwi: to drzwi od jadalni, poznaję ten dźwięk. Więc ten ktoś, ten intruz, ktośkolwiek to jest – pewnie Angus – powoli zbliża się do mnie, do tej sypialni. Muszę się pośpieszyć: gorączkowo przekręcam klucz w zamku środkowej szuflady, potem zamykam górną, ale klucz wyślizguje mi się ze spoconych palców i rozpaczliwie szukam go po omacku na podłodze – w pokoju jest teraz ciemno, zapadł już zimowy zmierzch – i gdzie, gdzie jest ten klucz? Kłęczę w dżinsach na zakurzonej podłodze, jak jakiś włamywacz. To źle i żałosne. Ale muszę znaleźć ten klucz.

Jest. Staram się nie panikować, zamykam górną szufladę. Wsuwam klucz do kryjówki i wstaję. Odwracam się, wyglądam koszulę i próbuję wyglądać normalnie. Ktoś jest przy samych drzwiach, otwierają się powoli.

Pustka.

Wpatruję się w pusty prostokąt korytarza. Gapi się na mnie kiepskie malowidło – szkocka tancerka. Cisza.

– Halo?

Cisza.

– Halo?

Cisza jak wycie. Jak krzyk. W całym domu najgłośniejsze jest moje serce. Łomocze. Kto jest w domu, dlaczego gra ze mną w tę grę? Dlaczego chce mnie wystraszyć? Zdecydowanie

słyszałam kroki, to nie było złudzenie. Ktoś tu jest.

– Halo? Kto tam? Kto tu jest? Kto to?

Nic.

– Przestań! Angus? Lydia? Przestań!

Ciemność się zagęszcza. W zimowe pochmurne popołudnia tak szybko zapada zmrok. Czemu w ogóle nie włączyłam światła? W domu panuje półmrok. Morze oddycha, jest wyczerpane. Bardzo powoli podchodzę do drzwi, wyglądam. Czeka na mnie korytarz. Pusty. Widzę zarysy mebli w salonie. Światło jest takie słabe. I jest tak niesamowicie zimno. W domu na Torran zawsze jest chłodno, ale dziś jest naprawdę wyjątkowo zimno. Zdaję sobie sprawę, że drzę.

Wyciągam rękę i włączam światło w sypialni, ale jest słabe, sześćdziesiąt watów. Niewiele mocniejsze od światła księżycyca.

– Piosenka za sześć pensów, pełna żyta kieszeń.

To głos dziewczynki. Dobiega z pokoju Lydii.

– Dwadzieścia cztery kosy upieczone w pasztecie.

Ale to głos Kirstie. Bo znam tę melodię: to ulubiona rymowanka Kirstie. Ta, którą uwielbiała, już kiedy była malutka. Jej głos jest stłumiony i odległy, a jednak śpiewny. Słysząc w nim szczęście.

– Gdy pasztecet rozkrojono, zaczęło się ptasie śpiewanie, postawiono przed królem to wykwinne danie!

Biorę się w garść. To oczywiście nie może być Kirstie. Ona nie żyje.

Więc to musi być Lydia, w swoim pokoju, musi udawać, że jest Kirstie. Ale jak się tam dostała? Dlaczego tu jest? Angus wrócił z nią wcześniej? I dlaczego śpiewa jak Kirstie?

– Lydia! Lydia! – Drzwi są zamknięte. Pcham je, przekręcam gałkę. Jeszcze przez chwilę boleśnie się waham, bo przepelnia mnie potworny strach, że zobaczę tam Kirstie. W niebieskiej czapeczce. Żywą, roześmianą, wesołą. A może będzie leżeć połamana na łóżku, zakrwawiona, umierająca, tak jak w Devon po wypadku. Ś p i e w a j ą c e z a k r w a w i o n e c i a ł o.

Moje marzenia to koszmary.

Próbuję zapanować nad sobą. Popycham drzwi, rozglądam się po pokoju. I widzę Lydię w grubym różowym anoraku i szkolnym mundurku. Wpatruje się ze smutkiem w okno, patrzy na morze, na wybrzeże od strony Ardvasar, na gęstniejące ciemności pod bezgwiezdnym niebem. W jej pokoju jest dziwnie zimno.

– Ale Lydia, kochanie... Dlaczego?

Odwraca się i uśmiecha do mnie smutno. Jej mundurek wciąż jest za duży. Wydaje mi się samotna jak jeszcze nigdy. Serce ściska mi się ze współzucia.

– Śpiewałaś?

– Kirstie śpiewała – odpowiada po prostu. – Tak jak kiedyś. Ja słuchałam i się bawiłam. Teraz już sobie poszła.

Puszczam to mimo uszu. Bo nie mogę znieść tego, co to oznacza. Moja córka naprawdę traci rozum. Więc tylko zadaję jej pytania:

– Co tu robisz? Lydio? – Zerkam na zegarek. Jest trzecia po południu, lekcje kończą się dopiero teraz – Lydia? Lyddie-ło? Co się stało? Jak... nie rozumiem... Dlaczego?

– To ja. Przywiozłem ją.

Mroczny baryton Angusa zdejmuję zakłęcie. Mój mąż stoi w drzwiach, wysoki i groźny.

– Dzwonili do mnie ze szkoły. – Patrzy na mnie znacząco. Jego brązowy sweter jest pokryty kurzem. – Dzwonili w sprawie Lydii. Chcieli, żebym ją odebrał. – Rozgląda się po spartańsko urządzonym pokoju Lydii, patrzy na pluszową zyrafkę leżącą na łóżku, na książkę o Charliem i Loli na podłodze. – Chryste – mówi. – Dlaczego tu tak zimno? Musimy naprawić ogrzewanie.

Patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem, znacząco. Przytulam szybko Lydię, a ona uśmiecha się do mnie pusto. A potem my, opiekuńczy rodzice, wychodzimy z pokoju.

Zamykamy drzwi i stoimy obok siebie w korytarzu. A ja czuję, że mam ochotę się cofnąć, że on jest za blisko, jest zbyt wysoki, zbyt męski.

– Dzwoniła do mnie sekretarka ze szkoły – mówi. – Nie mogli się do ciebie dodzwonić, mówili, że Lydia jest strasznie nieszczęśliwa. Że zupełnie odjechała. Bo Emily Durrant nie chciała siedzieć w tej samej klasie co ona, a potem wiele innych dzieci zrobiło to samo. Poprosili, żebym ją odebrał wcześniej.

– Ale dlaczego...

– Chcą, żebyśmy przez tydzień nie przysyłali jej do szkoły. – Wzdycha ciężko, pociera podbródek. Wydaje się starszy, zmęczony. Jego brązowe oczy szukają moich. – Próbowałem ją nakłonić, żeby mi o tym opowiedziała. Ale wiesz, jaka jest Lydia. Potrafi być taka cholernie małowólna... – Urywa.

Mam ochotę go uderzyć. Nie zapomniałam o książce. I m o g e n E v e r t s e n? Ale myślami wracam do Lydii.

– Dlaczego przez tydzień? A co będzie potem?

Angus wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Mówili tylko, że chcą uspokoić sytuację. W każdym razie odebrałem ją, a Josh podwiózł nas RIB-em.

– Zakradłeś się do domu? Ja właśnie... Przestraszyłeś mnie...

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Wszystkie światła były pogaszone.

Kłamie. Znowu. Wiem to. K ł a m i e. Wpatruje się we mnie. Może wie, że zagładałam do komody. I może wie, że znalazłam tę książkę i m a t o g d z i e ś. Ale co z Lydią? Jak ona musi się teraz czuć?

– Muszę z nią porozmawiać.

– Nie, nie jestem pewien, czy...

Usiłuje zagrozić mi drogę. Otwieram drzwi do pokoju Lydii. Odpycham jego wielką rękę. Lydia siedzi na łóżku, oczy ma szkliste. Znowu czyta książkę o Charliem i Loli. Tak jak kiedyś, kilka lat temu. To musi być dla niej jak jedzenie dla poprawy nastroju. Potrzebuje czegoś, co jej doda otuchy. Chciałabym, by w jej pokoju było więcej światła, by było cieplej. To zimno jest okropne.

– Lydio, co się stało w szkole?

Milczy, czyta dalej.

– Kochanie, muszę wiedzieć, czy ktoś zrobił ci coś złego.

Tylko morze mówi, szepcze do piasku i skał.

– Lydio... – Siadam na brzegu łóżka, głaszczę ją po ramieniu. – Lydio, proszę, powiedz mi.

– Nic.

No i znowu. Odzywa się w niej matka.

– Lydie-lo... proszę...

– Nic. – Podnosi głowę, jej oczy płoną. – Nic! Nic się nie stało!

Znów głaszczę ją po ramieniu, ale reaguje z jeszcze większą wściekłością.

– Idź sobie!

Lydia na mnie krzyczy. Jej śliczna blada twarzyczka jest zaczerwieniona ze złości. Wykrzywna z odrazy.

– Idź sobie, nienawidzę cię, nienawidzę cię...

– Lyd...

Znów wyciągam do niej rękę, ale Lydia mnie uderza, mocno, o wiele mocniej, niż mogłabym się po niej spodziewać. Ból jest wręcz palący.

– IDŹ SOOOBIEEEE!!!

– Dobrze. – Wstaję. – Dobrze.

– IDŹ SOBIEEEE!!!

– Dobrze, idę.

I naprawdę się wycofuję. Żalosa i pokonana, najgorsza z matek. Podchodzę do drzwi, otwieram, zamykam za sobą. Zostawiam swoją córkę samą w pokoju. Słyszę jej szloch, to przenikliwy lament, jest jak szum morza, jak krzyk mew na Camuscross. Nic nie mogę na to poradzić.

Patrzę na drzwi. Jest na nich napisane: TU mieszka Lydia. I jeszcze: Nie wchodzić. Koślawymi złotymi literami. Przelykam łyżę. Co by pomógł mój płacz? W czym pomagają moje emocje? Słyszę głęboki, cichy głos.

– Słyszałem.

Angus stoi trzy metry dalej, w korytarzu, przy otwartych drzwiach do salonu. Słyszę, jak trzaska drewno, widzę ciepłe światło.

– Hej!

Otwiera ramiona. Chce mnie przytulić. Mam ochotę uderzyć go w twarz. Bardzo mocno. A jednak jakaś część mnie pragnie, żeby mnie przytulił.

Bo wciąż pragnę seksu.

Właściwie to pragnę seksu j e s z c z e b a r d z i e j. O tak Myślę, że pewnie chodzi o seks z zazdrości. To przez tę książkę z dedykacją od Imogen. Obudziła we mnie zazdrość, ale też pożądanie. Chcę go osiąść, naznaczyć, udowodnić, że wciąż jest mój. Tak jak kiedyś on znów wziął mnie w posiadanie.

A poza tym po prostu chcę seksu. Nigdy nie mamy dość.

Zbliża się do mnie.

– Nic nie możemy na to poradzić, starasz się, jak możesz. – Podchodzi jeszcze bliżej. – Oczywiście jest zdezorientowana. Ale będzie lepiej. Na pewno. Może potrzebuje pomocy... Może wszyscy jej potrzebujemy. Kto wie, może powinnaś jeszcze raz porozmawiać z tym psychiatrą z Glasgow. Jak mu było? Kellaway?

Wyciąga do mnie rękę, widzę, że on też tego pragnie.

Moje spojrzenie łagodnieje, rozchyłam usta, unoszę twarz ku jego twarzy. Jego usta dotykają moich. I całujemy się tak, jaknie całowaliśmy się od miesiąca. Może od trzech miesięcy.

A teraz się robieramy. Gorączkowo. Jak nastolatki. Zdzieram z niego sweter, on odpina zatrzaski moich dzinsów. Wtaczamy się chwiejnie do salonu, podnosi mnie, niesie na rękach, a ja pragnę być niesiona. *Po prostu to zrób, Angusie Moorcroft. Różnij mnie.*

Rznie mnie. Jest dobrze. Tego właśnie chcę. Żeby mnie posiadał, tak jak kiedyś, tak jak dawniej. Nie chcę żadnej gry wstępnej, żadnych wygłupów, chcę, żeby we mnie wszedł, rozwiązał wszelkie wątpliwości, chociaż na kilka chwil.

Całuje mnie mocno. Gryzie mnie w ramię i odwraca, a potem znów mnie rznie; chwytam się poduszek. Słucham, jak mnie całuje, jak mnie kąsa.

– Kocham cię, Saro.

– Pierdol się.

– Saro.

– Mocniej – dyszę w poduszkę.

– Ach.

Wcisną mi głowę w poduszkę, trzyma rękę na moim karku, jakby chciał go złamać, jednym ruchem. Oglądam się przez ramię i widzę gniewny błysk w jego oczach. Więc unoszę się, wypycham go z siebie, odwracam się. Jestem gorąca i lśniącą od potu, posiniaczona, i zaraz dojdę, biorę go za rękę i znów kładę na swoim szczupłym karku.

– Rznij mnie tak, jak rznąłeś Imogen.

Nic nie mówi. Nawet nie mrugnie. Jego kciuk spoczywa lekko, ale stanowczo na mojej szyi. Na tchawicy. Mógłby po prostu nacisnąć. Ma na to dość siły. Ale on tylko twardo i z wściekłością patrzy mi w oczy, wstaje, popycha mnie z powrotem na łóżko i znów we mnie wchodzi.

– Doszła? – rzucam. – Doszła, kiedy ją rznąłeś? Było tak jak teraz?

Rznie mnie, jego silna dłoń spoczywa na mojej białej szyi. I wyobrażam sobie, jak ją rznął, jak rznął moją najlepszą przyjaciółkę, i chcę go nienawidzić, nienawidzę go. Ale choć go nienawidzę, nadchodzi orgazm, mój orgazm, oszałamiający i zawrotny.

Gdy orgazm opada falami, gdy drżenie przechodzi w nicość, Angus też dochodzi, napiera mocniej, przestaje oddychać, a potem dyszy ciężko.

Wycofuje się. Osuwa się obok mnie. Dwa bijące serca i morze za oknem.

– Nigdy nie miałem romansu z Imogen – mówi.

– W komodzie masz książkę. Z dedykacją od niej.

Oboje leżymy na plecach, spoceni, nadzy, pod kołdrą, wpatrzeni w sufit. Z tą wielką plamą wilgoci, która w słabym świetle lampki przy łóżku wydaje się jeszcze większa.

Zmierch przeszedł w noc. Za oknem morze w świetle gwiazd.

– Zaglądałaś tam? – pyta.

– Była w niej dedykacja. Z *miłością, Immy, całuję, całuję, całuję*.

Angus milczy.

Odwracam się i zerkam na niego, na jego piękny profil. Milczący, wpatrzone w górę, jak jeden z tych rycerzy na nagrobkach w kościołach, wyryty w kamieniu. Znów opadam na łóżko, patrzę w sufit.

– Dała ci powieść. O cudzołóstwie? Nigdy nie czytałeś książek. Zadedykowała ci ją z miłością i pocałunkami. Teraz mi powiedz, że jej nie rzniesz.

– Nie rznę – odparł. – Nie sypiam z nią. Nie mam z nią romansu.

Ale nie mówi nic więcej. To milczenie jest ciężkie i zdradza go. Wzdycha i dodaje:

– Ale raz się ze sobą przespaliśmy.

Zimna bryza porusza na wpół zaciągnięte zasłony.

Panuję nad sobą. I zadaję oczywiste pytanie:

– Kiedy to było, Angus? Tamtego wieczoru?

– Wtedy, gdy zdarzył się wypadek? – Czuję, że odwraca się w moją stronę. – Nie, Saro. Jezusie! Nie! Wszystko, co ci wtedy mówiłem, było prawdą. Po prostu zajrzałem do niej w drodze z pracy. Musisz mi uwierzyć.

Waham się. Może mu wierzę: akurat w tej sprawie. Brzmi to nawet przekonująco.

Ale...

– Ale mówiłeś, że to zrobiłeś. Z nią?

Znów wzdycha.

– To było później, Saro. Po tym, jak Kirstie spadła. Byłaś tak, no wiesz, pogrążona w żalobie... Oszalała z rozpacz.

– A ty nie?

– Nie. To znaczy nie, nie w tym sensie. Boże. Było ze mną równie kiepsko jak z tobą, wiem, całe to moje picie. Ale ciebie nie dało się tknąć. Nie pozwalałaś mi się do siebie zbliżyć.

Nie pamiętam tego. Nie pamiętam, żeby nie dało się mnie tknąć. Ale na razie nie będę drażył.

– Więc zwróciłeś się do Imogen? Do mojej najlepszej przyjaciółki? Żeby mieć się do kogo

przytulić?

– Po prostu potrzebowałem przyjaciółki. Ty byłaś poza zasięgiem. A Immy i ja zawsze byliśmy sobie bliscy, zawsze się dobrze dogadywaliśmy. To znaczy... ona była z nami tamtego wieczoru, gdy się poznaliśmy, pamiętasz?

Nie chcę na niego spojrzeć. Wpatruję się w sufit. Słyszę jakiegoś samotnego ptaka. Szczebiące i skrzeczy piskliwie. Teraz już rozumiem, dlaczego Imogen Evertsen stała u mojego boku, gdy tak wielu innych przyjaciół odeszło. Gryzło ją sumienie. Ale przez to nasza przyjaźń stała się niezręczna i już na zawsze inna.

– Muszę się dowiedzieć. – Odwracam się do niego. – Powiedz mi, Angus. Kiedy z nią spałeś?

Wciąga powietrze.

– To było... byłem załamany. Może jakiś miesiąc po wypadku. Wypiliśmy kilka butelek. Rozmawialiśmy. I ona zaczęła... Pochyliła się i mnie pocałowała. To ona, no wiesz, zrobiła to. Tak zareagowałem, ale... ale potem to uciałem, Saro. Nie było nic prócz tej jednej nocy. Odmówił jej.

– A ta książka?

– Przyślą ją tydzień później. Nie wiem dlaczego.

Zastanawiam się. Więc ją powstrzymał. No i co z tego? Kiedy powiedział, że tego już za wiele? Robili to całą noc? Cały weekend? Rano całowali się i śmiali? Czy w ogóle mnie to jeszcze obchodzi? Nie pragnę zemsty tak bardzo, jak się spodziewałam. Raczej jest mi to obojętne. To takie beznadziejne. Jeszcze niedawno bałam się go, a teraz nim gardzę. Ale nawet teraz, gdy chcę, żeby zszedł mi z oczu, zastanawiam się, co zrobiłabym bez niego, bo utknęliśmy na tej wyspie.

Wciąż go potrzebuję z praktycznych względów, choć czuję do niego odrazę.

– Saro, potrzebowałem przyjaciela. Musiałem z kimś porozmawiać o wypadku. Chciałem, żeby ktoś mnie wysłuchał. Uwierzył mi. Ale Imogen się w tym pogubiła. Potem zdręzczało ją poczucie winy. Naprawdę.

– Jak to, kurwa, miło z jej strony. Że miała wyrzuty sumienia. Bo bzykała się z moim mężem.

– Nie chciałem romansu. Co jeszcze mogę powiedzieć?

– Czemu zachowałeś tę książkę?

– Nie pamiętam. Po prostu to zrobiłem. Saro, taka jest prawda. Nigdy nie chciałem niczego poważnego, a kiedy zaczęła coś do mnie czuć, powiedziałem, że nic z tego nie będzie, i od tego czasu ona i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi, ona wciąż cię kocha, naprawdę, czuje się okropnie z tym, że to zaszło tak daleko.

– Muszę jej wysłać kartkę z podziękowaniami. Może jej dam jakąś książkę?

Odwraca wzrok, wpatruje się w morze za oknem. Wyczuwam to. Widzę kącikiem oka. Mówi:

– Chyba zapominasz, że ja też kiedyś ci wybaczyłem.

Natychmiast ogarnia mnie wściekłość.

– Masz na myśli mój tak zwany romans? Poważnie?

– Saro...

– Po porodzie? Kiedy nie zwracałeś na mnie uwagi cały rok, kiedy po prostu się zmyłeś i zostawiłeś mnie z pieluchami, z wrzeszczącymi mi bliźniakami? Zupełnie samą?

– Mimo to ci wybaczyłem.

– Ale ja się nie pierdoliłam z twoim naj lepszym przyjacielem. Prawda, Angus?!

Pierdoliłam się z twoim najlepszym przyjacielem? Pierdoliłam się? Różnęłam się z twoim najlepszym przyjacielem zaraz po tym, jak zginęło twoje dziecko?

Milczy, a po chwili mówi:

– Dobra. Uważasz, że to coś innego. Rozumiem.

– No to świetnie.

– Ale proszę, spójrz na to z innej perspektywy.

– Co?

– Tak naprawdę nic się nie stało, Saro. Nie było w tym żadnych emocji. Możesz mnie nienawidzić i możesz nienawidzić Imogen, ale za to, co naprawdę zrobiliśmy, a nie za to, co ci się wydaje.

– Sama dojdę do tego, kogo nienawidzić.

– Saro!

Nie zwracam na niego uwagi, wstaję i narzucam gruby wełniany szlafrok. Podłoga jest porysowana, zimna pod moimi bosymi stopami. Podchodzę do okna. Księżyc stoi wysoko nad Small Isles. Bezchmurna noc, początek zimy. Powinno być pięknie. I jest pięknie. To miejsce jest tak nieubłagane, kurewsko piękne, w każdej chwili. Bez względu na to, co się dzieje, to piękno ciągle trwa, jak jakiś potworny koszmar.

Angus dalej się usprawiedliwia, ale słucham go jednym uchem.

Po raz pierwszy uważam go za kogoś gorszego. Wydaje się mniej męski, jest gorszym mężczyzną, gorszym mężem, po prostu jest o tyle gorszy. Gdybym mogła, pewnie po prostu opuściłabym dom, natychmiast, razem z Lydią. Ale nie mogę. Nie mam dokąd pójść. Moja najlepsza przyjaciółka Imogen nie jest już moją najlepszą przyjaciółką, w domu rodziców zostało zbyt wiele wspomnień.

Na razie utknęliśmy na Torran, z powodów finansowych. Utknęłam z niewiernym mężem. Może z czasem mu wybaczę. Może trzydzieści lat wystarczy.

– Saro – mówi znowu, jakby nigdy nie zamierzał przestać tego powtarzać. Ale ja wychodzę, idę do kuchni, bo jestem głodna.

Robię sobie grzankę. I siadam przy stole w jadalni. Przeżywam mechanicznie, dostarczam sobie energii. Wpatruję się w telefon. Myślę o Lydii.

Wiem, że muszę zadzwonić do Kellawaya: co do tego Angus ma całkowitą rację. Muszę porozmawiać z Kellawayem. Muszę to zrobić jak najszybciej. Potrzebuję opinii eksperta, musi powiedzieć, co sądzi o jej dziwnym zachowaniu. Co się dzieje z moją córką? Może będzie mógł mi pomóc w sprawie mojego tak zwanego małżeństwa. Czy mój zakłamaný mąż ukrywa przede mną coś jeszcze?

Mnie i Angusa wieczorem czeka jeszcze jedna konfrontacja. Siedzę w salonie, patrzę na deszcz. Kiedyś lubiłam patrzeć, jak nadciąga nad cieśninę znad Point of Sleat. Dzięki temu wszystko w jakiś sposób zmieniało się w smutną gaelicką pieśń: śpiewną i delikatną, liryczną, choć niezrozumiałą. Krajobraz był jak piękny wymierający język.

Teraz deszcz po prostu działa mi na nerwy.

Angus wchodzi do salonu ze szklanką szkockiej. Wrócił ze spaceru z psem. Beany kuli się przy ogniu, żuje swoją ulubioną zabawkę, a Angus opada na fotel.

– Beany złapał szczura – mówi.

– No to zostały mu jeszcze jakieś trzy tysiące.

Uśmiecha się blade, ale ja się nie uśmiecham. Jego uśmiech również znika.

Drewno trzaska w kominku. Wiatr lamentuje, oplakuje stan dachu.

– Posłuchaj – mówi Angus.

Pochyla się do mnie. Drażni mnie to.

– Nie chcę słuchać.

– Imogen. I ja. To była tylko jedna noc. Naprawdę. Jeden błąd po pijanemu.

– Ale uprawiałeś seks z moją najlepszą przyjaciółką. Miesiąc po śmierci naszej córki.

– Ale...

– Angus, nie ma żadnego ale. Zdradziłeś mnie.

Jego twarz na chwilę ciemnieje z gniewu.

– Ja zdradziłem ci e b i e?

– Tak. W najgorszy możliwy sposób. Kiedy byłam pogrążona w żalobie.

– Słuchaj...

– To była zdrada. Zgadza się? A może ty byś to nazwał inaczej? Jak byś to nazwał, Angus? Jak byś to ujął? B u d o w a ł e m s i e ć w s p a r c i a?

Nie odzywa się, ale wygląda, jakby chciał mi dużo powiedzieć. Zgrzyta zębami, widzę poruszające się mięśnie.

– Gus, chcę, żebyś spał w osobnym łóżku.

Jednym haustem wypija całą whisky. Wzrusza ramionami.

– Jasne. Do kurwy nędzy, czemu nie? Mamy mnóstwo wolnych łóżek

– Nie użalaj się przy mnie nad sobą. Nie teraz.

Wybucha śmiechem. Spogląda na mnie z niewypowiedzianą goryczą, patrzy mi prosto w oczy.

– Przeczytałaś całą *Annę Kareninę*? Przeczytałaś wszystko, co tam znalazłaś?

– Widziałam dedykację, Angus. A co, narysowała ci serduszką na kartkach?

Wypuszcza powietrze i kręci głową. Wydaje się bardzo smutny. Pochyla się i ponuro drapie za uchem ukochanego psa. Opieram się pokusie, by mu współczuć.

Tak jak mu kazałam, śpi na jednym z wolnych łóżek. Rano leżę pod kołdrą i nasłuchuję, jak się kąpie i ubiera, a potem zbiera papiery, plany swojego bezcennego domu w Ord. Czekam na niski pomruk silnika, oznajmiający, że opuścił wyspę. Potem wstaję, szykuję śniadanie dla Lydii, ubieram się.

Lydia siedzi na sofie i czyta *Cwaniaczka*. Oczywiście nie wybiera się do szkoły. Dopóki wszystko się nie uspokoi. Pomysł, że to wszystko w ogóle kiedykolwiek się uspokoi, wydaje się żałośnie absurdalny.

Zamykam drzwi dzielące salon od jadalni i sięgam po wielki, ciężki stary telefon. Dzwonię do gabinetu Kellowaya, ale go nie ma. Sekretarka informuje mnie, że w tym tygodniu pracuje w domu. Oczywiście nie chce mi podać numeru. *Proszę zostawić nam swój numer. Pan Kelloway oddzwoni za kilka dni.*

Ale ja nie zamierzam czekać. Muszę z nim porozmawiać teraz. Dzwonię na informację.

Kto wie? Może mi się poszczęści, zasługuję na trochę szczęścia.

Mam mgliste pojęcie o tym, gdzie mieszka. To elegancka dzielnica Glasgow. Imogen mi o tym wspominała. Była u niego z wizytą, gdy robiła z nim wywiad.

Imogen. Moja była przyjaciółka. Dziwka.

W informacji ktoś odbiera: pytam o doktora Kellawaya z Glasgow. Ilu może takich być? Pewnie tylko jeden, góra dwóch. Wszystko zależy od tego, czy jego numer nie jest zastrzeżony.

I wygląda na to, że dopisuje mi szczęście.

– Doktor M. Kellaway, Glasnevin Street 49. 0141 4339 7398.

Notuję. W telefonie trzeszczy.

Jest grudzień, zimne wtorkowe popołudnie. Może robi z żoną świąteczne zakupy? Może jeździ na nartach w górach Cairngorm? Nie mam pojęcia.

– Halo? Tu Malcolm Kellaway.

Znów mam szczęście. Jest w domu.

Teraz muszę to szczęście wykorzystać: od razu przejść do rzeczy.

– Dzień dobry, doktorze Kellaway. Strasznie przepraszam, że niepokoję pana w domu, ale sprawa jest dość pilna, i... no cóż... nie mam wyjścia, naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy.

Milczy dłuższą chwilę, słysząc tylko szumy. A potem mówi:

– Pani Moorcroft? Sarah Moorcroft?

– Tak!

– Rozumiem. – W jego tonie słyszę lekką irytację. – W czym mogę pomóc?

Sama zadawałam sobie to pytanie: w czym Kellaway może mi pomóc? I odpowiedź brzmi: może mnie wysłuchać. Muszę się z kimś podzielić tym przerażającym dramatem. Chcę mu opowiedzieć o wszystkim, co się stało, odkąd ostatni raz się z nim widziałam.

Więc jak kobieta leżąca na łożu śmierci i pośpiesznie dyktująca testament stoję przy oknie w jadalni, patrzę na kruki krążące nad piaszczystą plażą Salmadair i opowiadam mu o wszystkim: o krzyku, o napadzie złości przy Sally Ferguson, o cholernym strzaskanym oknie, o tym, że Angus wiedział. O histerycznej reakcji Emily Durrant. O horrorze w szkole. Nawet o piosence za sześć pensów. Mówię mu o wszystkim.

Spodziewam się, że będzie zdziwiony. Może i jest. Ale ton jego głosu nadal jest chłodny, akademicki.

– Rozumiem. Tak

– I co pan radzi, doktorze Kellaway? Proszę mi powiedzieć. Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji. Lydia jest coraz bliższa załamania, moja rodzina się rozpada, wszystko się rozpada.

– Idealnie byłoby, gdybyśmy się spotkali na konsultacji, omówili, jakie możemy wybrać terapie. Musimy się temu wszystkiemu dokładniej przyjrzeć, pani Moorcroft.

– Tak, ale co mi pan może poradzić teraz, tutaj, od razu. PROSZĘ.

– Niech pani zachowa spokój.

Nie jestem spokojna. Słyszę fale. Jak by to było, gdyby pewnego dnia po prostu przestały uderzać o brzeg?

Kellaway mówi dalej:

– Bez względu na to, czy pani córka jest Lydią, czy Kirstie, bo oczywiście nie jestem w stanie tego stwierdzić, jeśli uważa pani, że jest Lydią, ona się zgadza, a pani już się do tego przystosowała... w takim razie tak.. najlepiej będzie na razie pozostać przy tym założeniu, niezależnie od tego, jaka jest prawda.

– Ale co mamy zrobić z tym dziwnym zachowaniem, ze śpiewaniem, lustrami, z... z... z...

– Naprawdę chce pani, żeby m to pani powiedział teraz, przez telefon?

– T ak

– Więc dobrze. Oto jedna z możliwości: czasem utrata siostry albo brata bliźniaka w dzieciństwie sprawia, że dziecko, które przeżyło, zaczyna... no cóż... nienawidzić rodziców. Dzieje się tak, ponieważ dziecko bezgranicznie im ufa, wierzy, że są w stanie się nim zająć. Rozumie pani? Kiedy umiera jedno z bliźniąt, ta zdolność rodziców do zapewnienia dziecku bezpieczeństwa wydaje się katastrofalnie zawodzić. I dziecko, które przeżyło, może to postrzegać jako coś, czemu rodzic powinien był zapobiec. Zawsze dotyczy to rodzeństwa, ale w szczególności bliźniąt jednojajowych.

– Co to oznacza?

– Lydia może się od pani odsuwać, ponieważ panią wini i pani nie ufa. Możliwe nawet, że próbuje panią ukarać.

– Chce pan powiedzieć... że ona może sobie wymyślać różne rzeczy, żeby nas wystraszyć? Żebyśmy się martwili? Bo myśli, że jesteśmy winni śmierci jej siostry?

– Tak i nie. To tylko różne możliwości. Pytała mnie pani o opinię i to jest właśnie to: różne opinie. Pomysły. I... no cóż...

– Co takiego?

– Naprawdę musimy porozmawiać twarzą w twarz.

– Nie. Proszę. Niech mi pan powie od razu. Co z tymi wszystkimi rzeczami, z odbiciami, zdjęciami?

– Wiadomo, że lustra wprawiają w zakopotanie wszystkie bliźnięta, podobnie zresztą jak zdjęcia. Rozmawialiśmy już o tym. Ale trzeba wziąć pod uwagę również inne czynniki.

– Tak?

– Chwileczkę, muszę zajrzeć do notatek, które mam w komputerze. Zrobiłem je po pani ostatniej wizycie.

Czekam. Spoglądam na cieśninę. Widzę łódź do połowu krabów. Zmierza w stronę Loch na Dal i pomalowanego na biało myśliwskiego pałacyku – Kinloch. Tam mieszkają Macdonaldowie: ci Macdonaldowie, władcy wysp od 1200 roku. Wokół jest tak wiele historii, zbyt wiele. Zaczynam tego nienawidzić. Chciałam zacząć od początku, z czystą kartą. Od nowa. To nie jest to.

Z b y t w i e l e h i s t o r i i.

– Tak – mówi Kellaway. – Już mam. To z bliźniąt, które przeżyje, może również po śmierci brata albo siostry mieć wyrzuty sumienia, że to on albo ona została wybrana, by żyć. To oczywiste. Poczucie winy może się jednak nasilać, jeśli rodzice zdają się woleć, by przeżyło to drugie dziecko. Rodzicom zbyt łatwo przychodzi idealizowanie zmarłego dziecka, zwłaszcza jeśli rzeczywiście to ono było ich ulubieńcem. Więc muszę zapytać: czy pani albo pani mąż mieliście swoje ulubienice? Czy mieliście państwo jakieś preferencje? Czy na przykład ojciec wołał Kirstie?

– Tak – mówię. Jestem odrętwiała.

– W takim razie... – Kellaway dla odmiany milczy. To dla niego nietypowe. – W takim razie musimy się przyjrzeć również innym problemom. – Wzdycha. Na linii pojawiają się zakłócenia. Po chwili mówi dalej: – Oczywiście ojcowie i matki bliźniąt mają większą skłonność do depresji, i skłonność ta bardzo się nasila, jeśli jedno z bliźniąt umrze. Zwłaszcza jeśli rodzice czują się winni. No i jest jeszcze... no cóż...

– Co?

– Wiemy, że bliźnięta, które straciły brata albo siostrę, częściej popełniają samobójstwa.

– Chce pan powiedzieć, że Lydia może się zabić?

Łódź odpłynęła, mewy krzyczą, uskarżają się.

– Cóż, istnieje taka możliwość. I są też inne możliwości. Robert Samuels, psychiatra dziecięcy... jego teorie też należy wziąć pod uwagę. Ale...

– Że co proszę? Kto? Co?

– Nie – mówi stanowczo. – Pani Moorcroft, bezwzględnie muszę na tym poprzestać. Na Samuelsie. Naprawdę nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. Przykro mi. Nie mogę dalej tak improwizować. To nieprofesjonalne. Naprawdę musi pani przyjechać i się ze mną spotkać. Pilnie. To zbyt delikatne i złożone sprawy, by rozmawiać o nich tak po prostu przez telefon. Proszę do mnie zadzwonić, jak wrócę do pracy, w następny poniedziałek i umówimy się na konsultację. Jak najszybciej. Pani Moorcroft? Zgadza się pani? Zrobię tak, żeby znaleźć dla pani czas w przyszłym tygodniu. To bezwzględnie konieczne, żebyśmy się spotkali, i to szybko. I proszę wziąć ze sobą Lydię.

– Dobrze, dobrze. Tak. Dziękuję.

– Doskonale. A teraz proszę zachować spokój. Zapewnić córce spokój, w domu zachowywać się normalnie, poczeekać do naszego spotkania. W przyszłym tygodniu.

Co on mówi? Myśli, że wpadam w panikę? Że tracę kontrolę nad sytuacją?

Nie tracę kontroli: jestem wściekła.

Mruczę taki dziękuję, odkładam słuchawkę i wpatruję się w wodę. Gorączkowo myślę.

Co właściwie oznaczało to wszystko? Ulubione dziecko? Preferowane dziecko? Samobójstwo?

Wracam do salonu. Lydia zasnęła na sofie, książka wypadła jej z rączek. Nawet przez sen wydaje się wyczerpana i nieszczęśliwa. Przynoszę koc z szafki, okrywam ją i przez sen całuję w zmarszczone czołko.

Jej jasne włosy są rozczochrane. Wolę, kiedy ma takie włosy, trochę dzikie. To równoważy jej idealnie symetryczną, śliczną buzię. Ona i Kirstie zawsze były ładne. Angus i ja byliśmy nimi zachwyceni. Wszyscy podziwiali śliczne bliźniaczki Moorcroftów. Ale to było kiedyś.

Trzeba dołożyć do kominka. Biorę z kosza kilka polan i wrzucam je w płomień. Patrzę, jak ogień strzela coraz mocniej, sypią się iskry, i w głowie tłuką mi się myśli. Angus i Kirstie. Angus i Kirstie.

Musimy jeszcze przebrnąć przez pogrzeb Kirstie. W piątek. To była jej ulubienica.

– Z niczym przysliśmy na ten świat i z niczym z niego odejdziemy. Bóg dał, Bóg wiał.

Nie wierzę w żadną z tych rzeczy. Ale z drugiej strony nie mogę też uwierzyć w rzeczywistość: że jestem w innym kościele, na innym pogrzebie córki, tej, która n a p r a d ę umarła. Nie mogę uwierzyć, że moja rodzina się rozpadła. Że wszystko obróciło się w proch.

Pastor recytuje monotonna. Rozglądam się. Jestem bezradna.

Kościół w Kilmore oddalony jest kilometr w dół wybrzeżem od szkoły, do której chodzi Lydia. To wiktoriański budynek ponury i prosty na szkocką modłę, z surową nawą, nagimi ławami z dębowego drewna i trzema wysokimi łukowatymi oknami, przez które wpada umęczone, skąpe światło.

W środku jest około dwudziestu osób, miejscowi i rodzina. Zebrali się, by się pożegnać ze zmarłą. Siedzą w niewygodnych ławach pod metalowymi tablicami upamiętniającymi synów lorda i lady Macdonald ze Sleat, poległych pod Ypres i Gallipoli, w południowej Afryce i na morzu, czterech synów imperium brytyjskiego, poległych, ale nie zapomnianych.

Wszystkie te dzieci, które umarły.

– O Panie, mój kres pozwól mi poznać i jaka jest miara dni moich.

Angus powiedział mi – zanim właściwie przestaliśmy się do siebie odzywać – że miał problemy ze znalezieniem pastora, który by się zgodził to zrobić. Miejscowy pastor czy ksiądz, czy jak go tam nazwać, najwyraźniej się do tego nie palił. To wszystko było dla niego zbyt dziwne i niepokojące, może też niestosowne. Dwa pogrzeby jednego dziecka?

Ale Josh i Molly namówili życzliwego pastora z Broadford, a ten kościół był oczywistym wyborem: smutny, ale przepięknie położony, z widokiem na morze i przez cmentarz na dalekie Mallaig i posępne Moidart.

Sprawdziłam go w Google. Kiedyś był tu ośrodek kultu druidycznego i był też miejscem klanowych porachunków. Stary kościół stoi niedaleko, wśród wilgotnej zieleni, ale hebrydzkie wichry i deszcze zniszczyły go i obróciły w ruinę.

Teraz stoimy w nowym wiktoriańskim kościele, moja matka obok Lydi, tuż obok nas, w ławie. Angus, wysoki, w ciemnym londyńskim garniturze, stoi między nami. Jego krawat nie jest do końca czarny. Są na nim maleńkie czerwone kropki. Nienawidzę ich. Nienawidzę go. Albo przynajmniej już go nie kocham. Na stałe śpi w innym pokoju.

Lydia jest ubrana całkiem na czarno. Czarna sukienka, czarne skarpetki, czarne buty. Czerni kontrastuje z jej blond włosami i bladą skórą. Czerni i lód. Chwilowo wydaje się spokojna. Niewzruszona. Ale problemy wciąż się w niej czają, błysk smutku w oczach, jak wisząca w powietrzu zapowiedź śniegu w pogodny zimowy dzień.

Moja matka obejmuje ją opiekuńczo. Patrzą na swoją córkę, na tę, która przeżyła, chce się do niej uśmiechnąć, dodać jej otuchy. Ale ona mnie nie zauważa: wpatruje się w leżącą przed nią Biblię. Drobny mi rączkami przerzuca strony. Na palcach wciąż ma niewielkie blizny po tym, jak rozbiła szybę u Freedlandów. Jest całkowicie pochłonięta tym, co robi.

Ona tak kocha czytać.

Pastor kontynuuje, wygłasza swoje kwestie.

– Odwróć oczy ode mnie, niech doznam radości, zanim odejdę i mnie nie będzie.

Te słowa sprawiają, że do oczu napływają mi łzy. Odkład rozpoczęło się nabożeństwo, jestem bliska płaczu i teraz boję się, że zapanują nade mną emocje, że wezmą nade mną górę. Chcę pomyśleć o czymś innym. Sięgam po Biblię, taką samą, jaką trzyma Lydia, i czytam to co ona.

Am Bioball Gaidhlig.

Po gaelicku.

Lydia naprawdę to czyta? Skąd może znać gaelicki? Jej szkoła jest dwujęzyczna, ale chodziła do niej tylko kilka tygodni, w tej chwili nie chodzi. Ale gdy się w nią wpatruję, wydaje mi się, że czyta: pochłonięta bez reszty, przesuwa wzrokiem od lewej do prawej, najwyraźniej czyta po gaelicku.

Może tylko udaje? Może podobnie jak ja próbuje się skupić na czymś innym, żeby nie musieć myśleć o pogrzebie. Czemu nie? Może nie powinna tu w ogóle być: zastanawiałam się, czy ją zabrać na tę ceremonię, czy nie lepiej byłoby jej tego oszczędzić. Ale to się wydawało jeszcze gorsze. Nie mogłam jej nie zabrać na pogrzeb siostry bliźniaczki.

– Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie.

Na chwilę przysmykam oczy.

– W proch każesz powracać śmiertelnym, i mówisz: Synowie ludzcy, wracajcie!

Jak długo będę w stanie powstrzymać łzy?

Widzę, że Angus zerka w moją stronę. Z dezaprobatą. Nigdy tak naprawdę nie chciał tego pogrzebu. A jednak mimo jego niechęci, pozwoliłam mu zorganizować właściwie wszystko, co miało związek z nabożeństwem: pozwoliłam, żeby to on załatwił księdza i kwestie związane z aktem zgonu i żeby powiadomił władzę o Wielkiej Pomyłce. Ale to ja wybrałam liturgię. To ta sama, której słuchaliśmy na pogrzebie Lydie. Lydie, którą teraz, dwa metry dalej, obejmuje moja matka. W tym zimnym, szarym kościele z widokiem na cieśninę, na Ardnamurchan.

Pogrążam się w tym dziwnym uczuciu, czuję się tak, jakbyśmy wszyscy wpadli w głębokie, zimne wody Lochalsh, w których kołyszą się i tańczą upiorne wodorosty – ospale, jak zakłete.

– Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, o Panie, słuchaj głosu mego!

Słuchaj głosu mego? Czy jego głosu? Lydie? Kirstie? Rozglądam się po kościele, po twarzach. To głosy, które ledwie znam: miejscowi, z którymi ledwie zamieniłam parę słów. Wydaje mi się, że zaprosili ich Molly i Josh, żeby nie było tak pusto. Przeprowadził ich jakiś rodzaj współczucia. *Och, ta biedna para z bliźniaczkami, ta straszna pomyłka, musimy tam pójść, później będziemy mogli pójść na lunch do Duisdale, podają tam pyszne małże.*

Przy końcu ławy stoi mój tata w starym czarnym garniturze. Ostatnio wkłada go tylko na pogrzeby. Wygląda staro i smutno, jego niegdyś lśniące ciemne włosy zupełnie posiwiały, przerzedziły się. Ale w wodniście niebieskich oczach wciąż ma ten błysk, i kiedy zauważa, że na niego patrzę, uśmiecha się do mnie słabo, ale z nadzieją, próbuje mi dodać otuchy, pocieszyć mnie. Ma taką minę, jakby go gryzło sumienie.

To dlatego, że mój tata czuje się wszystkiemu winny. Tego, że na nas krzyczał, gdy byliśmy dziećmi. Tego, że zdradzał mamę, a ona mimo to z nim została – przez co czuł się winny jeszcze bardziej. Całego tego picia, które mu nie pozwoliło zrobić kariery i uczyniło zgorzkniałym. Zakłęty krąg męskiej frustracji.

Tak jak Angus.

A potem tata przestał krzyzczeć i pić, i przeszedł na emeryturę, z tą niewielką sumą, jaką udało mu się zgromadzić. Nauczył się robić portugalskie *cataplana* w wielkiej kuchni w Instow. Tam, gdzie jego wielką radością były bliźniaczki i kolejne szczęśliwe wakacje, które spędzały w Devon.

– Ja jestem zmartwychwstaniem i żyć ciem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie.

Coś głęboko we mnie odzywa się echem, i to bardzo wyraźnie. Bo w moim przypadku to prawda w dosłownym sensie: gdy moja druga córka umiera, po raz drugi, moja Lydia wraca do życia. Odradza się. I stoi dwa metry ode mnie, czyta Biblię po gaelicku, przewraca strony palcami pokrytymi bliznami.

Mocniej ściskam krawędź ławki. Trzymam się. Próbuję się po prostu trzymać.

– Powstańcie.

Wstajemy, żeby zaśpiewać psalm, wyrzucam z siebie słowa i spoglądam na Molly. Stoi po drugiej stronie przejścia. Rumieni się i znów spogląda na mnie z pokorą, ze smutkiem, jakby chciała mi powiedzieć: możesz przez to przejść. Wszyscy mają takie miny, kiedy na mnie patrzą.

– Miłośnicy Ojczy, na którego oblicze zawsze spoglądają anioły Twych najmniejszych sług, pozwól nam niezłomnie wierzyć, że dziecię Twoje powróciło bezpiecznie na łono Twej wiecznej miłości.

Już prawie koniec. Przebrnę przez to. Moja mała Kirstie, moja mała córeczka zostaje uwolniona. Jej śmierć zostaje potwierdzona, jej dusza jest wolna i może dołączyć do chmur, które obmywają deszczem Red Cuillin. I znów nie wierzę w żadną z tych rzeczy. Kirstie pewnie wciąż tu jest. Na swój sposób. W swojej siostrze bliźniaczce.

Pastor recytuje coraz szybciej, zbliżamy się do punktu kulminacyjnego:

– O Boże, którego Syn umiłowany brał w ramiona dzieci, błogosławiąc je, błagamy Cię, pobłogosław nam, byśmy mogli powierzyć duszę tego dziecka, Kirstie Moorcroft, Twej wiecznej miłości i opiece.

W lewej ręce trzymam chusteczkę, miażdżę ją w palcach, żeby się nie rozpląkać.

Już prawie, Saro, już prawie. Tak dobrze to pamiętam. Został już tylko jeden wers. Wszystko się powtarza. I wszystko się kończy.

– Miłość Boga Ojca, łaska naszego Pana Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym niech będą z wami wszystkimi. Na wieki wieków. Amen.

Pogrzeb dobiegł końca, męka się skończyła.

Zaczynam płakać. Kiedy wychodzimy na drobną, delikatną mżawkę – jest grudniowy dzień na Skye – z oczu niepowstrzymanie płyną mi łzy. Zasłony deszczu spływają na cieśninę, od Shiel Bridge aż po Ardasar. Widzę, że Josh rozmawia z Angusem, mój tata trzyma Lydię za rękę. Mama się potyka. Chciałabym, żeby mój cholerny brat był tutaj, żeby jej pomógł, ale on łowi lososie gdzieś na Alasce. Tak sądzimy.

Więc pozwalam łzom płynąć. Jak niekończący się deszcz ze śniegiem nad Sgurr nan Gillean.

– Co za widok...

– Tak i jaka szkoda.

– Cóż, pani Moorcroft, proszę się nie krępować, proszę do nas zajrzeć, kiedy tylko pani zechce.

– Mam nadzieję, że malutka jest szczęśliwa w szkole. Podobno ma się popsuć pogoda!

Jestem oszołomiona, jaką się, odpowiadam. Mokry żwir na ścieżce przed kościołem chrześci pod moimi czarnymi butami na obcasie. Kim są ci ludzie? Z tymi swoimi uprzejmymi banałami i zakłamanymi grzecznościami? Ale jestem im wdzięczna, że przyszli, bo dzięki nim mogę jakoś przeżyć to przebrnąć. Dopóki wokół są ludzie, potworny punkt kulminacyjny – o którym wiem, że się zbliża – nadal pozostaje odroczone. Ścisłam więc dłonie, przyjmuję kondolencje, a potem wsiałam do samochodu stojącego przy bramie i Josh wiezie mnie i Lydię do The Selkie. On i Molly pomogli nam urządzić coś w rodzaju stypy. Angus wiezie moich rodziców. Pewnie chce to zrobić, żeby móc się sprzeczać z moim tatą w samochodzie.

Siedzę z Lydią na tylnym siedzeniu, w samochodzie Josha, obejmuję jej szczupłe ramiona. Moja córka jest ubrana na czarno. Gdy Josh bierze zakręt, Lydia ciągnie mnie za rękaw i pyta:

– Mamusi, jestem teraz niewidzialna?

Tak przywykłam do tego, że dziwnie się zachowuje, że prawie nie robi to na mnie wrażenia. Wzruszam tylko ramionami. I mówię:

– Później pójdziemy poszukać wydr.

Zjeżdżamy z głównej drogi i jedziemy w stronę Ornsay. Torran z oddali wygląda pięknie. Ze szczeliny w chmurach światło pada prosto na nasz biały domek i naszą białą latarnię. W dali piętrzą się złowrogo szare Knoydart i Sandaig. Wygląda to niesamowicie, jakby Torran była podświetlona.

Jak pusta scena niecierpliwie czekająca na aktorów. Na ostatnią, rozstrzygającą scenę.

Dokąd jadę? Na stypę?

Czy można urządzić stypę komuś, kto nie żyje od ponad roku? Może to tylko wymówka, żeby wszyscy mogli się utopić w piwie Old Pretender i whisky Poit Dhubh.

Mój tata oczywiście potrzebuje małego pretekstu. Dwadzieścia minut po tym, jak zbieramy się w pubie, wypija trzecią czy czwartą bardzo dużą szklankę. Sprzecza się o coś z Angusem i widzę drobne kropelki potu na jego czole. Nigdy nie potrafili się dogadać. Dwóch niedoszłych samców alfa. Szczęk zderzających się poroży w lasach Waternish.

Teraz napięcie sprawia, że skaczą sobie do oczu jeszcze bardziej. Słyszę strzępy rozmowy i zastanawiam się, czy powinnam spróbować ich pogodzić, czy chce mi się fatorygować. Tata w słabym zimowym świetle padającym z okna unosi szklankę czystej słodowej szkockiej.

– Oto wynik tajemniczej alchemii, jaką jest destylacja, zmiana czystej deszczówki w złocisty napój życia nieśmiertelnych Gaelów.

Angus zerka na niego.

– Wolę gin.

– Jak tam remont strychu, Angus? – pyta tata.

– Świetnie, Davidzie, świetnie.

– Pewnie ten rodzaj architektury, takie typowe dla regionu budynki... musisz mieć mnóstwo wolnego czasu, żeby tu zaglądać i móc wypić parę głębszych.

– Tak Idealna sytuacja dla alkoholika takiego jak ja.

Tata patrzy na niego ze złością. Angus odpowiada tym samym.

– No tak, Davidzie. Przestałeś już robić te reklamy dla telewizji? Co to takiego było? Tampony?

Jak oni mogą wciąż tak sobie dogryzać? Dziś? Po pogrzebie dziecka? A z drugiej strony

dlaczego mieliby przestać? Czemu nie klócić się dalej? Nic się nigdy nie skończy, będzie tylko coraz gorzej. Może mają rację, że zachowują się tak jak zawsze. Ich łagodna i obopólna antypatia jest czymś w rodzaju normalności, czymś pocieszającym i solidnym.

Ale nawet jeśli nie zamierzają przestać, to nasłuchiwałam się tych słownych potyczek już tyle, że starczyłoby na trzy życia. Odwracam się w lewo i widzę moją matkę. Stoi z kieliszkiem czerwonego wina w ręce, kilka metrów ode mnie. Podchodzę do niej, marszczę brwi i spoglądam znacząco na tatę i Angusa.

– Znowu to samo.

– Kochanie, oni to lubią. Przecież wiesz. – Kładzie pomarszczoną dłoń na moim ramieniu. Ale jej rozmarzone niebieskie oczy są bystre. Bystre jak oczy mojej córki. – Tak się cieszę, że to się już skończyło. Dobrze się spisałaś, Saro. Byłam z ciebie dumna. Żadna matka nie powinna przechodzić przez to co ty. – Lyk wina. – Dwa pogrzeby? Dwa!

– Mamo.

– A co z tobą? Czujesz się już lepiej? Kochanie? No wiesz, psychicznie? U ciebie i Angusa wszystko w porządku?

Nie chcę się w to wdawać. Nie dzisiaj. Nie teraz.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś pewna? Wydajesz się po prostu... no nie wiem... Są jakieś napięcia, prawda?

Spoglądam jej prosto w oczy. Bez mrugnienia.

– Mamo. Wszystko jest dobrze. – Co powinnam jej powiedzieć: Hej, mamo, okazuje się, że mój mąż przespał się z moją najlepszą przyjaciółką jakiś miesiąc po śmierci mojej córki. Przynajmniej nikt nie wspominał o rzucającej się w oczy nieobecności Imogen na pogrzebie. Może widzą jakąś rysę. Dostałam kilka błagalnych maili od Imogen, i wszystkie zignorowałam.

Matka zauważa moje znaczące milczenie i zostawia ten temat. Jest zdenerwowana.

– No i jak, pomogła wam przeprowadzka? To takie piękne miejsce, mimo tej pogody. Doskonale rozumiem, dlaczego tak bardzo je kochasz.

Kiwam głową. Moja matka papie dalej:

– No i Lydia. Lydia! Oczywiście to okropne mówić coś takiego, ale wiesz, kochanie, teraz, kiedy Lydia została sama, jest szansa, żeby mogła żyć normalniej. No wiesz, bliźnięta są takie inne... Teraz jest normalniejsza... choć w najokropniejszy możliwy sposób oczywiście.

– Pewnie tak – Jakaś część mnie chce się poczuć urażona, ale nie mam na to sił. Może mama ma rację. Bierze trochę za duży łyki kilka kropelek wina ścieka jej po podbródku. Mówi dalej:

– I oczywiście się klóciły, prawda? Lydia i Kirstie? Pamiętam, jak mówiłaś mi, że Lydia była słabsza już w twoim łonie. Czy bliźnięta nie walczą ze sobą o pożywienie? Były wspaniałymi przyjaciółkami, zdawały się nierozłączne, ale na pewno walczyły o twoją uwagę, a Kirstie więcej narzekała, prawda?

O co w tym wszystkim chodzi? To nie ma znaczenia. Słucham jednym uchem. Widzę Lydię, stoi na uboczu, w drzwiach The Selkie, i wygląda przez szybę na deszcz.

Jak ona sobie radzi? Co myśli? Jest tak samotna, jak tylko człowiek może być samotny. Miłość i litość wzbierają we mnie jak mdłości, po raz kolejny, kończę rozmawiać z matką i przepycham się do niej między pijącymi.

– Lydio, wszystko w porządku?

Odwraca się do mnie i uśmiecha.

– Wciąż tu jestem, mamusiu, ale mnie nie ma. Już mnie nie ma.

Staram się nie wyglądać na udręczoną i odpowiadam uśmiechem.

– Denerwuje cię deszcz?

Marszczy czoło. Nie rozumie. Biorę ją za lekko poznaczoną bliznami rączkę i całuję, głaszcząc po różowym policzku.

– Kochanie. Patrzysz na deszcz.

– Och. – Wzdycha beznamiętnie. – Nie. Właściwie to nie na deszcz, mamusiu. – Wskazuje na drzwi, w tej czarnej sukience z długimi rękawami jej szczupła ręka jest elegancka i jakaś dorosła.

– Właśnie rozmawiałam z Kirstie, w samochodzie, mamusiu. Była w lusterku, w które patrzy tatuś.

– Ale...

– Ale teraz jej nie ma i pamiętam, że pastor mówił, że poszła do nieba, i chciałam go zapytać, gdzie to jest.

– Lydio...

– I nikt nie chciał mi powiedzieć, więc jej szukałam, mamusiu, bo nie wydaje mi się, żeby była w niebie. Ona jest tutaj. Z nami, prawda? Pamiętasz, jak się bawiłyśmy w chowanego w Londynie, mamusiu? Pamiętasz?

O tak Pamiętam. To wspomnienie przepelnia mnie bezbrzeżnym smutkiem. Ale muszę zachować zdrowe zmysły, dla Lydii.

– Oczywiście, kochanie.

– Więc pomyślałam, że znów się ze mną bawi w chowanego. I szukałam we wszystkich miejscach, w których kiedyś się chowałyśmy, gdy bawiłyśmy się w chowanego w domu, mamusiu. Ale ona się wcisnęła za tę szafę, o tam.

– Co takiego?

– Tak mamusiu. Poczulałam jej rękę.

Wpatruję się w córkę.

– Poczulaś rękę swojej siostry?

– Tak mamusiu. I to było straszne. Nigdy przedtem mnie nie dotknęła. Nie chcę jej znaleźć, jeśli ona mnie dotknie. To jest za bardzo straszne.

To zbyt straszne dla mnie, co dopiero dla niej.

– Lydio...

Jak mogę ją uspokoić? Nie mam pojęcia. Bo chyba przeżywa regres. Jest tak zdezorientowana, że mówi jak pięciolatka.

Potrzebuję psychologa dziecięcego. Umówiłam się z Kellawayem, na przyszły tydzień. Ale czy wytrwam aż tak długo?

– Mamusiu, rozmawiasz czasami z Kirstie?

– Co proszę?

– Słyszysz ją albo widzisz? Wiem, że ona chce z tobą porozmawiać.

Jak mogę odwrócić jej uwagę? Może powinnam jej zadawać pytania? Może powinnam jej zadać jakieś poważne pytania? Bądź co bądź trudno byłoby pogorszyć sytuację jeszcze bardziej.

– Chodź – mówię. – Wyjdźmy na dwór. Przy mołu mogą być wydry.

Nie będzie wydr przy mołu, ale chcę z nią porozmawiać na osobności. Posłusznie wychodzi ze

mną na chłodne powietrze. Przestało mżyć, ale wciąż jest bardzo wilgotno. Razem podchodzimy do mola, kłękamy na wilgotnym betonie, przyglądamy się skałom i kamykom, skomplikowanym wzorom wodorostów kołyszących się w wodach przyplwy.

Próbowałam się nauczyć nazw roślin rosnących na terenach zalewowych: maruna, mlecznik, mikolajek. Próbowałam też nauczyć się nazw małych rybek żyjących w skalnych sadzawkach na Torran: ślizg nakrapiany, ryba maślana, ciernik o jaskrawych pomarańczowo-szkarłatnych łuskach.

Ale wciąż coś mi umyka. Coś kluczowego. Nadal nie do końca rozumiem ten język

– Nie ma wydr – mówi Lydia. – Ani jednej. Nigdy nie widziałam wydr, mamusiu. Jeszcze nie widziałam.

– No tak. Bardzo trudno je zobaczyć.

Odwracam się do niej.

– Lydio, pamiętasz może, czy Kirstie była zła na tatusia... mmm... w ten weekend, kiedy spadła?

Spogląda na mnie. Pustym wzrokiem.

– O tak. Była.

Chwila napięcia.

– Dlaczego?

– Bo tatuś wciąż ją całował.

Krzyk mewy, samotny, oszalały.

– Całował ją?

– Tak, całował i przytulał. – Patrzy na mnie, nie mruga oczami, szczerze spogląda mi prosto w oczy. – Całował ją i przytulał, i mówiła mi, że się boi. Często to robił, cały czas, cały czas.

Milknie, wpatruje się we mnie obojętnie. Usiłuję nie pokazywać, o czym myślę, wracając wyraźne wspomnienia: to, jak Angus je całował, zwłaszcza Kirstie. Przez całe lata. To on był tym, który je całował i przytulał. Tym, który dotykał.

Przypominam sobie Lydię na jego kolanach, po tym wypadku z szybą. To wrażenie, że to niezręczne. Tę nagłą myśl, że jest za duża, by siedzieć na kolanach tatusia. Ale jemu się to podobało?

Mewa zatacza krąg i odlatuje. Czuję, że zaraz się rozpadnę. W powietrzu. Spadnę na ziemię.

– Myślę, że się tego bała, mamusiu. Bała się taty.

Czy to jest to? To, czego szukałam, ale nie potrafiłam zobaczyć?

– Lydio, to bardzo ważne. Musisz mi powiedzieć prawdę. – Przelykam wściekłość i rozpacz, niepokój, wszystko razem. – Chcesz powiedzieć, że tatuś całował i obejmował Kirstie w jakiś konkretny sposób? Taki, który ją niepokoił? I którego się bała?

Lydia milczy przez chwilę. A potem kiwa głową.

– Tak, mamusiu.

– Jesteś pewna?

– Tak. Ale ona i tak kochała tatusia. To przecież tatuś. Kocham tatę. Możemy iść poszukać wydr na drugiej plaży?

Powstrzymuję się, chociaż mam ochotę wrzasnąć. Muszę nad tym zapanować. Muszę stąd iść i jeszcze raz porozmawiać z Kellawayem. Muszę. NATYCHMIAST. Co z tego, że to pogrzeb Kirstie?

Mój tata wyszedł z pubu. Smutny, spokojny i pijany, ze szklanką w ręce.

Lapię go za ramię.

– Pobaw się z Lydią – mówię ostro. – Proszę. Zajmij się nią.

Bez przekonania kiwa głową, uśmiecha się jak ktoś pijany, ale słucha mnie i pochyla się, by pogłaskać wnuczkę po policzku. A ja biorę telefon i idę na drugi koniec mola, tam, gdzie nikt mnie nie usłyszy.

Najpierw próbuję się dodzwonić do gabinetu Kellowaya. Nikt nie odbiera. Potem próbuję na numer domowy. Też nikt nie odbiera.

Co teraz? Kilka chwil stoję tak, wpatrzona w słone bagna i zbliżający się przyłączy: zbliżający się do Torran. Światło znów się zmieniło. Teraz wyspa jest w cieniu, a Knoydart lśni zielenią i ciemnym fioletem. Brzozowe lasy i pustka.

Kelloway. Przypominam sobie coś, co mi powiedział. I na czym skończył. Jakby się wahał. To był Samuels. Psychiatra dziecięcy Robert Samuels.

Potrzebuję do tego internetu. Ale gdzie?

Będę musiała wziąć samochód. Przemierzam parking przed pubem, wsiadam do rodzinnego wozu. Kluczyki są w stacyjce. Angus często to robi, po prostu je tam zostawia. Tu, w okolicy, nikt nie zamyka drzwi ani samochodów. Ludzie są dumni z tego, że tutaj przestępczość nie istnieje.

Wysuwam kluczyki, wąż je w dłoni. Jakby były cennymi zagranicznymi monetami. S a m u e ls, S a m u e ls, S a m u e ls. Potem wsuwam kluczyk z powrotem, wciskam pedał i odjeżdżam z pogrzebu swojej córki. Jadę niecałe dwa kilometry dalej, na wzgórze. Tam, gdzie jest przyzwoity sygnał 3G. I dostęp do internetu.

Parkuję na szczycie wzgórza. Jak miejscowa. I znów wyjmuję smartfona.

Wpisuję te słowa w Google.

Robert Samuels. Psycholog dziecięcy.

Natychmiast wyskakuje strona o nim na Wikipedii. Pracuje w szpitalu Johnsa Hopkinsa. Jest dość znany.

Przeoglądam jego życiorys. Wiatr szepcze w jodłach i sosnach, jak słaby, pełen dezaprobaty głos chóru.

Jest bardzo zajęty człowiekiem. Podają mnóstwo źródeł. Czytam listę jego prac: *Psychologia utraty bliskiej osoby w okresie dzieciństwa, Tworzenie gestów u głuchych dzieci, Podejmowanie ryzyka przez chłopców przed okresem dojrzewania, Dowody wykorzystywania seksualnego bliźniąt przez ojca.*

Mój wzrok zatrzymuje się na tych słowach.

Wykorzystywanie seksualne bliźniąt przez ojca.

Klikam w link, ale znajduję tylko streszczenie. *Zwiększone ryzyko wykorzystywania seksualnego przez ojca u bliźniąt jednojajowych: metaanaliza i proponowane wyjaśnienia.*

To jest to. Jestem blisko. Prawie u celu. Ale muszę przeczytać całość.

Oddychając głęboko i spokojnie, klikam jeszcze kilka razy, a potem znajduję tę pracę. Strona jest płatna. Wyjmuję z portfela kartę kredytową i wpisuję numer, płacę swoimi pieniędzmi za dostęp do pliku w formacie PDF.

A potem czytam go w dwadzieścia minut: siedzę w samochodzie, słońce zachodzi nad nagimi wzgórzami Tokavaig.

To krótki, ale skondensowany tekst. Wygląda na to, że Samuels porównywał dziesiątki

przy padków wykorzystywania bliźniąt przez ojców. A zwłaszcza bliźniaczkę „zazwyczaj ulubionej bliźniaczki”.

Czytam dalej, komórka trzęsie mi się w ręce.

Oznaki wykorzystywania obejmują nasiloną rywalizację między bliźniętami, „samookaleczanie się wykorzystywanej i/lub jej siostry bliźniaczki”, niewytłumaczalne przejawy poczucia winy i wstydu, „pozory szczęścia, którym nie można ufać”. „Niewykorzystywana bliźniaczka może wykazywać równie silne objawy i zaburzenia psychiczne jak ta wykorzystywana, jeśli są sobie wyjątkowo bliskie i wtajemniczają się w swoje sekrety, jak się zdarza u wielu bliźniąt”. I ostateczny cios: „znane są przypadki samookaleczania lub nawet samobójstwa wykorzystywanej bliźniaczki”.

To wszystko wydaje się takie normalne. Czytanie tego. Siedzenie tu. W samochodzie. Zaparkowanym na ponurym wzgórzu, w słabnącym świetle. Dowiadywanie się o tym, że mój mąż prawdopodobnie wykorzystywał Kirstie. Albo przynajmniej o w i e l e z a b a r d z o się do niej zbliżał.

Dlaczego tego nie widziałam? Te wyjątkowe uściski: tatusia i Kirstie, tatusia i jego małego Kiwaczka, to głupie imię, ohydne zdrobnienie. A co z tymi wszystkimi chwilami, gdy wchodził do jej sypialni w nocy – gdy Lydia nie spała i czytała ze mną, a Kirstie zostawała z nim sam na sam?

To na pewno to. To ten wzorec, którego szukałam, wzorec, który się przede mną ukrywał. Angus wykorzystywał Kirstie. To dlatego się go bała. Zawsze była jego ulubienicą, jego faworytką. Lubił sadzać ją sobie na kolanach. Widziałam to. W biały dzień. Lydia to potwierdziła, Samuels to przewidział.

Wykorzystał ją. Czula się zagubiona, przerażało ją to i w końcu skoczyła. To było samobójstwo. I dlatego później Lydia była zdeorientowana i zrozpaczona.

Bo wiedziała. Może nawet była świadkiem wykorzystywania? Może Kirstie jej powiedziała, na długo przed tym, nim skoczyła. Mogło ją to wytrącić z równowagi do tego stopnia, że postanowiła nawet udawać, że jest Kirstie, by poradzić sobie z tą traumą. W jakiś sposób udawać, że jej siostra nie zginęła z powodu tego, co zrobił ich ojciec: Lydia wszystko wypierała. Może to dlatego tamtego lata zamieniały się tożsamościami – próbowały unikać tatusia.

Możliwości jest nieskończenie wiele, oszałamiająco wiele, ale wszystkie prowadzą do tego samego wniosku: mój mąż ponosi winę za śmierć naszej córki, a teraz rozszarpuje na kawałki tę, która przeżyła.

Co mam zrobić?

Mogłabym pójść drogą do McLoads, do sklepu, w którym sprzedają sprzęt dla myśliwych, i kupić wielką śrutówkę. Iść do The Sellie. Zabić go. Bang! Jestem tak strasznie wściekła.

Bo – o Boże! – muszę się zemścić. Muszę. Muszę. Ale w tej chwili moje potrzeby są nieistotne. Nie jestem morderczynią. Jestem matką. I jedynym, co się liczy, jest moja córka Lydia. Na razie, chociaż wpadłam w furję, potrzebuję tylko jakiegoś praktycznego sposobu, by się stąd wydostać: sposobu, by razem z Lydią uciec przed tym horrorem. Więc muszę zachować spokój i działać mądrze.

Wyglądam przez szybę. Jakiś ojciec idzie drogą, z małą córeczką. Może to dziadek, wygląda staro. Jest trochę przygarbiony, ma na sobie kurtkę Barbour i czerwony szalik Wskazuje na ogromną mewę srebrzystą, która właśnie pikuje: niebezpieczna biała błyskawica.

Dowody wykorzystywania seksualnego przez ojca.
Gniew rozprzestrzenia się we mnie jak ogień.

Angus poluzował cumę i wskoczył do łodzi z weekendowymi zakupami z Co-op. Silnik zaskoczył, więc zwiększył obroty. Łódź pruća wodę. Było już bardzo ciemno, a z północy nadchodziło poważne pogorszenie pogody. W powietrzu jakby wisiał zimny deszcz. Jodły na Salmadair gięły się na coraz silniejszym wietrze. Plotka głosiła, że w przyszłym tygodniu miał nadejść potężny sztorm. Może to były pierwsze oznaki.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był porządny zimowy sztorm na Wyspie Pioruna. Cóż, pogrzeb wypadł całkiem niezłe, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Ludzie przyszli i poszli, odprawiono rytuały.

Ale mroczne rysy w ich rodzinie wciąż nie znikaly: potworne zagubienie Lydii, to, że gardził Sarą, jej nieufność wobec niego z powodu Imogen.

Sterował i ze zmarszczonym czołem obserwował zaciągające się chmurami niebo.

Czuł się strasznie winny. Może nie przespał się z Imogen tamtej nocy, ale ich flirt faktycznie zaczął się tego wieczoru, gdy doszło do wypadku. Pierwszy niespodziewany dotyk i spojrzeni na siebie inaczej. Od tamtego wieczoru wiedział, czego chciała, i owszem, zachęcił ją, został o wiele dłużej, niż planował. O ch, m o g ę p o j e c h a ć d o I n s t o w p ó ź n i e j.

Ale ich związek przekształcił się w coś poważniejszego dopiero po wypadku. Po tym, jak Sarah się załamała. W sumie kochali się ze sobą tylko kilka razy. W ostatniej chwili odsunął się od niej, za sprawą źle pojętej lojalności wobec Sary. Wobec swojej rodziny. Więc jego odpowiedzialność i wina, choć bolesne, były niczym w porównaniu z winą Sary.

Natychmiast poczuł gniew. Spróbował się uspokoić. Wciągnął powietrze. Było zimne i wilgotne. Co teraz będzie?

W przyszłym tygodniu Lydia miała wrócić do szkoły. Co z tego wyjdzie? Nauczyciele z Kylerdale nieustannie do nich wydzwaniiali, zapewniali ich, dosłownie błagali: d a j c i e n a m j e s z c z e j e d n ą s z a n s ę. Myślał o innej szkole, a może o nauce w domu, ale Sarah upierała się, by spróbowali jeszcze raz, bo w przeciwnym razie Lydia poczuje się pokonana.

Ale jeśli jego córka wróci do Kylerdale – albo jeśli pójdzie w tej chwili do jakiegokolwiek innej szkoły – potrafił sobie wyobrazić wszelkie okropności; tak szalone, że aż obsceniczne.

Więc może porządny zimowy sztorm będzie jak najbardziej na miejscu: odpowiednie tło dla tej coraz dziwniejszej sytuacji. Bo ich życie stało się melodramatem. Albo czymś w rodzaju teatru masek. Wszyscy troje udawali kogoś innego.

Fale smagały mały ponton. Cieszył się, że dobiega do kamienistej plaży pod latarnią. Dopiero co wyciągnął łódź ze szponów wodnych prądów i położył torbę z zakupami na kamieniach, gdy głos Sary przeciął ciemności.

Widział w świetle latarki, jak biegnie ku niemu. Nawet w półmroku było oczywiste, że jest przerażona.

– Gus!

– Co się stało?

– Beany!

Zauważył, że jej koszula jest przemoczona do suchej nitki. Deszcz padał coraz mocniej.

– Co, u diabła?

– Zniknął. Beany zniknął.

– Jak? Gdzie?

– Byłam w jadalni i malowałam ścianę, i wtedy weszła Lydia i powiedziała, że nie może go znaleźć. Szukałyśmy go wszędzie. Nie ma go, naprawdę go nie ma... ale...

– Nie rozumiem, to przecież wyspa.

– Słyszymy go, Angus.

– Co?

Latarnia mrugnęła, włączyła się na sekundę i załała ich na chwilę księżycową poświatą. Dostrzegł ból na jej twarzy. Zdał sobie sprawę, co ma na myśli.

– Wbiegł na bagna? Chryste!

– Utknął gdzieś tam... Dziesięć minut temu słyszaliśmy, jak wyje. – Gestykułując dziko, wskazywała na szarość i czern dzielące Torran od Ornsay. Wielka połać piasku i skał, i zdradliwych, śmierdzących, niebezpiecznych słonich bagien.

– Gus, musimy coś zrobić... ale co? Lydia odchodzi od zmysłów. Nie możemy pozwolić, żeby po prostu utopił się w błocie podczas następnego przyływu.

– Dobrze. Dobrze. – Położył dłoń na jej ramieniu, by ją uspokoić. I gdy to zrobił, wzdrgnęła się. Zdecydowanie się wzdrzgnęła. Myślała, że co jej zrobi? W jej oczach z pewnością było coś nowego, próbowała to ukryć. Jej oczy mówiły: nie na widzę cię. Była aż tak wściekła z powodu Imogen?

Odsunął te myśli. Nie miał wyboru. Zajmie się tym później.

– Pójdę po nieprzemakalne ubranie.

Pięć minut zajęło mu włożenie nieprzemakalnych spodni i kurtki przeciwdeszczowej. Wsunął plastikowe nogawki do wielkich zielonych kaloszy. Kiedy wszedł do kuchni, obwiązany w pasie liną, Sarah i Lydia spojrzały na niego. Włączył czołówkę i wyregulował pasek. Tam, na bagnach, będzie naprawdę paskudnie. W dodatku znad Skye nadciągała gęsta mgła. To pewnie najgorsze możliwe warunki, by się wybierać na mokradła.

– Gus, proszę, bądź ostrożny.

– Jasne.

Kiwnął głową, jakby chciał jej dodać otuchy. Ale jej pełen niepokoju uśmiech był raczej mało przekonujący.

Lydia podbiegła i przytuliła się do niego. Jego nieprzemakalne spodnie wydały płaszczyący odgłos. Spojrzał w dół, na swoją jedyną córeczkę. Załała go fala miłości i opiekuńczych uczuć.

– Wiesz, że nie musisz – powiedziała Sarah.

Ale urwała. Wszyscy troje odwrócili się jednocześnie i przez zalewane deszczem kuchenne okno spojrzeli na ciemne bagniska. Wiatr niósł słabe, ale wyraźne wycie. Pies. Wyjący pies. Wył na tyle głośno, że słyszeli go przez szybę.

Je go pies.

– Muszę – powiedział. – Muszę spróbować.

– Proszę, uratuj Beany 'ego, proszę, proszę! Tatusiu, proszę, inaczej się utopi. Proszę!

Lydia znów mocno objęła go w pasie. Głos drżał jej od powstrzy mywanego płaczu.

– Nie martw się, Lydio – powiedział. – Przyprowadzę Beany 'ego.

Jeszcze raz ze zdumieniem spojrział na Sarę. W co ona gra? Jak do tego doszło? Z drugiej strony nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Jakkolwiek to się stało, Beany był tam, w ciemnościach, i czekał na ratunek.

Wyszedł w strugi deszczu. Wiatr wiał zaciekle. A jednak znalazł cieśniny Sleat, od strony Kylerhea, naciągały tumany mgły.

Naciągnął gumowy kaptur i ruszył w stronę mokradeł, w stronę grobli. Szedł za smugą światła czołówki. To był porządny, zimowy deszcz: taki, od którego człowiek przemaka podwójnie. Raz, kiedy krople spadają, a potem drugi, kiedy się odbijają od szlamu i skał i rozpryskują.

Bloto. To cholerne bloto.

– Beano! – krzyknął na smagający deszczem wiatr. – Beano! Beany! Beany!

Nic. Wiatr szarpiący jego kapturem zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Zsunął go z głowy. Po prostu będzie musiał znoknąć. Tak przy najmniej lepiej słyszał. Ale gdzie ten pies? Żalodne wycie Beany 'ego wydawało się dobiegać z południowego końca skracającej zatoki Ornsay. Z przeciwnej strony posępnych bagien.

Ale czy to naprawdę wycie psa? Kto tam jest? Co tam czeka? Było tak ciemno. Ciemnobrażowego spaniela bardzo trudno byłoby zauważyć nocą w błocie, nawet przy bardzo dobrej pogodzie. Ta pogoda nie była ani trochę dobra. Wzdłuż brzegu gęstniała mgła, ukrywając wszystko. Zasłoniła światła Ornsay. The Sellie był kompletnie niewidoczny, spowity kokonem marnącej mgły.

– Beany?! Gdzie jesteś?! Sawney Bean! Sawney!

Znów nic. Deszcz padał niemal poziomo, zaciął na wściekłym wietrze, zimne krople uderzały go w twarz. Szedł dalej. Pośliznął się na pokrytej wodorostami skale, która wynurzyła się jakby znikąd. Potłukł się dość poważnie. Wylądował na kolanach i bardzo boleśnie uderzył gołeniami o głaz.

– Kurwa. – Oparł się ręką o bloto i podźwignął. – Beany! Beany! Gdzie, kurwa, jesteś? Beannny!

Powoli wstał, pochylił się i ruszył pod wiatr. Wziął głęboki oddech, wciągnął do płuc mokre powietrze. Doskonale wiedział, że w tych warunkach prawdopodobnie ryzykuje życie. Jak to wyraził Josh? Z i m ą n a S k y e n i k t n i e u s ł y s z y t w o i c h k r z y k ó w. Mógł złamać nogę w tym wstrętnym, zdradzieckim błocie, mógł zostać przez nie wessany i utknąć na zawsze.

Oczywiście Sarah by po kogoś zadzwoniła, ale zanim sformują grupę, może minąć godzina, a podczas przyływu poziom wody wokół Torran podnosi się bardzo szybko. W godzinę by się nie utopił, ale mógłby zamarznąć na śmierć w lodowatej, krępującej ruchy wodzie.

– Beany!

Wpatrywał się w pustkę. Gorączkowo ocierał z twarzy deszcz.

Tam?

– Beany?

Tam!

Usłyszał to.

Ciche, żalose wycie psa. Słabsze, ale zdecydowanie dobiegało stamtąd. Musiał być trzysta-czteryście metrów od niego. Wyjął i włączył latarkę, ręce miał śliskie i wilgotne, odrętwiałe od lodowatego deszczu. Męczył się, by wcisnąć plastikowy przycisk.

I już. Uniósł latarkę. Razem z czołówką dawała całkiem sporo światła. Skierował ją w tamtą stronę i wypatrywał, wpatrywał się w upiorne tumany mgły.

Tak. To był Beany. Wydawał się tylko ciemnym kształtem, ale żył. I tkwił w błocie aż po szyję.

Utopi się. Bardzo niedługo. Miał najwyżej kilka minut, by do niego dotrzeć, zanim pochłonie go woda.

– Jezu. Beany. Beany!

Żalose skomlenie. Umierające zwierzę. Co by się stało z Lydią, gdyby jej Beany się utopił? On też by się załamał.

Chciał się puścić biegiem, ale to było niemożliwe. Z każdym krokiem wysało go błoto albo niebezpiecznie się ślizgał. Potknął się na wilgotnym, powleczonym wodorostami glazie, jeszcze bardziej śliskim za sprawą nieubłaganie padającego deszczu, i o mało nie runął na twarz. Wystarczy jeden głupi upadek i rozwali sobie głowę o jakiś kamień. Straci przytomność. To by się pewnie skończyło śmiercią.

Może popełnił błąd. Za bardzo ryzykował. Pomyślał o zwodniczym uśmiechu Sary. Zaplanowała to? Nie. To absurdalny pomysł.

Musiał zwolnić, ale jeśli zwolni, Beany umrze.

Może będzie szybciej, jeśli zacznie się czołgać?

Opadł na kolana. Brnął przez błoto. Bolesnie zimny deszcz ściekał mu po szyi i ramionach. Po chwili był przemoczony do suchej nitki. Trząsł się, może to były pierwsze oznaki hipotermii, ale był już prawie u celu. Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści. Trzydzieści.

Pies umierał. Widać było tylko jego głowę. Jego przerażone oczy lśniły w świetle czołówki. Ale był już blisko. I była tam jakaś drewniana platforma, może zatopiona łódź, na wpeł zatopiona w szlamie od wielu dziesięcioleci. Nie widział dokładnie w ciemności, ale drewno tworzyło coś w rodzaju pomostu prowadzącego do zimnej błotnej sadzawki, w której tkwił Beany.

– Już dobrze, psie. Już dobrze. Jestem, idę. Trzymaj się.

Czołgał się po drewnie. Od psa dzieliło go już tylko pięć metrów. Próbował wymyślić jakiś plan: będzie musiał go dosięgnąć i wyszarpnąć z tej mazi.

Ale Beany zaczął się ruszać. Napływająca woda musiała rozrzedzić błoto. Na wpeł pływał, na wpeł się szarpał, próbował się uratować. Wywinął mu się i skierował w stronę kamieni.

– Beany! – krzyknął rozpaczliwie Angus.

Usłyszał trzask pękającego drewna. Kiedy oparł się na kolanie, by wstać, deska trzasnęła pod nim i pękła.

W jednej chwili pogrążył się w zimnej morskiej wodzie. Głębokiej, mulistej i lodowatej. Nie czuł błota pod sobą. Szarpał się w lodowato zimnej wodzie, w ciężkich butach i wodoodpornym ubraniu. Rzucił się rozpaczliwie, żeby sięgnąć do kawałka drewna, ale zatonęło. Woda sięgała mu już po szyję. Wierzał w próżni.

Za słonymi bagnami w ciemności rozbłysła latarnia na Torran. Błada, srebrna poświata. A potem czerń.

Gdzie jest Angus? Dlaczego to tak długo trwa? Czy on się topi? Mam nadzieję. A jednak nie. Już sama nie wiem.

Stoję przy kuchennym oknie, spoglądam na ponure błota, w stronę Ornsay, ale to bez sensu. Przy takiej mgle i w takich ciemnościach mogłabym równie dobrze spoglądać w pustkę: szarą, smutną nicość. Bez gwiazd.

– Mamusiu, gdzie jest tatuś?

Lydia ciągnie mnie za rękaw. Niewinna, szczerbata, ma szczerze błękitne oczy. Jej drobne ramionka drżą z przejęcia. I choć nienawidzę Angusa, nie mogę pozwolić, by straciła tatę. Nie w ten sposób. Może powinnam była go powstrzymać? Ale i tak spróbowałby uratować psa, bez względu na to, z jakim niebezpieczeństwem by się to wiązało.

Wiatr chłoszcze szybę strugami deszczu.

To trwa zbyt długo. Znow próbuję coś wypatrzeć w różnych odcieniach szarej mgły. Zasłonięty chmurami księżyc, mgliste wybrzeże Ornsay. Nic. Latarnia co dziewięć sekund rzuca srebrną strugę światła, jak paparazzi, ale widać tylko srebrną moką pustkę.

– Mamusiu! Gdzie jest tatuś?

Trzymam dłoń Lydii. Drży.

– Tatusiowi nic nie będzie. Poszedł tylko przyprzewodzić Beany'ego. Jest ciemno, więc to nie takie łatwe.

Chciałabym w to wierzyć. Chciałabym to wszystko rozumieć. Chciałabym wiedzieć, czy pragnę, by mój mąż przeżył, czy zginął.

Nie jestem nawet pewna, jak pies dostał się na słone bagna: w jednej chwili był w jadalni i baraszkował – o ile tak to jeszcze można nazwać – z Lydią. Byłam wtedy w pokoju Lydii, prasowałam. Nagle moja córka krzyknęła, wbiegłam do jadalni, a psa już nie było. Drzwi na tyłach kuchni otworzyły się na hebrydzki wiatr.

– Chcę tatusia!

Może Beany zobaczył jednego z tych szczurów, które grasują w kuchni, i zaczął go gonić? A może to Lydia przepędziła psa? Tak go nastraszyła, że uciekł? Od początku wydawał się bać Torran, albo kogoś czy czegoś tu, w domu.

– Mamusiu, to Beany! Słyszałam go!

Ma rację? Czy to było wycie? Puszczam jej rękę, podchodzę do kuchennych drzwi i otwieram je. Wściekły wiatr i zaciekły deszcz natychmiast próbują wpełznąć mnie do środka. Bezradna, rozpaczona, krzyczę w stronę bagien, ciemnych kształtów stojącej na kotwicy łodzi i piaszczytych łąch, w stronę ledwie widocznych zarysów jodeł. Wszystko tonie we mgle.

– Angus! Beany! Angus! Beany!

Równie dobrze mogłabym krzyczeć w szyb kopalni. Albo w zamkniętej piwnicy, w której z sufitu ścieka woda. Wiatr porywa moje słowa i ciska w próżnię. Niesie je na południe, do Ardnamurchan i Summer Isles.

Och, Summer Isles. Ogarnia mnie rozpacz. Tragedia wyгнаła nas z Londynu.

– Tatusi wróci, mamusi? – pyta Lydia. Stoi w drzwiach kuchni. Wróci. Jak Lydia.

– Tak, tak, oczywiście, że wróci.

Ma na sobie cienkie fioletowe legginsy i dżinsową koszulkę, bluzeczka z Hello Kitty jest za cienka. Zmarznie.

– Wracaj do środka, Lyddie, proszę. Tatusiowi nic nie będzie, poszedł tylko po Beany'ego. Niedługo wróci. Proszę, idź sobie poczytać, to naprawdę długo nie potrwa.

Odwraca się i biegnie do jadalni, idę za nią do zdezelowanego, pochłapanego farbą telefonu z bakelitu. Stoi na parapecie. Stara słuchawka jest absurdalnie ciężka, a tarcza z numerami ciężka powolna. Szukam numeru Josha i Molly. Ale nie odbierają. Ich telefon tylko dzwoni i dzwoni, nic więcej się nie dzieje.

Próbuję się dodzwonić do Josha na komórkę. Znowu nic. „Witaj, tu Josh Freedland. Jeśli dzwonisz w sprawie pracy, spróbuj zapytać w Strontian Stone...”. Ciskam telefonem. Jestem wściekła, wściekła na wszystko. Kto nam może pomóc?

Gordon, facet, który wynajmuje łodzie! Tak Gordon. Mam jego numer w komórce. Pędzę do sypialni, wyciągam prawie nieużywaną komórkę z zagraconej szuflady i czekam – boleśnie długo – aż się włączy, i wtedy do sypialni wchodzi Lydia. Nie wiem skąd. Wygląda inaczej. Jej włosy wydają się bardziej dzikie. Spogląda na mnie tymi łagodnymi oczami, jakby była w transie. Mam dość, potrząsam telefonem. No dalej, dalej, k u r wa, da lej! Moja córka trzyma pod pachą Lamparcika. Przygląda mi się z powątpiewaniem i mówi:

– Mamusi, może to nieważne, co będzie z Beany? Kirstie nie wróciła, może to nieważne, jeśli Beany nie wróci?

– Lyddie, kochanie, co takiego? Próbuję znaleźć numer...

– Tatusi wróci, prawda? Proszę, mamusi. Lydia się nie pogniewa. Kirstie teraz nie ma, więc nieważne, co tatusi zrobił. Możemy go wyciągnąć z błota?

Że co? Co ona mówi?

Wpatruję się w nią. Jestem oszołomiona. Czuję, że zaraz się rozplaczę. Z powodu Kirstie. I z powodu tego, co Angus jej zrobił.

Nie. Muszę spojrzeć na telefon. Wesoly wyświetlacz lśni w ciemnym, kiepsko oświetlonym pokoju. Mówi mi, że nie mam zasięgu. Oczywiście. Wciskam dwa przyciski i wchodzę w kontakty. G albo F, G albo F.

Gordon Fraser. Mam jego numer.

Z komórką w ręce biegnę do jadalni, łapię ciężką starą słuchawkę i rozgorączkowana cierpliwie wykłęczam trzy, dziewięć, cztery, sześć, telefon dzwoni po drugiej stronie, odbierz, odbierz, o d b i e r z, i w końcu przez trzaski słyszę głos, słaby, szorstki, przedzierający się przez burzę.

– Gordon Fraser.

– Gordon, tu Sarah. Sarah Moorcroft z Torran.

Długa, dobijająca pauza.

– Ach tak Sarah. Jak się miewasz?

– Mamy problem, wielki... – połączenie się rwie, telefon trzeszczy. – Proszę.

– Nie... – ssssssyk – ...yszę cię...

– K...

– Saro...

– Potrzebujemy pomocy, proszę, pomocy... – połączenie zrywa się całkowicie, nie słychać już nawet szumów, i o mało nie ciskam telefonem w ścianę: musiał wybrać akurat ten moment, żeby się kompletnie zepsuć? Ale potem znów słyszę szumy przy uchu, tak głośne, że aż boli, nagle znów słychać wyraźnie ten głos:

– Macie jakieś kłopoty, pani Moorcroft?

– Tak!

– Co dokładnie?

– Mój mąż, Angus, jest na mokradłach... Zgubił nam się pies, Angus poszedł go ratować podczas odpływu, po ciemku, i teraz się martwię, nie ma go już tak długo, nie wiem, co robić... martwię się o niego i...

– Powiedziała pani... na mokradłach?

– Tak

– Sam? Gdzieś przy Torran?

– Tak!

Na chwilę zapada cisza, słychać tylko syki i trzaski, i wyczuwam, że mu się to nie podoba.

– No dobra, niech się pani uspokoi, pani Moorcroft. Wezmę paru chłopaków z The Selkie.

– Och, dziękuję, dziękuję!

Odkładam słuchawkę, zanim linia przestanie działać, jakby to była jakaś gra komputerowa, w której przez telefon opuszczają cię siły życiowe, zanim w końcu to usłyszysz: b z z z , g a m e o v e r. Odwracam, a ona znów tam stoi. Lydia. Przestraszona i zaskoczona, niemal opieram się o ścianę.

Po prostu tam stoi. Patrzy pustym wzrokiem. Jakby była w transie. Oczy ma szeroko otwarte i smutno niebieskie. Była tuż za mną.

Jak ona to zrobiła? Podłoga skrzypi przy najlżejszym nacisku. Nic nie słyszałam.

Jest zaledwie dwa metry ode mnie. Sztwna, milcząca, wpatruje się we mnie, buzię ma błądą z przejęcia. Nie słyszałam, jak wchodziła. Nie miałam pojęcia, że stoi tuż za mną.

Jak ona to robi? Ile Lydii czai się w tym domu? To jakieś szaleństwo. Mam przyprawiające o zawrót głowy straszne przeczucie, że w tym domu są dwie identyczne Lydie, że bawią się na zimnie i w cieniach, wśród pajęczyn i szcurów, tak jak Lydia i Kirstie bawiły się kiedyś w Londynie, zwłaszcza latem zeszłego roku: to ja, n i e , t o j a , i c h d z i e w c z ę c y ś m i e c h w k o r y t a r z u , k i e d y n a j p i e r w g o n i ł a m j e d n ą , p o t e m d r u g ą , a o n e b a w i ł y ś i ę z e m n ą w c h o w a n e g o , p r ó b o w a ł y m n i e z m y ł i ć .

Ale to mnie miesza się w głowie. Muszę oprzytomnieć.

– Tatuś wróci, z Beany, prawda?

Wpatruje się we mnie ze smutkiem, marszczy czoło. Ból, który czuje, musi być nie do miesienia, straciła siostrzyczkę, a teraz boi się, że straci psa i tatusia. To by dopełniło dzieła zniszczenia.

I choć gardzę Angusem, musi przeżyć.

– Mamusiu, on wróci, prawda? Proszę, mamusiu.

– Tak!

Osuwam się na kolana, przy ciągam ją do siebie i przytulam bardzo, bardzo mocno.

– Kochanie, tatuś niedługo wróci, obiecuję.

– Obiecujesz?

– Naprawdę obiecuję. Milion razy. Chodź, pójdziemy do kuchni, zrobimy herbatę i poczekamy na tatusia i Beany 'ego.

Nie wierzę w to. Potrzebuję tylko pretekstu, by stać przy kuchennym oknie i patrzeć, czy coś się nie dzieje. Z paskudnego kranu nalewam do czajnika słonawej wody, z wściekłością wbijam wzrok w czerń za oknem.

Po prostu czerń. Może jakiś zblakany promień księżycy, gdy na chwilę rozstępują się chmury i mgła. Żałośnie słabe światło z naszej kuchni pada na zielony skrawek zimnej, mokrej trawy. Śmieszny prostokąt w jaskrawym kolorze. Przemoczone pranie dziko trzepocze na wietrze. Wiatr wyje, ani trochę nie słabnie. Jakby mógł tak wiać całym tygodniami.

Nadchodzi prawdziwa zima, zapowiada swoje nowe porządki.

– Patrz, mamusiu!

Ciemność przebijają kolce światła. Zamglone promienie reflektorów. Może latarki? Światła na łodziach? To musi być Gordon i jego przyjaciele: tak, widzę sylwetki mężczyzn na molu, snopy światła z ich latarek przecinają się i łączą ze sobą, jak światła szukające w czasie wojny bombowców nad Londynem. Najwyraźniej wybierają się na wodę. Łodzie okrążają Salmadair, jest ich kilka, teraz nawet wyraźnie je widzę.

Potężny promień światła z łodzi kołysze się na falach i pomarszczonym piasku – ktoś trzyma w ręce reflektor. Przeszukuje mokradła. Próbuje podążać za światłem, ale mgła gęstnieje i już nic nie mogę zrobić.

Cała cieśnina jest doliną mgieł. Jak w takich warunkach znajdują Angusa? Czy w ogóle mnie to obchodzi?

Tak, obchodzi mnie. Może z niewłaściwego powodu. Chcę, żeby wrócił żywy, bym mogła doprowadzić do konfrontacji.

– Chodźmy do salonu – mówię do Lydii.

– Dlaczego?

– Nic nie widać.

– Co to za światła, mamusiu?

– Ludzie próbują pomóc tatusiowi, to wszystko. Wszyscy próbują pomóc.

Biorę ją za rękę i zdecydowanie prowadzę do salonu. Razem dokładamy do kominka. W ciągu ostatniej godziny ogień prawie zgasł, zaniedbany i zapomniany. Lydia pilnie i ostrożnie podaje mi mniejsze polana, a ja wrzucam je w płomień. Buchają na nowo.

– Mamusiu, co chciałabyś, żeby padało, gdyby nie padał deszcz?

– Że co?

Spogląda na mnie, w zamyśleniu mruży oczy. Jej ładna blada twarzyczka jest trochę ubrudzona, ma sadzę na podbródku. Uśmiecham się, próbuję nie myśleć o Angusie i o Kirstie, o przytulaniu i całowaniu.

– Co? – pytam.

– Gdyby deszcz nie był z wody, to z czego chciałabyś, żeby był? Ja bym chciała, żeby był z kwiatów, żeby z nieba padały kwiaty, to by było takie ładne.

– Tak

– Albo ludzie. – Śmieje się cicho. – To by było zabawne, prawda, mamusiu? Padający z nieba ludzie, wszędzie, o popatrz, POPATRZ, wygląda jak tęcza!

Wskazuje na płomienie w kominku. Jeden z języków ognia, które wystrzeliwiają z polan, jest fioletowo-niebieski. Razem wpatrujemy się w ogień, potem siadamy na sofie i siedzimy przytulone pod kocem, który pachnie Beany. Rozmawiamy o psie, ale tylko o miłych rzeczach, bo chcę odwrócić jej uwagę. Słucha mnie, kiwa głową i śmieje się, i ja też się śmieję, ale nawet w tym śmiechu wyczuwam smuteki i gniew.

To tak strasznie długo trwa. Gdzie jest Angus? Nie mogą go znaleźć. Nie udaje im się. Wyobrażam sobie chłopaków z The Selkie przeczesujących mokradła, zmęczonych, zacierających zmarznięte ręce, chuchających w palce, niepotrafiących spojrzeć sobie w oczy. Wiedzą, że zawiedli, nigdzie go nie widać, będziemy musieli poczekać...

Przetrwaly byśmy, gdyby Angus zginął? Może i tak. Przy najmniej coś by się skończyło.

Płomienie wnoszą się i opadają. Patrzę na córkę: spogląda na ogień, który odbija się w jej lśniących niebieskich oczach.

– Saro.

Co?

– Jezu.

– Tatusi!

To Angus. Stoi w drzwiach, pokryty błotem, prawie jakby był ulepiony z błota, jego oczy to mroczne, żywe szczeliny w ciemnej mazi. Ale żyje.

Za nim stoi Gordon i inni mężczyźni, wszyscy się śmieją. Ich głosy wypełniają dom. Pachną olejem napędowym, wodorostami i gęstym, kleistym błotem – i Angus żyje. Lydia zrywa się z sofy, biegnie do niego, ale on trzyma ją na dystans, całuje ją w czoło.

– Wiem, że chcesz mnie przytulić – mówi, z trudem podchodząc do sofy. – Ale nie radzę ci. To blok śmierdzi.

Lydia podskakuje z radości.

– Tata tata!

– Jezu, myślałyśmy... – Prawie to mówię, ale powstrzymuję się. Ze względu na Lydię. Ze względu na wszystkich.

Gordon mi przerywa:

– Wyłowiliśmy pani męża jakieś trzy metry od mola w Ornsay.

Angus wygląda na zmieszanego. Podchodzi do mnie i delikatnie cmoka mnie w policzek. Próbuję się wzdrzygnąć. Spogląda na mnie dziwnie, podejrzliwie, i mówi:

– W tej mgłę nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Patrzę ponad jego ramieniem.

Nie ma psa. Gdzie jest pies?

– Beany?

Lydia wpatruje się w ojca jak urzeczona, ale z troską.

– Tak, tatusiu, gdzie...

Angus się uśmiecha, ale ten uśmiech jest sztuczny.

– Uciek! Wydostałem go z błota i gdzieś sobie pobiegł. Znajdziemy go jutro, nic mu nie jest.

Domyślam się, że to kłamstwo. Może Beany'emu udało się wydostać, ale nie ma gwarancji,

że przeżyje ani że się znajdzie. Nie wspominam o tym. Pieszczołtliwie dotykam dłonią zimnej, zabłoconej twarzy męża. Mam ochotę uderzyć go w twarz. Bardzo mocno. Mam ochotę naprawdę mu przywalić, wydrapać mu oczy. Zrobić mu krzywdę.

Ta pieszczoła jest przeznaczona dla oczu Lydii i Gordona, dla wszystkich, tylko nie dla mnie.

– Angus, musisz być strasznie zmarnięty. Jezu, spójrz tylko na siebie, musisz się wykąpać!

– Gorąca kąpiel – mówi. – To chyba najlepszy pomysł na świecie, Saro. Mogłabyś podać Gordonowi i Alistairowi po szklance Macallan? Tej dobrej. Obiecałem im coś mocniejszego. W podziękowaniu za... – Zerka na Lydię, waha się i dodaje: – No wiesz, za pomoc. Saro?

– Oczywiście – mówię i przywołuję na usta fałszywy uśmiech, który ma wyrażać ulgę.

Angus, chlupocząc kałozkami i ubraniem, idzie ostrożnie do łazienki. Słyszę, jak powoli płynie gorąca woda. Odwracam się do córki.

– Lydio, kochanie, możesz przynieść szklanki?

Przynoszę whisky i rozlewam ją. Mężczyźni przepraszają, że są tacy mokrzy i ubloceni, a ja ich zapewniam: nie przejmujcie się. Siadamy na sofie i na krzesłach. Dokładam do ognia. Siedzimy i pijemy. Lydia wpatruje się w nich, jakby byli nowymi, wspaniałymi zwierzątkami w zoo. Gordon rozgląda się, patrzy na do połowy pomalowane ściany i mówi:

– Naprawdę się przyłożyliście. Całkiem niezłe to teraz wygląda. Miło widzieć, że ktoś wreszcie zadbał o domek na Torran.

Co mogę powiedzieć? Przytłacza mnie smutek, niemal czuję, jak wypełnia cały pokój. Mruczę pod nosem jakieś podziękowania. I nic więcej.

Pijemy w milczeniu. Słyszę, jak Angus się kąpie. Spoglądam na drzwi łazienki. Wszyscy jesteśmy bezpieczni. A jednak grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo.

Gordon przerywa milczenie: zaczyna opowiadać o Torran i o Sleat, o gaelickim college'u, i z wdzięcznością przyłączam się do rozmowy. Cieszę się, że mogę o czymś rozmawiać. Nieważne o czym. Ale co zrobić z Angusem?

Alistair, ten młodszy, rudy, gładko ogolony, przystojny i surowy, nalewa sobie trzecią sporą szklankę Macallan i przerywa Gordonowi:

– Cienkie miejsce. Tak to nazywali.

Gordon go ucisza. Lydia mocno zasnęła na sofie, zwinięta w kłębek, okryta mięciutkim niebieskim kocem.

Wy pijam łykszkockiej. Płomienie w kominku migoczą. Jestem taka zmęczona.

– Co takiego?

Alistair najwyraźniej jest trochę pijany. Głośno beka, przeprasza, a potem dodaje:

– Miejscowi nazywali kiedyś Torran cienkim miejscem. To znaczy miejscem, w którym są duchy. – Śmieje się w swoją szklankę. – Prawdziwe duchy. Miejsce, w którym świat duchów jest bardzo blisko.

– Ach, stek bzdur – mówi Gordon, przyglądając mi się badawczo. A potem Lydii. Ostrożnie. Wygląda, jakby miał ochotę przyłożyć swojemu młodemu przyjacielowi.

– Nie – protestuje Alistair. – To prawda, Gordon. Czasem myślę, że coś w tym jest, no wiesz, Wyspa Pioruna i tak dalej, tutaj coś jest, coś w powietrzu. Pamiętasz, jak się znyli ci dżicy lokatorzy? Byli przerażeni.

Najwyraźniej nic nie słyszał o historii naszej rodziny. Gdyby coś wiedział, nie poruszałby tego tematu.

– O tak, cienkie miejsce. Tak cienkie, że aż widać tamten świat. – Alistair szczyrzy zęby. Żłopie szkocką i spogląda na mnie. – Tak się mówiło.

Gordon Fraser cmoka głośno, z niezadowolaniem, i powtarza:

– To tylko brednie. Saro, nie słuchaj go.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. To interesujące.

Naprawdę tak myślę. Nie peszy mnie jakiś historyczny folklor ani dawne przesady. Moje własne lęki są wystarczająco niepokojące. Gordon ostrożnie wypija tyk szkockiej, delektuje się smakiem, a potem wskazuje szklanką na moją śpiącą córkę.

– Wygląda na to, że na nas już pora.

Szybko wychodzą. Macham do nich, gdy łódź znika w ciemnościach przy Salmadair. Latarnia mruga na pożegnanie. Dostrzegam ponton przycumowany do barierki; wszystkie torby z zakupami zniknęły, porwane przez przyplływ.

Wracam do kuchni. Wsuwam szufladę z nożami.

Wpatruję się w ten arsenał. Lśniące noże. Lubię dbać o to, żeby zawsze były ostre.

Szybko zamykam szufladę, nie dotykam ich. Fantazjuję o morderstwie?

Przechodzę przez salon, ruszam korytarzem i otwieram łazienkę. Angus siedzi w wannie, myje się, namiętnie umięśnione ramiona, jego owłosiona pierś jest cała w pianie.

Nienawidzę jego fizyczności.

– Będziesz musiał jeszcze raz zrobić zakupy – mówię. – Jutro. Zostawiłeś je przy łodzi i porwał je przyplływ. Wszystkie torby zniknęły.

– Co takiego? – pyta. Jego zdumienie jest zrozumiałe. Widzę, jak myśli. O m a ł o n i e z g i n ą ł e m , r a t u j ą c p s a , a o n a g a d a o z a k u p a c h .

Ale ja już nie potrafię udawać. Chcę po prostu, żeby się wyniósł z domu. Potem wymyślę, co dalej. Jak się z nim zmierzyć.

– Jutro. Zakupy. Dzięki.

Przez cały ranek szukamy Beany 'ego. Krążymy po wyspie, Lydia krzyczy rozpaczliwie.

– Be a ny! Be a ny!

Trwa przyptyw. Nie sądzę, żeby biedny pies miał się wynurzyć z wody. Ale Lydia patrzy w napięciu na morze.

– BEANY!

Wpatrujemy się w wodę, a mewy wołają do nas, jakby z nas kpiły. Ostrogojady spoglądają na nas bez przekonania, skaczą, uciekają po plaży, bo moja córka biega, krzyczy, woła.

A potem wybucha płaczem.

– Już dobrze – mówię, kładąc rękę na jej drżących ramionach. – Jestem pewna, że Beany 'emu nic się nie stało. Pewnie pobiegł gdzieś do lasu. Porozwieszamy ogłoszenia.

– On nie wróci! – Lydia strąca moją dłoń. – On nie żyje. Nie wróci. NIE.

A potem biegnie w stronę domu. Nie mam pojęcia, jak ją pocieszyć. Cały świat wydaje się niepokieszony: od płaczących szarych fok na Salmadair aż po smutne, mokre jarzębiny na Camuscross.

Godziny zlewają się ze sobą niepostrzeżenie. Lydia czyta w swoim pokoju, ja zabieram się do malowania ścian. Nie jestem pewna dlaczego. Może to jakieś niejasne przekonanie, że musimy dokończyć remont i sprzedać ten dom. Wkrótce.

Mam ochotę zrobić sobie przerwę, więc idę do kuchni, żeby zmyć farbę z palców, i wtedy widzę Angusa. Płyń, przecina stalowoszare wody cieśniny, zostawia za sobą biały kilwater.

Jest samotną sylwetką na łodzi. Stoi z ręką na sterze, patrzy wprost na mnie. Idzie po nas. Przywozi zakupy, tak jak prosiłam.

Zalewa mnie fala nienawiści. Nagle. Mam nadzieję, że ta pierdolona łódź uderzy o jakiś podwodny blok bazaltu przy latarni. Mam nadzieję, że jest dziurawa, rozpruta. I chociaż ze wszystkich sił pragnę zachowywać się logicznie, wyrzucić to z siebie, zmierzyć się z nim, przedstawić dowody, z łatwością mogłabym się przyglądać, jak mój mąż tonie w tej zimnej wodzie, i nawet bym nie drgnęła. Nie kiwnęłabym palcem. W tej chwili po prostu bym tak stała: przyglądałabym się, jak zostaję wdową.

Ale łódź oczywiście nie tonie. Angus zdążył już nabrać wprawy, przyzwyczał się do życia na wyspie. I pewnie jest teraz wyjątkowo ostrożny, po tym, co przeżył wczoraj na mokradłach. Umiejętnie zwalnia, zręcznie dobija do plaży tym głupim pomarańczowym pontonem, wyskakuje na szare kamienie. Wyciąga łódź poza zasięg przyptywu, wyjmuje z niej dwie wielkie torby z zakupami i Co-op i maszeruje pod górę, w stronę domu.

Idzie stanowczym krokiem, sztybko. Może nawet groźnie? Ogarnia mnie lęk

Wie, że ja wiem? Jak się domyślił? Oczywiście wyczuł tę wrogość. Ale jak to możliwe, by aż tak dobrze czytał w moich myślach?

Zbliża się. W jego krokach widać jakąś determinację i nie potrafię tego zignorować. Wycofuję się w stronę szuflady i znów przyglądam się uważnie lśniącyemu nożom. I tym razem to robię: wyciągam jeden z nich. Największy i najostrzejszy. Trzymam go w ręce, za plecami. Choć to całkowicie wytłumaczalne, zdaję sobie sprawę, że to jakieś złaństwo. T a k w ł a ś n i e m u s z ę z r o b i ć.

– Cześć – mówi. Bardziej szorstko niż zwykle.

Przekracza próg, kładzie torby na podłodze. Nie uśmiecha się. Ściskam nóż spoconymi palcami, wiem, że jest kiepsko ukryty. Czy byłabym w stanie go użyć? Czy naprawdę jestem zdolna do tego, żeby dźgnąć nożem własnego męża?

Może.

Zdecydowanie tak, jeśli zacznie się dobierać do Lydii. Kto może wiedzieć, czy wykorzystywanie się skończyło. Może nazywa ją K i r s t i e. Udaje, że jego ulubiona córka wciąż żyje.

Czy to przez niego powstało całe to zamieszanie?

– Gdzie Lydia? – pyta.

Ma zarost i wygląda jak drań, nie jest już przy stojny. Przypomina raczej przestępców, których pokazują w wiadomościach: znasz tego mężczyznę?

Nie, nie znam.

Co on zrobił Kirstie? Jak mógł zrobić coś takiego? Jak długo to trwało? Sześć miesięcy? Rok?

– Śpi – odpowiadam. To kłamstwo. Lydia czyta w swoim pokoju. Ale nie pozwolę mu się zbliżyć do naszej żyjącej córki. Jeśli spróbuje, naprawdę użyję tego noża. – Jest wykończona, Gus. Chyba powinniśmy jej pozwolić spać.

– Ale nic jej nie jest? Mimo tego wszystkiego? No wiesz...

– Nie – mówię. – W tych okolicznościach... nie, nie, nic jej nie jest. Angus, proszę, pozwól jej spać. W przyszłym tygodniu wraca do szkoły, musi odpocząć. Proszę.

Z takim trudem przechodzi mi przez gardło słowo proszę. Trudno mi to powiedzieć do tego człowieka, tego czegoś. Teraz jest potworem. Wydaje się całkiem nieludzki i chcę, żeby się wyniósł.

– W porządku – mówi, patrząc mi głęboko w oczy. Jak iskra przeskakuje między nami ładunek nienawiści. Nawet nie próbuje tego ukryć. Jesteśmy dwojgiem ludzi z własną wyspą, z krukami, które gnieźdzą się i krzyczą z Salmadair, nienawidzimy się i oboje o tym wiemy, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego on mnie nienawidzi: może zdaje sobie sprawę, że odgadłam jego sekret.

Może dlatego wydawał się taki wściekły, gdy mu powiedziałam, że Kirstie to Lydia: wiedział, że zbliżam się do prawdy.

Odwraca się, idzie do jadalni. Mówię:

– Angus, myślę...

– Tak?

– No cóż, myślałam trochę, kiedy robiłeś zakupy.

Czy mogę wspomnieć o swoich podejrzeniach? Nie. Nie mogę po prostu powiedzieć tego na głos w niedzielne popołudnie, w tej zimnej kuchni, w której mieliśmy oboje nadzieję być

szczęśliwi, gdzie w lodowce leżą serowe trójkątki Dairy Lea na lunch dla Lydii, a na półkach stoją słodkie płatki kukurydziane. Kiedyś będę musiała wypowiedzieć te straszne słowa, będę musiała powiedzieć: dotykałeś jej – ale jeszcze nie teraz, bo Lydia wciąż nie otrząsnęła się z szoku. Chcę, żeby jutro, w poniedziałek, poszła do szkoły. Musi się w to wdroić, bo inaczej nie będzie dla nas ratunku.

– Tak? – Angus czeka, jest zniecierpliwiony. – O co chodzi?

Dziny ma poplamione olejem silnikowym. Wygląda niechlujnie, jest zaniedbany. To do niego niepodobne. Może wychodzi z niego prawdziwe ja.

– Angus, wiesz, że nie za dobrze nam się układa. I pomyślałam, że może... no wiesz... ze względu na Lydię, na nas wszystkich... może mógłbyś spędzić kilka dni na stałym lądzie. – Wciąż trzymam nóż za plecami. Patrzy na mnie, jakby o tym wiedział i jakby miał gdzieś.

– Dobra – mówi. – Może być. W porządku. – W jego ciemnych oczach lśni jeszcze ciemniejsza pogarda. – Zabiorę jakieś papiery do pracy i załatwię sobie pokój w The Selkie. O tej porze roku to prawie nic nie kosztuje.

Więc to nie było trudne. Słyszę, jak skrzypią drzwi w jadalni. Angus pakuje do torby jakieś dokumenty, potem słyszę hałasy dobiegające z naszej sypialni. Szafa, jego komoda, krok. To możliwe, że wrócił, ale zaraz sobie pójdzie? Na to wygląda.

Wsuwam nóż z powrotem do szuflady, oddycham głęboko, z ulgą.

Stoję w drzwiach, słucham krzyków mew i wiatru, i szelestu suchych wodorostów na plaży. Zaledwie dziesięć minut później wchodzi do kuchni i mówi:

– Proszę, uściskaj ode mnie Lydię.

Już nie jest zły. Wydaje się delikatniejszy, smutniejszy, i na chwilę ogarnia mnie głupie współczucie, współczucie dla mężczyzny, którego kiedyś kochałam, dla ojca tracącego córkę. Ale przypominam sobie, co zrobił.

– Tak – zapewniam go. – Zrobię to.

– Dziękuję – mówi. Bardzo cicho. – Biorę łódź, ale możesz chyba przejść przez mokradła podczas odpływu i ją zabrać? Będziecie potrzebowały łodzi, by dotrzeć do szkoły.

– Tak

– Więc dobrze, Saro.

– Na razie, Angus – mówię.

Spogląda na mnie. Czy to pogarda, wyrzuty sumienia czy rozpacz? A może tylko wzruszenie ramion.

– Na razie.

Teraz kręci głową, bardzo powoli, z powagą, jakbyśmy się widzieli po raz ostatni, a potem patrzę, jak sięga po torbę, otwiera nogą kuchenne drzwi i idzie w dół, do łodzi, uruchamia silnik i odpycha się wiosłem na głębszą wodę. Obserwuję go, by mieć pewność, że naprawdę odpływa, ale gdy znika za cypłem Salmadair, do kuchni wbiega Lydia, bosa, w złotych jak pierwiosłki legginsach, z buzią mokrą od łez, i mówi:

– To tatuś? Gdzie jest tatuś? Przyjdzie się przywitać?

Co mogę powiedzieć? Nic. W całej tej wściekłości zapomniałam, że Lydia wciąż go kocha. Mimo wszystko. Więc biorę ją w ramiona, przytulam mocno, kładę opiekuńczo dłoń na jej jasnych włosach i obie się odwracamy, spoglądamy w stronę drzwi i morza, matka i córka. Mówię:

– Tatusz znów musi popracować.

Lydia odwraca się, patrzy wprost na mnie, błagalnie, prosząco, jej niebieskie oczy są wielkie, zdumione i smutne.

– Ale nie przywitał się? Nawet nie wszedł się ze mną zobaczyć?

– Kochanie...

– Nie pożegnał się?

– Malutka...

Teraz jest zrozpaczona.

– Nie pożegnał się ze mną! – Nagle wymyka mi się, wyrывa, wybiega przez otwarte drzwi, biegnie ścieżką przez mokre paprocie i wrzosa na plażę, pod latarnię. Krzyczy:

– Tatusiu? Tatusiu! Wracaj, wracaj!

Ale jego łódź jest za daleko, i siedzi plecami do nas, a fale i wiatr zagłuszają jej słowa, jej cienki dziecięcy głosik. To jasne, że Angus nie może słyszeć jej krzyków i szlochów.

– Tatusiu! Tatusiu, wracaj, wracaj, wracaj do mnie, tatusiu!

Kruki kraczą, mewy szybują po niebie, a mnie dławi smutek. Muszę zachować spokój. Obserwuję wronę patrzącą na Lydię ze skarlałej jarzębiny przy latarni. Wrony, które pikują do ziemi i wydziubują języki nowo narodzonym jagniętom, by nie mogły ssać mleka matki i by umarły w ciągu jednego dnia.

Moja dziewczynka wciąż krzyczy.

Och, tego już za wiele. Boję się, że wejdzie do wody, więc biegnę za nią, pędzę ścieżką na plażę, biorę ją za rękę i kucam przy niej.

– Kochanie, tatusz jest zajęty, ale niedługo wróci.

– Przyjechał i pojechał, nie przywitał się ze mną, nie pożegnał, on mnie już nie lubi!

Nie znoś już ani jednej sekundy bólu. Będę kłamać.

– O c z y w i ś c i e, że cię kocha. Po prostu jest bardzo zajęty, ale niedługo wróci. A teraz chodź, musimy cię przygotować na jutro do szkoły, chodź, upieczemy ciasteczka. Ludziki z piernika!

Upiec coś. To moje rozwiązanie. Pieczenie ciastek i herbatników. Ludzików z piernika. Soda oczyszczona, te małe srebrzyste słodkie kryształki, cukier, masło i imbir.

Więc to właśnie robimy: pieczemy.

Ale piernikowe ludziki wyszły zupełnie nie tak. Zdeformowane jak piernikowe zwierzątka. I rozpaczliwie próbuję się śmiać z tych zniekształconych ludzików, ale Lydia wpatruje się w nie z przerażeniem: leżą na gorącej blasze. Kręci głową i ucieka do swojego pokoju.

Nic nie działa. Już nigdy nic nie będzie działać.

Dziwi mnie ta jej głęboka miłość do ojca. Czy gdyby była świadkiem wykorzystywania, kochałaby go aż t a k m o c n o? Naprawdę? Ale może nic nie widziała, może Kirstie tylko opowiedziała jej o tym. A może żadnego wykorzystywania nie było albo w ogóle nic się nie stało, może za dużo myślę i za szybko zakładam takie rzeczy? Na chwilę ogarniają mnie wątpliwości – zawrotne jak lęk wysokości. Może się mylę? Może doszukuję się stereotypów: wykorzystywanie seksualne, pedofilia, współczesne polowanie na czarownice – bo zaślepiła mnie gniew i smutek?

Nie. Słyszałam, co powiedziała, dowody noszę we własnej pamięci, czytałam prace naukowe Samuela. Bardziej prawdopodobne wydaje się coś innego: po prostu nie chcę się pogodzić z tym, że przez dziesięć lat żyłam z mężczyzną zdolnym tknąć własną córkę i że go kochałam. Bo co to

mówi o mnie?

Wychodzę na dwór, wyrzucam piernikowe ludziki na stertę kompostu i spoglądam nad śmierzdzącymi bagnami w stronę Ornsay.

Nic.

Później idziemy z Lydią przez mokradła, trwa odpływ. Rozgniatamy kaloszami martwe kraby i zabieramy łódź z mola przy The Selkie. Potem płyniemy do domu i czytamy książki. Wieczorem przy butelce wina prasuję jej szkolny mundurek. Już śpi. Pootwierałam połowę okien, choć jest zimno.

Chcę, żeby przesywając zimne powietrze pomogło mi przytomnie i logicznie myśleć. Czy postępuję słusznie, posyłając ją z powrotem do Kyledale?

Kiedy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy, Angus prawie mnie przekonał, że nie powinna tam wracać. Ale sekretarka stanowczo mnie zapewnia, że tym razem będzie lepiej. Gdyby nie poszła, czułaby się tylko jeszcze bardziej samotna – dopóki nie zorganizowalibyśmy nowej szkoły albo nauki w domu. Nie opuszczałyby nawet wyspy.

Więc musimy dać Kyledale ostatnią szansę. Prasuję, wsłuchuję się w szum fal zalewających kamienistą plażę, wdech, wydech, i martwię się. Szum fal brzmi jak gorączkowy oddech chorego dziecka.

W końcu idę się położyć i zasypiam. Nic mi się nie śni.

Poranne niebo jest szare jak gęś. Każę Lydi włożyć mundurek, choć bardzo chce zostać w domu. Dopytuję się, gdzie tatuś.

– Niedługo będzie.

– Naprawdę, mamusiu?

Wciążam jej przez głowę szkolny sweter i kłamię:

– Tak, kochanie.

– Mamusiu, nie chcę iść do szkoły.

– Daj spokój.

– Bo tam będzie Emily, a ona mnie nienawidzi. Oni wszyscy mnie nienawidzą. Emily myśli, że coś ze mną nie tak, prawda?

– Nie, wcale tak nie myśli. Trochę się tylko wygłupia. No dalej. Włóżmy ci buty. Dzisiaj możesz to zrobić sama. Miałaś tydzień wolnego, teraz pora wracać do szkoły. Będzie dobrze.

Ile razy można okłamać córkę?

– Oni wszyscy mnie nienawidzą, mamusiu. Myślą, że Kirstie jest ze mną, a ona nie żyje, więc jestem duchem.

– Dosyć, kochanie, dosyć. Nie myślmy teraz o tych rzeczach. Wyszukajmy cię do szkoły, wszyscy już na pewno zapomnieli.

Płyniemy łodzią, potem wsiadamy do samochodu i w silnym wietrze jedziemy kilka mil wybrzeżem, do Kyledale, i jest oczywiste, że nikt nie zapomniał. Świadczy o tym wielkie zakłopotanie sekretarki, która właśnie wysiada ze swojej mazdy. A gdy podchodzimy do wesołych szkolnych drzwi z obrazkami przedstawiającymi dzieci na letniej wycieczce i z dwujęzyczną listą zasad obowiązujących na placu zabaw – Riaghailtean Raon-Cluiche – natychmiast potwierdzają się najgorsze przypuszczenia. Przez nas nastrój się zmienia. I jest gorzej niż kiedykolwiek dotąd.

– Nie chcę tu wchodzić, mamusiu – mówi Lydia cienkim głosikiem, wtulając we mnie twarz.

– Bzdury. Będzie dobrze.

Mijają nas inne dzieci.

– Patrz, wszyscy idą do klas, pośpiesz się.

– Oni mnie tutaj nie chcą, mamo.

To oczywiście, ma rację: jak mogę ją okłamywać? Wrogość wydaje się wręcz namacalna. Wcześniej dzieciaki nie zwracały na nią uwagi, teraz chyba się jej boją. Jakiś chłopiec wskazuje na nią i coś szepcze, dwie jasnowłose dziewczynki z jej klasy odsuwają się od niej, kiedy ją popycham na korytarz, w stronę dnia, który musi przetrwać beze mnie.

Przysmykam oczy, uspokajam się, brnę przez zimno do samochodu, próbuję nie myśleć o Lydii, o tym, że jest sama w tej szkole. Jeśli jeszcze choć przez jeden dzień będzie cierpieć, zabiorę ją i damy sobie spokój. Ale chcę spróbować jeszcze ten jeden raz.

Muszę pojechać do Broadford, żeby popracować, zaplanować różne rzeczy. Jadę szybko i ostro, wchodzę w oblodzone zakręty jak miejscowa, nie jak jakaś gamoniowata turystka. Chociaż pod tym względem się zaaklimatyzowałam, wpasowałam w otoczenie.

– Cappuccino proszę.

To mój rytuał: podwójne cappuccino i bardzo dobre połączenie Wi-Fi w kawiarni naprzeciwko Co-op. Okna wychodzą na zakład fryzjerski Scizzors i sklep dla rybaków Hillyard, w którym miejscowym handlarzom narkotyków sprzedają impregnowaną odzież, harpuny, wiadra przynęty i wścierzki na homary. Tak się przynajmniej mówi. Widziałam na cieśninie te łodzie: zbierały wścierzki z homarami. Podobno wypchane heroiną i kokainą. Z początku nie wierzyłam w te plotki, ale gdy w Uig i Fort William zobaczyłam rybaków jeżdżących bmw, zaczęłam się zastanawiać.

Wszystko tutaj jest bardziej złowrogie i ponure, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Czasem wszystko jest zupełnie inne, niż sobie wyobrażamy, a czasem to, co uważaliśmy za rzeczywiście, w ogóle nie istnieje.

Mamusiu, jestem teraz niewidzialna?

Otwieram laptopa, popijam kawę, wysyłam kilka pilnych maili, a potem próbuję się czegoś dowiedzieć o ochronie dzieci i o wykorzystaniu seksualnym przez rodziców. To przygnębiające, przedzieram się przez to mozolnie: jest tu tak wiele słów, których nie chcę widzieć. Takich jak p o l i c j a. Godzinę później kontaktuję się z adwokatem – przygotowuję się do separacji i rozwodu, do odejścia od tatusia.

A potem czuję wibracje w kieszeni dzinsów i wyjmuję komórkę. Przełykam dławiący mnie niepokój.

Sześć nieodebranych połączeń?

Wszystkie z Kylerdale. Z ostatnich dwudziestu minut. Wyciszyłam go. Byłam tak pochłonięta tym, co robię, że nie zauważyłam, kiedy wibrował.

Czuję się tak, jakby się we mnie wbiło coś ostrego, i ogarnia mnie przerażenie: wiem, że w Kylerdale z Lydią dzieje się coś strasznego. Muszę ją uratować. Rzucam na stół trochę drobnych, wybiegam z kawiarni, wskakuję do samochodu i jadę śliskimi drogami w dół półwyspu Sleat.

Jadę tak szybko, że owce na mokrych szarych polach rozbiegają się, gdy przejeżdżam obok nich, rozpryskując żwir. Zatrzymuję się pod Kylerdale. Trwa długa przerwa. Słyszę śpiew.

– *Bogan, bogan, bogan, bogan!*

Na podwórku jest kilkadziesiąt dzieciaków, wszystkie na coś wskazują i nuca. Ale krzyczą w stronę okna. Co się tu dzieje?

Otwieram furtkę na plac zabaw – normalnie podczas lekcji to zabronione, ale wcale nie jest normalnie, przynajmniej, kurwa, teraz – przedzieram się przez te wszystkie dzieciaki, a one wrzeszczą i nuca, i wykrzykują w stronę okna w pomalowanej na biało ceglanej ścianie:

– *Bogan! Bogan!*

Jest jakaś nauczycielka, próbuje je uspokoić. Ale one panikują, histeryzują, nie słuchają jej. Tylko dlaczego krzyczą? Na co krzyczą? Podbiegam do okna, zaglądam przez szybę i widzę, w jakimś biurze, a może gabinecie, skuloną w kącie Lydię.

Jest tam sama, zasłania uszy, próbuje odciąć się od dzieci. Po jej policzkach spływają łzy, znów upiornie, bezgłośnie szlocha, a ja pukam w szybę, próbuję jej powiedzieć, że j e s t e m tu, j e s t e m, m a m u s i a t u j e s t, ale ona nie patrzy, a dzieci wciąż krzyczą: *Bogan! Bogan! Bogan!* Czuję, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu, odwracam się i widzę sekretarkę, Sally. Mówi:

– Próbowaliśmy się do pani dodzwonić, przez godzinę, próbowaliśmy...

– Co się stało?

– Nie wiemy. Coś w klasie, coś, co przeraziło inne dzieci. Tak mi przykro, musieliśmy odizolować Lydię. Zaprowadziliśmy ją do pokoju z materiałami papierniczymi, żeby ją chronić, dopóki pani nie przyjedzie.

– Odizolować ją? Chronić?! – Jestem oburzona. – Chronić ją p r z e d c z y m? To nazywacie chronieniem jej? Zamknijcie jej samej w pokoju?

– Pani Moorcroft...

– Zamknęliście ją tam samą? Kurwa, co pani myśli, jak bardzo musi być wystraszona?!

– Ale, ale, ale... nie rozumie pani. Była z nią nauczycielka. Musiała wyjść. Wszyscy są zdenerwowani. Próbowaliśmy się dodzwonić do pani męża, ale...

Jestem tak wściekła, że o mało nie uderzam tej sukki w twarz. Wbiegam do szkoły i krzyczę do jakiegoś młodego mężczyzny:

– Gdzie jest moja córka? Gdzie jest ten pokój?

Nie odpowiada. Otwiera usta, zamyka, potem wskazuje ręką, a ja ruszam w tę stronę. Wpadam do pustej klasy, potykam się o małe plastikowe krzeselka i wiaderka z masą papierową, a potem wypadam na inny korytarz i widzę drzwi, na których widnieje napis: materiały papiernicze. I jeszcze: Paipearachd Oifig. Robi mi się niedobrze, i nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo nie cierpię tego całego gaelickiego gówna.

Drzwi nie są zamknięte na klucz, ustępują, gdy naciskam klamkę. W środku jest Lydia: kuca w kącie, wciąż zasłania uszy, kosmyki jasnych włosów przyklejają jej się do mokrej od łez twarzy. Podnosi wzrok, zauważa mnie, odrywa ręce od uszu i na wpół krzyczy, na wpół łąka z ulgą i z przerażeniem, głosem, który wrzy na się we mnie jak nóż, rani mnie. Czuję się winna.

– Mammmmmaaa!

– Co się stało, kochanie? Co się stało?

– Mamusiu, oni wszyscy krzyczą, gonili mnie, zagonili mnie tutaj, wsadzili mnie, tak się bałam...

– Już dobrze. – Mocno przytulam jej drobne ciało. Jakbym chciała wycisnąć z niej przerażenie, złe wspomnienia. Odgarniam włosy z jej różowej buzi, całuję ją, raz, dwa razy, jeszcze raz, i mówię: – Zabieram cię stąd, natychmiast.

Spogląda na mnie: z nadzieją, ale i z niedowierzaniem, i z jakimś bezmadziejnym smutkiem.

– No chodź – ciągnę ją lekko za rękę.

Otwieramy drzwi i tą samą drogą wracamy do furtki. Nikt nas nie powstrzymuje ani nawet do nas nie mówi: wszyscy milczą, nauczyciele stoją w drzwiach, obserwują nas, rumienia się, nic nie mówią. Otwieram ostatnie przeszkłone drzwi i wychodzimy na świeże morskie powietrze. Teraz musimy przebiec między dziećkami – odgradza je od nas siatka otaczająca plac zabaw – i dojść ścieżką na parking.

Ale dzieci już nie krzyczą. Milczą. Wszystkie. Patrzą, jak wychodzimy. Kilka rzędów milczących, zdumionych twarzy.

Otwieram samochód, przypinam Lydię pasami w foteliku i w milczeniu jedziemy krętą drogą do Ornsay. Odzywa się dopiero, gdy wsiadamy do łodzi i płyniemy z powrotem na Torran.

– Będę musiała iść jutro do szkoły?

– Nie! – mówię. Przekrzykuję silnik i plusk fal. – Już tam nie wracasz. I tyle. Znajdziemy ci jakąś inną szkołę.

Kiwa głową, twarz ma ukrytą pod kapturkiem anoraka. Po chwili odwraca się i patrzy na wodę i na zbliżającą się latarnię. O czym myśli? Przez co przeszła? Dlaczego te dzieci krzyczały?

Wyciągam łódź na brzeg, zaciągam ją w bezpieczne miejsce, a potem wchodzimy do kuchni. Podgrzewam zupę pomidorową z puszką, kroję w paski i smaruję masłem tosty. Jedzenie na poprawę nastroju.

Siedzimy w milczeniu przy stole w jadalni, w surowym szarym pokoju ze szkocką tancerką namalowaną na ścianie. Coś w tym malowidle mnie mrozi, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Bo to wszystko pojawia się na nowo. Zamałowałam połowę tych postaci: tancerkę, syrenę, a teraz znów prześwitują spod warstw farby. Musiałam jej nałożyć za mało.

Tancerka spogląda na mnie, błada i nieprzenikniona.

Lydia prawie nie je zupy. Moczy w niej chleb: zjada połowę tosta. Drugą zostawia na stole, pobrudzoną czerwoną zupą, jakby to była krew. Gapi się na zupę i pyta:

– Mogę iść do swojego pokoju?

Chcę się zgodzić. Pozwolić jej się wyspać. Żeby zapomniała o tym dniu. Ale najpierw muszę zapytać:

– Te dzieci w szkole... co one krzyczały? *Bogan*. Co to znaczy?

Patrzy na mnie, jakbym była głupia. Nauczyła się w szkole trochę gaelickiego. Ja nie nauczyłam się ani trochę.

– To znaczy d u ch – mówi cicho. – Mogę iść do swojego pokoju?

Walczę z ogarniającym mnie lękiem. Zjadam kilka łyżek zupy i wskazuję na jej talerz.

– Proszę, zjedz jeszcze trochę. Jeszcze dwie łyżki. Za mamusię.

– Dobrze – mówi. – Tak mamusiu.

Posłusznie zjada dwie łyżki zupy, a potem odkłada łyżkę i wybiega z pokoju, i słyszę, że jest u siebie, iPad klika i szumi. Dobrze. Niech się pobawi. Niech robi, co chce.

Przez następną godzinę czy dwie zajmuję się planowaniem ucieczki. Siedzę przy stole z dokumentami i z laptopem. Nie stać nas na powrót do Londynu. Nie chcę wracać do Londynu. Może mogłabym zatrzymać się z Lydią u rodziców. Tylko na kilka tygodni. Ale z Instow wiąże się tyle wspomnień.

Wracam myślami do dzisiejszego popołudnia. Krzyżące dzieci.

Bogan bogan bogan bogan. Duch duch duch duch.

Dlaczego krzyczały coś takiego?

Nie mogę o tym myśleć. Nie wolno mi o tym myśleć.

No to co będę robić? Planować przyszłość.

Właściwie to chciałąbym zostać na Skye, ale nie na Torran. Polubiłyśmy się z Molly, więc może mogłabym wynająć jakiś domek w pobliżu Ornsay, żeby być blisko niej. Ale z drugiej strony ... może to szaleństwo. Może to absurd zostawać tu na dłużej.

Tak naprawdę to nie mam pojęcia, co robić, jak się z tego wszystkiego wy dostać. A co gorsza, będę musiała porozmawiać z Angusem. Sprzedamy Torran, wynajmiemy ją czy co? Mnie i Lydii wystarczyłyby pieniądze ze sprzedaży wyremontowanego domu. Ale czy mamy prawo do tych pieniędzy? Czemu Angus miałby cokolwiek dostać, po tym, co zrobił?

Powinien siedzieć w więzieniu.

Odkładam długopis, przecieram zmęczone oczy. Muszę się położyć. Zamykam laptopa, wchodzę do sypialni, którą kiedyś dzieliłam z Angusem. Jest tutaj lustro: ostatnie duże lustro w domu. Pochowaliśmy wszystkie pozostałe, bo denerwowały Lydię.

Wpatruję się w swoje odbicie. Popołudniowe światło jest słabe, zimowe. Ja wyglądam zimowo i marnie. Chuda, może nawet wyniszczona. Muszę o siebie zadbać.

Patrzę na swoje odbicie. Stoi tam Lydia z Lamparcikiem w ręce. Musiała wejść do mojej sypialni. Uśmiecha się. Widać, że jest weselsza. Uśmiecha się zadziornie, pogodnie, bez troski.

Odwracam się i spoglądam na nią. Stoi w moim pokoju. Cicha i samotna.

– Hej, kochanie. Lepiej się czujesz?

Przestała się uśmiechać. W jednej chwili. Wyraz jej twarzy musiał się zmienić bardzo szybko.

A potem uświadamiam sobie, że nie ma w ręce Lamparcika.

Wpatruję się w swoją córkę. Ona też na mnie patrzy, w milczeniu, jakby o coś pytała. I wydaje się młodsza: jakby się cofała w czasie do chwili, kiedy obie żyły, sześć lat, pięć, cztery, i mniej, mniej, mniej. Pamiętam, jak się bawiły na plaży w Devon, jak się zderzały bioderkami. W mojej głowie wirują wspomnienia. Jestem wystraszona i kręci mi się w głowie: patrzę w przeszłość.

Są tu obie. Nie mogą tu być obie.

– Lydio?

– Tak, mamusiu?

– To jakaś śmieszna zabawa?

– Nie rozumiem, mamusiu.

– Z Lamparcikiem, kochanie, z Lamparcikiem. To jakaś dziwna gra?

Odwracam się i jeszcze raz zerkam w lustro. Jesteśmy tam, matka i córka, Sarah Moorcroft i jej żyjąca córka Lydia Moorcroft. Mała dziewczynka w jaskrawożółtych legginsach i dżinsowej koszulce, z wesołym czerwonym płaszkiem wyszitym z przodu.

Nie ma w ręce Lamparcika. A jednak trzymała go w lustrze: jestem pewna, że go widziałam. Widziałam? I uśmiechała się radośnie, wesoło, tak jak Kirstie. W lustrze zobaczyłam Kirstie. Obie uwielbiały Lamparcika, były się o niego. Może teraz też walczą. Tak jak walczyły w moim brzuchu. Tak jak walczyły o moje mleko.

O bi e są w tym zimnym białym domu pod zimnym szarym niebem, i znów walczą o to, która przeżyje, a która umrze.

Opieram się o łóżko. Kręci mi się w głowie.

– Co się stało, mamusiu?

– Nic, nic, kochanie. Mama jest tylko trochę zmęczona.

– Wyglądasz inaczej.

Dlaczego w tym pokoju jest tak zimno? W tym domu, w tej chacie zawsze jest zimno. Zawsze ma się wrażenie, że lodowate, nieubłagane morze wżarło się w nią aż do kości, ale to nowe, inne zimno. Z moich ust unosi się para.

– Strasznie tu zimno – mówi Kirstie.

– Tak – potwierdzam i wstaję. – Chodźmy do salonu, porządnie dołożymy do kominka.

Biorę ją za rączkę, i ona również jest zimna, jak dłoń trupa. Pamiętam, jak trzymałam wciąż ciepłą dłoń Kirstie, rozpaczliwie próbując wyczuć puls, gdy zbiegłam po schodach w Devon, żeby zobaczyć, czy żyje.

Czy Kirstie naprawdę jest w tym pokoju? Zaczynam mieć wątpliwości. Rozglądam się po

białych ścianach, patrzę na krucyfiks wiszący obok szkockiego wodza, na stare okna, za którymi widać mokre zielone wrzosi i granatowoniebieskie morze. Wiatr szybko się wzmacnia. Skarłowaciałe drzewa na Torran uginają się pod jego naporem.

– No chodź, Muminku.

Głos mam ochrypliwy. Próbuję jej nie pokazać, jak bardzo się boję. Boję się tego domu. Boję się tej wspaniałości. Boję się tego, co się z nami dzieje. I boję się swojej córki.

Wydaje się niczym nie przejmować. Wchodzi mi do salonu i spokojnie siada na sofie, mimo tego, co przeżyła w szkole.

Ale gdy kłękam i wsuwam polana w zawsze głodne płomienie, nie jestem spokojna. W silnym wietrze skrzypią zniszczone futryny okien i wszystkie te dziwne chwile zaczynają się zbiegać. Dokładam do ognia i wpatruję się w płomienie. Co przed chwilą widziałam? Co się stało Emily Durrant? Krzyczała coś o lustrze?

I ten incydent w szkole. *Bogan, bogan, bogan.* D u c h, d u c h, d u c h.

Czy dom naprawdę może być nawiedzony? Nie wierzę w duchy. Ale to Kirstie była w tym lustrze. Ale Kirstie była i jest identyczna jak Lydia. Więc to była również Lydia. Są swoimi duchami, Lydia już jest żywym duchem Kirstie. I tak żyję z duchem. Dlaczego nie mogę uwierzyć w duchy?

Bo one nie istnieją.

Ale to Kirstie była w tym lustrze. Wróciła, żeby się przywitać. Wróciła, żeby porozmawiać z mamą.

P o z w o l i ł a ś m i s k o c z y ć, m a m u s i u. T o b y ł a t w o j a w i n a.

I to była moja wina. Dlaczego mnie przy tym nie było? Dlaczego nie opiekowałam się swoimi córkami? To ja za nie odpowiadałam. Angus był w Londynie. Powinnam przy nich być. Powinnam być przy nich o wiele wcześniej: powstrzymać go przed tym, co robił. Powinnam była zauważyć znaki. *Zwiększone ryzyko wykorzystywania seksualnego przez ojca.*

C z e m u g o n i e p o w s t r z y m a ł a ś, m a m u s i u?

– To nie twoja wina – mówi Lydia na głos, i wzdrygam się, jestem przerażona, upuszczam mokre polano na zniszczony dywanik

Wpatruję się w nią.

– Co?

– To ze szkołą – mówi. – To nie była twoja wina. To była wina Kirstie. Ciągłe wraca, prawda? Boję się jej.

– Nie bądź głuptaskiem, Lydio. – Podnoszę polano i wkładam je w płomienie. Ogień trzaska i huczy, ale nie przestaje być zimno. Jeśli odejdę na cztery metry od płomieni, z moich ust znów będzie się unosić para. Ten pieprzony dom.

– W każdym razie, Lydio, niedługo wyjeżdżamy, więc już nie musisz się o to martwić.

– Co?

– Wyprowadzam się, kochanie. Wyjeżdżamy.

– Opuścimy wyspę?

– Tak

Jej twarz się wykrzywia: może to panika, może smutek

– Ale chciałaś, żebyśmy tu przyjechali, mamusiu, i mówiłaś, że będzie lepiej niż przedtem.

– Wiem. Ale...

– A co z Kirstie? Kirstie tu jest. I Beany też tu jest. Nie możemy ich zostawić, prawda? I co z tatusem...

– Ale...

– Nie chcę nigdzie jechać... chyba że tatuś też pojedzie!

Znów ogarnia ją niepokój, o wiele za szybko. Teraz wszystko wytrąca ją z równowagi. Stała się taka krucha, że aż nieprzystępna. Co mogą powiedzieć?

– Och, będziemy się spotykać z tatusem, obiecuję. Musimy tylko znaleźć sobie nowy dom, z drogą i z telewizorem. Nie byłoby fajnie? Nowy dom, w którym będzie telewizor, ogrzewanie i wszytoko.

Lydia milczy. Wpatruje się w płonące polana. Widzę słabą poświatę na jej drobnej niespokojnej twarzyczce. Na dworze zbierają się ciemności. Krucze skrzydło zasłania świat. Wiatr uderza w okna. To coś więcej niż zwykła brutalna bryza na Torran. Wiatr mknie w naszą stronę od Eisort i Tokavaig, od Ord i Sgurr Alasdair, i słyszę jęki sosen na Salmadair.

– Ona tu teraz jest, prawda? – pyta Lydia bardzo cicho.

– Co?

– Kirstie. Jest tu.

– Co?

Krew w moich dłoniach jest tak zimna, że aż mrozi.

Lydia spogląda na mnie, jej twarz wyraża dziwną mieszaninę bierności i strachu.

– Ona tu teraz jest, mamusi. Tutaj. W tym pokoju. Patrz!

Rozglądam się po pokoju, czuję coś, co jest prawie przerażeniem. Spodziewam się, że zobaczę swoją martwą córkę wylaniającą się z zimnego półmroku przedpokoju. Ale nic nie ma. Tylko cienie mebli tańczące na ścianach, rozwścieczone huczącym w kominku ogniem.

– Bzdury, Lydio. Może po prostu wyjdźmy. Zrobię nam...

Przerywa mi straszliwy hałas: boję się tak, że śmieję się nerwowo, i uświadamiam sobie, że to telefon. Po prostu telefon? Jestem tak pobudzona i zdenerwowana, że staromodny dzwonek telefonu wystarczy, by mnie przerazić. Przytomnieję, przytulam Lydię, całuję ją i biegnę do jadalni, spragniona ludzkiego głosu, głosu dorosłego, kogoś z zewnątrz, kogoś, kto jest gdzieś, gdzie wszystko jest normalne, kogoś ze stałego lądu, gdzie ludzie żyją, pracują i oglądają telewizję. Mam nadzieję, że to Molly, może Josh, moi rodzice, nie miałabym nawet nic przeciwko temu, żeby dzwoniła Imogen.

To Angus.

Jedyny człowiek na świecie, z którym nie mam ochoty rozmawiać, to ten jedyny, który do mnie dzwoni. Słyszę jego poważny głos i wypełnia mnie tęsknota i pełna smutku gorycz. Mam ochotę cisnąć telefonem o ścianę. Ledwie się powstrzymuję. A on gada o pogodzie.

O jebanej pogodzie?

– Poważnie, Saro. Mówią, że będzie naprawdę okropnie. Wielki, potężny sztorm. Myślę, że powinnaś opuścić wyspę. Mogę po was przyплыć łodzią Joshua.

– Co? I mam mieszkać z tobą, Gus? Byłoby tak m i ło.

– Naprawdę. Spójrz, jak wieje, Saro. Spójrz. A wiatr jeszcze przybiera na sile. To dopiero początek. Pamiętaj, co ci mówiłem? Te sztormy potrafią trwać całymi dniami.

– Tak Rozumiem.

– A Torran z tego słynie. Torran. Eilean Torran. Wyspa Pioruna. Pamiętaj, Saro? Pamiętaj?

Spoglądam przez okno na zimowe ciemności. Resztki dziennego światła uciekły na zachód, widzę ostatnie słabe promienie nad Tokavaig. Ale niebo się oczyszcza, świeci księżyc w pełni. Morze wydaje się spokojniejsze, drzewa przestały tak okropnie jęczeć. Jediną dziwną rzeczą są te wysokie poszarpane chmury: pędzą po granatowoczarnym niebie bezgłośnie i bardzo szybko.

– Jak dla mnie wygląda w porządku. Wiatr osłabił. Gus, proszę, przestań do nas wydzwaniać, przestań nas niepokoić, wiesz, ja... ja... wiesz dlaczego... – Muszę to powiedzieć, muszę. Powiem to. – Wiesz, co zrobiłeś. Mam już dość kłamstw. Wiesz, co się stało? Ja wiem, co się stało. Przestańmy kłamać, tu i teraz.

W telefonie panuje martwa cisza. Jakby się w końcu ostatecznie zepsuł. A potem Angus pyta:

– O czym ty, kurwa, gadasz?

– O tobie, Angus. O t o b i e. O tobie i o Kirstie.

– Co?

– Wiesz, co zrobiłeś. Rozgryzłam to. Lydia mi powiedziała. Że dotykałeś Kirstie. Całowałeś ją. Że się ciebie bała. I doktor Kellaway właściwie to potwierdził.

– Co? Saro? To jakieś brednie. O czym ty, kurwa, mówisz?

– Wykorzystałeś ją. Wykorzystałeś Kirstie. Seksualnie. Dotykałeś jej, oto co robiłeś, ty sukinyśnu! Oto co robiłeś całymi miesiącami, latami. Jak długo? Sadzałeś ją sobie na kolanach, przytulałeś ją, kurwa. Obmacywałeś ją, co? Nawet nie próbuj zaprzeczać. To dlatego skoczyła, bała się ciebie i skoczyła, prawda? Skoczyła, do kurwy nędzy, skoczyła! Popelniła samobójstwo, i to przez ciebie, przez własnego ojca. Gwałciłeś ją? Jak daleko się posunąłeś? A teraz Lydia też jest pojebana, nie wie, co robić. Wykończyłeś nas, wykończyłeś tę rodzinę, załatwiłeś nas, ty... i... i...

Skończyła mi się nienawiść. Słowa nie chcą płynąć. Drzę, ściskam w ręce telefon. Angus milczy. Nie jestem pewna, czego się spodziewam. Wściekłości? Zarliwych zaprzeczeń?

Odpowiada, już spokojnie. W jego głosie słychać złość, ale panuje nad sobą.

– To nieprawda. Saro, to wszystko nieprawda. Od początku do końca.

– Ach tak? Czyli...

– Nigdy nie tknąłem Kirstie. Nie w ten sposób. Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?

– Lydia mi powiedziała.

– Tak dotykałem Kirstie. Przytulałem ją. Dawałem buziaki. To wszystko. Próbowałem ją trochę rozweselić. Być czuły. A dlaczego? Bo ty taka nie byłaś, oto dlaczego.

– Bała się ciebie.

– Nakrzyczałem na nią. Raz. Saro, to szaleństwo. Kurwa, jesteś popierdolona.

– Nawet nie próbuj przerzucić tego na mnie, nie...

– Zamknij się – mówi. – Zamknij. Się. Kurwa!

Ucisza mnie, jestem jak zbesztane dziecko. Jakimś sposobem wciąż potrafi to robić. Bo kiedy to robi, znów mam siedem lat: i tata krzyczy. Ale Angus nie krzyczy, ciągnie dalej, powoli i dobitnie:

– Jeśli chcesz poznać prawdę, zapytaj córkę, co się wtedy stało. Poproś, żeby powiedziała ci to, co mnie sześć miesięcy temu.

– Co?

– Zapytaj ją, jeśli musisz. I zajrzyj do komody. Dotarłaś do dolnej szuflady, co? Nie? – Jego głos ocieka wściekłością. – A potem dobrze się przygotuj, Saro. Nadciąga sztorm. Jeśli chcesz go przetrwać na Torran, to nic na to nie poradzę. Pierdol się. Ale nie pozwól naszej córce wyjść na

dwór. Zadbaj, by była bezpieczna.

Namieszkał mi w głowie. Ale może to właśnie próbuje osiągnąć. Znów ogarnia mnie wściekłość.

– Nie zbliżaj się do nas, Angus. Nie zbliżaj się do nas, nie mów do nas, po prostu... nie.

Upuszczam telefon.

– Mamusiu?

To Lydia. Jest w jadalni: nie słyszałam, jak weszła. Bo wrzeszczałam na Angusa.

– Mamusiu? Co się dzieje?

Robi mi się niedobrze. Ile z tej rozmowy słyszała? Poniosło mnie. Nie myślałam. Słyszała, jak oskarżam jej ojca o to, że zgwałcił Kirstie? Co ja narobiłam? Wszytko tylko pogarszam?

Mogę tylko udawać, że nie powiedziałam żadnej z tych rzeczy, i zachowywać się normalnie. Nie mogę przecież pochylić się nad nią i spytać, czy słyszała, jak oskarżam tatusia o gwałt.

– Nic się nie stało, małeńka. Mama i tata po prostu rozmawiali.

– Nieprawda, krzyczałaś.

Co słyszała? Zmuszam się do uśmiechu. Ona się nie uśmiecha.

– Co się stało, mamusiu? Dlaczego krzyczysz na tatę? To przez Kirstie, bo ona ciągle wraca, bo tatuś chce, żeby wróciła?

Mam ochotę powiedzieć: tak.

Ale panuję nad sobą, opiekuńczo obejmuję jej ramiona i zabieram ją stamtąd, od tego wszystkiego: kuchnia wygląda jak z jakiegoś dramatu, jak z telewizyjnej sztuki, przygotowana scena. Coś w rodzaju normalności. Ale ściany nie są prawdziwe, światło jest nierzeczywiste, i wszędzie wokół zalega dziwna ciemność, a ludzie się przyglądają. Milczący tłum oglądający nas na scenie, w świetle.

– Napijemy się herbaty? Chcesz coś na podwieczorek?

Lydia wpatruje się we mnie, potem w lodówkę.

– Nie wiem.

– Co tylko chcesz, Muminku. Cokolwiek, co mamy w lodówce.

– Mmm... tosta z serem.

– Dobry pomysł! Zrobię ser na tosta, to potrwa tylko chwilę. Idź się pobawić w salonie i daj mi znać, czy w kominku dobrze się pali.

Lydia spogląda na mnie trochę podejrzliwie – albo nieufnie – a potem wychodzi. Przyjmuję to z ogromną ulgą. Teraz mogę udawać, że nie słyszała mojej pogawędki z Angusem.

Ostrożnie wyjmuję chleb z drucianego koszyka, który mam nad głową, potem cheddar z lodówki. Wyglądam przez okno: te dziwne szare chmury znów mkną po niebie, bardzo szybko, przesuwały się po przerażonym białym obliczu księżyca. Drzewa znów jęczą, wiatr przybiera na sile. Czyżby Angus miał rację co do tego sztormu?

Muszę dać jeść córce.

Gdy ser już się topi i fałduje, wysuwam tackę, kładę tosta na talerzu, kroję go na kawałeczki, które zmieszczą się do buzi, i zanoszę do jadalni. Lydia czeka cierpliwie. Przy stole. Ma teraz niebieskie skarpetki. Musiała je włożyć dosłownie przed chwilą. Znów ma przy sobie Lamparcika. Siedzi na stole obok niej. Jego obojętny, pluszowy uśmiech jest wycelowany prosto we mnie.

Lydia bierze do rąk swoje sztucce z pomarańczowymi i plastikowymi rączkami i spokojnie zjada tosta. Obok jej talerza leży książka. Zwykle nie lubię, kiedy czyta przy jedzeniu, ale dziś nie

zamierzam jej przeskądzać. Wydaje się dziwnie zadowolona, jeśli wziąć pod uwagę te okropności, przez które przeszła w szkole.

Wyglądam przez okno. Księżyc zniknął za wielkimi chmurami. Drzewa jęczą o wiele głośniej. Deszcz uderza o szyby. Wściekle, z pogardą. Lydia je, czyta i nuci sobie piosenkę: *Piosenkę za sześć pensów*.

Rymowaną Kirstie. Nuci ją.

Dwadzieścia cztery kosy upieczone w pasztecie.

Próbuję zachować spokój. Ale ogarnia mnie to silne, nagłe i przytłaczające przeświadczenie, że to jest K i r s t i e, że siedzi tuż przede mną. W półmroku jadalni, na wyspie skulonej przed nadciągającym sztormem pod mrugającą latarnią, która co dziewięć sekund rozpaczliwie wysyła sygnał nad ciemnymi wodami cieśniny. P o m o c y, p o m o c y, p o m o c y.

– Lydio – mówię.

Nie odwraca się.

– Lydia.

Wciąż się nie odwraca. Je i nuci. Lamparcik siedzi na stole, uśmiecha się do mnie. Muszę się wziąć w garść, myśleć logicznie: to Lydia tutaj siedzi. Cały ten stres sprawia, że mam jakieś zwidy.

Opiaram się wygodnie, oddycham głęboko. Uspokajam się. Przyglądam się córce. Usiłuję być obiektywna. Teraz przypomina mi się, co powiedział Angus: zapytaj ją, co się wtedy stało. Poproś, żeby ci powiedziała to co mnie sześć miesięcy temu. Coś w tych słowach boli. Całkiem przekonująco wypierał się tego, że molestował dziecko. Nie wierzę mu, ale i tak mam wątpliwości. Czyżbym pochopnie wyciągnęła jakieś straszne, fałszywe wnioski?

Co robić?

Sztorm naprawdę przybiera na sile, słyszę gdzieś jakieś drzwi, wciąż trzaskają bezradnie. To na zewnątrz, może to drzwi od szopy. Kiepsko to brzmi, jakby miały się urwać. Muszę wszystko zabezpieczyć: dobrze się przygotuj.

Więc nie mam wielkiego wyboru, wiem, co muszę teraz zrobić. Pogoda rządzi. Pochylam się nad stołem, dotykam dłoni Lydii, by zwróciła na mnie uwagę. Jest pochłonięta książką i przestała nucić tę przerażającą piosenkę.

– Kochanie, poczekaj tutaj. W nocy będzie naprawdę paskudna pogoda i muszę sprawdzić dom. Od zewnątrz.

Podnosi wzrok i wzrusza ramionami. Bierna, rozkojarzona.

– Dobrze, mamusiu.

Wstaję, idę do sypialni. Nie chcę spojrzeć w lustro. Wkładam gruby sweter, a potem najlepszy anorak North Face. Wracam do kuchni, wkładam kalosze, przygotowuję się psychicznie i otwieram drzwi.

Wiatr wieje dziko. W ciemnym, zimnym powietrzu fruują suche liście, kawałki wodorostów, wyschnięte paprocie. Latarnia wydaje się kurczyć w huku wichru. Jej mrugające światło nie przynosi już pocieszenia.

Muszę zabezpieczyć wszystkie drzwi. Wiatr jest tak silny, że kiedy obchodzę dom, o mało mnie nie przewraca na śliską trawę. Jeszcze nigdy nie przeżyłam takiej wichury: w łagodnym klimacie południowej Anglii takich nie ma. Co chwilę deszcz zacina mi w twarz: to pali, jakby ktoś rzucał we mnie zimną ziemią, czymś ostrym. Jakby próbował mi gozić.

Drzwi od szopy trzaskają na zardzewiałych zawiasach: brzmi to tak, jakby zaraz miały się urwać. Dłonie drętwieją mi od deszczu i zimna. Zamykam je i wsuwam drewniany skobel. Kiedyś się zastanawiałam, dlaczego wszystkie drzwi mają na zewnątrz te skoble. Teraz już wiem. Z powodu sztormów na Wyspie Pioruna – Eilean Torran.

Zajmuje mi to dwadzieścia minut. Najtrudniej jest wciągnąć mokry ponton tak wysoko, jak tylko się da, w ciemności, w huczących porywach wiatru i w tej okropnej wilgoci. Ciągnę go i niemal się przewracam; uderzam kolanem o kamienie, łapię równowagę.

– Jezu – mówię. – No dalej, Saro! – krzyczę głośno, do siebie. Ale słowa porywa wiatr, ciska nimi w morze. – No dalej!

Jak wysoko muszę wciągnąć łódź, by była bezpieczna? Wlokę ją aż do stopni prowadzących do latarni. Potem obciążam ją kotwicą i przywiązuję do barierki. Drętwieją mi palce.

Już. Zrobione. Umieć wiązać węzły, Angus mnie nauczył.

Biegnę skulona do kuchennych drzwi. Przytrzymuję kaptur, by się osłonić przed zacinającym wściekłym deszczem. Z ulgą wpadam do kuchni, zamykam za sobą drzwi. Mają skobel od środka: wsuwam go na miejsce. Straszliwe jęki i wycie są teraz stłumione, ale wciąż je słychać.

– Mamusiu, boję się.

Lydia stoi w kuchni.

– Tak głośno wieje, mamusiu.

– Hej, to tylko sztorm – mówię i przytulam ją. – Musimy go po prostu przeczełkać. Nic nam nie będzie. Mamy jedzenie i drewno. To będzie taka przygoda.

– Tatuś przyjdzie nam pomóc?

– Nie dzisiaj, kochanie, ale może jutro. Zobaczymy.

Kłamię. To nie ma znaczenia. Wzmianka o Angusie przywodzi mi na myśl jego słowa: to, jak się wypierał, że wykorzystywał Kirstie. A potem to drugie zdanie: zapytaj Lydię, co mi powiedziała sześć miesięcy temu. Będę się musiała temu przyjrzeć. Dla Lydie to będzie bolesne. Ale jeśli tego nie zrobię, jej matka oszaleje, a to byłoby jeszcze gorsze.

– Chodźmy do salonu, kochanie. Chcę cię o coś zapytać.

Spogląda na mnie. Jest spanikowana.

– O co zapytać?

Prowadzę ją do salonu, zaciągam zasłony, odcinam się od deszczu i wichru. Wiatr uderza w dach – brzmi to tak, jakby zrywał łupkowe dachówki. A potem siadamy przy ogniu, przytulamy się na sofie pod kocem, który wciąż trochę pachnie Beany m. I pytam ją.

– Wiesz, że mówiłaś, że tatuś dotykał i całował Kirstie?

Ucieka wzrokiem. Jest zakłopotana?

– Tak, mamusiu.

– Co miałaś na myśli?

– Co?

– Kiedy to mówiłaś. Czy chodziło ci o to, że... – szukam właściwych słów. – Że dotykał ją i całował tak, jak mamusia i tatuś dotykają się i całują? O to ci chodziło?

Skupia się na mnie bez reszty. Widzę, że jest w szoku.

– Nie. Nie, mammo. Nie! Nie tak!

– Czyli... – Czuję, że otwiera się we mnie ciemność. Mogłam popełnić potworny błąd. Znowu.

– Co miałaś na myśli, Lydie?

– Po prostu ją przytulał, bo ty nie chciałaś, mamó. A potem krzyczał. I wystraszyła się. Nie wiem, dlaczego krzyczał.

– Jesteś pewna?

– Tak, mamusiu. Jestem pewna. Nie całował jej tak, jak mamusia całuje się z tatusiem. Nie. Nie! Nie tak!

Ciemność zmienia się w czerń.

Oddycham głęboko, przy mykam oczy. Potem próbuję jeszcze raz.

– No dobrze. Jeszcze jedno pytanie, malutka. Co powiedziałaś tatusiowi sześć miesięcy temu?

Lydia po prostu siedzi. Zakłopotana. Sztynna. Nie patrzy na mnie. W jej wilgotnych od łez oczach widać złość i przerażenie.

Powtarzam pytanie.

– Nic.

Tak jak jej matka i babka. Nic.

Ale ja zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć. Dotarłam tak daleko, muszę dotrzeć do końca. Nawet jeśli ona przez to cierpi. Usprawiedliwiam to tym, że jeśli zrobię to wszystko w jeden dzień, to może zatrze się to w jej pamięci i pozostanie tylko wspomnienie o jednym strasznym dniu, Dniu Sztorumu.

Pytam jeszcze raz. Nic.

Próbuję raz jeszcze.

– Czy tatuś kiedykolwiek wypytywał cię o Kirstie? Albo powiedziałaś mu kiedyś coś o Kirstie, kiedy cię pytał?

Kręci głową. Odsuwa się ode mnie: wyplątuje się z moich objęć, siada dalej. Za oknem wiatr krzyczy w gałęziach drzew. To okropne. Pytam jeszcze raz. Muszę wiedzieć.

– Powiedziałaś coś tatusiowi sześć miesięcy temu?

Żadnej reakcji.

– Lydio?

Milczenie. A potem coś w niej pęka.

– Właśnie tak robił tatuś, właśnie tak robił tatuś. Robisz to co on. PRZESTAŃ!

Że co?

Wyciągam rękę, chcę uspokoić swoją zdenerwowaną córkę.

– Co powiedziałaś, kochanie? Co masz na myśli? Co robił tatuś?

– Tak jak ty. Tak jak TO. To, co teraz robisz.

– Lydio, powiedz mi...

– Nie jestem Lydia, jestem Kirstie.

Muszę to puścić mimo uszu.

– Lydio, co mówił tatuś? Co mu powiedziałaś? Powiedz mi.

Wiatr z całych sił napiera na ściany i drzwi. Mam wrażenie, że dom zaraz się zawali.

– On TAK robił. Ciągle mnie PYTAŁ o wypadek, więc powiedziałam mu, mamusiu, powiedziałam mu...

– Co, kochanie? – Krew szumi mi w uszach głośniejsz niż huczący za oknem wiatr. – Po prostu powtórz mi to, co mu powiedziałaś.

Lydia spogląda na mnie z powagą. Nagle wydaje się starsza. Jak dorosła osoba, którą kiedyś się stanie. I mówi:

– Powiedziałałam tatusiowi, że to zrobiłam, i zrobiłam, zrobiłam, zrobiłam coś złego.

– Co? Co chcesz przez to powiedzieć? Co zrobiłaś?

– Powiedziałałam tatusiowi, że zrobiłam coś złego. I ZROBIŁAM. Tatuś nic nie zrobił. Ale nigdy nie mówiłam mu o tobie, nic o tobie, mówiłam mu o sobie, nie o tobie, więc nie był zły na CIEBIE...

– Lydio?

– Co?!

– Lydio. Powiedz mi. Od razu. Powiedz mi wszystko.

– Powiedzieć ci wszystko? Ale ty w ie sz! W i e s z już wszystko! – Wiatr tworzy duet z moją córką, krzyczy i powtarza: – Mamusiu, wiesz, co się stało. W i e sz!

– Nie, nie wiem.

– Tak, wiesz, wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Tak, wiesz, WIESZ! – moja córka trzęsie się i krzyczy. – To nie byłam ja. To nie byłam tylko ja. – Nagle milknie. Patrzy mi w oczy. A potem wrzeszczy mi w twarz: – MAMUSIU, ONA UMARŁA PRZEZ CIEBIE!

Angus siedział w Selkie, obracał w palcach potrójną Ardbeg: pił sam. Pub był opustoszały, było tylko kilku miejscowych, między innymi Gordon. Dopijali piwo, a potem mieli pójść do domów, by przeczekać sztorm.

Angus zarezerwował pokój na górze. Latem The Selkie był drogi, ale w środku zimy bardzo tani.

Zatrzymałby się znów u Josha i Molly – zwykle byli bardzo wspaniałomyślni – ale wydawało mu się to niewłaściwe. Za bardzo go rozwścieczyły oburzające oskarżenia Sary. Josh i Molly czuliby się przy nim nieswojo.

Wykorzystywanie seksualne dziecka.

To było szaleństwo. Sam ten pomysł – sam pomysł, żeby wpaść na taki pomysł – doprowadzał go do szału. Może to i dobrze, że musiał zostać na Sleat, z dala od rodziny, bo gdyby zobaczył Sarę po tych wszystkich szklankach whisky, pewnie by ją zabił. Naprawdę zabił. Zrobiłby to. Byłby do tego zdolny. Po prostu skrzyłby jej kark.

Teraz dostrzegł w sobie ojca: maltretującego i poniewierającego drobną kobietą. Różnica polegała na tym, że on byłby usprawiedliwiony.

Wykorzystywanie seksualne dziecka.

Gwałciłś Kirstie?

Wściekłość niemal go zamroczyła. Uspokoił się kolejnym łykiem whisky. I jeszcze jednym. Co innego mógł zrobić? Tak czy inaczej to wszystko było jej winą.

Wstał i podszedł do okna. Przez grubą szybę spoglądał pijanym wzrokiem na wyspę, teraz zamazaną w deszczu i ciemnościach.

Jak sobie radzi jego córeczka, która utknęła na tej wyspie na czas sztormu? Czy Sarah miała dość rozsądku, żeby się porządnie zabunkrować? Czy zabezpieczyła wszystkie drzwi i okna? Zasunęła skoble? Czy przywiązała łódź do barierki przy latarni? Nie jest idiotką. Może zrobiła to wszystko.

Ale od czasu śmierci córki jest też rozchwiana. W ostatnich miesiącach doszła do siebie, ale teraz najwyraźniej znów wciągnął ją wir. Wir jej własnego szaleństwa.

Wykorzystywanie seksualne dziecka.

Miał ochotę wypuścić te słowa na podłogę. Suka. Jebana pizza. Wykorzystywanie dziecka?

Jakie kłamstwa sączyła teraz do uszu jego córce?

Musiał się tam dostać, zapanować nad sytuacją, ale trwał przypiętym, a pogoda zrobiła się zbyt paskudna, by mógł się bezpiecznie przeprawić bez wielkiej łodzi. RIB Josha nie był stworzony do pływania podczas takiej wichury. Pomyślał, że może minąć kilka dni, zanim sztorm się skończy.

A to oznaczało, że jeśli będzie musiał się dostać na Torran łodzią, będzie zmuszony zadzwonić na policję i oficjalnie prosić o pomoc. Nie poradzi sobie bez policji, straży przybrzeżnej, przedstawicieli prawa. Ale jeśli ich wciągnie w ten bajzel, wszystko się pogmatwa. Może zostanie aresztowany za wykorzystywanie dziecka. Pewnie tak będzie. I nawet jeśli mu się uda udowodnić, że to absurdalne zarzuty, policja może zacząć pytać o wypadek, a wtedy mogą odkryć, że jedna siostra pchnęła drugą, że doszło do morderstwa, choć popełniło je dziecko.

A wtedy wszystko, do czego dążył – bo chciał uratować rodzinę, mimo wszystko – rozpadłoby się na kawałki. Ich życie ległoby w gruzach po raz drugi. Koszmarny wir policji, lekarzy, psychologów dziecięcych. Sarah by się załamała, gdyby wyszło na jaw, że to ona za to odpowiada, gdyby już nie mogła się tego wypierać.

Ale i tak mogła się załamać: przez jego głupi wybuch. Nie powinien był jej mówić o komodzie. Chciał się po prostu wyżyć, wściekł się. Nie myślał. A teraz, jeśli to zapamiętała i naprawdę zajrzała do dolnej szuflady, pozna prawdę i nie sposób przewidzieć, jak zareaguje. Tam, na wyspie. Miała się zajmować jego córeczką. Może powinien zniszczyć zawartość tej szuflady wiele miesięcy temu. A jednak to wszystko zachował, na wszelki wypadek. Jak zapasową amunicję. Myślał, że gdy jego córka spokojnie dorośnie, mógłby jej to pokazać: z o b a c z, s u k o! P a t r z, c o z r o b i ł a ś! T o s i ę s t a ł o N A P R A W D Ę.

Za późno.

Usiadł – pokonany, pijany, zły, roztrzęsiony – na twardym, niewygodnym krześle. Był sparaliżowany. Chyba nie mógł nic zrobić, póki nie minie sztorm. Ale był zdesperowany.

– Wszystko w porządku, Angus?

To był Gordon, wychodził z pubu.

– Twoje dziewczyny siedzą na Torran?

Kiwnął głową. Gordon się nachmurzył.

– Ciężka noc jak na to, żeby siedziały tam same. W tym domu jest piekielnie zimno podczas takich sztormów.

– Wiem.

Gordon pokręcił głową.

– I te grzmoty. Aż człowiek ma ochotę się napić! – Zerknął na szkanek w ręce Angusa i znów zmarszczył brwi. – No dobra. Jakbyś potrzebował jakiejś pomocy, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Dzięki, Gordon.

Gordon westchnął, wyraźnie skonsternowany, otworzył drzwi na wyjący wiatr i zniknął.

Angus znów zapatrzył się w okno. Wiatr był tak silny, że odrywał z drzew małe gałęzie. Parking przed The Selkie był zasypany liśćmi, gałęziami i zwiedłymi paprociami.

Co teraz robi Sarah na Torran? Co robi z jego córką?

Musi się tam dostać, gdy tylko zacznie się odpływ. Nie ma znaczenia, że to niebezpieczne: gdyby nie zrobił nic, byłoby jeszcze gorzej. Musi się tam dostać i przemówić Sarze do rozsądku. Albo ją uspokoić. Albo może uciszyć.

Więc taki miał plan. Przejdzie przez bagna o świcie, podczas następnego odpływu, o szóstej rano. A do tego czasu będzie zapijał ból i tłumił gniew. Dopóki ten gniew nie będzie mu potrzebny.

Pytam po raz trzeci, może po raz czwarty. To zbyt wiele.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to p r z e z e m nie?

Nie potrafię zapanować nad drżeniem głosu. Lydia przestała już krzyczeć, przestała płakać, ale odwraca wzrok. Obok niej leży Lamparcik. Bierze go i mocno przytula, jakby był lepszym przyjacielem niż ja. Lepszym niż własna matka.

– Lydio, co zrobiłam? Dlaczego mówisz, że to przeze mnie?

– Nie powiem.

– No dalej, proszę. Nie będę zła.

– Będziesz. Tak jak wtedy w kuchni u babci.

Wiatr szarpie oknami jak włamywacz. Sprawdza dom. Wyszukuje słabe punkty.

– Lydio. Lydio, p r o s z ę.

– Nie. Nikt. Nic.

– Proszę, Lydie-lo, powiedz mi. Proszę!

Odwraca się, mruży oczy. Słyszę, jak wichura szarpie kuchenne drzwi. Drewniany skobel skrzy pi.

– Brałaś pigułki, pamiętasz, mamusiu?

– Co proszę?

Kręci głową. Wydaje się bardzo smutna, ale nie płacze.

– Jak to brałam pigułki?

– Wszyscy mówili, że jesteś chora, mamusiu. Bałam się, że umrzesz tak jak Kirstie.

– Jakie pigułki?

– Specjalne pigułki. Och, mamusiu, no wiesz. Tatuś je trzymał.

– On...

Pigułki? Mam wrażenie, że wracają jakieś mgliste wspomnienia. Faktycznie po wypadku brałam pigułki. To ten terapeuta, który pisał do mnie maile, zalecił stosowanie leków. Tak, niejasno to sobie przypominam.

Ale dlaczego? Był jakiś szczególny powód?

– Bierze je znowu, mamusiu. Byłaś lepsza, kiedy je brałaś.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz, Lydio. Musimy po prostu przeczekać sztorm.

Patrzy na mnie błagalnie. Znowu wydaje się bardzo małuśka: chce odzyskać mamę.

– Mamusiu, boję się tego sztormu. Proszę, po prostu je weź. Wiem, gdzie tatuś je trzymał. W szufladzie w sypialni. Widziałam, jak je tam odkładał.

Komoda. Komoda Angusa. Nie przeszukałam jej dokładnie, do końca. Wspominał o dolnej

szufladzie, kiedy rozmawialiśmy. Jeszcze się z tym nie zmierzylam. Czy kryje się tam coś jeszcze?

– No dobrze – mówię. – Robi się późno. Chcesz się położyć spać?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie.

– Jeśli chcesz, możesz spać ze mną.

– Nie!

Kurczowo ściska Lamparcika, jakby się bała, że wiatr wyrwie go z jej objęć. Czemu nie? Wichura wyje w drzewach jak stado wilków. Pogoda nas dręczy: jest jak wielka skradająca się bestia, dobijająca się do okien, szukająca ofiary. Trwa to już od sześciu godzin i może potrwa trzy dni.

– Chcę iść do łóżka z Lamparcikiem.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

– Dobra. No to tak zróbmy.

Tak jest lepiej. Mogę ją położyć do łóżka, a potem przeszukać szuflady. Raz na zawsze zgłębić tę trującą tajemnicę. Może wtedy będziemy mogły obie przespać najgorszy sztorm, może się obudzimy i niebo będzie błękitne i pogodne, a Knoydart za Loch Hourn będzie się skrzyć od śniegu. Będę musiała przeprosić Angusę. To, co powiedziałam, było okropne, ale on zdradził mnie z Imogen.

Co się kryje w tej komodzie?

Kładzenie Ly dii do łóżka idzie zaskakująco szybko. Biegniemy do jej pokoju, zdejmuję ubranie, wskakuję w piżamę i szybko wpełza pod podwójną koldrę, a ja okrywam ją starannie. Zamyka oczy, mocno ściska Lamparcika. Całuję ją. Pachnie słodko i jakoś smutno. Nostalgicznie.

Deszcz wściekle smaga szybę. Zasuwam zasłonę, żeby nie widziała w odbiciu swojej zmarłej siostry. Właśnie mam wyłączyć światło, gdy otwiera oczy i mówi:

– Mamusiu, czy ja się staję Kirstie?

Siadam na łóżku, biorę ją za rękę i ściskam.

– Nie. Jesteś Ly dią.

Wpatruje się we mnie ufny mi, pełny mi nadziei, błękitny mi oczami. Jest zrozpaczona.

– Ale mamusiu, ja już sama nie wiem. Myślę, że jestem Lydią, ale czasem Kirstie jest we mnie i chce wyjść, a czasem jest w szybach, a czasem po prostu tutaj, z nami.

Głaszczę delikatnie jasne włosy swojej córki. Nie rozplaczę się. Niech wiatr lamentuje za mnie: jest tak głośny, że wystarczy za nas wszystkich. Słyszę okropny huk. Może wiatr wyrwał jakieś drzwi. Może nie przycumowałam porządnie łodzi. Niespecjalnie się tym przejmuję. Przy tej pogodzie i tak nie mogłybyśmy z niej skorzystać: utopiłybyśmy się.

– Lydio, chodźmy spać. Jutro sztorm się skończy, obiecuję, i wszystko będzie dobrze. Jutro będziemy mogły gdzieś pójść.

Patrzy na mnie, jakby mi nie wierzyła. Ale kiwa głową i mówi:

– No dobrze, mamusiu.

– Dobranoc.

Całuję ją jeszcze raz i wdycham jej zapach, żeby go zapamiętać. Potem wyłączam górne światło, zamykam drzwi, biegnę do swojej sypialni, łapię mały kluczyk i otwieram dolną szufladę

komody Angusa. Wiatr łomocze w ściany i łupkowe dachówki. Brzmi to tak jakby ktoś coś przeciągał po dachu.

A może jakby jakiś szaleniec próbował się dostać do środka.

Są. Mnóstwo fiolek z pigułkami.

Trójcykliczne leki przeciwdepresyjne.

Grzechoczą, gdy wyciągam je z szuflady i obracam w dłoni. Jest na nich moje nazwisko: Sarah Moorcroft. Na ostatniej widnieje data sprzed ośmiu miesięcy. Poznaję te fiołki. Mgliste pamiętam, że brałam tabletki. Widzę siebie, jak trzymam w ręce fiołkę. Wyrząsam pigułkę. W kuchni, w Camden.

Więc to prawda. Brałam leki przeciwdepresyjne po śmierci Kirstie? I zapomniałam o tym. W sumie to żadna rewelacja. Moja córka zginęła. Byłam w strasznym stanie.

Ale pod fiołkami leży list. Poznaję po papeterii, że od doktora Malone'a. Mojego lekarza ogólnego. Doktor Malone jest po sześćdziesiątce i pewnie jest ostatnim lekarzem w Anglii, który pisuje prawdziwe listy. Ale ten jest zaadresowany do Angusa. Dlaczego mój lekarz pisze do mojego męża?

Biorę list do ręki i czytam. Wiatr zwalnia, teraz już tylko smutno skowyczy. Jakby chwilowo się znęczył.

Cały ten list jest o mnie. Doktor pisze, że cierpię na zespół powiklanej żaloby. Że mam „głębokie, trwałe poczucie winy” w związku ze śmiercią mojej córki.

Kartka drży mi w ręce. Czytam dalej.

Najwyraźniej czuje się lub czuła odpowiedzialna za niektóre aspekty tego wypadku, wskutek swojego pozamałżeńskiego obcowania tamtego wieczoru. Poczucie winy jest więc zbyt trudne do zniesienia, co prowadzi do sytuacyjnej utraty pamięci, która może się okazać trwała. To rzadki, ale nie niespotykany przypadek, szczególnie forma przejściowej amnezji globalnej. Pańska żona będzie wyraźnie pamiętać drobne fragmenty i stworzy sobie na ich podstawie fałszywy obraz, ale kluczowych, najbardziej bolesnych, nie będzie pamiętać.

Wiadomo, że zwłaszcza rodzice, którzy stracili dziecko, cierpią czasem na tego rodzaju amnezję, jeśli w jakiś sposób się do tego przyczynili. A gdy żaloba przybiera chorobliwe formy, tak jak to miało miejsce w przypadku pańskiej żony, nie istnieje żadne lekarstwo z wyjątkiem czasu. Tabletki, które jej przepisano, zlagodzą jednak najpoważniejsze objawy: niemotę, bezsenność, etc. Tak jak wspomniałem, gdy – i o ile – dojdzie do siebie, najprawdopodobniej nie będzie mieć żadnych wspomnień o najważniejszych wydarzeniach związanych z wypadkiem.

Radzę uznać to za błogosławieństwo: wtedy będziecie państwo mogli pójść dalej, zacząć od nowa, co jest konieczne, jeśli, jak pan wspominał, pragnie pan odbudować rodzinę. I nie powinien pan wspominać o jej psychicznych zaburzeniach, ponieważ to może prowadzić do regresji i pogłębić depresję. Ogromne znaczenie ma to, by nie mówić o tym nikomu spoza najbliższej rodziny, tak jak robi to pan w tej chwili. Jeśli pańska żona z jakiegokolwiek źródła dowie się prawdy, istnieje ryzyko, że będzie chciała popełnić samobójstwo.

To nie wszystko. Doktor Malone życzy mi i Angusowi szczęścia. A potem się żegna.

Pozamałżeńskie obcowanie?

W moim umyśle pojawiają się pierwsze zarysy jakiegoś dawnego wspomnienia. Jak para z oddechu na zimnym szkłe. Pamiętam ten swój dziwny sen. Naga, pozbawiona owłosienia, w kuchni. Potem seks.

A później, gdy się obudziłam, to wyraźne, bolesne poczucie winy.

Nagle deszcz uderza o szybę. Odwracam się do okna. Ciemność wciąż tam jest. Próbuje się wdrzeć do środka.

I znów, jakby ktoś z przejściem pukał palcami w szybę. A potem słyszę koszmarny, głośny, metaliczny odgłos. Wiatr wyrwał z zawiasów drzwi od szopy? Wszystko jest obnażane, aż do kości.

Nad Wyspą Pioruna przetacza się grom. Spoglądam na maleńkie fiolki na podłodze. Zostało w nich kilka zakurzonych tabletek. Mogłabym jedną wziąć. Ale muszę być przytomna, muszę być przy zdrowych zmysłach, bo chcę poznać prawdę, jakkolwiek byłaby bolesna.

I nie sądzę, żebym potrzebowała pomocy, by zasnąć. Jestem wykończona: w tej chwili pragnę się tylko zwinąć w kłębek i szeptać modlitwę. Proszę, proszę, proszę, niech ten sztorm do rana się skończy.

Pozamałżeńskie obcowanie?

Rozbieram się do bielizny, przynoszę kilka koców, gaszę światło, kładę się do łóżka i zamykam oczy. Przez pół godziny mój umysł przetrawia miniony dzień. Wiatr smaga okna. A potem nadchodzi sen, wsya mnie.

Budzi mnie Lydia.

Jest tylko ciemnym kształtem w pokoju. Stoi przy moim łóżku.

– Boję się, mamusiu. Wiatr próbuje wejść do mojego pokoju.

Jestem zaspana, półprzytomna. Jest tak ciemno. Nie mam pojęcia, która godzina. Może druga, trzecia nad ranem?

Wiatr szaleje za oknem: rozrywa wszystko, co stanie mu na drodze. Deszcz wciąż zaciekle bębni w szyby. Ten pieprzony sztorm. Jestem taka zmęczona.

Wyciągam rękę do ciemnych konturów mojej córki. Ujmuję jej ciepłą rączkę. Nie widzę jej twarzy, więc nie jestem pewna, czy płacze. Jej głosik drży. Ziewam szeroko i mówię:

– No to chodź, przytul się do mamy.

Szybko wsłakuje do łóżka, wtula się we mnie, a ja mocno ją przytulam, wdycham słodką woń jej włosów i układamy się na łyżeczki. Ciepło jej ciała mnie pociesza. Znów zasypiam, z uczuciem, które przypomina spokój.

A gdy się budzę, za oknem wciąż jest ciemno, a wiatr, niepokonany, nadal wyje. Nie osłabł ani trochę. Gardzi moimi modlitwami. Mam ochotę wrzasnąć: z a m k n i j s ię! Krzyczeć jak mój ojciec, jak Angus.

I wtedy uświadamiam sobie, że w łóżku nie ma Lydi.

Ale jej kształt odcisnął się w pościeli, w poduszce wciąż jest zagłębienie, tam, gdzie spoczywała jej głowa.

Dokąd poszła?

Zrywam się, zarzucam szlafrok i łapię latarkę, biegnę boso przez dom – przez zimny, ciemny salon, przez korytarz, aż do drzwi jej pokoju. Popycham je i oświetlam latarką jej łóżko. Jest: śpi w swoim łóżku, mała nocna lampka mruga.

Tak jak ją zostawiłam kilka godzin temu. Trzy ma kurczowo Lamparcika.

Wygląda, jakby się nie ruszała przez całą noc. I z pewnością tak było. Gdyby miała przyjść do mojego pokoju, musiałaby przejść w niemal całkowitych ciemnościach. Nigdy by tego nie zrobiła.

Strach wbija we mnie swoje szpony. Tnie mnie na drobne kawaleczki. Dopada mnie panika. Jeśli Lydia nie wstawiała z łóżka od chwili, kiedy ją okryłam, to kto do mnie przyszedł tej nocy? Kim była ta dziewczynka? Ścisnęłam Kirstie? Przytulałam ducha? Prawdziwego, żywego, ciepłokrwistego ducha?

To zbyt wiele. Jestem wariatką, która brała tabletki. Nie mogę tego dłużej znieść. Patrzę na mały kanciasty zegar na stoliku przy łóżku Lydii. Nie ma jeszcze nawet szóstej. Będzie ciemno jeszcze przez dwie godziny.

To się musi skończyć. Jestem na krawędzi. Oświetlając sobie drogę latarką, wracam do salonu. Przechodzę przez jadalnię. Wszędzie jest tak zimno. Jeszcze zimniej niż zwykle. Dlaczego?

Bo na podłodze jest woda. Jest tak zimna, że pieką mnie bosa stopy. Ta woda musiała się skądś wziąć. Czuję, że coś mi kapie na ramię. Nieśmiało kieruję w górę promień latarki.

W suficie jest wielka dziura: wiatr zerwał łupkowe dachówki, pękła belka, przebiła się przez tynk, wyrwała dziurę, przez którą widać ciemne burzowe niebo. Wiatr świszczy w tej dziurze, deszcz sływa do domu.

To katastrofa. Potrzebujemy pomocy.

Podchodzę do parapetu i sięgam po telefon. Nie działa. Oczywiście. Nic nie działa. Linia w końcu się zepsuła. Jedyłą nadzieją, jak sądzę, może być łódź, ale widzę przez okno w jadalni, że to też odpada. Latarnia wciąż mruga, a kiedy rozbłyskuje, pokazuje prawdę.

Miałam rację co do tego metalicznego dźwięku: to była barierka latarni. Została doszczętnie zerwana, a łódź zniknęła. Zerwała się z cumy i w ciągu kilku sekund pomknęła w czerń.

Nawet gdybyśmy chciały podjąć to straszliwe ryzyko i skorzystać z łodzi, w ciemności, przy tej pogodzie, nie możemy tego zrobić. Nie teraz.

Nie mamy łodzi. Nie mamy telefonu. Nie mamy jak się skontaktować z kimś na stałym lądzie, nie mamy jak dotrzeć do Ornsay, dopóki nie zacznie się odpływ. Jesteśmy w pułapce, jesteśmy bezradne. Ja i Lydia.

I któżkolwiek jeszcze tu jest.

Słyszę śpiew.

– Do służki w ogrodzie przyleciał kos.

Dobiega z salonu. Stoję boso w zimnej wodzie. Ale trzęsę się ze strachu, nie z zimna.

Moja zmarła córka śpiewa w ciemnościach w salonie.

– Gdy rozwieszała pranie, oddziaływał jej nos.

Jest w salonie. Opieram się o parapet, żeby się nie przewrócić. Potem odwracam się, idę z latarką do salonu i oświetlam sofę. Jest: sama w ciemności, bosa, w cieplej piżamce. To Lydia. Tak myśle.

Przygląda mi się, mruga w świetle latarki. Jak się tu dostała? Twarz ma bladą, wygląda na wyczerpaną. Deszcz chłostuje szyby. Nie chce przestać. Podchodzę do sofy.

– Kirstie znów tu jest – mówi. – Jest w moim pokoju. Już nie chcę jej widzieć. Mamusi, zrób tak żeby sobie poszła.

Niczego nie pragnę bardziej niż tego, żeby Kirstie sobie poszła. I może Lydia też. Boję się obu swoich córek, obu duchów w tym domu, dwóch duchów w mojej głowie. Bliźniąt z lodu, topniejących, zlewających się ze sobą.

– Chodźmy do mnie, pod kłodrę. Poczekamy, aż sztorm się skończy. To już niedługo, wkrótce będzie jasno.

– Dobrze, mamusiu.

Posłusznie wyciąga rączkę, ale ja biorę ją w ramiona i niosę do sypialni. Okrywam ją w admirałskim łóżu i zamykam drzwi. Potem zasuwam skobel. Cokolwiek kryje się na zewnątrz, nie chcę, żeby weszło do środka.

Potem kładę się do łóżka ze swoją dziewczynką, a ona wtula się we mnie i mówi:

– Nie wierzę w to, co mówi Lydia, mamusiu. Opowiada straszne rzeczy.

Nie słucham jej. Słyszę jakiś głos za drzwiami. Kto to jest?

To musi być ona. Kirstie. Albo Lydia.

Jest niewyraźny, brzmi to jak m a m o, m a m o, m a m o.

Teraz ktoś puka do drzwi. To nie wiatr. To drzwi od sypialni. I znów odzywa się głos.

To ona. Jestem pewna. Stoi za drzwiami.

Trzęsę się.

Mocniej przytulam córkę i zamykam oczy, próbuję się odciąć od wszystkiego: od wiatru, deszczu, dźwięków, głosów. To wszystko musi się skończyć. Ale ten sztorm nigdy się nie skończy, ta noc nigdy się nie skończy, będą po prostu trwałe w nieskończoność, i nie mam wyboru.

Córka obejmuje mnie pod kołdrą, a potem przysuwa twarz do mojej. Czuję w ciemności zapach jej oddechu, słodki, dziecięcy, nieskażony, jakby przed chwiląssała coś słodkiego.

Mówi:

– Kirstie uważa, że to twoja wina. Byłaś z tym panem. To dlatego wróciła, żeby ci zrobić krzywdę.

Wbijają się we mnie odłamki lodu: zimne i ostre, przebijają mi serce.

– Co? Z jakim panem, kochanie?

– Z tym, z którym byłaś tamtego wieczoru. W kuchni. Widziałam, jak się z nim całujesz. Więc to była też twoja wina. Myślałam, że babcia też wiedziała, ale potem mi powiedziała, że nie wolno mi nikomu mówić.

– Tak – odpowiadam.

Bo teraz pamiętam. Wszystko.

To, co pogrzebałam w niepamięci. Dlatego to wyparłam. Zatarłam to wspomnienie, bo poczucie winy było zbyt straszne, bym była w stanie je znieść. To odrzuję do samej siebie musiałam zamazywać, biorąc tabletki.

To próbował mi powiedzieć ten sen kilka tygodni temu. Miałam ogoloną głowę, bo byłam zhańbiona. Byłam naga w kuchni. Ludzie gapili się na mnie. I był tam mężczyzna patrzący na moją nagość.

Kiedy się obudziłam, robiłam sobie dobrze. Bo w tym wszystkim chodziło tylko o seks. Ale to nie był seks z moim byłym, z tym, z którym to robiłam, kiedy dziewczynki były małe.

To było coś o wiele, wiele gorszego.

Angus miał przyjechać bardzo późno. Mama i tata wyszli. Więc zaprosiłam sobie faceta. Poznałam go kilka miesięcy wcześniej w barze przy stoczni jachtowej w Instow. I tamtego wieczoru go zaprosiłam. Bo chciałam się z nim przespać. Znudził mi się seks z Angusem. Zawsze potrzebowałam seksu bardziej niż on.

I chciałam poczuć dreszczyczegoś nowego.

– Mamusiu?

– Już dobrze, kochanie. Wszystko dobrze. Już dobrze.

Namiętnie całowałam się z nim w kuchni. To dlatego byłam rozkojarzona. Piłam wino z mężczyzną, który mi się podobał, i chciałam się z nim przespać, więc całowałam się z nim długo i namiętnie nad stołem, i to wtedy mnie zobaczyły. Byłam zakłopotana i trochę podpiita. Nakrzyczałam na nie. Krzyczałam, żeby sobie poszły. A potem rznąłam się z tym facetem w sypialni dla gości na pierwszym piętrze.

Miał na imię Simon. Teraz wszystko sobie przypominam. Młody, przystojny facet, członek załogi jachtu. Młodszy od Angusa: taki, jaki był Angus, kiedy się pozналиśmy.

Zalewają mnie wspomnienia. Spada na mnie deszcz prawdy. Sztorm wyrwał dziurę.

Gdy już się z nim przespałam, wyszedł, a ja zasnęłam na łóżku po całym tym winie i seksie. W domu nie było nikogo prócz mnie i dzieci. Ale potem zapukały delikatnie i znów na nie nakrzyczałam, pijanym głosem powiedziałam im, żeby sobie poszły. Z n o w u. A potem znów zasnęłam.

Obudził mnie krzyk. Krzyk, który mi powiedział, co zrobiłam.

Wbiegłam na górę i stała tam moja córka. Krzyczała. O swojej siostrze. Ten krzyk powiedział mi prawdę, której nie mogłam znieść. Zdradziłam męża po raz drugi i to zabiło moją dziewczynkę. I dlatego wszystkich okłamałam, natychmiast: policję, lekarzy w szpitalu, Angusa, wszystkich. Nie powiedziałam o tym mężczyźnie, o zdradzie, o zaniedbaniu. Powiedziałam im nawet, że moja córka spadła z balkonu na pierwszym piętrze, bo próbowałam tym głupim kłamstwem odwrócić ich uwagę, ukryć swoją winę. Prawda była zbyt trudna do zniesienia, więc moje kłamstwa stały się prawdą. Nawet dla mnie. Zwłaszcza dla mnie.

Ale i tak wiedzieli, co zrobiłam: wiedzieli o mojej strasznej zbrodni, o zaniedbaniu i o wstydzie. Angus wiedział, moja matka wiedziała, wiedział mój lekarz. Zataili to przed wszystkimi, nawet przed policją, by mnie chronić?

Ale skąd wiedziała mama? Jak się dowiedział Angus?

Może moja matka coś zobaczyła, może moja córka się przyznała, a może ten facet powiedział coś w barze: byłem matką tego wieczoru, kiedy umarło to dziecko. To nie ma znaczenia. Dowiedzieli się. To wszystko była moja wina. Ja to zrobiłam. Znów byłam z innym mężczyzną i dlatego zginęła moja córka. A oni od tego czasu chronili mnie przed straszną rzeczą wistością.

– Tak mi przykro, kochanie. Tak mi przykro.

– Ona teraz wraca, mamusiu. Jest za drzwiami.

– Kirstie?

– Nie, Lydie. Wraca. Posłuchaj.

Wiatr wyje, o szyby bębni deszcz, ale tak, jestem pewna, że słyszę swoją zmarłą córkę. Stoi pod drzwiami sypialni.

Wpuść mnie. Wpuść mnie. Ty to zrobiłaś. Musisz mnie wpuścić.

Placę. Córka przytula się do mnie w łóżku, ja placę, druga córka stoi za drzwiami i mówi:

Mamusiu, wróciłam. Wpuść mnie. Wróciłam.

Całuję moją dziewczynkę w czoło i pytam:

– Ona skoczyła, prawda?

Patrzy na mnie tymi błękitnymi oczami, jak oczy jej babci. Z powagą, drżącym głosem, mówi:

– Nie, mamusiu. Chciałyśmy zejść na dół z balkonu na gorze. Na ten drugi balkon w drugim

pokoju, tam, gdzie byłaś, mamusiu, bo chciałyśmy zobaczyć, dlaczego nie ma tam taty. Bałyśmy się otworzyć drzwi, bo na nas nakrzyczałaś, ale Lydie i tak chciała zobaczyć, zajrzeć przez szybę, czy jesteś z tym panem, który nie jest tatusiem. I... i... i próbowała zejść na dół, a potem ja też zaczęłam schodzić na dół, i wtedy mnie złapała, mamusiu, złapała mnie, bo spadała, i ciągnęła mnie strasznie mocno, tak, że ja też zaczęłam spadać, i... – oczy mojej córki są teraz pełne łez, lez strachu – ...i wtedy ją odepchnęłam, mamusiu! I wtedy spadła aż na sam dół. To była moja wina. Zawsze bardziej ją lubiłaś, i zepchnęłam ją, bo ja też zaczęłam spadać. – Kiedy to mówi, po jej twarzy spływają łzy. – I spadła, mamusiu. Spadła. Ja to zrobiłam, zepchnęłam ją, bo mnie ciągnęła.

Zostałam uciszona. Teraz tylko ja ponoszę winę. Nie zostało już nic, czego mogłabym się dowiedzieć.

Moja zmarła córka jest za drzwiami. Niewinna i oskarżająca. Muszę ją ostatecznie przeprosić – w jedyny sposób, w jaki potrafię to zrobić. Więc to jest to. To idealna pora, by to zrobić. Wstaję z łóżka i ubieram się.

Lydia patrzy na mnie w półmroku. Łzy wysychają jej na policzku. Pochylam się nad łóżkiem, odgarniam z jej smutnej twarzy czki słodkie jasne włosy.

– Kochanie – mówię. – Nie czuj się winna. To wszystko moja wina.

– Ale to nie w porządku, mamusiu? Prawda?

– Nie. Nie w porządku. Tak bardzo mi przykro. To naprawdę nie była twoja wina, kochanie. Po prostu się bawiliście. To wszystko moja wina, wszystko. Cały czas. Z powodu tego, co zrobiłam tamtego wieczoru, byłaś taka zdezorientowana, tak strasznie zdezorientowana, tak długo. Przeze mnie. – Wzdycham głęboko i całuję ją w czoło. – I dlatego się stąd wy dostaniemy. Natychmiast.

– Po ciemku? Jest za ciemno, mamusiu.

– Nie szkodzi, kochanie. Mam latarkę.

– Ale ten wiatr... I ciemność... i w ogóle...

– Będzie dobrze. Możesz pójść ze mną. O szóstej zaczyna się odpływ. Możemy się przeprosić po ciemku. To nie potrwa długo.

Znów spogląda na mnie z łóżka. Marszczy brwi, jest zdumiona. Piąstką ociera z oczu ostatnie ślady łez. I wiem, że jeśli znów zacnie płakać, nie będę w stanie zrobić tej strasznej rzeczy. Więc muszę się pośpieszyć.

– Pamiętaj, że zawsze was kochałam. Zawsze. Was obie.

Chwilę milczy, a potem mówi:

– Przepraszam, że spadłam, mamusiu. Przepraszam, że próbowałam zejść z balkonu, żeby cię zobaczyć. Przepraszam, że pociągnęłam Kirstie...

– Co?

– Przepraszam, że spadłam, mamusiu. Przepraszam, że umarłam.

Całuję ją jeszcze raz.

– To nie ma znaczenia, Lydie. To wszystko moja wina. Nikogo innego. Ale wciąż cię kocham. – Wyciągam do niej rękę. – A teraz już czas, żebyśmy poszły i poszukały twojej siostry, żebyśmy wszystkie mogły być razem.

Milczy, powoli kiwa głową. Potem razem wstajemy, podchodzimy do drzwi, odsuwamy skobel i naciskamy kławkę. Jej ubrania są w salonie: wkładam jej buty i różowy anorak, zapinam suwak aż pod brodę. Potem wkładam płaszcz i kalosze.

Przechodzimy przez mroczną i wilgotną jadalnię, przez ciemną kuchnię. Z sufitu ściekają krople deszczu. Cały ten dom się rozpada pod napierającym sztormem. Pora stąd odejść.

Mocno trzymając się za ręce, otwieramy kuchenne drzwi i wychodzimy na smagający deszcz, prosto w czerń i wyjący wicher.

Wszystko jest zimne jak lód.

Angus zasunął zamek przeciwdeszczowego płaszcza, zapiął guziki. Potem zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował znacznie więcej warstw odzieży, by się przedrzeć przez wiatr i deszcz i o szóstej rano przeprawić się po ciemku przez słone bagna.

Był tak pijany, że nie potrafił ocenić sytuacji. Rozpiął płaszcz i usiadł na łóżku. Nasłuchiwał łkania wiatru za oknem. Przypominało pohukiwanie grupy dzieciaków, które próbują udawać duchy.

Odgłos był całkiem przekonujący.

Jeszcze jeden drink

Sięgnął po butelkę, o mało jej nie przewrócił, i nalał sobie ostatnią szklaneczkę Ardbeg. Ostra torfowa whisky paliła go w gardło. Skrzywił się i znowu wstał.

Jeszcze jedna zapinana kamizelka, jeszcze jeden sweter. I znów ten płaszcz.

Lekko się zataczając, sięgnął po buty i mocno je zasznurował. To były dobre wodoszczelne buty trekkingowe, ale nie mogły go ochronić przed sączącą się zimną wodą na bagnach wokół Torran. Potwornie zmoknie. Ale to do przyjęcia, o ile w ogóle mu się uda dotrzeć tam w tych ciemnościach.

A tam zrobi to, co musi. Uratuje córkę.

Kiedy otwierał drzwi, poza nim w hotelu nie było nikogo. Wiatr natychmiast spróbował je zatrzęsnać. Wyszedł w ciemność. Dźwięki dochodzące z The Selkie stłumił huk wichury.

Lampy wiszące na kablu kołysały się szaleńczo w porywach wiatru. Latarnia na Torran mrugała w mroku.

Zszedł na nabrzeże, potem na kamienistą plażę, i ruszył przez błota w stronę Salmadair. Zimne krople ściekały mu po szyi, mgła i deszcz stawały się coraz gęstsze. Brodził przez ziejące pustką mokradła.

Czy wybrał właściwą drogę? Latarka ciążyła mu w zdrtwiałych dłoniach. Powinien był wziąć również czółówkę. To był głupi błąd. Był strasznie pijany i popełniał podstawowe błędy. A takie błędy na tych bagnach mogły się okazać fatalne w skutkach.

Spojrzał w lewo i zobaczył czarne kształty. W ciemności. Czern na tle szarości. To na pewno były łodzie. Ale potem wiatr zawył w jodłach na Camuscross i zabrzmiało to tak, jakby to był Beany, wciąż żywy, wciąż błąkający się po bagnach.

– Beany? – Nie potrafił się powstrzymać. Kochał tego psa. – Beany? Beano!

Krzyczał w pustkę. Stał teraz po kostki w błocie. Zgubił się, był pijany i miał kłopoty.

Wyciągnął but z cmokającej mazi i ruszył dalej. Był zdesperowany, wzdrygał się w gwałtownych podmuchach wiatru i w siekącym deszczu. Nie. Zabłądził. Latarni nie było

widać. Czy szedł w stronę niewłaściwej części zatoki? Czy zmierzał w to samo miejsce, gdzie o mało nie utonął, próbując uratować Beany'ego?

Tam.

Jakaś postać? Był pewien, że widzi postać. Może dwie: dorosły i dziecko. Obie kulily się pod wściekły mi podmuchami wiatru. Ale dlaczego miałoby tutaj być? Wędrować przez te przerażające bagna podczas sztormu? W ciemnościach?

To mogły być tylko Sarah i Kirstie. I wtedy usłyszał swoją córkę, wołała go. Tak dobrze znał ten głos. T a ta, t a ta, t a ta. Niesione wiatrem.

Tata.

Wzywała go, błagała. Ale czy to ją widział?

Dostrzegł zarysy zimnych skał Salmadair, szarość na tle czerni. Kirstie i Sarah muszą być na Salmadair, musi tylko do nich dotrzeć i sprowadzić je na stały ląd.

– Kochanie, idę! Trzymaj się!

Tata.

Stanął jak wryty. Wpatrywał się w strugi deszczu. Postacie zniknęły. W niektórych miejscach kłębiła się mgła, jak skazy na lodzie. Może mu się wydawało? Może nikt nie próbował się przeprawić. Nie mogło ich tam być, to by nie miało żadnego sensu. Dlaczego Sarah i Kirstie miałyby opuścić dom i wyjść na ten straszny sztorm? Bezsensowne ryzyko.

A te krzyki? Głos?

Może to był tylko wiatr. Słyszał tylko wycie. Tak to mogły być psy albo dzieci, ale równie dobrze po prostu wichura. Zwiodył go własny strach i rozpacz.

Potknął się i przewrócił na lewy bok. Podparł się ręką i odcisnął jej ślad w gęstym błocie. Było jak mokry cement. Zostawił w nim odcisk. A potem jego prawa stopa zapadła się nagle w lodowatą wodę.

Skulił się i wyciągnął ciężki, przemoczony but. Już nadciągał przypływ? Nie. To się nie trzymało kupy. Ale jak długo tu był? Zaczynał tracić poczucie czasu. Był zmęczony, wciąż pijany, ogłuszony porami wiatru. Deszcz i mgła zasłaniały światło latarni.

A może to było to: monotonne, blade pulsowanie w szarości, jak coś złowrogiego pod wodą, jak coś złego na zdjęciu rentgenowskim.

Na chwilę tumany mgły się rozstąpiły.

Tam. To na pewno była latarnia. I wcale nie była daleko. Już prawie obszedł Salmadair. Gdy dotrze do grobli, będzie już łatwiej.

A potem znów zauważył jakiś zamazany ruch: tylko jedna postać, mała, poruszająca się w tej szarości. Ale ta ciemniejsza smużka dziwnie się poruszała. W lewo, potem w prawo. Gwałtownie. I szybko. Nie jak dziecko. Może jak pies? Czy to był Beany? Znieruchomiał. A potem już go nie było.

Z trudem wspiął się na szczyt skały. Mgła była tam jeszcze gęstsza.

Cokolwiek to było, zniknęło. Ale teraz drogę wskazywała mu wyraźna poświata. Latarnia była naprawdę niedaleko: biegł groblą, skały i kamienie zastąpiły błoto, wiatr wciąż wył, a deszcz zaczął ostro, ale światło latarni co dziekić sekund wskazywało mu drogę.

Dalej, dalej, dalej.

I już. Był na wyspie. W domu migotało światło. W sypialni? W sypialni jego i Sary?

Pobiegł ścieżką, kulil się z zimna. Drzwi do kuchni były otwarte, trzaskały histerycznie na

ostrym wietrze.

Dlaczego Sarah zostawiła otwarte drzwi? Przy takiej pogodzie?

Przekroczył próg, wszedł do kuchni. Podłoga była mokra, woda była wszędzie. Światło latarki pokazało mu dlaczego: wielka dziura w suficie w jadalni. Wystawała z niej belka.

– Kirstie?

Próbował przekrzyknąć wyjąący za drzwiami wiatr.

– Kirstie! Sarah! Lydia! To ja!

Nic. Nikt nie odpowiadał. W domu nikogo nie było. Poszły sobie? Czy to dlatego widział te dwie postacie na mokradłach? Czy przed chwilą minął się z żoną i córką?

– Lydia! – spróbował ostatni raz. – Sarah!

Znowu nic. A może w sypialni? To tam widział światło. Przebiegł przez jadalnię, kopniakiem otworzył drzwi i zaczął się rozglądać: łóżko, krzesło, ściany. Szkocki wódz unosił rękę przy krucyfiksie.

Pokój był pusty. Światło było włączone, a pościel rozrzucona. Ale ktoś tu był, wyszedł niedawno.

W całym domu nikogo nie było. Stracił je. Mogły obie zginąć na mokradłach.

I wtedy usłyszał głos. Dobiał z drugiego końca domu.

– Wciąż tu jestem. Wciąż tu jestem!

Jest pierwszy piękny dzień lata. Wiosna była bardzo mokra; ciągnące się w nieskończoność dni mżawki i szarości. A teraz powietrze aż iskrzy, a wzgórza Knoydart lśnią jasno po drugiej stronie cieśniny.

Sgurr an Fhuarain, Sgurr Mor, Fraoch Bheinn.

Zbliżamy się do Torran i spoglądam w stronę latarni. Tak jak wspominała Molly, niedawno naprawiono barierkę. Widać też ślady innych prac budowlanych: duże sterty cegieł i desek, taczki stojące na plaży. Jest weekend, więc naszych robotników nie ma.

Nowy ponton dobija delikatnie do kamienistej plaży. Podaję Kirstie rękę, ale ona mówi:

– Nie, umiem już sama.

Wysiada z łodzi. Razem idziemy ścieżką wśród wrzosów i otwieramy drzwi do kuchni.

Wita mnie powiew. Jakby dom oddychał. Jakby czekał na mnie, wstrzymując oddech.

Ale to tylko złudzenie. Wieje z tej dziury w dachu: tworzy się w niej tunel dla wiatru. Cienkie miejsce jest cieńsze niż kiedykolwiek. Dzika przyroda je sobie przywłaszcza.

– Zimno tu – mówi Kirstie.

Ma rację. Dzień jest ciepły, ale domu na Torran po prostu nie da się ogrzać.

Razem przechodzimy do jadalni. Na razie prace budowlane przeprowadzono głównie na zewnątrz. W środku wygląda niemal tak samo jak tamtej nocy. Jadalnia jest całkowicie zrujnowana: wciąż wystaje belka, która przebiła sufit. Jak kość przy jakimś paskudnym złamaniu. Kirstie się rozgląda.

– Ale tu bałagan!

To moja trzecia albo czwarta wizyta od czasu tamtego sztormu. Niechętnie tu by wam. Próbuje zostawić za sobą dawne traumy, ale znów jestem na wyspie i znów wracają tamte myśli. Teraz dom na Torran wyprowadza mnie z równowagi. Nie mogę go znieść, nie mogę w nim przebywać dłużej niż godzinę.

Bo wspomnienia z tamtej nocy i z ostatniej przeprawy we wściekłych podmuchach wiatru nigdy nie zblakną.

– Na co czekamy?

Kirstie z niecierpliwością ciągnie mnie za rękaw. Uśmiecham się, by ukryć niepokój.

– Na nic, kochanie. Zupełnie na nic. Idź poszukać zabawek. Mogłaś tu jakieś zostawić. Pewnie

jesteś tu po raz ostatni.

Biegnie korytarzem.

Otwieram drzwi do salonu. Próbuję odepchnąć smutek i strach, być odpowiedzialnym rodzicem. Samotnym rodzicem. To teraz moje zadanie.

Kiedy remont się skończy, sprzedamy wyspę.

Josh i Molly sprzedali działkę na Tokavaig i zainwestowali w Torran. Dzięki temu mogliśmy rozbudować domek latarnika. Połowa zostanie wyburzona: jak na ironię dzięki temu, że był uszkodzony, nie musieliśmy się przejmować przepisami o ochronie zabytków. Prace powinny zostać zakończone w przyszłym roku. Zamierzamy sprzedać wyspę za co najmniej dwa miliony i równo podzielić się zyskiem.

Kirstie i ja będziemy finansowo zabezpieczeni. Wszelkie materialne problemy znikną. Wszelkie obawy o pieniądze.

Wiatr gra w dziurze w dachu i dom szepcze. Idę szybko do dużej sypialni, tej z łóżem admiralskim. Zerkam w lustro. Nie przez przypadek wciąż tutaj jest – nie chcę go. Wiąże się z nim zbyt wiele niepokojących wspomnień z tamtych tragicznych tygodni.

Ile fałszywych odbić ujrzeliśmy przez ten miesiąc, kiedy wszyscy mieszkaliśmy na Torran? Wykorzystywanie seksualne, morderstwo, to wszystko były kłamstwa, jak zwiokrotnione odbicia. A może to przejrzystość namieszała nam w głowach: widzieliśmy jedno dziecko w drugim, ale ten obraz był wypaczony, z mnóstwem skaz, jak to, co się widzi przez lód.

Biedna Lydia spadła. Moja córeczka spadła, bo próbowała zejść z balkonu na ostatnim piętrze. Bo chciała zobaczyć matkę. Kirstie ją zepchnęła, żeby się ratować, ale to nie było morderstwo.

Tłumię poczucie winy i żal. Wzdrygam się.

W sypialni jest jeszcze zimniej niż w jadalni. Szkocki wódz wyciąga do mnie rękę – odejdz, odejdz. Z chęcią go posłucham. Gdy wychodzę na korytarz, przybiega Kirstie. Ma na sobie żółte legginsy i niebieską dzinsową koszulkę. Swój ulubiony strój.

– Znalazłaś te zabawki, które chciałaś?

– Została tylko jedna – mówi. – Była pod łóżkiem.

– Co to było?

– Smok Desmond.

M a ł y s m o c z e k

– Nawet nie wiem, czy go chcę.

Wyjmuje smoka z plecaka. Wsuwam go do kieszeni. Mam ochotę go wyrzucić, jakby to było coś jadownego.

Poza tym może Kirstie już wyrosła z takich zabawek. Ma teraz osiem lat. Zostało jej tylko kilka lat dzieciństwa i chcę, żebyśmy je wykorzystali jak najlepiej. Mieszkamy w dobrym, solidnym domu w Ornsay. Kirstie chodzi do świetnej szkoły w Broadford. Codziennie rano musimy dojeżdżać dwadzieścia minut, ale nie przeszkadza mi to. Pomysł, żeby wrócić do Kylerdale, był niepokojąco absurdalny.

Ale, choć może się to wydawać dziwne, ma teraz przyjaciół w wiosce: dzieciaki, które ją znają z Kylerdale. Jest lubiana. Dziewczynka, która ma swoją historię. Kirstie zawsze była odrobinę bardziej przebojowa niż Lydia.

– Znalazłam też coś dla Beany 'ego.

– Naprawdę?

Znów zagląda do plecaka i wyciąga plastikową kość. Zabawkę Beany 'ego.

– Dziękuję – mówię, biorąc ją do ręki. – Beano będzie zachwycony.

Beany czeka na nas przed pubem, rozpieszczany przez Gordona i innych. To cud, że przeżył. Następnego dnia po tym, jak skończył się sztorm, zjawil się pod The Selkie. Biegał po molu, zablocony, zmarznięty, drżący; jak przemoczony duch psa. Ale to wszystko odcisnęło na nim swoje piętno. Nigdy nie zabieramy go na wyspę. Skomle, gdy tylko próbuję go wsadzić na łódź albo zabrać na spacer po słonych bagnach.

Mam jego zabawkę w kieszeni kurtki. Wychodzimy z Kirstie z domu, zamykamy wilgotną kuchnię. Uderza mnie myśl, że pewnego dnia zamknę te drzwi na zawsze – gdy sprzedamy wyspę.

Jestem zadowolony.

Torran zawsze będzie ważna, zawsze będę spoglądać z podziwem na jej onieśmielające piękno, kiedy będę siedzieć na ławce przed The Selkie. Ale wołę zachować dystans. Torran nas pokonała, jej wichry i szkodniki, jej gromy przetaczające się nad cieśniną od strony Ardvasar.

Schodzimy na plażę pod latarnią. Bardzo mocno ściskam dłoń Kirstie. Jakby wyspa mogła próbować ją zatrzymać.

– No dobra, Kirstie-koo. Wracajmy do domu.

– Nie nazywaj mnie tak Mów do mnie Kirstie!

Cumy są już zwolnione, wsiadamy do łodzi. Kilkomna szarpnięciami uruchamiam silnik.

Kirstie siedzi na rufie, nuci swoją ulubioną melodię. To chyba jakaś popowa piosenka. Oddalamy się od wyspy i wzdycham z ledwie skrywaną ulgą. Pochłania nas cisza. A potem kilka metrów przed nami wynurza się szara foka.

Moja córka patrzy na nią i uśmiecha się. To zdecydowanie uśmiech Kirstie: zadziorny, psotny, żywy. Z całą pewnością czuje się lepiej. Terapia pomogła jej dojść do siebie. Już nie myśli, że Lydia spadła przez nią. Przekonaliśmy ją, że to nieprawda. Ale wciąż widać ślady mojej przerażającej pomyłki. Rozmyłem jej tożsamość. To ja popełniłem ten błąd. Pewnego dnia będę musiał wybaczyć s obie.

Foka zniknęła. Kirstie się odwraca. Pochmurnieje, na jej twarzy widać jakieś mroczne emocje.

– Co się stało, kochanie?

Wpatruje się w coś za moimi plecami, na Torran.

I mówi powoli:

– Lydia wróciła, prawda?

– Tak, wróciła. Tylko na trochę.

– Ale teraz odeszła i znów jestem Kirstie. Prawda?

– Tak – mówię. – Jesteś Kirstie. I zawsze byłaś.

Kirstie milczy. Silnik wzburza przezroczyście wody. Po chwili mówi:

– Tęsknię za mamusią. I za Lydie.

– Wiem – mówię. – Ja też, kochanie.

To prawda. Codziennie za nimi tęsknię. Ale mamy to, co mamy, i mamy siebie.

I wciąż mamy tajemnice, które może nigdy nie zostaną zdradzone. Tajemnicą Kirstie jest ta noc, gdy szalał sztorm. Nigdy mi nie opowiedziała, co się stało, jakie słowa padły w tym domu ostatniej nocy. Dawno przestałem ją o to pytać, bałem się, że ją zdenerwuję. Po co do tego

wracać? Po co to wszystko rozgrzebywać?

A ja nigdy nie powiedziałem Kirstie całej prawdy o jej matce.

Kiedy ją znalazłem, skuloną w domu, wyglądało na to, że nie ma pojęcia, gdzie jest jej matka. Przeczesałem chatę w poszukiwaniu wskazówek. I w końcu, gdy nad stałym łądem wstał błądź świt, Josh i Gordon przyłączyli się do skifem Gordona i uratowali nas z Torran: zabrali nas do ciepłego, bezpiecznego domu Josha.

A potem uszliśmy o Sarze, zanim jeszcze na dobre ruszyły grupy poszukiwawcze.

Jakiś rybak wypatrzył jej ciało. Unosiło się na wodzie przy plaży w Camuscross. Zaraz potem na Torran wkroczyła policja. Nie wtrącałem się, chroniłem siebie i Kirstie przed dziennikarzami i detektywami. Zaszyliśmy się w domu Josha i wpatrywaliśmy się w drżące jarzębiny za wielkimi oknami.

W niecały tydzień policja wyciągnęła wnioski: Sarah opuściła dom, nie wiadomo z jakiego powodu – może to była jakaś dziwna próba sprowadzenia pomocy. Przewróciła się w ciemności na bagnach i utonęła. Tak łatwo było tam utonąć. Zbyt łatwo. To był wypadek.

Ale czy naprawdę tak było? Wciąż dręczy mnie to, co usłyszałem u Freedlandów: *w s z e l k a m i ł o ś ć j e s t f o r m ą s a m o b ó j s t w a*. Może Sarah pragnęła dołączyć do swojej zmarłej córki? A może gdy znalazła ten list w dolnej szufladzie komody, poczucie winy doprowadziło ją do obłędu? Tej nocy, kiedy znalazłem Kirstie, na podłodze w sypialni leżał list od lekarza Sary. Zniszczyłem go.

Zawsze będą mnie dręczyć pytania: naprawdę zostawiłaby córkę samą w domu? Naprawdę widziałem przez mgłę jedną albo dwie postacie, kiedy się przedzierałem na Torran?

Nigdy się nie dowiem. Były jednak pewne wskazówki, i o tych wskazówkach nigdy nie powiem Kirstie. Póki żyję.

Kiedy znaleźli zwłoki Sary unoszące się na wodach przyplwy, ścisnęła rękaw różowej kurtki Lydii.

A gdy lekarze przeprowadzali sekcję, znaleźli w jej zaciśniętych palcach smutne, przemoczone kosmyki delikatnych jasnych włosów, jakby w tych ostatnich chwilach desperacko kogoś chwyciła: jakby próbowała uratować swoje dziecko przed utonięciem.

Kirstie spogląda na południe, w stronę Mallaig. Siedzę plecami do Torran.

Jest piękny, spokojny dzień, początek czerwca. Niebo odbija się w spokojnych wodach fiordów. Ale od tych pięknych wzgórz wieje zimny wiatr.

Sgurr an Fhuarain, Sgurr Mor, Fraoch Bheinn.

Podziękowania

Pragnę podziękować Joelowi Franklinowi i Dede MacGillivrayowi, Gusowi MacLeanowi, Benowi Timberlake'owi, a zwłaszcza Angel Sedgwick za pomoc w zbieraniu materiałów do niniejszej książki.

Każdy, kto zna Hebrydy Wewnętrzne, szybko zauważy oczywiste podobieństwo Eilean Torran do prawdziwej Eilean Sionnach u wybrzeży Isleornsay na wyspie Skye. Nie jest to zbieg okoliczności: niniejsza powieść była częściowo inspirowana licznymi wizytami na tej pięknej wyspie i w białym domku przy latarni.

Ale wszelkie wydarzenia i postacie przedstawione w niniejszej powieści są całkowicie fikcyjne.

Jeśli chodzi o redakcję, pragnę podziękować Jane Johnson, Helen Atsmie, Kate Stephenson i Eugenie Furniss: bez ich zachęty i mądrych rad ta książka by nie powstała.

I wreszcie mam dług wdzięczności wobec Hywela Daviesa i Elizabeth Doherty, za to, że posiali pierwsze nasiona, które przerosły się w ideę bliźniąt.

S.K. Tremayne